

Władysław Zambrzycki

Nasza Pani Radosna
czyli
dziwne przygody
pułkownika Armii Belgijskiej
Gastona Bodineau

Antykwariat Książek
www.cytat.pl
Warszawa 2009

W SPRAWIE PRZYPISKÓW

Przypiski, rozrzucone na kartkach tej książki, są dziełem mojej ręki. Niejednego zdziwi może, iż ja, główny bohater opowieści, opatruję ją jeszcze komentarzami, nie poprzestając na relacjach autora. Czynię tak na jego wyraźne życzenie oraz ze względu na doniosłość sprawy.

Zalety serca i charakter twórcy tych pamiętników poznałem na wskroś w ciągu naszej długiej wędrówki. I nie mogę sobie odmówić satysfakcji stwierdzenia, że pozyskanie sympatii człowieka tego pokroju uważam za jeden z największych zaszczytów, jakie mnie spotkały. Niemniej obowiązek nakazuje wyznać, że mój młody przyjaciel z właściwym swemu narodowi entuzjazmem dał się w opisie porwać pierwszym wrażeniom, skutkiem czego wszystkie fakty traktuje w sposób, którego nie chciałbym nazwać powierzchownym.

Intelekt mojego przyjaciela (uważam, że na podstawie codziennego obcowania w ciągu lat czterech mogę mieć o nim wyrobioną opinię), intelekt ów należy do typu emocjonalnego, ujmującego rzeczywistość wprawdzie bezpośrednio, ale nie dość krytycznie, a nawet, chwilami, wręcz płocho i lekkomyślnie.

W niczym to nie ubliża autorowi książki, jeśli stwierdzę dalej, że do ujęcia wielu spraw nie był dostatecznie przygotowany naukowo. Wszak uczuciowców nie pociągają studia specjalne. Przyjaciel mój, dzięki młodzieńczemu temperamentowi, reagował przede wszystkim na przejawy życia codziennego. Nie bez wzruszenia wspominam, jak w wielu wypadkach, kiedy mnie uderzała filozoficzna lub socjologiczna strona

przygody, kochany autor poprzestawał na notowaniu wrażeń gastronomicznych, interesując się przede wszystkim gatunkiem wina, smakiem przypraw i sposobem podania potrawy. Ten rodzaj reakcji, niewątpliwie miły i sympatyczny, będzie się podobał wielu czytelnikom. Co do mnie jednak, uważam, że o ile skutkiem wyżej wymienionych przyczyn opis zyskuje na plastyce, o tyle traci na wartości źródłowej, czego ze względu na tło wspólnych przeżyć lepiej uniknąć. Dlatego, kiedy autor zwrócił się do mnie z prośbą o przypiski, postanowiłem po krótkim namyśle zgodzić się.

Uwagi dyktowałem dorywczo, podczas gdy autor, streszczając ustępy najważniejsze, robił korektę książki.

Sądzę, że kilka powyższych słów usprawiedliwienia wystarczy, aby przypisków, jak wspomniałem na wstępie, nie poczytano mi za brak delikatności wobec mego drogiego przyjaciela.

Gaston Bodineau

Pułkownik

I. MISTRZ

W książce tej są opisane dziwne przygody pułkownika armii belgijskiej Gastona Bodineau i jego najbliższych przyjaciół.

Nasz mistrz ukochany nie był zwyczajnym pułkownikiem. Podczas wojny europejskiej¹ pełnił obowiązki farmaceuty w lazarecie polowym 2. Dywizji Jazdy*. Wtedy właśnie nabrał takiej werwy bojowej, iż mógł zapędzić w kozi róg dyplomowanego sztabowca. Sam mi to mówił.

Gdy skończyła się wojna, Bodineau wrócił do rodzinnego miasteczka Franchimont w Ardenach. Zastawszy swą starą aptekę zrujnowaną, rozgniewał się okrutnie na artylerię, następnie na cały świat i postanowił wyemigrować z kraju.

Czując zapał do wojny, wybrał Meksyk.

Każdy uzna wybór za trafny. Dzięki wrodzonym zdolnościom do kaligrafii, nasz mistrz mianował się pułkownikiem Sztabu Generalnego, potem wystawił sobie parę innych świadectw i udekorował pierś orderami, nie zapomniawszy o krzyżu komandorskim Leopolda*. Tak wyekwipowany, wsiadł w Antwerpii na parostatek i po dwutygodniowej podróży stanął na lądzie meksykańskim.

Szczęście mu sprzyjało. Trafił akurat na nieporozumienia między generałami Carranzą a Obregonem.

Dowiedziawszy się o przybyciu znakomitego sztabowca, obaj dyktatorowie wysłali do hotelu adiutantów z poleceniem nawiązania przyjacielskich stosunków. Pułkownik Bodineau przyjął gości z pewną nonszalancją i dał im do zrozumienia, że na razie nie ma jeszcze wyrobionych przekonań politycznych. Jeżeli skłoni się na czyjąkolwiek stronę, to nie wcześniej niż za pół roku, po rozpatrzeniu się w stosunkach

¹ Mowa o pierwszej wojnie światowej. Przypisy oznaczone gwiazdkami pochodzą od plk. Gastona Bodineau ■ oznaczone cyframi od redakcji.

Uważam za stosowne uzupełnić powyższą informację, którą autor, nieorientujący się należycie w sprawach wojskowych, podał nieścisłe. Podczas wojny pełniłem obowiązki nie „farmaceuty”, jak drogi mój przyjaciel trochę symplicystycznie określa, lecz szefa Oddziału Farmacji Służby Sanitarnej 2. Dywizji Jazdy, w randze majora. Tylko dla ścisłości historycznej zaznaczam, że zostałem przedstawiony do awansu i gdyby nie przedwczesne zawarcie pokoju, drobna formalność stałaby się faktem. Co do mego teoretycznego przygotowania bojowego, uchybiłbym sobie, wyliczając czas, jaki tej sprawie poświęciłem, oraz dzieła, jakie przestudiowałem.

Chwalebna skądinąd dbałość autora o ścisłe rejestrowanie faktów stawia mnie w położeniu nieco żenującym – każe zabierać czytelnikowi więcej czasu, niżbym pragnął. Sposób, w jaki autor oświetla moje przygotowania do wyjazdu za ocean, mógłby być źle rozumiany. W istocie rzeczy to jedynie smutna ilustracja czasów, w jakich żyjemy. Bezduszna formalistyka, ciężąca nad całym życiem współczesnym, wytwarza tyle przeszkód, że człowiek ekspansywny, znający swoją wartość, czujący dość sił, by wziąć na barki odpowiedzialność, człowiek taki bywa zmuszany albo do tracenia nieprawdopodobnej ilości czasu na tysiącne formalności, albo do uproszczenia wszystkich tych bezmyślnych procedur.

miejscowych.

Generał Obregon, bardziej przedsiębiorczy od przeciwnika, zrozumiał te słowa. Rokowania przyjęły rażny obrót. Po dwu dniach Gaston Bodineau zamówił u krawca meksykański mundur wojskowy, a po tygodniu zaczął pełnić obowiązki szefa Sztabu 4. Dywizji z pensją trzech tysięcy dolarów miesięcznie i prawem rekwirowania artykułów pierwszej potrzeby. Z ostatniego przywileju nie korzystał zbyt często – wrodzona delikatność powstrzymywała go od rabunków. Czasami tylko pozwalał sobie na przeprowadzanie rewizji w aptekach, raczej dla rozrywki niż z innych pobudek.

Nic nie zakłóciłoby sielanki meksykańskiej, gdyby nie nagły wybuch działań wojennych. Pułkownik Bodineau poniósł klęskę pod Aguas Calientes* i dla pewności ratował się ucieczką w góry. Towarzyszyło mu kilku wiernych oficerów oraz kasa, bo przezornie ją zabrali.

Następuje okres, o którym pułkownik nie lubi opowiadać. Wiem jedynie, że zacy ten człowiek był prześladowany listami gończymi, że generał Obregon postanowił go powiesić i obiecywał wysokie honorarium temu, kto dostarczy zbiega w stanie nieuszkodzonym.

Dwa lata trudnił się pułkownik Bodineau dostawą peyotlu do Stanów Zjednoczonych, hasając po Sierra Madre. Raz omal nie wpadł w ręce żandarmów Obregona. Zniechęciwszy się do ryzykownego zajęcia, przeszedł na terytorium Teksasu, ulokował dolary w akcjach amerykańskich i wrócił do Europy.

Wiem, co znaczy być prześladowanym. Podczas okupacji niemieckiej w Warszawie założyłem z Kubą Schroetterem tajną gorzelnię. Nikt prócz władz policyjnych nie miał nam tego za złe, w kraju bowiem brakowało wódki. Pędziliśmy samogonkę z melasy, jęczmienia, otrąb, rodzynek – z czego się dało. Po roku firma zdobyła sobie dobrą markę wśród właścicieli barów. Włożyliśmy spory kapitał w inwestycje, nie licząc kredytu, jakim operowaliśmy.

Toteż po wyjściu Niemców Kubuś nawet słyszeć nie chciał o

* Bitwę pod Aguas Calientes prowadziłem ściśle według schematu starcia Sparty z Tebami pod Leuktrą w roku 371 p.n.e. Odnosiłbym zupełne zwycięstwo, gdyby nie bezprzykładna ignorancja przeciwnika. Zamiast, jak nakazują najelementarniejsze zasady taktyki, zamiast, powtarzam, bronić się przed natarciem grupy uderzeniowej, którą sformowałem na lewym skrzydle, przeciwnik zupełnie na to nie reagował, ale wbrew już nie zasadom sztuki wojennej, lecz po prostu zdrowemu sensowi zaatakował całym frontem mój skośnie rozwinięty sztyk. Rozważając później wielokrotnie przebieg bitwy, doszedłem do wniosku, że nie mam sobie nic do wyrzucenia – nie popełniłem najmniejszego błędu. Dodam, że nigdy bardziej dokładnie nie spełniło się znane przysłowie Napoleona, iż prawdziwie niebezpieczny jest dopiero przeciwnik głupi. Postępowanie człowieka mądrego zawsze można mniej więcej przewidzieć, a więc zabezpieczyć się odpowiednio. Głupiec zaś pozostaje nieobliczalny. W tym kryją się jego atuty.

zlikwidowaniu przedsiębiorstwa. Gorzelnia była czynna aż do chwili, kiedy władze polskie nałożyły pieczęcie na jej lokal.

Nie potrzebuję dodawać, iż mieliśmy z tego powodu wiele nieprzyjemności. Kuba tłumaczył się wyjątkowo głupio. Usiłował wmówić w prokuratora, jakoby we śnie ukazała mu się królowa Jadwiga i rzekła: „Pracuj nadal, a kraj wdzięczny ci będzie”.

Usłyszawszy te słowa, prokurator uniósł się gniewem, nazwał Kubusia zakałą społeczeństwa i dużo jeszcze nagadał. A gdy władze zwolniły nas za kaucjami, wyjechaliśmy z zaoszczędzonym kapitałem do Francji, gdzie udało nam się rozwinąć owocną pracę oświatową wśród emigrantów polskich. Dziś jeszcze wspominam z przyjemnością chwile spędzone w towarzystwie robotniczej braci. Lubieni i szanowani, braliśmy udział w obchodach patriotycznych, przedstawieniach teatralnych, w wiecach i zabawach. Dla większej różnorodności grawitowałem na prawo, a Kuba przyłączył się do socjalistów i napisał książkę pod tytułem „Tyranii XX wieku”.

Przedstawił w sposób niezwykle obrazowy nędzę proletariatu, począwszy od strasznych stosunków w starożytnym Rzymie, skończywszy na współczesnych kopalniach węgla.

Książka narobiła sporo hałasu. Dość wspomnieć, że irlandzka Partia Pracy mianowała Schroettera swym honorowym członkiem, co należy zaliczyć do wypadków niezmiernie rzadkich. „Tyranii” doczekali się licznych tłumaczeń, nie wyłączając rzadkich języków, jak na przykład estoński.

Rozporządzając nienajgorszym kapitalikiem, lękając się poza tym trudności ze strony konsulatu polskiego, postanowiliśmy przenieść się do innych okolic. Czas naglił. Policja francuska zaczynała deptać nam po piętach.

– Dokąd pojedziemy? – spytałem.

– Pojedziemy do Grecji – odparł Kuba.

Ponieważ było mi wszystko jedno, przyjąłem ten projekt bez szemrania. Zwinawszy manatki, wsiedliśmy do Orient Ekspresu i po czterdziestu godzinach podróży stanęliśmy w Salonikach. Kuba zakrzętnął się niezwłocznie nad wynalezieniem jakiegoś zajęcia. Zamierzał otworzyć kinematograf, zraziły go jednak miejscowe podatki od widowisk. Doradzałem założyć nowoczesny zakład kąpielowy, niestety okazało się, że mieszkańcy Salonik różnią się obyczajami od swych przodków, co pociągnęłoby za sobą szybką ruinę przedsiębiorstwa.

Pewnego razu, popijając potiri nero¹ na werandzie kawiarni „Flocca”, zawarliśmy znajomość ze szpakowatym jegomościem lat czterdziestu pięciu,

¹ Wodę ze szklanek – gr.

o rysach twarzy szlachetnych i oczach pełnych dobroci, Był to pułkownik Gaston Bodineau, który właśnie powrócił z Meksyku i również, jak my, poszukiwał zajęcia.

Jakaś dziwna skłonność do wynurzeń zapanowała przy marmurowym stoliku. Po upływie kwadransa byliśmy już przyjaciółmi, a po pół godzinie zawarliśmy cichą spółkę handlową. Nikt nie wiedział, co właściwie należy robić. Jedno było pewne, że losy złączyły nas w nierozdzielną całość. Nie spisywaliśmy żadnej umowy, nikt nie próbował targu. Szczerze, bez kręactwa, opowiedzieliśmy sobie nawzajem, jaki jest nasz stan majątkowy, ile możemy wnieść do spółki i czego po kim się spodziewać. Pułkownik dość dobrze władał językiem greckim, ja i Kuba musieliśmy dopiero brać się do nauki. Pułkownik znał się na chemii i aptekarstwie, a naszym największym atutem było wykształcenie fachowe w pędzeniu spirytusu.

Stało na tym, że wybierzemy jakąś zaciszną wysepkę na Morzu Egejskim i założymy destylarnię wódki zwanej „raki”. Napój ten jest używany na całym Lewancie, zwłaszcza w Grecji. Zaprawę robi się z kminku, anyżu i innych ziółek aromatycznych. Rząd ateński obłożył fabrykantów wysokim podatkiem, toteż tylko niezarejestrowana gorzelnia mogła dawać godne uwagi zyski.

Pułkownik wziął na siebie organizację handlową*, my zaś mieliśmy dbać o techniczną stronę przedsiębiorstwa.

Przy wyszukiwaniu miejsca, przewożeniu urządzeń i werbunku agentów ogromnie był nam pomocny pewien Grek nazwiskiem Votsaris. Jegomość ten podawał się za inwalidę z czasów wielkiej wojny. Twierdził, że nienawidzi Turków i chętnie będzie przemycił „raki” do Anatolii. Z niemniejszym zapałem wyrażał się o szmuglu do miast własnej ojczyzny, żywiąc serdeczny żal do rządu greckiego, który nie chciał mu przyznać renty inwalidzkiej.

– I pomyśleć – mawiał – że taki człowiek jak ja, oszpecony na całe życie, nie dostał emerytury.

Votsaris nie miał nosa. Często opowiadał, jak turecka kula karabinowa urwała mu tę ozdobę twarzy, urwała tuż przy nasadzie, ścięła na płasko. Dlatego nie mógł mówić bez oburzenia o niewdzięczności ojczyzny.

Wprawdzie złe języki coś tam przebąkiwały, jakoby Votsaris stracił nos w okolicznościach daleko mniej chwalebnych, ale czego to ludzie nie wymyślą.

Dla nas było ważne, że zdobyliśmy zaufanego pomocnika, znającego

* Kwestię pobierania podatku od produkcji alkoholu ujmuje się w różnych krajach tak sprzecznie, że można o niej mówić wyłącznie jako o zagadnieniu biurokratycznym. Co w jednym kraju władze poczytują za zasługę gospodarczą, w innym ścigają.

doskonale Morze Egejskie, miejscowe stosunki oraz utarte szlaki, po których krążyły parowe łodzie straży celnej. Dzięki staraniom Votsarisa, po upływie sześciu tygodni Kuba mógł uruchomić potajemną gorzelnię na wysepce Skiathos, z dala od jakichkolwiek władz cywilnych czy wojskowych.

Spędziliśmy dwa lata w zacisznym ustroniu, ciesząc się ogólnym szacunkiem, a nawet miłością mieszkańców, którzy z handlu gorzałką ciągnęli wcale pokaźne zyski. Miejscowy pop, ojciec Teoklit Sergiosopolos, odwiedzał nasz dom niemal co wieczór, przesiadując długie godziny nad talią kart i butelką wódki. Jemu to zawdzięczamy, że przed zjechaniem na wyspę strażników celnych udało nam się zawczasu zlikwidować fabrykę i przenieść się z powrotem do Salonik. Odpocząwszy, doprowadziliśmy do porządku rachunki, wymieniliśmy drachmy na dolary i tegoż dnia zdeponowaliśmy je w oddziale Kredytu Lugduńskiego¹. Każdy z nas był teraz posiadaczem własnego konta i mógł żyć bez troski o jutro.

– Drodzy przyjaciele – uroczyście przemówił do nas pewnego wieczoru pułkownik, popijając kawę z koniakiem – drodzy, kochani przyjaciele! Siedzimy oto, nie wiedząc, co dalej począć. Czuję, że nuda zaczyna wkradać się do naszego życia, pobyt na tym poboju bogów olimpijskich staje się nieznośny. Raz jeszcze pójdziemy na mecz piłki nożnej, lecz co będzie dalej? Jedno jest pewne i na ten szczegół kładę specjalny nacisk, że nie możemy się rozstać. Połączyło nas przeznaczenie, niechże więc kieruje naszymi losami i niech mi nikt nie piśnie słowa o rozłące...

– Mistrzu, czcigodny mistrzu – wykrztusił Kuba urywanym głosem – i czemu ty nam to mówisz?

Na twarzy pułkownika zauważyłem wzruszenie. Z prawej strony, na policzku, wyskoczyła mu gałka, zadrgała pod skórą i znikła. Był to objaw świadczący o silnym wstrząsie nerwowym.

Tej nocy długo krążyły butelki na naszym stoliku. A kiedy po raz setny przysięgaliśmy sobie wieczystą przyjaźń, podszedł kelner, wskazał ręką na Olimp i rzekł:

– Szlachetni panowie, słońce już ozłociło szczyty. Czas wracać do domu.

Nie ręczę, czy dobrze powtórzyłem słowa kelnera. Pamiętam tylko, że nas przeniesiono do samochodu, wyładowano przed hotelem i ułożono do snu. Niezapomniany ten wieczór zacieśnił jeszcze bardziej więzy przyjaźni łączące naszą trójkę. Był to bowiem pierwszy wypadek przyznania się do faktu, że sama myśl o rozłące napawa nas smutkiem. Toteż nigdy nie poruszaliśmy tych tematów, denerwujących i zbytecznych.

Nazajutrz, podczas rannej kawy, a była wtedy godzina druga po południu,

¹ Banku Crédit Lyonnais założonego w 1863 r. (Lugdunum to nazwa kolonii rzymskiej, z której wyrósł Lyon).

pułkownik wznowił obrady. Tym razem byliśmy najzupełniej trzeźwi, rozmowa więc potoczyła się innym łóżyskiem.

– Wiecie zapewne – prawil męzny żołnierz – iż w czasie mego pobytu w Meksyku zajmowałem się handlem peyotlami. Jest to zajęcie zyskowne, ma poza tym dużą przyszłość. Towar ten zaczyna być modny. Chciałbym wiedzieć, jakie jest wasze zdanie w tej sprawie. Mam na myśli założenie wytwórni alkaloidów peyotlu. Wystarczy niewielki pokoik z gazem, wodą i elektrycznością. Jedynie role nasze odwróciłyby się. Pracami laboratoryjnymi ja bym się zajmował, a wy lansowaniem towaru. Uważam, iż Grecja nie jest terenem odpowiednim. Tu nie ma wykwintnej klienteli. Daleko wygodniejszy byłby Paryż lub jakiegokolwiek inne miasto zachodniej Europy.

W tym miejscu Kuba zrobił zastrzeżenie co do Francji, wspomniawszy o złośliwości urzędujących tam konsulów Rzeczypospolitej Polskiej.

– W takim razie – rzekł pułkownik – lepiej nie zadzierać z konsulatami. Wybierzmy Włochy, kraj odwiedzany przez bogatych cudzoziemców. Taki na przykład Rzym albo raczej Neapol z okolicą wprost roją się od amerykańskich milionerów. Wyobraźcie sobie uroczą wyspę Capri, na której moglibyśmy żyć jak w raju. Znam dobrze te strony. Castellamare, Sorrento, jedna miejscowość piękniejsza od drugiej, a ponad wszystkimi dymi Wezuwiusz, do którego dojeżdża się kolejką linową za sto lirów, wliczając śniadanie. Tak, piękny to kraj. Co do win i innych napojów, oznajmiam uroczyście, że znajdziecie tam lepsze od tutejszych. Wina są nieco cierpkawe, trzeba się przyzwyczaić. Niedaleko Castellamare, piętnaście minut pociągiem, jest miasteczko Gragnano. Zawiozę was tam przy sposobności. Schodzi się do piwnicy i pije wprost z beczki, manipulując drewnianym kranem. Takiego wina nie znajdziecie w żadnym zakładzie gastronomicznym. Wracając do Castellamare, skoro zgadało się o tej miejscowości kuracyjnej, to polecić wam mogę restaurację hotelu „Stabia”. Ochmistrem jest tam stary szlachcic langwedocki, znawca i smakosz. Przed przybyszami ukrywa swe nazwisko, gdy jednak pozna człowieka i wypije z nim parę butelek, to odsłania przyłbicę i zaczyna mówić o przodkach. Powiadam wam, w głowie się mąci słuchając. Co ten człowiek miał za przodków, i to jakich przodków! Taka rozmowa warta jest szampana.

– A z czego żyje ów znakomity szlachcic? – spytał Kuba.

Pułkownik uśmiechnął się pobłaźliwie i odparł:

– Z procentu od wypitych butelek.

II. ŻEGNAJ, MACEDONIO!

O godzinie drugiej po południu wyboiste ulice Salonik zaroily się krzykliwym tłumem. Rej wozili sprzedawcy limoniady, najhałaśliwsi z hałaśliwych. Morze głów płynęło z wolna ku Odos Vasileos Bulgarochtonou, by wylać się następnie na błonia podmiejskie, gdzie miał zostać rozegrany mecz piłki nożnej między miejscową drużyną „Chalkidike” a tureckim klubem „Yildirim” ze Smyrny.

Łatwo było przewidzieć, że igraszki sportowe zakończą się awanturą, o ile „Chalkidike” nie wyjdzie zwycięsko ze spotkania. Nie chodziło bowiem o zwykły mecz. Chodziło o honor Hellady, która na gruncie salonickim nie zdążyła jeszcze zaskarbić sobie względów większości mieszkańców.

Ludność miasta składała się z tak pomieszanych elementów, iż pomimo

względnie długiego pobytu nie nauczyłem się jeszcze rozróżniać wszystkich narodowości, wyznań, języków i akcentów. Z balkonu hotelu „Splendid”, siedząc nad czarną kawą, podziwialiśmy właśnie przesuujące się mrowie miłośników sportu.

- Dzień będzie gorący – zauważył pułkownik.
- Zakład, że tuzin mahometan odwiozą do szpitala – dodał Kuba.

Wśród przechodniów o europejskim wyglądzie rzucały się w oczy operetkowe kostiumy. Podziwiałem spodnie Kreteńczyków, zwisające jak worek między nogami, białobrązowe guńki Albańczyków, czerwone pasy Turków, wreszcie łachmany robotników portowych, niecierpiących pracy. Do uszu naszych dolatywały okrzyki w najrozmaitszych narzeczach języka greckiego, to znów pseudohiszpański szwargot mieszkańców getta. Czasami padło jakieś słowo francuskie z akcentem lewantyńskim. W chórze pomieszanych dźwięków brakowało tylko mowy tureckiej. Dawni panowie tej ziemi, dziś sponiewierani, wyzuci z wszelkich praw obywatelskich, woleli milczeć. Zdawali sobie doskonale sprawę, że tak czy owak, nie wolno im przejmować się wynikiem meczu. Radość i gniew były zarezerwowane dla Greków.

- Samochód czeka – oznajmił maître d'hôtel.

Po chwili posuwaliśmy się z wolna ulicą Agiou Demetriou. Szofer, trąbiąc bezustannie, usiłował nakłonić piechurów do ustąpienia z drogi. Odniosło to ten skutek, że ktoś mu odkręcił wentyl przy tylnym kole i musieliśmy poświęcić kilkanaście minut na pompowanie.

Przed kasami ścisk i nieporządek. Jak żyję nie widziałem takiego „ogonka”, nawet podczas głodu w Warszawie. Z kłopotu wybawił nas przekupień, ofiarowawszy grzecznie bilety z dopłatą pięćdziesięciu procent.

Niestety, w przejściu wynikło nieporozumienie. Okazało się, że bilety są zupełnie autentyczne, lecz upoważniają do wzięcia udziału w widowisku kinowym, niemającym nic wspólnego z sensacyjną imprezą sportową.

Pułkownik poczerwieniał ze złości.

– Poczekajcie na mnie przy samochodzie – rzekł – postaram się złapać oszusta.

Istotnie, po pięciu minutach przyprowadził go do policjanta i klnąc siarczyście, zażądał aresztowania. Dowiedzieliśmy się później, że przedstawiciel władzy, sam zainteresowany w handlu biletami, nie zrobił lotrzykowi żadnej przykrości.

Zresztą ofiarami padali wyłącznie cudzoziemcy. Odbywało się na nich istne polowanie.

- Jakże więc tu się kupuje bilety? – spytałem kierowcy.
- Ja panom kupię – odparł.

Podszedł do policjanta, zamienił z nim parę słów szeptem i ruchem ręki wskazał w naszą stronę.

Na własne oczy zobaczyłem, jak policjant skinął na jakąś dziewczynę, która pobiegła do kontrolera i wyszła po chwili zza parkanu, trzymając w dłoni bilety. Tym razem zapłaciliśmy sto procent drożej, ale nikt nam już wstretów nie czynił.

Mecz rozpoczął się z dwugodzinnym opóźnieniem. Nikogo to nie gniewało, gdyż mieszkańcy Salonik nie wiedzą, co z czasem robić. Oczekiwanie uprzyjemniali sobie spijaniem różnobarwnych limoniad, zajądaniem lodów i niewinnymi utarczkami o miejsca.

Ponieważ nic się nie znam na zasadach gry w piłkę nożną, czekałem z zaciekawieniem na chwilę, kiedy widzowie zaczną się turbować. Ilekroć piłka wpadała do bramki „Chalkidike”, na trybunach podnosił się taki wrzask, że aż Kubuś chciał wychodzić. Zupełnie nieoczekiwanie, przed zakończeniem meczu, widzowie przełamali barierę i wpadli na boisko. Tuż za nimi przycwałowali żandarmi z karabinami. Drużyna turecka, której zwycięstwo nie ulegało wątpliwości, ratowała się ucieczką do garderób. Okropny zgielek trwał około kwadransa. Entuzjastów wypędzono z placu, przy czym aresztowano przeszło dwadzieścia osób.

Zauważyłem, iż wszyscy zatrzymani mają fezy na głowach bądź czerwone pasy flanelowe, chociaż zniszczenie bariery było dziełem greckiej publiczności. Zupełnie to samo spostrzegł pułkownik.

– Tak zawsze bywa – dodał – ktoś musi odsiedzieć areszt za zakłócenie spokoju.

Na pustym placu ukazał się młodzian w oślepiąco białym garniturze pikowym. Przez megafon obwieścił publiczności, że mecz pozostaje nierozstrzygnięty z powodu pożałowania godnych wybryków. Wynik ten, jeżeli to można nazwać wynikiem, przyjęto długo niemilkącymi oklaskami.

– Spodziewałem się większych wrażeń – rzekł pułkownik, powstając z ławy.

– Przejdźmy się po boisku – zaproponował Kuba – chciałbym usłyszeć, co mówią o zawodach członkowie „Yildirimu”.

Poszliśmy ku garderobom, lecz Turcy już zniknęli. Dla pewności wymknęli się zapasowym wyjściem. Co do Greków, na pierwszy rzut oka znać było wśród nich nie lada konsternację. Niby mecz nierozegrany, a wstyd. Podobno smyrneńczycy oświadczyli, że przyjeżdżają po raz ostatni.

Co mnie to zresztą obchodzi.

– Spójrzcie no – odezwał się pułkownik – na tego mazgaja. Hej, przyjacielu, czego płaczesz?

Słowa te zwrócił do wysmukłego młodzieńca, siedzącego pod ścianą

garderoby.

– Czego płaczesz? – powtórzył pułkownik po francusku.

Nie podniósłszy głowy, młodzieniec wykonał ręką gest, jak gdyby chciał odpędzić natrętą muchę, i odpowiedział krótko:

– M ... de!¹

– Oh, c'est pas gentil, mon ami.

– Fichez moi la paix, hotverdoem!

– To rodak – szepnął pułkownik. I zwracając się do nieznanego, skomenderował po flamandzku:

– Staat op!

Młodzian zerwał się i stanął na baczność.

– Jak się nazywasz?

– Joseph Van Campen.

– Skąd pochodzisz?

– Z Etterbeek w Brabancie.

– Co porabiasz w Salonikach?

– Jestem trenerem „Chalkidike”.

– Dlaczego płaczesz?

– Bo przegrałem.

W miarę jak chłopak odpowiadał, twarz pułkownika nabierała tkliwego wyrazu. Dobre oczy zajaśniały uśmiechem, uśmiechem szlachetnym, rozbijającym.

Zamorusany trener „Chalkidike” podzielił się z nami mnóstwem zgrzytot. Oto kontrakt dobiega końca. Sromotny wynik meczu nie rokuje różowych nadziei na czas najbliższy. Greckie kluby nie zechcą go już angażować. Tureckie tym bardziej, zatrudniają bowiem własnych trenerów. O powrocie do kraju myśleć nie może – od trzech lat nie utrzymuje bliższych stosunków z klubami belgijskimi. Nie jest zresztą asem sportowym i jedynie w takiej Grecji mógł uchodzić za pierwszorzędną siłę. Poza piłką nożną innego fachu nie ma, szkół nie skończył, jest sierotą i nie wie, co teraz będzie.

Porozumiawszy się z nami wzrokiem, pułkownik podał dłoń rodakowi i krótko, dobitnie oznajmił:

– Nie zginiesz. Zaopiekujemy się tobą.

W tak niezwykłych okolicznościach zdobyliśmy kamrata, który podczas naszej fantastycznej tułaczki niejednokrotnie składał dowody bezgranicznego przywiązania.

Joseph Van Campen lub krótko mówiąc Jeff, był to barczysty dryblas. Mówił mało, jak gdyby z wysiłkiem, myślał z jeszcze większą trudnością. Gdy jednak potrzebowaliśmy pomocy jego potężnych pięści, mogliśmy

zawsze liczyć na powodzenie. Po kilku dniach chodził za pułkownikiem jak pies, gotów zawsze na największe szaleństwa w obronie swego pana.

Pamiętam pierwszy obiad w towarzystwie trenera. Siedzieliśmy na werandzie restauracji „Pod Białą Wieżą”, gdy jakimś cudem przedostał się między stoliki przekupień fałszywych klejnotów i jał napastować pułkownika. Nim nadbiegli kelnerzy, wetknął mu do ręki porcelanową kameę, powtarzając:

– Cent vingt francs, moussou, occasion siou plait, jamais trouver pareille. Prenez, moussou, cent vingt francs, moussou...

I stała się rzecz dziwna. Przekupień uniósł się nagle w powietrze, popłynął nad głowami gości i opisał parabolę, sfrunął z werandy do ogródka. Rozumie się, że natrętowi pomógł Van Campen, co nie przeszkodziło, że efekt był nadzwyczajny. Publiczność zanosila się od śmiechu. Jakiś Anglik czy też Amerykanin podszedł do naszego stolika i pokazując fałszywą gemmę, oznajmił, że w podobnych okolicznościach wkręcono mu fałszyfikat, za który zapłacił dziesięć dolarów. Pułkownik odparł, że zna miejscowe obyczaje.

Tymczasem sprzedawca, ochłonawszy nieco, zerwał się z murawy, odszedł kilka kroków i zasypał nas stekiem przekleństw:

– Toi cochon! Vous êtes tous cochons! Moi toi casser la gueule!

Van Campen chciał go ściagać, czemu sprzeciwił się pułkownik.

– Tak nie można, Jeff, zaraz do bitki. Tu nie boisko. Przebywasz teraz w naszym towarzystwie, musisz więc nabrać bardziej światowych manier. Zapomnij o zasadach demokratycznej prostoty, zwracaj uwagę na nasze postępowanie, wyobraź sobie, że jesteś arystokratą. Dlaczego plujesz? Nie ocieraj serwetką spoconej twarzy. Masz chusteczkę?

– Mam, w praniu.

– A ile masz ubrań?

– Jedno.

Wprost z obiadu pojechaliśmy do krawca. Pułkownik zamówił dla Van Campena modny garnitur marynarkowy, potem zaopatrzył go w buty, bieliznę, krawaty i niezbędne drobiazgi toaletowe. Po tygodniu sportowiec stał się podobny do ludzi.

Nadszedł maj, miesiąc upalny nad salonicką zatoką. Po zamknięciu sezonu wyścigowego zapanowały nudy.

– Nie mamy tu nic do roboty – rzekł pewnego ranka pułkownik. – Czy nie uważacie, iż warto by było przenieść się do strefy bardziej umiarkowanej, gdzie można spędzić lato bez zmęczenia? Spodziewam się, że niezadługo nadejdzie z Meksyku do Neapolu transport peyotli. Zamówiłem je jeszcze w lutym. Będą wymienione w specyfikacji jako cebulki orchidei. Jeżeli więc

¹ G...o! – franc.

zapłacimy cło, to minimalne. Chciałbym jak najspieszniej zabrać się do pracy. Bezczytność nuży mnie. Jak się zdaje, wy również dość macie próżniactwa. Jeżeli kwatery na Capri okażą się nieodpowiednie, wybierzemy inną miejscowość. Chodzi o to, aby prędzej wyjechać z tych zapluskwionych Salonik.

19 maja 1925 roku wsiedliśmy na parostatek towarzystwa „Messageries Maritimes” idący do Messyny, skąd po dwudniowym odpoczynku pojechaliśmy dalej.

Jakże miło przenieść się z Grecji do Neapolu! Jakże miło zasiąść do obiadu w hotelu „Bertolini Palace” i zjadać wyborne potrawy, popijane winem z Posilippo!

– Po jakiego diabła marnowaliśmy czas w Salonikach? – powtarzał Kuba. – Kto nam kazał tam sterczeć wobec takich rozkoszy? Niepokoi mnie tylko ta dymiąca góra. Wolałbym jej wcale nie oglądać. Czytałem niedawno w „Makedonii”, że na na jakiejś wyspie jawajskiej doszło do katastrofy.

– I tu zdarzały się podobne wypadki – zauważył pułkownik. Następnie zaczął opowiadać o rozmaitych starożytnościach, katakumbach, muzeach i miastach zasypanych przez popiół wulkaniczny, które obecnie, po odkopaniu, można oglądać za głupie parę lirów.

– Mnie to nic nie obchodzi – oświadczył Kuba – wystarczy mi najzupełniej „Bertolini Palace”. Gotów jestem tu mieszkać do końca życia.

Pułkownik spojrzął na Kubę z wyrzutem, wobec czego uznałem za stosowne wtrącić się do rozmowy.

– Jako inteligentny człowiek – rzekłem – uważam zwiedzenie muzeum za konieczne. Kubuś niech sobie siedzi nad czarną kawą, a my, kochany pułkowniku, jedźmy choćby zaraz.

Mistrz uścisnął mi rękę z wdzięcznością. Pojechaliśmy do Museo Nazionale. Rozleniwiony Kuba pozostał w hotelu, a Van Campen poszedł na jakiś mecz piłki nożnej.

Przyznam się, że oglądanie starych gratów nie zaciekało mnie zbytnio. Nie chcąc robić przykrości pułkownikowi, udawałem zachwyconego. Kupiłem nawet plan gmachu z wykazem sal i eksponatów.

Zmarnowawszy kilka godzin, z przyjemnością wysiadałem z auta przed hotelem, nie podejrzewając czekającej niespodzianki.

Już w holu uszu mych dobiegły słowa polskiej piosenki. Bez trudności poznałem, że to Kuba wyśpiewuje, oczywiście w stanie nietrzeźwym.

– Co się stało? – spytał pułkownik, blednąc.

– Sami nie wiemy – odparł portier – za chwilę przyjdzie doktor.

Tymczasem Kubuś, leżąc na kozetce, zawodził bardzo niepewnym basem:

*Kąpiele mam z siarki
Na zakochane parki,
Stąd małżeństw dziwny wzrost.
I często się tak zdarza,
Że para od ołtarza
Do kąpiei zdąży wprost...*

Dokoła mego przyjaciela stało kilkanaście osób. Kiwano głowami, szeptem zamieniając zdania.

– Quel malheur!¹ – westchnęła starsza Amerykanka.

– To niewątpliwie objaw przemęczenia pracą umysłową – dodała druga. Kres przypuszczeniom położył lekarz.

– Ten pan zbyt wiele wypił likierów. Proszę go przenieść do pokoju i umieścić w łóżku. Słabość minie bez mojej pomocy.

Dowiedzieliśmy się od służby i innych świadków przykrego zajścia, że Kuba nie był jedynym winowajcą. Jednocześnie skompromitował się drugi lokator hotelu, turysta narodowości niemieckiej.

Zaczęło się, jak wiadomo, od czarnej kawy. Siedząc nad filiżanką, Kuba rozglądał się po jadalni i przypadkowo zauważył na bufecie butelkę z etykietą „Stock-Medicinal”.

„Co za głupia nazwa – pomyślał – i cóż ta wódka ma wspólnego z medycyną?”

Ciekawy z natury, skinął na kelnera, kazał odkorkować butelkę, skosztował. Napój, włoska okowitka pędzona z winogron, miał smak zbliżony do koniaku. Podobne wódki pod nazwą „grappa” można znaleźć w pierwszej lepszej karczmie neapolitańskiej za psie pieniądze.

Popijając, Kubuś zatęsknił do towarzystwa. Ponieważ przy sąsiednim stoliku siedział samotny dżentelmen, mój przyjaciel zaczął nań mrugać figlarnie, wskazując butelkę.

Nieznajomy początkowo udawał, że nie widzi. Ale wobec zupełnie wyraźnych i często powtarzanych sygnałów rozkrochmalił się, skinął głową, wstał i siadł obok Kubusia.

Opróżnili butelkę „Stocku” w najlepszej komitywie, rozmawiając w języku francuskim. A kiedy druga stanęła na stole, Kuba przypomniał sobie z nagłą, że wszak wypada przedstawić się kompanowi. Zerwał się więc i rzekł, wyciągając rękę:

– Jestem Schroetter.

Na to nieznajomy, uściskawszy dłoń serdecznie, odparł:

– Jestem von Piekarski.

¹ Co za nieszczęście! – *franc.*

Z dalszej rozmowy wyszło na jaw, że pan Piekarski podróżuje dla przyjemności, na stałe mieszka w Spandawie pod Berlinem, ma kilka domów, żonę i dwie córeczki.

– Pan jesteś Niemcem? – spytał Kuba.

– Oczywiście. Pochodzę ze starej rodziny brandenburskiej.

– I nazywasz się pan von Piekarski?

– Nazwisko odziedziczyłem po przodkach.

– I ja po przodkach. Nazywam się Schroetter, a jestem Polakiem. Czy pana to nie razi?

– Istotnie – zgodził się Niemiec – coś tu nie jest w porządku.

Wypili jeszcze kilka kieliszków, dumając nad przedziwnym pomieszczeniem nazwisk, ujęli się pod ręce i wyszli na przechadzkę.

– Tak, to nie jest w porządku! – mówił Kubuś.

– To nie jest w porządku! – wtórował mu von Piekarski.

Na chwiejnych nogach dotarli do teatru „San Carlo”, u ulicznego sprzedawcy napili się wody mineralnej, weszli do jakiejś kawiarenki, zamówili dwie porcje soku cytrynowego i rozpoczęli ważną naradę.

– Ktoś nas musiał poplątać – mówił Niemiec. – Dlaczego ty nazywasz się Schroetter?

– Właśnie. A dlaczego ty nazywasz się von Piekarski?

– Ja powinienem być Schroetterem.

– A ja Piekarskim.

Snując dalej logiczne rozumowanie, doszli do wniosku, że nie pozostaje im nic innego, jak zamienić się nazwiskami. Niemiec wręczył Kubusiowi swój paszport, Kubuś się zrewanżował w ten sam sposób i niezwłocznie, dla przypieczerowania zawartego paktu, zamówił butelkę „Asti”.

Przez pół godziny cieszyli się z pomysłu. Skrupulatny Niemiec posunął się tak daleko, że zażądał od kelnera gumy arabskiej, powyrywał z paszportów fotografie i powklejał je zgodnie z zamianą nazwisk.

Postępek ten spowodował przykre konsekwencje. W drodze powrotnej nowi druhowie zgubili się w tłoku. Kuba trafił do hotelu, położył się w przedsiionku i zaczął wyśpiewywać, o czym już pisałem.

Niemcowi szczęście nie dopisało. Karabinierzy zabrali go do komisariatu, przetrząsnęli kieszenie i znalazłszy paszport z niezręcznie naklejoną fotografią, zamknęli nieboraka w areszcie. Dopiero interwencja właściciela hotelu oraz wymowa pułkownika Bodineau sprawiły, że von Piekarski odzyskał swobodę ruchów. Tak był wszystkim zawstydzony, iż cichaczem wyniósł się z Neapolu.

– C'est inouï¹ – powtarzał pułkownik – c'est inouï. Jesteśmy

skompromitowani w tym hotelu. Jutro wyjeżdżamy do Castellamare. Dość zbijania bąków. Nim nadejdą zamówione peyotle, muszę wykonać szereg ważnych doświadczeń. Bądźcie gotowi do drogi.

Koncert urządzony przez Kubusia w holu hotelowym miał nieprzyjemne następstwa. Nazajutrz przy stole panie wykręcały się tyłem. Co do panów, Amerykanie spoglądali na nas na ogół życzliwie, a jeden podszedł wręcz i spytał, posiłkując się skorowidzem konwersacji francuskiej:

– Voulez-vous boare avec moa?

– Niestety – odparł pułkownik – za pół godziny wyjeżdżamy.

Wyjechaliśmy. Szosa biegła przez Portici, Torre del Greco, Torre Annunziata. Piękna to droga i krótka. W Annunziata znajduje się przyzwoita restauracja klubowa z wolnym wstępem dla cudzoziemskich turystów. Podpiliśmy w niej sobie niezgorzej, nie wyłączając szofera. Toteż gdy samochód zaczął opisywać nieoczekiwane zygzyki, polecono nam wysiąść i odpocząć.

Wskutek tego nasz wjazd do Castellamare nieco się opóźnił. Zatrzymaliśmy się w hotelu „Stabia”, lecz tylko na dwie doby. Pułkownik wynajął willę z ogrodem. Z jej okien roztaczał się piękny widok na plażę z kąpiącymi się pannami, na Wezuwiusz i całą zatokę. Czasami, przy wyjątkowo jasnym niebie, dawało się dostrzec w oddali Neapol.

Stołowaliśmy się w hotelu „Miramare”.

Kuchnię willi przerobił pułkownik na laboratorium chemiczne. Znalazłszy tam gaz i elektryczność, uszczęśliwiony, ciągle sterczał nad kolbami, krystalizując rozmaite proszki.

Co to jednak znaczy wykształcenie uniwersyteckie! Taki pułkownik przy spotkaniu z lekarzem czy jakim innym uczonym może zawsze pogawędzić na tematy, o których ani ja, ani Kubuś, a tym bardziej Van Campen nie mamy najmniejszego pojęcia. Co prawda Kuba był dość mocny w programach partii socjalistycznych i jako członek honorowy irlandzkiej Partii Pracy mógł imponować każdemu socjaliście.

Poprosiłem pewnego razu pułkownika, aby mi wytłumaczył, czym właściwie jest peyotl i do czego służy. Opowiedział sporo ciekawych rzeczy o tych meksykańskich kaktusach. Indianie odurzają się nimi podczas msteriów religijnych.

– Mam w walizce – dodał – odrobinę panpeyotliny. Ilość wystarczającą do ustalenia, czy ludzie rasy białej reagują równie efektywnie jak czerwonoskórzy mieszkańcy Nayaritu.

Ponieważ nie wiedziałem, gdzie leży Nayarit, pułkownik rozgadał się o Ameryce, dzikusach i ich obyczajach. Znał dobrze temat. Mieszkał wśród szczepów trudniących się zawodowo wyszukiwaniem peyotli.

¹ To niesłychane – *franc.*

Mieszkał z musu, aby ujść przed szpiegami Obregona. Widywał wtedy, jak sam powiada, zdumiewające zjawiska medialne. Indianin, po odurzeniu się peyotlem, słyszy na wielkie odległości, nawet na setki mil. Może leżeć całymi dniami bez jedzenia i picia, staje się sztywny jak deska, niewrażliwy na ból, byle światło nie padało mu wprost w oczy. Czasami zdarzają się i większe cuda, ale o tym pułkownik póki co nie chciał mówić.

Zaciekawiły mnie te szczegóły, zapytałem więc, dlaczego Europejczycy nie robią takich sztuk z peyotlem.

– Lękają się wymiotów – odparł pułkownik. – Pojęcia nie masz, co za torsje wywołuje jeden decygram. Indianie też wymiotują, choć przed zażyciem poszczą przez cały tydzień*.

* Uważam za konieczne dodać tu kilka słów o mało jeszcze znanych alkaloidach peyotlu. Tak zwana panpeyotlina, badana przez prof. Aleksandra Rouhiera, jest **ni mniej, nie więcej tylko** brutalną mieszaniną wywarów chloroformowych z „mescal-buttons”, czyli wysuszonych płatków peyotlu. Panpeyotlina zawiera nieproporcjonalnie wielką domieszkę lofoforyny, niemającej żadnych własności medialnych, a wywołującej gwałtowne torsje. Prace moje w Castellamare zmierzały do zupełnego wydzielenia lofoforyny przy pomocy acetonu i innych rozpuszczalników i otrzymania czystych alkaloidów peyotlu. Każdy, kto zetknął się bliżej z mieszkańcami Nayaritu, zna oddziaływanie peyotlu na organizm. Wywołuje on zjawiska parapsychiczne o skali nieprawdopodobnie szerokiej. Jasnowidzenie, eksterioryzacja astralna i materialna, czyli całkowite przenoszenie się w przestrzeni i czasie, telepatia itd. należą wśród czcicieli świętego kaktusa do przypadków powszednich. Zebrałem w Castellamare tak obfity materiał doświadczalny, że natychmiast po ukończeniu dzieła *Souvenirs de ma campagne mexicaine*, które obecnie piszę, przystąpię do przygotowania rozprawy o peyotlu.

III. DOKĄD UCIEKAĆ?

W opowiadaniach pułkownika o Zatoce Neapolitańskiej było nieco przesady. Przekonałem się o tym po tygodniu łożenia z kąta w kąta po Castellamare. Przede wszystkim panują tam nudy. W sezonie grywa orkiestra marynarki wojennej na placu przed ratuszem, wieczorami dancing, poza tym bije kilka źródeł mineralnych, są łaźienki i morskie kąpiele.

Na plaży woda brudna. Często widuje się tęcze flamy ropy naftowej, przyniesione przez fale z pobliskich warsztatów marynarki. Pewnego razu, gdy pluskałem się w morzu, uderzył mnie w głowę jakiś pulchny przedmiot. Były to dwa szczeniaki o brzuchach potwornie wzdętych, związane postronkami.

Nadszedł sierpień. Pułkownik wciąż pracował w laboratorium, Van Campen biegał na mecze, Kuba i ja spędzaliśmy czas jako tako, nic nie robiąc, o niczym nie myśląc. Czasami ogarniała nas chęć odświeżenia umysłu. Wskakiwaliśmy wówczas do pociągu i jazda do sąsiedniej stacji Gragnano. Mieścina ta, o czym już wspominał pułkownik, słynie z wybornego wina, które jednak nie wytrzymuje transportu i musi być pite na miejscu.

Opowiadał mi pewien właściciel winnic, że dużo jest takich win na świecie. Niektóre lubią podróżować i nawet nabierają przez to aromatu, inne znów buntują się po rozlaniu do butelek albo też zaczynają się pieniść, skoro zbyt długo stoją w beczce. Na przykład wina z Gragnano po przywiezieniu do Castellamare kwaśniej z tęsknoty za ojczyzną. Robi się z nich ocet. Są jeszcze wina, które trzeba trzymać w cysternach wykutych w skale. San Marino ma takie pieczary zamiast piwnic.

Czytelnikom tej książki polecam Gragnano. Po wyjściu z dworca wprost przed siebie, potem pierwsza ulica na lewo i zaraz za bramą fabryki makaronów schodzi się po schodach do sutereny. Gospodarz niechluj, szklanek nie myje. Zamiast wody używa cytryn w plasterkach. Trzeba wyraźnie żądać, to przyniesie wiaderko. Mamrocze przy tym przekleństwa w dialekcie neapolitańskim, obrażać się więc nie ma potrzeby.

Przechodzę teraz do wypadku, który był wstępem do dalszych, naprawdę zadziwiających przygód.

Siedziałem z Kubusiem na werandzie cukierni, gdy raptem wbiegł przerażony Van Campen.

– Nieszczęście – krzyknął – pułkownik zachorował!

Wskoczyliśmy do przejeżdżającej karetki hotelu „Quisisana”. Po pięciu minutach byliśmy w domu.

Pułkownik leżał w swej pracowni na otomanie. Bardzo blady, nie ruszał się zupełnie, oczy miał zamknięte.

– Trzeba przenieść go do sypialni – rzekł Kuba.

Z tymi słowy schylił się nad naszym mistrzem, ujął go pod ramiona i czego najmniej się spodziewałem, wrzasnął przeraźliwie.

– Co ma być? – pytam.

– Spróbuj – odpowiada Kubuś.

– Zwariowałaś?

– Spróbuj sam – powtarza – chciałbym usłyszeć twoje zdanie.

Ostrożnie opasałem mistrza ramionami. Wystarczył maleńki wysiłek i w tej chwili pułkownik pojechał do góry jak na sprężynie. Jednak nie wypuściłem go z rąk. Stałem, trzymając bezwładne ciało w ramionach. Lekki był, tak lekki, że chyba tylko z manekinem wycpanym watą porównać by go można.

Van Campen, który już przed nami zauważył to niezwykle zjawisko, siadł na podłodze pod ścianą, ukrył twarz w dłoniach i piszczał jak mały szczeniak.

– Jeff, biegnij po lekarza! – krzyknąłem.

– Nie pójdę.

– Co to ma znaczyć?

– Pułkownik zabronił.

– Co mówił pułkownik?

– Mówił, żeby przy nim czuwać i żeby na godzinę dwunastą w nocy przygotować mocnej kawy z koniakiem.

– Co więcej?

– Nic. Łykał jakieś kulki, spoglądał na zegarek, badał puls, potem położył się na otomanie i pił dużo wody.

Przenieśliśmy pułkownika do sypialni. Chciałem rozebrać go, ale i tym razem sprzeciwił się Van Campen.

– Nie wolno zdejmować piżamy ani pantofli – oświadczył.

Była godzina pierwsza po południu, gdy Kuba, siedzący u wezgłowia chorego, odezwał się niepewnym głosem:

– Żle jest. Pułkownik znika. Patrz, co z niego zostało.

Istotnie, ciało naszego mentora było niemal przezroczyste. Przez skórę rozróżniałem kości. Głowę miał podobną do trupiej czaszki z czterema złotymi zębami po lewej stronie. Był teraz tak lekki, że mogłem go podnosić jak małą lalczkę.

Van Campen wciąż siedział pod ścianą, sapiąc i postępując z bezgranicznej rozpacz. Twarz zasłonił rękami, na łóżko nie chciał patrzeć.

– Jeff, przypomnij sobie, może jeszcze mówił co pułkownik?

– Żeby zrobić kawy.

– Wiem. A czy przed zażyciem pigułek nie opowiadał ci czego?

– Obcych ludzi nie pozwolił wpuszczać do domu. Aha, kazał pozasłaniać okna przed słońcem.

– Dlaczego więc nie zasłoniłeś?

– Zapomniałem.

Podczas gdy Van Campen i ja byliśmy zajęci oknami, zabrzmiał głos Kubusia:

– Stało się! Już po wszystkim. Pułkownik znikł.

Podbiegłem do łóżka. Kołdra leżała na posłaniu, pod kołdrą nikogo nie było. Przesunąwszy dłoń po prześcieradle, nie odczułem żadnego oporu. Tak, łóżko było puste. Coś mnie ścisnęło za gardło, ścisnęło i nie chciało puścić. Podobno histeryczkom wyskakuje na gardle tak zwany „globus”. Zdawało mi się, że i mnie wyskoczył, bo nagle poczułem, że kołnierzyk staje się coraz ciaśniejszy.

– Jeff, przestań skomleć – rzekł Kuba.

– Chodźcie ze mną – odezwałem się, byle coś powiedzieć.

Wyszliśmy do kuchni. Wsunąłem głowę pod kran. To samo zrobił Jeff i Kubuś. Następnie odkorkowałem butelkę koniaku. Wypiliśmy po parę kieliszków.

– Lepiej wam?

– Lepiej.

Zanalizowawszy ostatnie wypadki, doszedłem do wniosku, że pułkownik niewątpliwie wiedział, co robi. Przemawiając w tym duchu, usiłowałem wpłynąć kojąco na kompanów. Van Campen dał się przekonać bez większych trudności, natomiast Kuba zdradzał krańcowy pesymizm, oparty na rozumowaniu.

– Łatwo jest zniszczyć ciało ludzkie – powtarzał – ale odbudować trudniej.

I radził, abyśmy zmówili modlitwę za umarłych. Zirykowała mnie ta szybkość rezygnacji.

– Komu jak komu – rzekłem – ale tobie wara od modlitwy za dusze zmarłych.

– Czemu to?

– Bo jesteś kalwin, a kalwini tego nie uznają.

Kuba był zaskoczony moimi słowami.

– Czy aby na pewno nie uznają? – spytał.

– Na pewno.

– Skąd wiesz?

– Raczej ty powinieneś wiedzieć.

Podrapał się w głowę, westchnął. Zdawało się, że unika mego wzroku. Najwyraźniej był zawstydzony.

Aby położyć kres rozmyśleniom, zatelefonowałem do hotelu po obiad, nakryłem do stołu, Jeffowi kazałem przynieść wina z piwnicy.

Usługiwał nam kelner, którego rozmyślnie zatrzymałem. Ponieważ jedliśmy w altanie ogrodowej, nikt obcy, stosownie do woli pułkownika, nie wchodził do domu.

A kiedy sprzątnięto ze stołu, Kuba odkaslnął, spojrzął ponuro w przestrzeń i zaklął.

– Co cię trapi? – spytałem.

– Ta wiara kalwińska już mi kością w gardle stanęła.

– Czyżby? Nie zauważyłem dotychczas, aby ci w czymkolwiek przeszkadzała.

– Tak się to mówi, ale od najwcześniejszego dzieciństwa miałem z tego powodu nieprzyjemności. Weź na przykład święta wielkanocne. U nas w Kaliszu, jak w innych miastach Polski, istnieje zwyczaj strzelania z petard podczas rezurekcji. Ilekroć narobiłem sobie „kalafiorków”, ojciec zawsze konfiskował mi cały zapas, a matka mówiła: „Wstydz się, Kubusiu. Petardy mogą sobie rzucać katolicy podczas własnej procesji. Ciebie to nic nie powinno obchodzić”. Stopniowo wyrobiło się we mnie przekonanie, że wiara kalwińska jest niczym w porównaniu z rzymsko-katolicką. Zacząłem

uciekać z lekcji naszego pastora szkolnego, a w zamian chodziłem na wykłady księdza prefekta. Pewnego razu, kiedy spokojnie siedziałem na oślej ławie przysłuchując się katechizmowi, ksiądz prefekt zwrócił na mnie uwagę. „Jak się nazywasz?” – spytał. „Schroetter jestem” – powiedział. „Dlaczego cię nie ma w spisie?” „Bo mnie ochrzczono na kalwina, a chciałbym zostać katolikiem”. Wtedy ksiądz zaczął mi zadawać rozmaite pytania, na które odpowiedziałem mniej więcej w sposób następujący: „Uważam, że katolicka wiara jest lepsza, ponieważ na procesji rzuca się petardy, ponieważ w lany poniedziałek wolno jest oblać pannę wodą i wreszcie ze względu na popielec, kiedy to przyczepia się przechodniom hocki-klocki”. Usłyszawszy takie wyznanie wiary, ksiądz prefekt jęknął, podniósł oczy do nieba, załamał ręce, zaprowadził mnie do sąsiedniej klasy, gdzie odbywała się lekcja księdza pastora i długo coś szeptał mu na ucho. Spoglądali na mnie z boleścią w oczach, aż wreszcie pastor rzekł: „Tak, innej rady nie ma”. I odesłał mnie do domu z listem polecającym. Nie wiem, co było w tym liście. Stwierdzam tylko, że po przeczytaniu mój papa odpiął pasek przytrzymujący mu spodnie, położył mnie na krzeselku i wyspał mi dwadzieścia razy. Od tej chwili zniechęciłem się całkowicie do naszej religii i już więcej nie widziano mnie w kościele. Sam zresztą zauważyłem, że nie mam o niej pojęcia. Zdawało mi się, że wolno się modlić za umarłych, a tymczasem – hola! Dlaczego, pytam? Czy to umarłemu zaszkodzi? No proszę, powiedz.

Pytanie to zaskoczyło mnie nieco, bo nie jestem zbyt mocny w teologii.

– Sądzę – odrzekłem po namyśle – że to zależy, od tego jakiej był wiary nieboszczyk. W każdym razie lepiej nie ryzykować. Kalwińska modlitwa mogłaby katolickiej duszy zaszkodzić. Zresztą, sprawa na razie nie jest aktualna.

Nie chcąc prowadzić rozmowy na ten temat, zajrzałem do pokoju mistrza. Van Campen siedział przy łóżku.

– Nic nowego?

– Nic.

– To nie wychodź z pokoju. Idę na miasto po świeżą kawę.

Udało mi się znaleźć w jednym ze sklepów kolonialnych butelkę koniaku „Extra”. Zapłaciłem koło trzystu lirów. O godzinie jedenastej wieczór przystąpiliśmy do parzenia kawy. Van Campen kręcił, zraszając łzami młynek. Kręcił po desperacku, wtedy nawet, gdy już wszystkie ziarna zamieniły się na mączkę.

– Jeff, to nie katarynka – mruknął Kuba.

O północy, ponieważ nic nie zwiastowało powrotu pułkownika, przelaliśmy kawę do termosów.

– Czy mi się zdaje – rzekłem do Kuby – że lękasz się wchodzić do sypialni?

– Zgadłeś – odparł – lękam się i mówię to otwarcie.

– Przecież pułkownik nie jest duchem.

– Tylko czym?

– To chodźmy wszyscy. Posiedzimy w pokoju pułkownika.

O godzinie drugiej w nocy ogarnęła nas rozpacz. Kuba rzucił pasjansowe karty. Van Campen błąkał się po willi, gasząc i zapalając światło. Na stoliku stały termosy z kawą, czekał też nietknięty koniak.

– Cholera! – wybuchnął nagle Kubuś. – Szkoda faceta!

– Nie klnij. Sam powiadasz, że w domu tym błąka się duch.

– To niech da znać. Niech zapuka...

W przedśionku rozległo się kołatanie. W chwilę potem drzwi zaskrzypiały i dał się słyszeć głos Jeffa:

– Colonel, colonel, mon colonel!¹

– Pułkownik wraca! – wrzasnął Kubuś, zrywając się z krzesła.

W paru susach znaleźliśmy się na parterze. W przedpokoju stał pułkownik, zdrów i cały, ubrany w jasną piżamę. Uśmiechał się do nas jak ojciec.

– Kawa jest? – spytał.

– Jest, jest, pułkowniku kochany.

– Gorąca?

– Jak samo piekło.

– To siadajmy.

Dopiero w jasnym świetle zauważyłem, że mistrz nasz jest niezwykle blady.

– Nie dziwcie się – rzekł – pomimo starannego oczyszczenia alkaloidu, miałem jednak torsje. Doskonały koniak. Kwitesencja najszlachetniejszych olejków. Nalejcie mi jeszcze. Bardzo byliście niespokojni? Drodzy przyjaciele, i ja nie miałem pewności, czy do was wrócę. Nie pytajcie o szczegóły. Na razie nic wam nie powiem. Jestem z wami i to mi wystarcza. Boże, jakże mnie razi ta lampa. Jeff, przynieś no ciemne okulary.

Długo jeszcze gawędziliśmy tej nocy, ciesząc się ze szczęśliwego powrotu pułkownika. Gdzie był, co robił, dlaczego wracał przez ogród, na wszystkie te pytania nie chciał odpowiedzieć.

xxx

Któż by pomyślał, że nasz pobyt w Castellamare skończy się po kilku tygodniach. Już jak pech, to pech. Czasami blahe powody mogą zwichnąć

¹ Pułkownik, pułkownik, mój pułkownik! – *franc.*

najkunsztowniej opracowany projekt. Tak było i z nami.

Z komory celnej w Neapolu nadszedł do pułkownika list wzywający go do natychmiastowego stawiennictwa w tym urzędzie. Pułkownik pojechał. A kiedy wrócił, poznałem po kwaśnej minie, że coś jest niedobrego.

– Obłożono aresztem nasz transport peyotli – rzekł – celnicy zwąchali, że to nie orchidee. Upierałem się solennie przy swoim, groziłem nawet interwencją mojego konsula, wobec czego odesłano próbki do eksperta. Nie pozostaje nam nic, tylko machnąć ręką na cały ten interes i uciekać.

– Ale dokąd? – z rozpaczą w głosie zawołał Kuba. – W Polsce czyha na nas prokurator, we Francji konsulat nie daje nam spokoju, w Grecji omal się nie dostaliśmy pod opiekę żandarmów, we Włoszech co krok to karabinier. Powiedźcie, dokąd uciekać?

Owego wieczoru udaliśmy się na spoczynek z goryczą w sercach. Poczucie niezasłużonej krzywdy w połączeniu z bezsilnością bardziej przygnębia od poczucia winy.

Nazajutrz dowiedziałem się od Jeffa, że pułkownik nie spał do godziny czwartej rano, lecz chodził po sypialni, ćmiąc bez przerwy cygara. Obudził się w południe. Wziął prysznic, zjadł obiad i oznajmił nam, że jedziemy na wycieczkę autem. Zawiózł nas, sam siedząc przy kierownicy, na Monte Coppola, z której szczytu można było objąć wzrokiem Zatokę Neapolitańską. Badając okolicę przez lornetkę, oświadczył:

– Podoba mi się ten kraj. Dołożę wszelkich starań, aby tu pozostać. A jednak musimy ukryć się przed furią celników. Jeżeli eksperci znajdą alkaloidy, to marny nasz los. Musimy ukryć się, i to w taki sposób, by już więcej nie mieć do czynienia z władzami. Przyznam się, że sam widok tych koturnowych karabinierów budzi we mnie niesmak, a ich kapelusze napoleońskie są wprost irytujące.

Pomyślawszy chwilę, spojrział nam w oczy i rzekł:

– Plan mam gotowy. Kto pójdzie ze mną?

Otoczyliśmy ukochanego mistrza, nie szczędząc tkliwych zapewnień o wierności. Nikt z nas nawet nie pytał, dokąd pójdziemy i co będziemy robili. Był však naszym wodzem, opiekunem i mentorem duchowym. Toteż entuzjazm wychowanków nie zaskoczył go wcale.

– Wiedziałem, że tak będzie – szepnął.

Tegoż dnia zaopatrzyliśmy się w plecaki. Pułkownik odwiedził jubilera, kupił osiemset gramów złota w ośmiu sztabkach, następnie siedział dość długo w antykwarni, wybierając jakieś monety srebrne i miedziane. Wieczorem, zaprowadził nas do magazynu z gotowymi ubraniami, gdzie nam dostarczono płócienne bluzy i spodnie, używane przez wieśniaków do pracy na roli. Wszystkie pieniądze, które mieliśmy ulokowane w

miejscowym banku, polecił odesłać do Brukseli, ale nie na bieżący rachunek, lecz jako wkłady.

– Kolacji dziś nie jemy – oznajmił – i żeby mi nikt się nie ważył zaglądać do butelki.

Podczas pakowania rzeczy do plecaków pozwolił każdemu z nas zabrać jedną zmianę bielizny, brzytwę, grzebień, szczotkę, kawałek mydła, lusterko kieszonkowe i nożyczki. Następnie porozdzielał termometry techniczne, alkoholomierze i inne przybory używane przy pędzeniu wódki, i wreszcie zawiesił sobie na piersi dwa słoiki przewiązane tasiemką.

– Co zrobimy z pozostałymi rzeczami? – spytał Kuba, spoglądając na szafę pełną ubrań.

– Nic. Niech sobie leżą – odparł pułkownik.

– A mój zegarek?

– Możesz go dać żebrakowi.

– No, to karabinierzy wsadzą żebraka do więzienia.

– W takim razie wyrzuć przez okno. Mniejsza o takie drobiazgi. Dziś o północy uciekamy z Castellamare. Macie jeszcze godzinę czasu. Możecie iść na pożegnalną przechadzkę. Przypominam: nie pić wina ani żadnych likierów.

IV. WIELKI SKOK

Noc była jasna, choć bezksiężycowa. Jest to jedna z zagadek, nad którą nieraz myślałem: skąd się bierze światło w owe noce, kiedy nawet gwiazdy nie migocą? W szkole (skończyłem progimnazjum) nikt mi o tym nie mówił, a zapytać się kogo, to tylko wzrusza ramionami. Otóż w taką noc wyruszyliśmy w drogę.

– Dokąd idziemy? – spytałem pułkownika.

– Do groty San Biagio – odpowiedział.

– Przecież tam nic nie ma.

– Tym lepiej.

Kuba pociągnął mnie za rękaw i szepnął:

– Byłem na stacji.

– I co?

– Zjadłem w bufecie niewielką porcję ryżu z pomidorami.

– Żal mi cię.

- Myślisz, że co będzie?
- Nie wiem, ale coś być musi, skoro pułkownik zabraniał.
- I ja tak myślę.

Po dość forsownym marszu stanęliśmy przed grołą. Pułkownik jeszcze raz zbadał zawartość plecaków i polecił nam poodrzucać niektóre przedmioty, na przykład latarki elektryczne, nawet bieliznę. Przy sposobności wyszło na jaw, że Kubuś usiłuje przemycić kilka tabliczek czekolady, za co spotkała go bura. Van Campen, o ile mogłem zauważyć, ukrył pod bluzą jakieś papiery.

W pieczarze zapaliliśmy świeczkę. W jej świetle pułkownik rozdzielił złoto i pieniądze. Każdemu dał po dwie sztabki, przy czym polecił umieścić je nie w plecakach, lecz kieszeniach kurtek. Następnie odkorkował jeden ze słoików, które miał zawieszane na piersi, odliczył cztery dawki po sześć pigulek, przełknął swoją porcję dla przykładu i rzekł:

– Wasza kolej. Nie rozgryzajcie, bo gorzkie.

A kiedy wszyscy poszliśmy w jego ślady, oznajmił, że teraz możemy spokojnie rozmawiać, gdyż pierwsze objawy nastąpią nie wcześniej niż za godzinę. Gawęda jednak nie kleiła się jakoś. Bo o czym tu mówić, kiedy nie wiadomo, co się stanie. Na nasze pytania pułkownik dawał wymijające odpowiedzi, uśmiechał się przy tym dziwnie, badał nam puls i migotał świeczką przed oczami.

– O, mój kochany, ty już masz porządnie rozszerzone źrenice – rzekł do Jeffa. – Razi cię światło?

- Razi.
- Zamknij oczy. Widzisz co?
- Nie, nic nie widzę.
- Zaczekaj chwilę. A teraz?

– Teraz... owszem. Niebiesko, bardzo niebiesko. Jak koło wyspy Korfu. Nawet więcej tego niebieskiego. Ze wszystkich stron. Teraz robi się inna barwa. Widzę wodotrysk...

– A ja widzę złoty deszcz – zawołał Kuba – złoty deszcz i różowe chmury! Jakie to ładne. Nawet we śnie czegoś podobnego nie oglądałem.

Pułkownik zdmuchnął świeczkę.

– Zróbmy łańcuch – rzekł, podając mi dłoń – jeżeli kto ma ochotę do spania, to proszę się nie krepować.

Z kolei i mnie opanowały wizje wzrokowe. Zamigotał przed zamkniętymi oczami jakiś dywan perski. Nad dywanem zaroiły się różnobarwne motyle, piękniejsze od tych z atlasów. Potem zaczęły przesuwać się małe pajacyki, każdy odmiennej barwy. Następnie żywe laleczki w jedwabnych sukienkach. Zewsząd tryskało światło najrozmaitszych odcieni. Przemknęły jakieś sarny czy antylopy po seledynowej łące. Ukazał się rycerz w zbroi. Widziałem

kardynała w purpurowym płaszczu, mnichów, kobiety w wysokich czepkach. Zarysowała się wieża gotycka i znikła. Dokoła toczyły się w powietrzu promienne kule, hasały rusałki, to znów wyrósł las pełen fruujących ptaków.

Nagle poczułem, że Kubuś ściska mnie za rękę. Jednocześnie usłyszałem kaszel.

- Co ci to?
- Choruję...
- To ta potrawka z ryżu. Widzisz co?
- Łeb mi pęka od widoków.

Poradziłem mu, żeby starał się zasnąć. Odpowiedział, że taką radę sam sobie dać potrafi. Van Campen już spał. Co do pułkownika, to odrzekł na moje pytanie, że musi czuwać.

– Zasnę ostatni, a obudzę się pierwszy. Albo, jeżeli mi się uda, wcale nie zasnę.

Po chwili dodał:

– Pilnujcie łańcucha. Dobrze by było, gdybyście powsuwali ręce do rękawów, jeden drugiemu, aż po łokcie. Czy Kuba śpi?

- Nie, jeszcze nie zasnąłem.
- Ty miałeś torsje?
- Tak.

Zapanowała cisza. Słysząc było tylko równy, spokojny oddech Van Campena. Gdy zamykałem oczy, natychmiast zjawiały się świetliste obrazy, gdy otwierałem, wszystko znikало. Ręka, którą Kubuś trzymał w rękawie mej bluzy, zwiśla bezwładnie.

– Kuba, śpisz?

Nie odpowiedział. Uszczypnąłem go. Drgnął i coś zabełkotał. Ponieważ męczyły mnie wizje, usiadłem z otwartymi oczami. Siedziałem tak może dziesięć minut, nie dłużej. Głowa zaczęła mi ciążyć. Przyciągnąłem Kubusia do siebie, a sam przytuliłem się do pułkownika. Byliśmy skupieni w niewielką, ale zbitą gromadkę. Mogłem już teraz zamykać oczy bez obawy widziadeł. Pierwsze stadium zatrucia peyotlem minęło. Co będzie dalej? Co zobaczę we śnie? Z tą myślą zasnąłem, ufając w dobre przebudzenie.

xxx

Ocknięcie się ze snu było przykre. Pułkownik siedział na dawnym miejscu, Kuba i Van Campen leżeli bez ruchu. W wejściu do pieczary zauważyłem purpurowe światło. Czyżby świt? W takim razie spaliśmy dłużej niż godzinę.

– Nie, mój przyjacielu – rzekł pułkownik – to zmierzch. Słońce zachodzi.
– A więc przespaliśmy cały dzień?
Skinął głową.
– Czy ich obudzić?
– Nie, niech śpią.
– A pan, panie pułkowniku?
– Ja chwilami zasypiałem. Wbrew woli. Czego szukasz?
– Szukam termosu. Postawiłem pod ścianą, a teraz nie znajduję.
– Nie szukaj. Są tylko plecaki.
– Prędko stąd wyjdziemy?
– Nie wcześniej, nim Kuba i Jeff oprzytomnieją. Przypuszczam, że koło północy, jeżeli nie lękasz się przechadzki w obcym kraju.
– Znam dobrze drogę.
– Zobaczymy...
– Jest nas czterech.
– Za nic nie ręczę, rozumiesz, za nic nie ręczę. Staram się, by było jak najlepiej.
– Nie rozumiem.
– I ja nie rozumiem. Czekajmy. Nie ma innej rady.
Pułkownik najwidoczniej nie miał ochoty do zwierzeń. Czekałem więc cierpliwie, rozmyślając o możliwościach. Jeżeli zabrał termometry i inne przybory, to widocznie założymy gorzelnię. Ale gdzie? Czyżby Castellamare było na pograniczu? Nie, na tyle znam geografę. Tu żadnej granicy nie ma. Jesteśmy w sercu Italii, wszędzie ta sama władza, ci sami karabinierzy we frakach. Po jakie więc lichy braliśmy termometry? Stanowczo coraz mniej rozumiem.

Kuba zakasłał. Podniósł się i z wysiłkiem zaczął pełzać za moimi plecami.
– Nie śpisz?
– Przekłętę mdłości. Co robi pułkownik?
– Siedzi obok mnie.
– Nic nie widzę. Podaj mi rękę. To pan, panie pułkowniku? Och, jakże mi mdło. Kiedy to się skończy?
– Przejdzie, przejdzie. Na świeżym powietrzu poczujesz się lepiej.
– A prędko wyjdziemy?
– Czekamy na Jeffa. Śpi. Nie budźcie go.
Boże, jakże twardy sen miał ten chłopak! Mijały godziny, a my siedzieliśmy w ciemnościach, ziewając z nudów. Ostrożnie doczołgałem się do wyjścia, by odetchnąć swobodniejszą pierśią. Zdziwił mnie księżyc. Podczas gdy wczoraj mieliśmy noc ciemną, dziś była pełnia, jasna srebrzysta pełnia, jakie widuje się w tych stronach. Podzieliłem się tą wiadomością z

pułkownikiem.

– Bardzo mnie to cieszy – odparł.

Nareszcie i Van Campen ocknął się ze snu. Zacząłem nim potrząsać, by szybciej oprzytomniał.

– Wstawaj, Jeff! Idziemy!

– Ça y est – bąknął.

– Jak się czujesz?

– Zwyczajnie.

Z naszego grona jeden tylko Jeff nie skarżył się na jakiegokolwiek dolegliwości. Wstał równie wypoczęty, jak po zwykłej drzemce. Co to jednak znaczy dwadzieścia lat. Będąc w tym wieku, pamiętam, zostałem odwieziony pewnego razu karetką Pogotowia do domu. Wprost z balu stowarzyszenia fryzjerów. Lekarz przepłukał mi żołądek, zanotował w raporcie urzędowym „zatrucie alkoholem” i odjechał. Zabiegi te odbyły się o godzinie drugiej w nocy, a o dziewiątej rano wstałem z łóżka, ubrałem się wytwornie, odwiedziłem golarza i pobiegłem na randkę z panną. Była umówiona przed wejściem do Łazienek. Dreptałem godzinę po alejach, a ona, biedaczka, na próżno oczekiwała przed Łazienką Fajansa na Krakowskim Przedmieściu. W ten sposób wściekł się mój pierwszy flirt balowy. Mniejsza o to.

Wracając do Jeffa, to jego dobry nastrój udzielił się reszcie towarzystwa. Nawet pułkownik, zdradzający dotychczas pewne zdenerwowanie, nabrał werwy i oznajmił, że gotów jest wyjść na świat boży.

– Hura! – zawołał Van Campen, sięgając po plecak.

Opuściliśmy grotę. Noc była tak jasna, że blask księżycy wprost oślepił. Nie wiedziałem wtedy, że źrenice nasze są rozszerzone. Znając dobrze drogę, ruszyłem naprzód, za mną Jeff, potem pułkownik, na końcu Kubuś. Wąska ścieżka zbiegała wprost do placu Largo Umberto, gdzie co wieczór grywa orkiestra marynarki wojskowej.

Powtarzam, drogę znałem. I nagle, proszę sobie wyobrazić, zamiast otwartej przestrzeni z widokiem na zatokę ujrzałem przed sobą jakąś bramę i mur, których nigdy w tym miejscu nie było.

– Pułkowniku, zbłądziliśmy – rzekłem.

– To zawracajmy.

– Chwali się – mruknął Kuba – że zna drogę, a potem ludzi gania po górach.

– Teraz ty prowadź. Łaziłeś ze mną tędy parokrotnie, mogłeś więc zauważyć, jak idziemy.

Zawróciliśmy ku grocie, skąd rozbiegały się ścieżki w trzech kierunkach. Pułkownik wskazał na północ.

- Tędy pójdziemy – rzekł krótko.
- Czy pan zna tę drogę? – spytałem.
- Nie.
- Bo i my nie znamy.

Wybrana przez pułkownika ścieżka była szersza i wygodniejsza od poprzedniej. Łagodny spadek ułatwiał schodzenie. Posuwaliśmy się dość szybko i bez wysiłku. Po godzinnym marszu Kuba oświadczył, że musi odpocząć. Stroma ścieżka dawno już pozostała w tyle. Byliśmy teraz na szerokiej szosie, wykładanej ciosanymi głazami.

- Spocznijmy – rzekł pułkownik.

Zaczynało świtać. Usłyszałem w oddali bek kóz. Po chwili, w тумanie kurzu, przemknęło przed nami stadko. Niektóre kozy miały na szyjach dzwonki. Mała pasterczka, ubrana w kusawą sukienkę ze zgrzebnego płótna, skinęła nam przyjaźnie ręką i powiedziała:

- Have¹!

Pułkownik posłał jej całusa. Następnie zwrócił się do Kuby:

– Mój drogi, oddaj Jeffowi plecak i wstawaj, jeżeli tylko możesz. Szkoda czasu, naprawdę szkoda czasu. Napijesz się wina w pierwszej lepszej karczmie i będziesz zdrow.

Nieco dalej natknęliśmy się na przydrożną figurę kamienną. Przed posążkiem świętej płonęła lampka oliwna. Nie zwróciłbym na to uwagi, bo w wioskach włoskich pełno jest takich figur, lecz pułkownik przystanął i długo oglądał ołtarzyk, odczytując wydrapane na kamieniu napisy. Twarz mu promieniała radością, a ręce z lekka drżały.

– Cieszcie się – rzekł – już żaden celnik, żaden prokurator nie przyczepi się do nas.

Przynaglani przez pułkownika szybko posuwaliśmy się naprzód. Słońce mieliśmy teraz po prawej stronie. Całe szczęście, że nie świeciło wprost w oczy. Minąwszy niewielkie wzgórze, skręciliśmy wraz z szosą na zachód.

– Co to za miasto? – spytał Kubaś, wskazując jakieś osiedle otoczone potężnym murem.

Pułkownik uśmiechnął się tylko.

Droga biegła między południowymi ścianami miasta a morzem. Zaczynał się ruch kołowy. Spotkaliśmy kilka wozów z jarzynami. Chłopi mieli szerokie kapelusze słomkowe, a kobiety przeważnie żółte chusty, zawiązane jak u nas w Kieleckiem.

Kuba ożywił się nagle.

– Patrzcie no – zawołał – co stało się z Wezuwiuszem? Przestał dymić! Istotnie, górę pokrywała przepyszna zieleń. Ani śladu krateru, ani śladu

dymu. Od podstawy do samego niemal szczytu biegły tarasami gaje oliwne i winnice. Gdzieniedzie bielily się domki z czerwonymi dachami.

- Wypaliło się i zgasło – zawyrokował Van Campen.

Doszliśmy wreszcie do jakiejś oberży czy zajazdu. Tak przynajmniej można było wnosić z zawieszonej nad wejściem butelki glinianej. Było to dość obszerne domostwo, pomalowane ochrą na kolor kawy z mlekiem. Na żerdzi, przybitej do ściany, kołysała się kwadratowa deska z godłem przedsiębiorstwa. Rysunek wyobrażał delfina na czubku fali.

- Jeff, idź no się dowiedz, czy mają czerwone wino – rzekł pułkownik.

Z szynku dolatywały wesołe śmiechy, pomieszane z okrzykami gniewu. Zajrzawszy przez wąskie okienko, Van Campen postąpił chwilę pod ścianą nasłuchując, wrócił i zaraportował:

- Wina dużo. Publiczność mizerna. Przeważnie Grecy.

- Grecy? Czy aby się nie mylisz?

– Najwyraźniej słyszałem grecki język. Trochę inny niż w Salonikach, ale grecki. Grają w morę i kłócą się o pieniądze. Są też i chłopci, których gadania nie rozumiem.

- Wejźmy – prosił Kuba – może znajdziemy cytryny.

Łatwo powiedzieć, wejźmy. Jak się okazało, drzwi były zamknięte. Gdy pułkownik zastukał, w karczmie zrobiło się nagle cicho. Ktoś podszedł do drzwi i wyjrzał przez okrągłą szparę. Wreszcie padło pytanie w języku greckim:

- Kto tam?

- Otwórz, czarna małpo! – zawołał Van Campen.

Okrzyk był niewątpliwie zrozumiany, gdyż w otworze dało się słyszeć mamrotanie i znów ten sam głos zapytał:

- Czego chcecie?

- Chcemy odpocząć.

– Nie ma miejsca. Idźcie do Crispusa. Ja barbarzyńców nie wpuszczam, a z mowy twej wnioskuję, że nie jesteś przybyszem godnym zaufania.

Van Campen uniósł się gniewem. Zrzucił z ramion krępujące go plecaki, zaklął i jął walić pięściami we drzwi. Narobił takiego gwałtu, że aż z sąsiedniego domu wyjrzała jakaś starowina, a za nią rosły mężczyzna.

– Obywatelu – zwrócił się doń Van Campen – wytłumacz oberżycyście, że nie jesteśmy zbójami, lecz uczciwymi ludźmi.

- Skąd przybywacie?

- Przyjechaliśmy morzem – skłamał pułkownik.

Wielkolud podszedł, nie bez wahania stanął w pobliżu naszej grupy, przysunął głowę do okienka we drzwiach i nawiązał dialog z właścicielem domostwa. Rozmowa była ożywiona. Niebawem wmieszali się do niej

¹ Witajcie – *lac.*

goście. Ostatecznie zdecydowano się nas wpuścić. Pułkownik wcisnął pośrednikowi w rękę kilka drobnych monet i pierwszy wszedł do szynku. Za nim wkroczył Van Campen, ciągnąc plecaki.

Na progu owionął mnie ciepły, słodkawy zaduch. W gamie zapachów przeważał czosnek, następnie kwaśny posmak fermentacji octowej, odór spoconych ciał, swąd spalonej oliwy i dym z ogniska.

Gospodarz, dość brudny i oberwany, wprowadził nas do mrocznej izby bez sufitu, krytej dachówką. Lokal sprawiał wrażenie stodoły przerobionej na karczmę dla parobków. Kilka stołów drewnianych, pokrytych rżniętymi deseniami, coś w rodzaju niskiego szynkwasu, pełnego dziur mniejszych i większych. Z otworów sterczały wysmukłe naczynia gliniane z pootrącanymi przeważnie szyjkami. W rogu izby czerniła się płyta kamienna, na której płonęło ognisko. Z żelaznego trójnoga zwisał miedziany imbryk, schowany częściowo pod okapem. Do ścian były przybite półki, zastawione statkami kuchennymi. Z belek podtrzymujących dach zwieszały się wieńce cebuli i czosnku. W pobliżu ogniska stała pękata beczka gliniana z fermentującym octem. Przy wejściu, w niszy ściennej, klęczał posążek kamienny. Zamiast podłogi miałem pod nogami nierówne klepisko, zarzucone odpadkami jadła.

Zajęliśmy miejsce przy stole. Gospodarz spoglądał na nas spode łba, to samo robili czterej oberwańcy przybrani w malownicze łachmany.

– A, tośmy ładnie wpadli – mruknął Kuba.

– Nie damy się – odpowiedział pułkownik – od czego jest Van Campen.

Rzeczywiście eks-trener klubu „Chalkidike” bynajmniej nie był zmieszany. Wkrótce nawiązał z oberzystą rozmowę dotyczącą zagadnień kuchennych. Po dłuższym sporze pan domu poszedł naradzić się z małżonką. Wrócił, dźwigając ćwiartkę wędzonej koźliny. Zdjął z haka imbryk, zawiesił na jego miejscu pogięty kociołek miedziany, nalał wody. Zjawiła się po chwili żona szynkarza, niezbyt pociągająca niewiasta. Gderając, nie patrząc nawet w naszą stronę, zabrała się do gotowania zupy. Poszatkowała główkę cebuli i kilka ząbków czosnku, odkroiła kawałek koźliny i wraz z przyprawami wrzuciła do garnka.

Van Campen wszczął nową kłótnię dowodząc, że porcje są za małe. Klął i powoływał się na jakiegoś Andronikusa z Salonik, który dobrze karmi za tanie pieniądze.

– Przestań, Jeff – uspokoił go pułkownik – porcje wcale nie są małe. Zresztą nie wszyscy jesteśmy głodni.

– Ja tam do ust nie wezmę tej papraniny – rzekł Kubaś, wciąż jeszcze nękany wspomnieniami.

– Napij się wina – poradziłem.

Zamówiliśmy wino. Szynkarz postawił przed każdym z nas płaską filiżankę glinianą ze sterczącym ku górze uchem. Podszedł do szynkwasu, wyciągnął z dziury zakończoną ostro butlę, oparł ją o brzeg stołu i z lekka wstrząsnął. Z wąskiej szyjki wylało się nieco płynu na klepisko.

– Co on robi? – spytał Kubaś.

– Usuwa z powierzchni oliwę – pouczył nas pułkownik.

Do kubków pociekło wino rubinowej barwy. Aromatyczne, dość odstałe, smakiem zbliżone do tych, podawanych we włoskich hotelach po dziesięć lirów za butelkę.

Z przyjemnością kiwałem na gospodarza dopominając się o nowe porcje. Tymczasem zupa w kotle zawrzała. Dostaliśmy po łyżce drewnianej oraz wspólny nóż do mięsa i chleba. Widelców nie podano. Również na prośbę o cytrynę żona oberzysty wrzuciła tylko ramionami.

Zupę trzeba było czerpać wprost z garnka. Kubaś ledwo skosztował. Ja, po paru łyżkach, miałem już dość. Jedyne Van Campen zdradzał dobry apetyt. Poprosiłem o chleb. Gospodyni ukrajała plaster razowca, polała oliwą i ujawszy w metalowe szczypczyki, podeszła do ogniska. Chleb, przypieczony na wolnym żarze, zaświergotał, napęczniał, stał się kruchy. Z tej potrawy byliśmy zadowoleni.

Zgromadzone przy sąsiednim stole towarzystwo, oswoiwszy się z naszą obecnością, przystąpiło do przerwanej gry w morę. I znów rozległy się krzyki, wybuchy śmiechu, kłótnie, które słyszeliśmy stojąc pod drzwiami.

Gracze gestykulowali gwałtownie, podnosili do oczu przeciwnika pięści z jednym lub kilkoma wysuniętymi palcami, klęli przy tym jak opętani.

Van Campen, obznajmiony z tą zabawą teoretycznie i praktycznie, poprosił pułkownika o garstkę drobnych monet, przysiadł się do Greków i wziął udział w zawodach. Po przejściowym niepowodzeniu uśmiechnęło mu się szczęście. Wygrał jedenaście miedzianych piątek, a nie chcąc okazać się sknerą, pozwolił partnerowi stawiać na kredyt. Do zapisywania służyła zwykła ławka. Wyniki notowano kawałkiem kredy.

Obeszłoby się bez awantur i Jeff nie podniósłby głosu, gdyby jego przeciwnik nie szachrował. Osobnik ten, pośliniwszy palec, starł kilka kresek.

Oburzony Van Campen wymierzył mu jednocześnie dwa policzki. Dublę ze strony lewej i prawej. Nie poprzestając na tym, Jeff zażądał natychmiastowego uregulowania długu. Należało mu się trzydzieści piątek.

Spoliczkowany gracz długo coś opowiadał, a raczej dał się wniebogłosy, póki gospodarz nie wyrzucił go za drzwi.

Jasne stawianie kwestii sprawiło, że inni gracze poczuli do Van Campena

sympatię. Powiedzieli mu nawet, jakie jest imię oszusta i gdzie go można znaleźć. Był to tragarz portowy bez stałego mieszkania.

– Idę! – zawołał Jeff.

– Dokąd to? – spytał pułkownik.

– Idę bić.

– Daj spokój. Zawieruszysz się, a kto weźmie plecaki?

Ten argument był przekonywający.

– Bon, bon, pour une fois – mruknął trener. Nie zapomniał jednak nas zapewnić, że nie uważa się za pierwszego lepszego, któremu można robić podobne kawały. Weźmie świadków, powali gałgana i tak spierze, aż wióry polecą.

Muszę tu dodać kilka słów. Van Campen nie był łasy na łatwy zarobek, nie cenił pieniędzy. Jeżeli tym razem nie opanował rozdrażnienia, to tylko dlatego, że bardzo się poczuł dotknięty brakiem szlachetności. Wszak sam ofiarował się z kredytem i grał powściągliwie, dając przeciwnikowi możliwość rewanżu.

Orzeźwieni winem, wypoczęci po nocnym marszu, zarzuciliśmy pułkownika pytaniami. Dokąd nas prowadzi? Co to za okolica, że chłopci mówią niezrozumiałym narzeczem, a włóczędzy portowi po grecku? Gdzie zamierza założyć gorzelnię?

– Drodzy moi – odparł – milczałem, gdyż sam nie miałem pewności, czy wyjdę z przygody zwycięsko. Otóż przyjmijcie do wiadomości, że znajdujemy się obecnie w pogańskim Rzymie*.

* O ile sobie przypominam, towarzysze moi przyjęli wiadomość dosyć obojętnie, podczas gdy ja byłem do głębi wstrząśnięty. Dalsza obserwacja upewniła mnie, że na przykład Van Campen absolutnie nie zorientował się w różnicach epok. Kiedyś tylko zaczął narzekać na „ten podły kraj, w którym nie ma kolei żelaznych i gazet”.

V. PIERWSZE KROKI

– Chyba możemy już wyjść z tej spelunki – odezwał się Kuba.

Pułkownik skinął głową.

– Jeff, idź, chłopcze, do gospodarza i zapłać za posiłek.

W chwilę potem usłyszeliśmy w głębi domostwa głośnie rozmowę. Van Campen kłócił się o rachunek. Do sporu wmieszała się żona karczmarza i jeszcze jakaś niewiasta o tubalnym głosie.

– Mogłaby śpiewać w chórze cygańskim – zrobił uwagę Kubuś.

Przed opuszczeniem szynku sądzone nam było zawrzeć pierwszą pożyteczną znajomość. Ktoś zapukał we drzwi i dał się słyszeć głos:

– Czy są jeszcze szlachetni cudzoziemcy?

– To ty, Rubenie? – upewnił się gospodarz.

– A kto ma być? Komu by się chciało wychodzić za bramy miasta o tej porze?

Nieznajomy mówił szybko, nerwowo, z lekkim akcentem wschodnim. Można było wyczuć, że to nie Grek ani Rzymianin.

– Możesz wejść – oznajmił oberżysta, odsuwając drewniany skobel.

Do izby wbiegł dwudziestoletni młodzian w szarym chitonie. Małe, niespokojne, lecz pełne inteligencji oczy zmierzyły mnie od stóp do głów. Dłużej zatrzymał wzrok na mym plecaku, jak gdyby usiłując zbadać zawartość.

– Witajcie – rzekł po grecku – i niech ta ziemia gościnna wam będzie.

– Kim jesteś? – zagadnął go pułkownik.

– Kim jestem? O to nie potrzebujesz się pytać, zacny przybyszu. Mnie w Pompei zna każdy pies, choćby ten, co sypia w tym vestibulum. Ruben jestem, Ruben, syn Szymona. Mogę wam być przewodnikiem, mogę wyszukać mieszkanie, wyrobić miejsce w termach, przedstawię was patrycjuszom miasta i załatwię wszelkie zlecenia handlowe.

– Jesteś więc pośrednikiem?

– Jestem tym, bez którego nie dacie sobie rady.

– Powiedz no, dlaczego nie damy sobie rady? – zainteresował się pułkownik.

– Dlaczego? Bo nikt obcy mieszkania tu nie znajdzie bez mojej pomocy. Od czasu jak ostatni raz zatrzęsa się ziemia, na każde łóżce wypada po dwie i pół osoby. Z czterech zakładów kąpielowych czynne są tylko termy obok świątyni Fortuny-Augusty. Nawet bogowie są skrępowani brakiem miejsca.

Słuchając opowiadania Kubuś ożywił się nieco. Ułożył w myśli zdanie i zagadnął:

– Młodzieńcze, czemu wy wszyscy gadacie po grecku? Azali w mieście tym nie ma Rzymian?

– Co nie ma być? Patrycjusze są Rzymianami, wojskowi też i prawie wszyscy kapłani i kapłanki. Kupcy mówią po grecku i łacinie, ale między sobą wyłącznie po grecku. Ja mówię nawet po aramejsku. W głębi łądu są jeszcze Oskowie. Tych nie można zrozumieć.

– Chodźmy – rzekł pułkownik.

Wyszliśmy z dusznego domostwa.

– Patrz – rzekł Kuba ściskając mi rękę – tam powinno być Castellamare. Hotel „Quisisana” przemienił się w jakąś świątynię. Hej, Ruben, co to za gmach?

– Świątynia Neptuna. U stóp tej góry tryskają dobroczynne wody, w których się kąpał pewien bogaty Sycylijczyk. Było tak źle, że nie mógł wchodzić na schody, bo go duszności łapały. A kiedy wyzdrowiał, z wdzięczności wystawił tę świątynię. Zresztą, oszukał Neptuna. Kolumny nie są marmurowe. Niech przyjdzie jeszcze jedno trzęsienie ziemi, wszystko to runie.

– A tam, na horyzoncie, co to za miasto?

– Surrentum, miasto syren, choć dawno ich nikt nie spotkał.

– Sorrento – powtórzył pułkownik.

– Trochę bliżej, w połowie drogi do Stabii – objaśniał Ruben – bije takie źródło, co bladym dziewicom przywraca rumieńce, a starcom dodaje mocy. Opiekuje się nim kapłan Eskulapa, Grek, bardzo porządny kapłan. A w samej Stabii jest wyborne mleko z Lactariusowej góry. Mogę dostarczać. Sam prokurator Publiusz ode mnie bierze. Mogę was też przedstawić prokuratorowi.

– Nie, nie! – zawołał Kubuś. – Nie potrzeba!

W zatoce panował ruch. Kilka łodzi rybackich wymknęło się na morze, jakiś statek kupiecki z podartymi żaglami przybijał do brzegu. Dolatywały okrzyki majtków i nawoływania starszyny. Gdzieś w dali słychać było miarowe uderzenia młota kowalskiego.

W odległości kilkudziesięciu kroków od zajazdu wznosiły się zaniebane

mury Pompei. Na wielkich, postrzępionych głazach rosła trawa, bujnie pomieszana z chwastami. Gdzieś tam sterczały kaktusy zawieszane na stromej ścianie.

Brama była otwarta, właściwie tylko lewa połowa – dla pieszych. Przepuszczono nas bez trudności. Wigil, stojący na straży, zagadnął o zawartość plecaków i nie czekając na odpowiedź, uprzejmym ruchem zaprosił nas do miasta.

W bramie, po stronie prawej, ujrzelśmy posążek Minerwy ukryty w płytkiej niszy. Przed figurką płonęły dwie lampki oliwne oplecione gałązkami jaśminu. Ulica wiodąca do forum była czysta i dobrze utrzymana. Minęły nas przekupki z kosztami nabiału na głowach. Szybkim krokiem przeszedł jakiś Murzyn z kolczykiem w uchu.

Na forum ruch był nieco większy. Handlarze ustawiali stoły, układając na nich stopy towarów. Plac wyglądał bogato, okazałe, pomimo widocznych śladów trzęsienia ziemi.

– Dokąd nas prowadzisz? – spytał pułkownik.

– Do jadalni „Pod Słoniem” – objaśnił Ruben.

Bardzo ucieszyłem się z tej wiadomości, bo prawdę mówiąc, byłem głodny, Kuba również.

Minęliśmy gmach Eumachii, przed nową łaźnią skręciliśmy w lewo w wąską uliczkę.

– Słuchaj no, gdzie ty masz zamiar nas ugaszcząć? – zaniepokoił się pułkownik. – Czy wiecie, co to za ulica? Znam rozkład Pompei z wycieczek Cooka¹ i wolałbym ominąć te zaułki.

– Ja prowadzę do Sittiusza – rozgniewał się przewodnik – a że naprzeciwko są rozmaite rozrywki, to inna sprawa. Nikogo tam nie zapraszam od czasu, kiedy zmienił się właściciel. Teraz to nawet niebezpieczne, mogą okraść. W przeszłym miesiącu jednemu Syryjczykowi oko wybili.

Mniej więcej vis à vis wesołego lokalu znajdowała się tawerna, coś w rodzaju pokoju do śniadań z gorącymi daniami na każde żądanie. Na drzwiach widniał słoń, pod nim napis: SITTIVS RESTITUIT ELEPHANTVM².

Tam wprowadził nas Ruben. O ile poprzednia gospoda, w której spędziliśmy wczesny ranek, sprawiała wrażenie przygnębiające, o tyle zakład Sittiusza cieszył oczy schludnością i bogatym wyborem potraw.

Trafiliśmy właśnie na pierwszy posiłek. W niewielkim pokoju panował

¹ Thomas Cook (1808–1892), angielski pionier zorganizowanej turystyki, założył w 1841 r. pierwsze w Europie, działające do dziś biuro podróży.

² Sittiusz odnowił Słonia – łac.

tłok, świadczący o dobrych obrotach przedsiębiorstwa. Gospodarz zaprosił nas do triclinium, gdzie również wszystkie ławy były pozajmowane. Wbrew szkolnym czytankom stwierdziłem, że pompejańczycy jedzą i piją na siedząco lub po prostu stojąc obok stołu, a nie w pozycji leżącej, jak mnie o tym uczono. Leniwe wylegiwanie się spotykałem następnie tylko w czasie uroczystych bankietów.

Wreszcie i na nas przyszła kolej. Służąca postawiła na stole dzban gorącego mleka i kosz świeżych bułek. Były smaczne, rumiane, choć mąka niezbyt wysokiego gatunku. Ciasto przypominało barwą i konsystencją chleb dietetyczny ks. Kneippa. Kto nie miał ochoty na mleko, temu podawano gorące wino z wodą, zaprawione miodem i korzeniami. Roznoszono też doskonały napój z soku berbersowego, również gorący, o bardzo przyjemnym smaku kwaskowym. Do pieczywa był miód, sery w kilku odmianach oraz wonna, zarumieniona na ogniu oliwa sycylijska. Na deser figi i rodzynki.

– Można żyć! – oświadczył Kubuś, wychylając czwarty kubek grzanego wina.

W miarę spożywania potraw odzyskiwaliśmy siły, zdrowie i dobry humor. Uprzejma kelnerka kilkakrotnie podchodziła do naszego stołu. Zjadłem nad program jajko à la coq, a Van Campen poprosił o filiżankę kawy, której nie dostał.

– Widzę na waszych twarzach zmęczenie, o szlachetni cudzoziemcy – rzekł gospodarz. – Domyślam się, jak ciężką przebyliście drogę. Pozwólcie, że ofiaruję wam własną sypialnię na przedpołudniowy spoczynek, a tymczasem Ruben-Hebrajczyk wyszuka wam mieszkanie. Nikt równie zręcznie załatwić tego nie potrafi.

Zadowolony z komplementu pośrednik skłonił się i napomknął, że w tych ciężkich czasach dobrze jest mieć niewielką sumkę na wydatki. Pułkownik uznał to za słuszne i wręczył mu kilka srebrnych monet.

Z oferty Sittiusza skorzystaliśmy skwapliwie. Zmęczenie, przytłumione nerwową podniecią, było silniejsze od chęci obejrzenia miasta.

– Aby sen ukołysał wasze strudzone ciała – dodał oberżysta – przed wejściem do sypialni posadzę lutnistkę.

I zaprowadził nas na pierwsze piętro do niewielkiej izby z trzema łóżami. Czwarte wniosła służba. Każdą z ław nakryto materacem i świeżym prześcieradłem. Ponadto dostaliśmy wygodne poduszki, cienkie koce wełniane i obiecaną lutnistkę, która zjawiła się zupełnie w porę.

Właśnie leżeliśmy jak najwygodniej. Kubuś, ubrany jeno w krótkie majteczki, powtarzał: „Można żyć”, gdy za kotarą rozległy się jakieś jęklive dźwięki. Ni to harfa, ni to kiepska mandolina.

– Allez-vous en! – krzyknął Van Campen i powtórzył rozkaz po grecku z dodatkiem przekleństwa.

Ciekawy jak zwykle Kubuś zerwał się z pościeli, skoczył ku drzwiom i odsunął portierę.

Na progu siedziała młoda Greczynka, obejmując oburącz lirę z żółwią skorupą. Zdziwiona spojrzała na mego przyjaciela i nie mogąc pohamować zachwyty, krzyknęła:

– Bogi! Jakież on piękny! – I kornie schyliła głowę.

Kubuś stał w pełni krasy nie wiedząc, gniewać się czy cieszyć.

– Jak się nazywasz? – spytał.

– Helena.

– Czy jesteś niewolnicą?

– Tak, panie.

– Czy pragniesz się wyzwolić?

– Nie, panie. Gdybym chciała, mogłabym to zrobić choćby dzisiaj. Mam dość pieniędzy, by zapłacić za własną wolność*.

Kubuś był zdumiony.

– Dlaczego więc nie zapłaciłaś?

– Lękam się, aby Sittiusz nie nazwał mnie niewdzięcznicą. Zresztą, co mi po tym? Przywiązałam się do tej tawerny, tu nauczono mnie grać na lirze, recytować wiersze z pamięci i bawić gości rozmową. Bywalcy nasi są hojni, zarabiam dużo. Nawet Sittiusz pożycza ode mnie, jeżeli zajdzie potrzeba.

– Diabli wiedzą, co to wszystko znaczy! – zawołał Kubuś, tym razem po polsku, po czym zwrócił się do pułkownika:

– Co z nią robić? Szkoda odpędzać, bo jeszcze się obrazi. To jakieś pocziwe stworzenie.

– Tak, zostawmy ją w spokoju. Niech sobie brzdąka.

Zasunawszy kotarę, Kuba wyciągnął się na łóżku. Helena grała jeszcze kilka minut. Przed opuszczeniem posterunku zajrzała do naszej sypialni, wyjęła z włosew kwiat piwonii i rzuciła na posłanie Kubusia.

Van Campen chrapał. Tego chłopaka nic nie wzruszało. Spał po przejściach ostatnich nocy równie smacznie, jak po meczu Saloniki – Smyrna. Bo właściwie o co się tu troszczyć? Jest pod opieką zacnego ziomka, towarzystwo dobre, głód mu nie dokucza, wino wyborne.

Van Campen spał. Pułkownik oczy miał zamknięte. Być może błędził myślami po epoce, w której znalazł się dziwnym zbiegiem wypadków. A Kuba, przewracając się na materacu, powtarzał:

* Muszę stwierdzić, iż wbrew temu, co czytywałem, niewolnicy pompejańscy posiadali własne oszczędności, na które składały się wypłacane im pensje oraz dorywcze zarobki. Oszczędności te, częstokroć bardzo wysokie, nazywały się „peculum” lub „peculium”.

– Diabli mnie tu przynieśli!

xxx

Przed południem obudziła nas lutnistka.

– Wstawajcie, szlachetni cudzoziemcy – rzekła – albowiem zbliża się czas prandium.

Spojrzawszy miłośnie na Kubusia, dodała:

– Witaj, jasnowłosy młodzieńcze!

– Co za poufalość – obruszył się na to.

Helena przyniosła dwa naczynia, z zimną i z gorącą wodą, salaterkę sproszkowanego pumeksu i fiolkę pachnącej oliwy.

– Czy mam cię umyć, o panie? – zwróciła się do mego przyjaciela.

– Obejdzie się – odparł – sam to potrafię zrobić.

Niewolnica odeszła ze smutnie zwieszoną głową.

Przykre następstwa zatrucia alkaloidami mijały. Odczuwaliśmy jeszcze wrażliwość na światło. Aby raz z tym skończyć, pułkownik wpuścił nam do oczu jakieś krople*.

Podczas gdy Van Campen mydlił sobie brodę, a ja pluskałem się w miednicy, Kubuś, którego przez chwilę nie było, wrócił z rozradowaną miną.

– Wiesz co – zawołał – zupełnie nowoczesne urządzenia, tylko nie pociąga się za łańcuszek, bo do tego jest kran! Brakowało mi drobnych ogłoszeń. Na szczęście ściany są pokryte napisami, które chętnie przyjąłem do wiadomości. Powiadam ci, pęknać można ze śmiechu.

– Cóż cię tak uderzyło?

– Idź i zobacz.

Poszedłem. Napisy i mnie wprawiły w dobry humor. Rzuciła się w oczy starannie wyszkobana sentencja: ROMANUS SEDENDO VINCIT¹. Poza tym pełno było zwierzeń, westchnień, zanotowanych pragnień i niepełnych nadziei. Oczywiście nie wszystkie teksty nadają się do powtarzania, wymienię więc niektóre. Jakiś smutny kochanek żalił się, że Julia drogo go kosztowała. Skreślone ręką zakochanej widniało zdanie: „Ach, kiedyż przyjdzie ten, o którym śnię po nocach”. Uczciwy gracz oburzał się na Greka Eulepidesa oszukującego przy grze w kości. Weronika zarzucała Witeliuszowi daleko posuniętą chciwość, a Fronton wyrażał pogardę dla mieszkańców Nucerii. Znalazłem też kilka uwag o naszej znajomej. „Helena

* Zaordynowałem po prostu pilokarpinę, powszechnie używaną przez okulistów w wypadkach nadmiernego rozszerzenia źrenicy. Przewidując następstwa zatrucia peyotlem, nie zapomniałem zaopatrzyć się w ten dzielny środek leczniczy.

¹ Rzymianin zwycięża siedząc – *lac.*

dobrze gra na lirze” – pisał jakiś meloman. Na to odpowiadał inny: „Lira jest dla niej tym, czym godło dla szynkarza”. Niepochlebnie wyrażał się autor następnej wzmianki: „Helena żąda aureusa, a warta jest X sestercji”. Mniej kapryśny obywatel oznajmiał: „Spędziłem noc z Heleną, jestem zadowolony”. Była też szczerza pochwała firmy: „Sittiusz karmi uczciwie”.

Rozweseleni odkryciem, zeszliśmy na parter. Tawerna zaczynała napełniać się gośćmi. Posadzono nas za stołem, przy którym zjedliśmy pierwsze śniadanie. Tym razem posiłek przeszedł wszelkie oczekiwania. Na pierwsze danie dostaliśmy polentę ze strączkami zielonego groszku, smaczną, gorącą, aromatyczną. Zjawiły się następnie langusty w ostrym sosie, potrawka z kurcząt na oliwie (doskonała), owoce, kilka odmian win, kasztany w miodzie.

Sittiusz podchodził dwukrotnie wypytywać, czy czego nam nie brak. Obiadowi nie mogliśmy nic zarzucić, toteż nie szczędziliśmy pochwał. Po południu wpadł do jadłodajni zdyszany Ruben.

– Jest – zawołał, zwracając się do pułkownika – jest takie mieszkanie, jakiego szukacie. Duża kuchnia z obszernym paleniskiem i miejscem na dodatkowy piecyk.

– Doskonale, spocznij i napij się z nami.

Ruben sięgnął do pasa, odczepił drewnianą czarkę i napełnił winem. Racząc się, opowiadał głośno, w jaki sposób udało mu się wynaleźć odpowiedni lokal.

– To jest poczciwa wdowa – prawil – zna ją całe miasto. Tylko ona boi się lokatorów, bo u niej mieszkał jeden poeta, nygus wielki. On jej nic nie zapłacił i jeszcze wyniósł na forum dwie figurki brązowe, i sprzedał. To ona jest rozzalona. Powiedziałem jej, że jeden z was jest bogatym kupcem, a drugi filozofem.

– I po coś ty to gadał?

– Tak trzeba. Najważniejsze, że macie mieszkanie. Powiedziałem prócz tego, że jej podarujecie posąg barbarzyńskiego bóstwa, które sprzyja samotnym wdowom.

– Skądże ja wezmę posąg?

– O, to mały kłopot. Kupicie jej jaką starą popękaną rzeźbę i niech się modli. W Herkulanum mieszka pewien Fenicjanin, on ma na składzie wszystkich bogów greckich, rzymskich i barbarzyńskich.

– Jakże to może być? – dziwił się pułkownik. – Wszak ty, Rubenie, wierzysz w jedyne Jehowę, a popierasz handel obcymi bogami.

– Ja już na obcych bogach nieźle zarabiałem – odpowiedział pośrednik mieszkaniowy.

Pomyślawszy chwilę, pułkownik zagadnął:

– Powiedz mi, przyjacielu, czy w Pompei znajdują się wyznawcy prześladowanej religii?

– Tu wszystko jest. I takich można znaleźć. Pytasz zapewne o mitraistów?

– Nie, o chrześcijan.

– Tych było trochę za Nerona, ale teraz mało o nich słyhać. Podobno wynieśli się do Neapolis. Tam mieszka ich kapłan, a nawet dwu kapłanów. Teraz chrześcijanom wszystko wolno, byle nie zakłócali spokoju. Nawet jedna krewna Tytusa jeździła do ich kapłana, a on ją błogosławił.

Na twarzy pułkownika odmalowało się zdumienie. O bliższe szczegóły nie wypytywał. Zupełnie zresztą słusznie, bo po co dawać obcym do myślenia.

Opuściliśmy tawernę, żegnani komplementami właściciela i tęsknym spojrzeniem Heleny.

Dom, do którego nas zaprowadził Ruben, znajdował się w śródmieściu, obok ulicy biegnącej od bramy stabiańskiej w kierunku Wezuwiusza. Był to dość obszerny budynek, nieco zaniedbany, ale wygodny.

Powitała nas właścicielka, szlachetnie urodzona Tulia z Apulii. Stanęło na tym, że zajmiemy front z komnatami przylegającymi z obu stron do atrium, z prawem używalności kuchni, gdzie będzie wmurowany nad piecem kociołek „do grzania wina”. Wynajmujemy na pół roku. W razie niewypowiedzenia, umowa przedłuża się automatycznie.

Mieszkanie nasze składało się z sześciu pokoików, czterech na parterze i dwu na pierwszym piętrze. Kanalizacja działała bez zarzutu. W przedsionku była fontanna. Pokoje były ozdobione malowidłami ściennymi, których znaczenie objaśniały napisy w rodzaju: „Śmiało do walki z Panem stanął Eros”. Zasługiwał na uwagę obraz, przedstawiający kozła obok winnej latorośli. Była też taka scena: dwaj rybacy zadają Homerowi zagadkę. U spodu tekst: „Cośmy schwytali, zostało, czegośmy nie złowili, mamy ze sobą”.

– Cóż to znaczy? – zainteresował się pułkownik.

– Ach, zacni panowie – westchnęła wdowa – to ma oznaczać, że rybacy przywieźli ze sobą wszy, z którymi wyjechali. Zawdzięczam ten żart, wyjątkowo niesmaczny, poprzedniemu lokatorowi. Wyobraźcie sobie, że do niedawna miałam tylko pobożne obrazy. Poeta Amfikrates nasprowadzał tu malarzy i innych artystów, którzy ćwiczyli się w sztuce na mych ścianach. O, proszę, spójrzcie. To zawdzięczam niejakiemu Admetusowi.

Malowidło przedstawiało naszą złą wdowę w objęciach muskularnego herosa.

– Rzeczywiście, uważam to za gruby nietakt – rzekł pułkownik.

Przyjrząwszy się napisom, spytał:

– Powiedz mi łaskawie, szlachetna Tulio, dlaczego posługujecie się

chętniej mową helleńską niż własną?

Wdowa spuściła oczy.

– Takie teraz czasy nastały – rzekła. – Za moich młodych lat Rzymianin nie znał obcej mowy. Nawet dumny był z tego. Grecy w Pompei, zawsze byli liczni, nie narzucali się jednak ze swym językiem, jak to się dzieje obecnie. Teraz dzieci Rzymianek deklamują w szkole po grecku, a starsi uważają sobie za zaszczyt, gdy mogą przemówić w obcej gwarze. Zobaczcie nasze teatry. Skoro kto wystawi rodzimy dramat lub komedię, ławy świecą pustkami. A niech tylko przyjedzie jaki sprytny protagonista ateński, o miejsce dobić się trudno. Choćby ten poeta Amfikrates, który mieszkał u mnie, zawsze ma powodzenie! Píše i sam występuje szkalując najszlachetniejsze rody patrycjuszów. Nikt go nie karci z obawy, by samemu nie stać się tematem pośmiewiska. W Mieście, w Rzymie, nie uszłoby na sucho takiemu chlęstkowi.

Biedna wdowa odeszła do kuchni wzdychając pełną piersią.

Atrium naszego domu było zdobne w posągi. Stał zraniony Adonis, Bachus i kilku innych bogów. Na pierwsze piętro wiodły wąskie schodki drewniane.

W pokoikach czuliśmy się dość ciasno. Łoża zajmowały połowę powierzchni. Pościel nie była tak wykwintna jak w domu Sittiusza, ale czysta i dobrze pocerowana.

Za wynalezienie mieszkania Ruben zażądał dwadzieścia procent półrocznej ceny wynajmu. Po krótkim targu opuścił do dziesięciu procent i wyszedł w jak najlepszym humorze. Na pożegnanie oznajmił nam, że nazajutrz dostaniemy się do łaźni.

Stosownie do wskazówek otrzymanych od wdowy odwiedziliśmy naszego sąsiada, bankiera Cecyliusza Fuska. Wtedy to ujrzałem po raz pierwszy dom prawdziwie zamożny, zaopatrzone we wszystko, czego może wymagać człowiek o wyrafinowanym smaku.

– Chętnie wam służę, szlachetni cudzoziemcy – rzekł Cecyliusz. – Co przynosicie? Monety obce, złoto, srebro czy też klejnoty?

Pułkownik podał mu sztabkę złota.

– Z jakiego kraju pochodzi ten kruszec? – dziwił się bankier. – Po raz pierwszy oglądam odlewy tego kształtu. Spójrzcie – dodał wskazując na 14-karatową próbę – ten znak nie jest rzymski ani grecki, ani nie przypomina żadnego ze znanych mi piętn probierczych.

Podszedł do szafki w murze, wyjął szklaną fiolkę, umaczał w płynie piórko i opuścił kroplę na koniec sztabki. Następnie, przeczekawszy chwilę, nakreślił wilgotnym rogiem rysę na tabliczce łupkowej.

– Kruszec wasz – oświadczył – zawiera nieco więcej niż połowę czystego

złota. My, Rzymianie, nie jesteśmy zwolennikami takiej lichoty. Mogę wam zapłacić według kursu, licząc pięćdziesiąt procent wagi netto.

Pułkownik zgodził się, uważając, że dwanaście odsetków zarobku nie jest lichwą. Mieliśmy następnie możliwość stwierdzenia, iż inni bankierzy pompejańscy obliczają zarobki w podobny sposób, przyjmując jednak z niechęcią złoto tak niskiej próby.

Cecyliusz otworzył kasę pancerną. Była to wielka skrzynia dębowa, pokryta płatami brązu, z mnóstwem misternych ozdób. Wyjął z niej ważkę, ciężarki z agatu, drewnianą tabliczkę powleczonej woskiem i rylec. Zważył sztabki, obliczył i podał pułkownikowi rachunek do sprawdzenia.

Stosownie do miejscowego zwyczaju Cecyliusz skinął na niewolników, ci zaś wnieśli do atrium dwie amfory gliniane, srebrny krater, owoce i naczynia do picia.

– Możecie pić śmiało – rzekł z uprzejmym gestem – w domu tym nie podadzą wam złego wina. To, które stoi przed wami, pochodzi z winnic Pausyliponu. Podawano je przed laty na stołach cesarów.

Sięgając coraz częściej do krateru, Cecyliusz rozgadał się na dobre. Dał nam do zrozumienia, iż w najbliższym czasie przekaże wszystkie interesy jedynakowi, a sam przeniesie się na wyspę Aenarię, gdzie już wykańcza budowę wielkiego zakładu kąpielowego. Ma nadzieję, że przedsiębiorstwo da niezłe zyski, gdyż na wyspie tryskają źródła gorące, zbawienne przy paraliżach, podagrze oraz w wypadkach wadliwego zrośnięcia się kości. Stare terminy niewiele są warte, zwłaszcza po ostatnim trzęsieniu ziemi. Do pielęgnowania chorych trzeba będzie sprowadzić jaką znakomitość z Wysp Jońskich. Wszystko, co greckie, nie wyłączając lekarzy, staje się coraz modniejsze.

Zwierzywszy się z planów na przyszłość, bankier przeszedł z kolei do bardziej aktualnych tematów. Narzekał na powolne tempo odbudowy miasta. W Herkulanum dawno już wszystko uporządkowano i z tej racji zjeżdżają tam co roku liczni patrycjusze rzymscy, by spędzać skwarne lato nad brzegiem morza. W Pompei zaś wciąż jeszcze daje się odczuwać brak mieszkań. Takich niedołęgów świat nie widział. Weźmy dla przykładu Marka Lukrecjusza. Człowiek niewątpliwie zdolny, pokazał, co umie, budując most w Lutecji i łańcuch fortyfikacji we wschodniej Galii. Dlaczego jednak przysłano go na starość do naszego miasta? Zniedołężniał, jest już do niczego, jego pomocy kradną. Gdzie indziej dawno by ich unieszkodliwiono. Ale Pompeja to gniazdo emerytów, śpiochów i próżniaków. Byle mieli wino, pieśniarzy i od czasu do czasu wesołe przedstawienia teatralne, a o nic troszczyć się nie będą.

– Istotnie, spodziewałem się znaleźć tu większy porządek – przyznał

pułkownik.

– A wy skąd pochodzicie? Jak się zowie wasz kraj?

– Pochodzę z prowincji zwanej Gallia Belgica – odparł nasz mistrz.

Wskazując na Jeffa dodał, iż ten jest jego rodakiem, choć inną krew ma w żyłach. Co do nas, poprzestał na zaznaczeniu, że pochodzimy z krainy, w której nigdy nie stanęła noga rzymskiego żołnierza.

– Nie wydaje mi się to prawdopodobne – z uśmiechem zauważył Quintus Cecilius Fuscus.

VI. AKLIMATYZUJEMY SIĘ Z WOLNA

Zapomniałem dodać w poprzednim rozdziale, że po wyspaniu się u Sittiusza poszliśmy do pobliskiego sklepu z konfekcją męską i damską, gdzie nas na poczekaniu przebrano za Rzymian. Zupełnie dobrze czułem się w krótkiej tunice wełnianej bez rękawów, przepasanej wąskim paskiem ze skóry.

Gorzej było z obuwiem. Musiałem przywdziać sandały na płaskiej podeszwie, niewygodne z powodu rzemieni między palcami i braku obcasów.

Kolację zjedliśmy też w tawernie „Pod Słoniem”. Helena zjawiła się z lirą, siadła na stołeczku u nóg Kubusia i uderzając plektronem¹ w struny, zaśpiewała tęskną pieśń miłosną:

*Czemu szlocham, ja biedna, bogów błagalnica,
Czemu smutek i bladość powleka me lica?
Wszak już Foebus ognisty ku nocy się skłania,*

¹ Kostką z szylkretu, masy z żółwich pancerzy – gr.

A on, głuchy, nie słyszy mojego wołania...

Śpiewała szczerze. Zauważyłem nawet łzy w jej oczach. Kuba czuł się nieswojo. Wciąż się kręcił na krześle i ponuro spoglądał dokoła.

Helena śpiewała, improwizując żalostną skargę na oziębłego kochanka. O jej nieszczęśliwej miłości wiedzieli już bywalcy tawerny. Kilkanaście par oczu przeszły Kubusia surowym spojrzeniem. Wyczuwało się, że sympatie są po stronie dziewczyny.

Dobrze najedzeni wyszliśmy po kolacji na zwiedzanie miasta. W części północno-wschodniej nie znalazłem nic godniejszego uwagi. Dwie zburzone świątynie, termy w stanie odbudowy, niewielki skwer publiczny z posagami i dosyć ładną fontanną. Ulicę wiodącą do amfiteatru zdobiła potrójna brama kamienna, pokryta płaskorzeźbami. Pułkownik długo medytował oglądając szczegóły.

Na forum spotkaliśmy gęste tłumy. Patrycjusze przechadzali się pod arkadami na równi z plebem. Piękne zalotnice strzelały oczkami do młodzieńców, ci zaś łechtali je po szyjach gałązkami jaśminu, śmiejąc się i nawołując z imienia. Na stopniach uszkodzonej przez trzęsienia ziemi świątyni Jowisza odbywał się flirt według wszelkich zasad galanterii. Zakochani siedzieli tak ciasno, że wiele panien musiało szukać miejsca na kolanach swych kawalerów. Nikogo to nie raziło i nikt nie zwracał uwagi.

Po przeciwnej stronie placu, w lewym rogu, zajął stanowisko młody Grek, poeta i jednocześnie recytator. Słuchano go chętnie. Oddeklamował jakiś ustęp bohaterski, przeczekał chwilę, póki nie minie poważny nastrój i przeszedł do utworów komicznych. Wyśmiewał wady jakiegoś kupca, wyśmiewał samego siebie, wreszcie wygłosił wiersz, skierowany wyraźnie przeciwko naszej wdowie, czcigodnej Tulii z Apulii. Treść obracała się dokoła jej lęku przed swawolą artystów. Nie było to zbyt dowcipne, ale ludziska śmieli się do rozpuku, zresztą bez odrobiny złości. Jestem przekonany, że każdego ze słuchaczy spotkała kiedyś podobna niespodzianka w postaci okolicznościowego wiersza czy też żartu rzuconego ze sceny.

Gdy zmęczony poeta skończył deklamowanie, podszedł doń pułkownik i prosto z mostu zagadnął:

– Mistrzu młody, zechciej mi powiedzieć, azali nie jesteś Amfikratesem, który mieszkał u Tulii?

– Zgadłeś, cudzoziemcze, i mogę cię zapewnić, że czułem się tam dobrze. Jeżeli porzuciłem dom Tulii, to jedynie, po to aby dostać odstępne, które przed godziną wypłacił mi Hebrajczyk Ruben. Domyślam się – prawil dalej poeta – że oto stoją przede mną moi godni następcy, szlachetni przybysze z

dalekich krain północnych.

Umówiwszy się z Amfikratesem co do spotkania na dzień następny w tawernie, pułkownik zawiódł nas nad morze. Woda była chłodna, powietrze orzeźwiająca. W dali, od strony Herkulanum, słychać było śpiewy chóralne. Przed kamiennym ołtarzykiem płonęło ognisko. Wieśniaczka, przybrana w wieniec z bluszczu, dorzucała suchych gałązek.

Trzeba było jednak pośpiesznie wracać, ryknęły bowiem trąby, zapowiadające zamknięcie bram Pompei.

xxx

Nazajutrz o godzinie szóstej rano obudziły nas dzikie wrzaski. Zerwawszy się z łóżek skoczyliśmy do jedyne go okna frontowego.

Na ulicy wrzała walka. Półnaczy mężczyźni tłukli się zapamiętale. Jakaś baba, ściskając w ramionach sztukę sukna, wrzeszczała wniebogłosy.

– Biją się! – zawołał Van Campen.

Nim zdążyłem się połapać, o co chodzi, zarzucił na plecy chiton, wybiegł z domu i skoczył w wir walki.

Niespodziane zjawienie się nowego zapaśnika wzmogło zapal walczących. Van Campen puścił w ruch pięści. Rozdawał ciosy na prawo i lewo, w tył i naprzód. Schylał głowę i nabrawszy rozpędu, bódł wraże brzuchy. Każde takie uderzenie w dołek czyniło przeciwnika niezdolnym do walki. Wprawdzie nasz kompan oberwał parę razy po karku, nic go to jednak nie obeszło.

Ostatecznie awanturnicy zorientowali się, że coś jest nie tak, jak powinno. Przerwali walkę, otoczyli Van Campena i jęli go zarzucać pytaniami: kim jest, skąd się wziął i dlaczego ich pokieroszował.

O ile wiem, logicznej odpowiedzi nie otrzymali, co jednak w niczym nie zaszkodziło narodziom przyjaźni. W najlepszej komitywie ta cała banda udała się do pobliskiego szynku, ciągnąc za sobą Van Campena. Znaleźliśmy go tam po upływie pół godziny nad czarką grzanego wina.

Pił w najlepsze, stojąc przed kamienną ladą. Reszta towarzystwa składała się z foluszników. Niemal wszyscy mieli guzy na głowach lub podbite oczy.

Zajście wynikało na tle obrażonej dumy fachowej. Dwa konkurujące warsztaty folusznicze utrzymują na mieście agentów do werbowania klienteli. Gdy zjawia się jaka wieśniaczka z sukmem do apretury, agenci ciągną ją na wszelkie sposoby, przy czym czeladź rzemieślnicza bierze często udział w tych zabiegach.

Podobny wypadek zdarzył się właśnie przed naszym domem. Z powodu nagłej interwencji Van Campena, klientka przeraziła się i uciekła. A

foluszniczy, nie mając nic lepszego do roboty, poszli pić za zdrowie nowego miłośnika rozrywek fizycznych.

Okazało się, że jedna z foluszni znajduje się vis à vis naszego domu, drzwi w drzwi, wobec czego należy być przygotowanym na częste turnieje.

Jak nas objaśniła Tulia, foluszniczy biją się nie ze złości, lecz dla podtrzymania starej tradycji swego cechu. Poza tym po każdej awanturze mają sposobność nawiązania przyjacielskich stosunków przy dzbanie wina.

Van Campen wrócił do domu, by sobie opatrzyć guzy. Bijatyka dodała mu humoru. Oświadczył, że takich zuchów warto by nauczyć rugby na sposób amerykański albo futbolu, o czym w przyszłości pomyśli. Tymczasem postara się zadzierzgnąć przyjaźń z miejscowymi lekkoatletami, o których słyszał, że się zbierają co rano na dziedzińcu zakładu kąpielowego.

– Właśnie tam dziś idziemy – wtrącił pułkownik.

Przed południem Ruben zaprowadził nas do łaźni, odwiedzanej przez zamożne mieszczaństwo. Termy centralne były w odbudowie, brakowało kredytów na ich wykończenie. Poza tym, w północnej dzielnicy mieściła się jeszcze łaźnia ludowa, w której można było nie tylko wykapać się, pogimnastykować, ale i oberwać po karku.

Zapowiedziany przez Rubena najlepszy fachowiec okazał się istotnie dobrym masażystą. Był to Ormianin Teodor, lojalny obywatel państwa rzymskiego, optymista, traktujący swój zawód zupełnie serio. Wysławiał się kiepską greką, mieszając z nią często słowa łacińskie i wschodnie. Mówiąc o sobie samym używał zawsze liczby mnogiej. Chodził nago z przepaską na biodrach. Miał poza tym skórzaną sakiewkę, w której umieszczał honoraria. Klienci go szanowali, poddając się z całkowitą biernością najdziwniejszym zabiegom.

W termach panował ścisk. Miniaturowe instalacje nie mogły zaspokoić potrzeb dwudziestotysięcznego miasta.

Rozebrawszy się w apodyterium¹, złożyliśmy szaty w szafkach ściennych. Niewolnik zaprowadził nas do płytkiego basenu z letnią wodą, gdzie odbywała się najmniej estetyczna część ceremonii. Ujrzałem kilku obywateli drapiących się po plecach skrobaczkami, czymś w rodzaju niewielkich motyk na kijkach. Pomagali sobie nawzajem, rozmawiając z powagą o sprawach bieżących. Zauważyłem, że nikt się nie śpieszy prócz masażysty, który wyłaził wprost ze skóry.

Po godzinie przyszła i na mnie kolej.

– Moja ty duszo – rzekł Teodor – połóż się brzuchem na tym stole, połóż się i wyciągnij nogi.

Przyniósł drewniane wiaderko z popiołem i bańkę miedzianą z jakimś

płynem. Oblawszy mnie wodą, zaczął wcierać popiół z zadziwiająco szybkością. Nie było to przyjemne. Myślałem, że skóra mi pęknie od szorstkiego proszku. Zmył popiół, wysmarował mnie płynem z miedzianego garnka i oto stałem się śliski jak zmija.

– Co czynisz, Teodorze? – spytałem.

– Ty leż spokojnie. My tobie po ormiańsku.

Z tymi słowy wskoczył mi na plecy.

Jęknąłem. A Teodor złapał mnie oburącz za szyję i wygiął się w pałąk, jadąc palcami nóg po mych plecach, udach, łydkach i piętach.

– Puszczaj, drabie! – krzyknąłem. – Kuba, na pomoc!

Ale Kubuś tylko się śmiał. Teodor skupił swe członki po raz drugi i wykonał jazdę wzdłuż mego ciała.

– Ty nic się nie bój – powtarzał – my tobie krzywdy nie zrobim.

Jak się okazało, był to zabieg stosunkowo łagodny, po chwili bowiem zaczął mnie ugniatać kolanami. Trafiał zawsze w najdelikatniejsze miejsca, wykręcał mi kości na wszystkie sposoby, rozluźniał stawy, wyginał żebra, szarpał mięśnie, jednym słowem turbował, dławił, znęcał się w nieprawdopodobny sposób.

Gdy po kilku minutach zsunąłem się ze stołu, nogi mi dygotały, w głowie huczało. Dowlokłem się do ławy i ległem, złamany zupełnie.

Van Campen zniósł operację spokojnie. Pułkownik również wykazał odwagę. Za to Kuba, który ochoczo śmiał się z cudzych cierpień, narobił tak okropnego wrzasku, iż ze wszystkich sal zbiegli się patrycjusze oraz personel zakładu.

Kuba nie tylko wrzeszczał, ale i fikał nogami, usiłując trafić Teodora w dołek. Dwa razy zrzucił go ze stołu, aż wreszcie kopnął z taką mocą, że biedny masażysta siadł na mokrej podłodze i zaczął stękać, narzekając:

– Duszo ty moja! I za co ty nas odpychasz? Czy my tobie zrobili co złego?

Dla zażegnania burzy, ponieważ zaczęto szemrać w obronie ulubieńca, pułkownik wsunął Ormianinowi srebrny pieniąż do ręki i szepnął:

– Nie gniewaj się. On jest bardzo wrażliwy. Zrób mu zwykły masaż bez skakania na plecy.

Ocierając łzy ukradkiem, masażysta podszedł do Kubusia z miską drewnianą i zagadnął:

– Glinki chcesz?

– Jakiej glinki?

– Ormiańska glinka*, dobra glinka...

¹ Śliski płyn, o którym wspomina autor, był zwykłą wodą cieplicową, obfitującą w krzemiany magnezji – glinka zaś szlamem, zawierającym siarczki alkaliczne, dziś jeszcze używanym do usuwania zbytecznych włosów z ludzkiej skóry. Poza wyżej wymienionymi środkami Rzymianie

¹ Szatni – gr.

Mój przyjaciel nie mógł opanować gniewu.

– Dość tej hecy! – zawołał, zeskakując z marmurowego stolika. – Póki żyję, noga moja tu nie postanie.

– Stój, duszo, stój! – jęczał Teodor.

Zirytowany Kuba wrócił do rozbieralni, przywdział chiton, naurągał mi nie wiadomo za co i wyszedł do kręgielni. Gdy z kolei podążyłem tam z pułkownikiem, na boisku zastałem Van Campena. Czekał w kolejce. W sportowym towarzystwie czuł się zupełnie dobrze. Czynił głośne uwagi, chwalał zręczność niektórych graczy, to znów piętnując nieumiejętne rzuty. Spisał się znakomicie. Wiem, że jego rzut powitano radosną wrzawą.

– Powtórz, powtórz, cudzoziemcze – wołała młodzież.

Uszczęśliwiony trener spełnił życzenie publiczności bijąc własny rekord. Poniesiono go w triumfie ku posagowi Hermesa, gdzie odbyła się uroczystość wieńczenia. Przypadkowemu zwycięzcy włożono na głowę wianuszek, przy czym jakiś poważny jegomość wygłosił dłuższą przemowę w języku łacińskim. Wprawdzie Van Campen nic nie zrozumiał, mimo to szczerze się wzruszył.

xxx

– Przyśpieszmy kroku – mówił pułkownik – w restauracji Sittiusza oczekuje poeta Amfikrates. A ty, Jeff, zdejmij z czoła wianek. Patrz, biegnie za nami sfera wyrostków. Jeżeli ci zależy, włożysz go przy stole.

W jasnych promieniach południowego słońca forum wyglądało prześlicznie. Szpecity plac rusztowania, wzniesione pod ścianami zniszczonych przez trzęsienie ziemi gmachów. Przed wejściem do hal targowych natknęliśmy się na zbiegowisko. Słysząc było śpiew kobiecy i ciche szemranie ludu.

– Co to może być? – zainteresował się Kuba.

I podążył naprzód. Po chwili zawrócił raptownie.

– To ona – rzekł. – Tam śpiewa Helena.

Podeszliśmy ostrożnie. Lutnistka miała rozpuszczone włosy na znak dręczącego ją żalu. Spoglądając w przestrzeń, nuciła rzewną piosenkę. Nuty i słowa dobierała wedle upodobania:

*Nie dziwujcie się, o siostry frygijskie,
Żem blada,
Że już nie pieści mnie słońce gorące,*

podczas zabiegów toaletowych posługiwali się chętnie sproszkowanym pumeksem, oliwą oraz szarym mydłem, warzonym ze szlachetnych tłuszczów roślinnych i popiołu ługowanego wapnem.

Ni luna.

Gdzież jest ten, którego serce moje

Miłuje?

Czyli zguby mej jeno przedwczesnej

Pożąda?

Czemu nie chce przytulić, hołubić

Do łona?

Jako faun welnisty swe nimfy-boginki

Przytula...

Śpiew Heleny wywarł na słuchaczach, a zwłaszcza na słuchaczkach, silne wrażenie. Parę kobiet z cicha załkało. Jakiś legionista podszedł do śpiewaczki i zawołał:

– Powiedz, Heleno, kto śmiał odtrącić twą miłość?

Dla dodania wagi swym słowom, położył dłoń na rękojeści miecza.

Lutnistka uśmiechnęła się smutnie.

– Żołnierzu – rzekła – nie pragnę jego krzywdy. Seutes, kapłan Junony, zapewnił mnie dziś rano, że marzenia moje staną się rzeczywistością. O, gdybym go teraz ujrzała, kochanka mego, te oto szaty rozerwałabym na strzępy. Niechby podziwiał me piersi, niechby napawał wzrok kształtami bez skazy, niechby pieścił oczyma.

Głośny szloch niewiast towarzyszył tym słowom. Helena stała w cieniu kolumny z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Wiatr rozwiewał jej bujne włosy. Słuchacze milczeli, oczekując dalszego ciągu piosenki.

Kubuś miał ochotę drapnąć, lecz w chwili gdy wykręcał się na pięcie, Helena dojrzała go znieczeka i wyciągnąwszy ramiona, krzyknęła:

– Oto on! Mój jasnowłosy, mój wymarzony!

Lud zakotłosał się groźnie. Setki źrenic przeszły mego przyjaciela. Dał się słyszeć szmer nie wróżący nic dobrego. Jakiś poważny jegomość podszedł do Kubusia i kładąc mu dłoń na ramieniu, przemówił:

– Młody jesteś, cudzoziemcze, pełen sił i zdrowia. Jakimże prawem odtrącasz miłość tej pięknej Frygijki?

– Dlaczego odtrącasz? – powtórzył chór niewiast.

– Spróbuj rzec, że Helena niegodna jest ciebie – dodał żołnierz – a wtedy przekonam cię, żeś zblądził.

Pąsowy jak burak Kubuś ulżył sobie po polsku.

– Co za diabły! A któż mi każe zostać kochankiem tej lutnistki! Cóż to za głupie obyczaje!

– Cudzoziemcze – wołały kobiety – nie rozumiemy twej mowy! Powiedz, azali długo jeszcze wzdychać ma Helena? Patrz, jak ona płacze. Czyż ci jej

nie żal?

– O ty, który odrzucasz miłość moją – zaczęła śpiewnie Helena. – O ty, dla którego wdziała dziś najcieńsze szaty attyckie, spójrz na me piękno...

Z tymi słowy odwiązała taśmę biegnącą dokoła bioder i jęła szarpać stołę.

– Helenko! – krzyknął Kubuś. – Helenko, nie rozbieraj się!

Lewą pierś zdążyła już obnażyć, gdy pułkownik powstrzymał ją ruchem ręki.

– Nie rozpaczaj! Idziemy do twojej tawerny!

– Prawdę mówisz?

– Prawdę.

Zręcznym ruchem poprawiwszy włosy, zeskoczyła ze stopni i padła Kubusiowi w ramiona.

Dla ścisłości muszę tu dodać, że mój przyjaciel miał minę dwuznaczną. Nie wiedział, czy wypada zachowywać powagę, czy też odpowiadać na wiwaty rozentuzjasmowanego tłumu.

Odprowadzono nas pod same drzwi tawerny, przed którymi zastaliśmy poetę Amfikratesa. Na pytanie, dlaczego nie wszedł do środka, odparł, iż obawia się wymówek ze strony Sittiusza, miał z nim bowiem niedawno drobny zatarg.

Istotnie, oberżysta spojrział na poetę jak wilk, następnie podeszedł do pułkownika i szeptem zapytał:

– Czy ten nicpoń jest waszym przyjacielem?

– Raczej znajomym, Sittiuszu. Czy masz mu co do zarzucenia?

– Widok jego sprawia mi przykrość. Jeżeli to on zaprosił was do mego domu, miejcie się na baczności. Poeci pompejańscy nie płacą rachunków.

– Bądź spokojny, Sittiuszu. Ja go zaprosiłem, aby nam umiłał biesiadę swawolną gadaniną.

Amfikrates zauważył oziębłość oberżysty. Mało go to jednak obeszło. Nie stracił apetytu ani radosnego poglądu na świat i życie. Poklepawszy poufale kelnerkę po biodrze, jął wypytywać o potrawy, zakąski i napoje. A znał się gałgan na kuchni. Z prawdziwą przyjemnością przełknął tuzin ostrzyg lukryńskich, popił lekkiem winem znad Padu i zabrałem się do pieczonych kwiczołów.

Podczas uczty poeta naopowiadał mnóstwo miejscowych plotek. Dowiedziałem się o edylu, który co wieczór zdaje raport przed swoją żoną, o matronie, która dwa razy uciekała z aktorem zabierając klejnoty i garderobę, o zarobkach przedsiębiorcy teatralnego, o upadku walk gladiatorów, o lekkich obyczajach kapłanek Izdy, o sposobach polowania na dzikie kaczki, o turniejach poetyckich, nagrodach i triumfach naszego współbiednika. Van Campen zdobył cenne dane o mających się odbyć w

roku następnym igrzyskach olimpijskich i o rozkwicie sportu w Zatoce Neapolitańskiej.

Zanosząc się od śmiechu, poeta wspominał swój pobyt w domu Tulii z Apulii. Wynajął mieszkanie niby dla siebie, a sprowadzał co noc wesołych kompanów. Grali w kości, śpiewali, tresowali tancerki i chórzystki, spędzając sen z powiek biednej wdowy. Ostatecznie Tulia zrzekła się komornego, byle prędzej uwolnić się od towarzystwa artystów.

– Co myślisz robić z Heleną? – zagadnąłem Kubusia.

– Nic.

– Zadrasnałeś jej ambicję. Tak nie można. Zmusi cię wola ludu, a wszak sam mówiłeś, że wola ludu jest święta.

– Nie lubię kobiet z długimi włosami.

– To ją ostrzyż na krótko.

Uśmiechnął się. Zauważyłem, że go to wzięło. Po chwili rzekł:

– A wiesz, zabawny pomysł. Starożytna Greczynka w nowoczesnym opracowaniu. Gdyby prócz tego miała jedwabne pończochy, to kto zaręczy... Można by się zadurzyć. Te sandały z rzemieniem psują mi humor.

Uczta miała się ku końcowi, gdy do sali cicho wśliznęła się Helena. Podeszła ku nam, podniosła ramiona, pokazując przepych odświętnego stroju. Była bez spodniej tuniki. Otulała ją żółta stola, przywdziana wprost na ciało prześwitujące przez cienką tkaninę. Gołe ramiona połyskiwały mnóstwem bransolet, w uszach błyszczały kolczyki z turkusami, czerwony pas wstęgowy podbiegał przesadnie wysoko, wypuklając piersi.

I jeszcze jeden szczegół, którego Kuba nie mógł nie zauważyć. Zamiast sandałów miała pantofelki z szarej zamszy doskonale obejmujące stopy. Brakowało tylko obcasów.

Na widok pięknie wystrojonej rodaczki Amfikrates zerwał się, podbiegł i usiłował złapać ją w objęcia. Odepchnęła go z pogardą. Siadła obok Kubusia i kornie złożyła mu głowę na ramieniu.

Świadkowie tej sceny zachowali powagę. Sittiusz też dawał dowody daleko posuniętej dyskrecji. Nikt nie odezwał się niebaczny słowem. Dopiero gdy Kuba, objawszy kibić Heleny, poprowadził ją do pokojów pierwszego piętra, goście otoczyli nas kołem wypytyując o fazy romansu.

Jak żyję, nie widziałem takich plotkarzy. Amfikrates na poczekaniu ułożył okolicznościową piosenkę, którą zaczęto śpiewać z towarzyszeniem bębnienia na kraterach.

– Co też porabia nasz Kubuś? – westchnął pułkownik.

Jak gdyby w odpowiedzi na to pytanie, usłyszeliśmy głośne krzyki.

– Czyj to głos? – zagadnąłem Sittiusza.

– To głos Heleny – odparł – nie rozumiem, co jej się stało.

Goście spojrzeli po sobie ze zdziwieniem. Rozległa się druga, głośniejsza skarga. Na schodach zadudniły kroki. Do atrium wbiegła Helena w potarganej szacie. Włosy miała zwichrzone, w oczach znać było przestrasz.

– Hej, a czego to się złękłaś, Frygijko? – zawołał stary Rzymianin, wybuchając śmiechem.

I w jednej chwili śmiech starca udzielił się otoczeniu. Poeta zaczął pisać, naśladując krzyki przerażonej kobiety. W całym domu zabrzmiał bezlitosny chichot.

Zaskoczona takim powitaniem, Helena stała bez ruchu. A kiedy goście uspokoiли się nieco, rzekła z nieukrywanym gniewem:

– Wasz śmiech jest równie głupi, jak postępowanie barbarzyńcy, któregom ukochała.

– Cóż on ci zrobił?

– Chciał mi obciąć włosy.

Sekunda ciszy i raptem stary Rzymianin dał hasło do nowego wybuchu śmiechu.

– Nie, to doskonale! Chciał jej obciąć włosy! Podobna niedorzeczność mogła się zrodzić tylko w kobiecej głowie. Heleno, może ty piła perski nektar z konopi i teraz ścigają cię wizje? A może miłość szalona przyćmiewa twe zmysły? Widziałaś nożyce w jego dłoni? Chciał obciąć ci włosy? Wyborny pomysł! I dlatego tak przeraźliwie krzyczałaś? Niechże tu przyjdzie twój cudzoziemiec. Chcemy dowiedzieć się prawdy.

Pobiegłem po Kubusia. Przeszukawszy wszystkie zakamarki, stwierdziłem, że uciekł tylnymi drzwiami. Zmartwili się tą wiadomością goście, których ciekawość nie była zaspokojona. Helenie nikt nie wierzył. W wyniku gorących dysput zgodzono się jednak ostatecznie, że coś w tym jest, skoro dziewczyna tak głośno krzyczała. Rechocząc z zadowolenia, plotkarze rozeszli się po mieście.

Nie wiedząc, co o tym wszystkim myśleć, wracaliśmy w milczeniu do domu.

– Zastanawia mnie ta nagła i gwałtowna miłość Heleny do Kubusia – odezwał się pułkownik. – Nie rozmyślałem zbyt nad męską urodą, sam jednak przyznasz, że Kuba jest daleki od ideału.

Zastaliśmy go w sypialni. Powitał mnie huraganem przekleństw, na co byłem z góry przygotowany. Następnie ulżył sobie, traktując Helenę gamą ulicznych wyzwisk.

– Że też taki wyciruch przyczepi się do człowieka i żyć mu nie daje! Słyszane rzeczy! Skandal na całą restaurację! I o co? Że wziąłem do ręki nożyczki. A połamże sobie nogi na schodach, ty klempo frygijska! Boi się o włosy! A niechże ci wyrosną na sto osiemdziesiąt pięć centymetrów jak

Annie Csillag z Budapesztu! Noś je na dywaniku, pokazuj za biletami, kręć, fryzuj, pleć w warkoczce, ogłaszaj w dziennikach!

Pułkownik poszedł sobie, nic nie rozumiejąc z tej polskiej przemowy, a Kuba długo się skarżył, wreszcie, w najwyższym rozgorzyczeniu, zaczął mi robić zupełnie bezsensowne wymówki.

– Bałwanie! I po coś ty się zgodził na wyjazd do Pompei? Po coś mnie tu sprowadzał?

Odpowiedziałem mu zimno:

– Sprowadziłem cię, aby mieć przyjemnego kompana.

– Wiem, wiem – burknął – ty zawsze dbałeś tylko o siebie. Diabli wiedzą, kiedy ja się z tej dziury wydostanę. Przynajmniej, gdybym był pewny, że zrobię majątek, że choć trochę zmadrzeję, a tymczasem odczuwam coraz większy mętlik. Rzeczywistość przeczy logice, którą sobie wyrobiłem dzięki mozolnym studiom. Zaczynam tracić zaufanie do książek, do historii. Starożytność widzę w karykaturze. Patrycjusze gawędzą językiem przekupek, na forum mieszają się z plebem. Niewolnica nie chce wolności. Niewolnica zmusza mnie, człowieka wolnego, do sromotnej ucieczki przez kuchnię. Gdzie jestem? Czyż po to tu przyjeżdżałem, aby opętać się od natrętej baby? Aby się stać bohaterem plotek?

– Bądź pewny – wtrąciłem – że prawdziwe plotki zaczną się dopiero teraz. Spośród gości Sittiusza nikt nie uwierzył w historię z nożyczkami. Nawet sam gospodarz. Jestem przekonany, że gdybyś był zszedł do atrium, zgotowano by ci owację.

– Dziękuję – mruknął – wyczuwam w tym twoją rękę. Ty zawsze dbałeś o moją popularność. Tam, gdzie nie potrzeba.

– Tym razem stało się beze mnie.

– Mała pociecha.

Wstał z łóżka, wysunął głowę za kotarę i krzyknął:

– Madame! Proszę wina.

– Już idę – odpowiedział głos Tulii z parteru.

Przyniosła wino i kubki. Zauważywszy zdenerwowanie mego przyjaciela, rzekła:

– Nie trap się, piękny młodzieńcze. Znajdziesz godniejszą kochankę. Któż kobieta zdoła się oprzeć czarowi twej męskiej postaci? Helena jest jeszcze dzieckiem. Jeżeli uciekła, żałuje tego niewątpliwie.

Przemowę wdowy przyjął Kubuś posepnym milczeniem. A kiedy wyszła, zwrócił się do mnie ze wściekłością:

– I tej już zdążyłeś naopowiadać bredni?

– Nawet mi się nie śniło.

– No to co ona plecie?

– Usłyszała pewnie od sąsiadek.
– Miłe miasto, nie ma co gadać. W ciągu pół godziny plotka gotowa.
Leżąc na boku, zapijał Kubuś robaka. W tej pozycji zastał go pułkownik. Amforę wysączyliśmy do dna. Po chwili sen nas zmorzył. Otworzyłem oczy przed samym zachodem słońca, by udać się z kompanami na zwykłą przechadzkę po forum.

Jak było do przewidzenia, zjawienie się Kubusia zrobiło furorę. Dziewczęta zarzuciły go kwiatami. Ze wszystkich stron padały na nas pęczki bratków, piwonie i róże. Rozlegały się też westchnienia:

– Bogi, jakież on piękny!
– O, czemuś mnie nie wybrał!

Z twarzy i z niepewnych ruchów znać było, że Kubuś bardzo cierpi. Szedł ze zwieszoną głową, deptając po kwiatkach.

xxx

W drodze powrotnej, już po zamknięciu bram miejskich, sądzone nam było ujrzeć oburzającą scenę.

Młoda, silnie zbudowana kobieta biła po głowie sędziwego starca. Walila go tryptykiem woskowanych tabliczek, co sprawiało niezwykle głośny hałas.

Staruszek uciekł ostatecznie do wodotrysku, siadł na kamiennym obramowaniu i żałośnie zapłakał.

– Stój, niewiasto! – krzyknął pułkownik. – Za co bijesz tego obywatela?
– A wam co do tego? – odpowiedziała hardo. – Spytajcie się tej poczwary, kiedy mi sprawi nowy płaszcz attycki. Całe lato obiecywał, teraz zbliża się zima, a on mnie zwodzi i zwodzi.

Na to odezwał się starzec:

– Bodaj przeklęty był dzień, kiedym cię kupił.
– Żałujesz? Mogłeś nie kupować. Inni dawali więcej. Gdyby nie ty, byłabym dziś w Rzymie. Sam pretor przysłał mi w darze kolczyki*.
– Do diabła – zirytował się Kubuś – i po co ją trzymasz, ty stary gamoniu?
– Albo kup jej płaszcz, albo odstęp ją innym! – zawołał pułkownik.

Ochłonawszy z gniewu, piękna niewolnica ujęła swego pana pod ramię i poprowadziła ku domowi.

– To się nazywa być pantoflarzem – zrobił uwagę Van Campen.

* Szczegółem wielce charakterystycznym jest okoliczność, że niewolnicy bardzo interesowali się ceną, jaką za nich osiągnano na rynku. Tanio kupiony niewolnik czuł się osobiście urażony. Często słyszałem dialogi niewolnic, chępiących się głośno swymi cenami sprzedażnymi.

VII. NIC NAS NIE ZRAŻA

Nazajutrz złożyliśmy wizytę Aulusowi Firmusowi, edyłowi Pompei. Nie tyle z kurtuazji, co z musu, przysłał bowiem po nas wigila.

– Chciałbym wiedzieć – rzekł – skąd przybywacie i jakie są wasze zamiary.

– Ojczyzna moja – odpowiedział pułkownik – zowie się Gallia Belgica. Przyjechałem z przyjaciółmi, aby poznać potężną Romę i zwiedzić jej słynne miasta.

– Ach, Belgica? Znam ten kraj z licznych opowiadań o bohaterstwie mieszkańców. Wy, Belgowie, jakkolwiek jesteście barbarzyńcami, posiadacie jednak cnoty nie mniejsze od Rzymian. Ze wszystkich podbitych plemion najuporczywiej broniliście niepodległości. Umiemy cenić odwagę. Juliusz Cezar wyrażał się o was z uznaniem.

Gdy z kolei zaczął opowiadać Kubuś i oznajmił, że pochodzi z Kalisza, twarz edyła zasępiła się:

– Powiadasz, cudzoziemcze, że ojczyzną twą jest miasto Calissia na północ od Vindobony? Smutną sławę ma ta miejscowość.

Podszedł do półki w ścianie, przerzucił kilka zwojów i wyjął walek z okręconym dokoła papirusem.

– Mam tu komunikat naszej placówki handlowej w Panonii – rzekł przebiegając pismo wzrokiem. – Calissia, gród rolników. Miasto warowne, otoczone palisadą. Leży nad niewielką rzeką. Częste wylewy... Dróg nie ma. Lud mieszka w drewnianych chatkach krytych słomą. Księżę z władzą ograniczoną przez concilia starców panuje nad pięcioma tysiącami mieszkańców. Ludność kraju jednolita, składa się z plemion osiadłych na roli. Koczownicy kilkakrotnie napadali miasto. Dostęp bardzo trudny. Stosunki handlowe przerwane z powodu ograbienia karawany kupieckiej, która wyruszyła z Carnuntum. W rabunku przyjmował udział sam książę Semovit. Życie postradali Iceliusz i Otho. Poza tym szesnastu żołnierzy eskorty. Wszelkie stosunki z krajami na północ od gór Sarmackich przerwane z rozkazu wielkorządcy Panonii.

Zwinął komunikat, pomyślał chwilę i zwrócił się do Kubusia w te słowa:

– Zaskoczony jestem, cudzoziemcze, twą prawdomównością. Mogłeś wszak wymienić jakiegokolwiek inne miasto północne. Wobec złych stosunków twego księcia z Rzymem, należało raczej zataić pochodzenie. Świadczy to o prostocie umysłu i niechęci do kłamstwa, za co cię cenię.

Mimo wszystko muszę się zastanowić nad zagadnieniem prawnym, jakie samo przez się wynika z twych zeznań. Zechciej więc odwiedzić mnie dziś przed wieczorem wraz z towarzyszami, a tymczasem śpiesz do Heleny, która cię oczekuje w tawernie Sittiusza.

Można sobie wyobrazić, z jakimi minami opuszczaliśmy kancelarię. Początkowo Kuba nie orientował się, w tym, co zaszło. Do pasji doprowadziło go wtrącanie się edyla w sprawy osobiste. Zaczął nawet zlorzeczyć Helenie, lecz zamilkł usłyszawszy uwagę pułkownika, który powiedział krótko:

– A więc znów jesteśmy pod dozorem policji.

Przed południowym posiłkiem odbyliśmy walną naradę. Stanęło na tym, że nie ma o czym mówić, ponieważ nie wiemy, co nas czeka. Wszystko zależy od stanowiska, jakie zajmie edyl. Jeżeli Kubusiowi groziłoby aresztowanie, przeniesiemy się do innej epoki. Jeżeli nie ma gwałtu, zabierzemy się do pracy.

– Tak czy owak – zawyrokował pułkownik – stanowczo mamy pecha. Czyż można sobie wyobrazić coś bardziej nieprawdopodobnego? Cofamy się o kilkanaście stuleci, zrywamy całkowicie z teraźniejszością i raptem, z powodu jakiegoś księcia, który na czele zgrai barbarzyńców wymordował karawanę rzymską, nas, ludzi dwudziestego wieku, pociągają do odpowiedzialności! Nie, moi drodzy, to nie jest prosty przypadek. To fatum, zrządzenie losu. Gdybym był przesądny, powiedziałbym więcej: kara za grzechy. Teraz, kiedy zawisło nad nami niebezpieczeństwo, ślubujemy, drodzy przyjaciele, iż gorzelnia, którą tu zamierzamy uruchomić, będzie w życiu naszym ostatnią gorzelnią.

Podniósłszy dłoń, pułkownik uroczyście wymówił słowo „przysięgam”. Uczyniliśmy z Kubusiem to samo i zaraz lżej nam się zrobiło. Postanowiliśmy poświęcić pracy zarobkowej najwyżej dwa lata, by stać się następnie zacytowanymi obywatelami stosownie do wymagań nowoczesnej etyki.

– Ja już zacząłem pracować – odezwał się ni w pięć, ni w dziesięć Van Campen.

– Mianowicie? – spytał pułkownik.

– Organizuję dwie drużyny piłkarskie.

– A skąd weźmiesz piłkę?

– Zamówiłem u szewca, ponieważ nigdzie nie ma gotowych. Uszyją mi z cielecej skóry i wypchają rdzeniem sitowia. Piłki tego typu widziałem na palestrze. Doskonale skaczą i niedrogo kosztują.

– A drużyny? Z jakich sfer rekrutujesz graczy?

– Tymczasem wyrazili gotowość pracownicy dwu konkurujących foluszników.

– Obawiam się – wtrącił pułkownik – że zamiast turniejów będą bójkami.

– O, jestem tego pewny – zgodził się trener. – Ale to nic nie szkodzi. Początkujące drużyny często się biorą za łby.

Przekonałem się wkrótce, z jaką energią i poświęceniem umie pracować Van Campen. Zrywał się o świcie, wypijał dwa kubki lekkiego wina i biegł na błonia podmiejskie w pobliżu cmentarza, gdzie przez godzinę trenował swych pupilów. Nad wieczorem, po skończonej pracy, folusznicy zbierali się po raz drugi, by hasać za głupią piłką aż do zmroku. Jak ich to zajmowało, najlepszym dowodem może być szczegół, że nie uznawali żadnych świąt, spędzając wszystkie wolne chwile na bieżaniu po trawie. Ustały nawet tradycyjne potyczki w śródmieściu, co wprawiało w podziw naszą wdowę. Nie mogła też zrozumieć celu kopania piłki.

– Niech pani będzie spokojna – odpowiadał Van Campen – już ja wiem, co robię.

O godzinie czwartej stawiliśmy się w kancelarii edyla. Tym razem przyjęła nas jego żona, Emilia Auli, osoba tęga, energiczna, przemawiająca w sposób bezapelacyjny.

– Nie jest naszym obowiązkiem wyciąganie wniosków – rzekła do Kubusia. – O przyszłości twej, cudzoziemcze, zadecyduje Miasto, dokąd skierujemy raport. Tymczasem, w imieniu prawa, zabraniam ci przekraczać bramy Pompei.

– Czego mam oczekiwać w najgorszym razie? – spytał.

– Będiesz wzięty jako zakładnik na dwór cesarski lub sprzedany jako niewolnik. Możesz odejść.

– Wstrętne babsko – oburzył się pułkownik po wyjściu z kancelarii. – Chciałbym jednak porozmawiać z edylem. Zdaje mi się, iż jest wobec nas usposobiony życzliwiej.

Zaledwie uszliśmy kilkadziesiąt kroków, dopędził nas edyl.

– Nie trapiecie się zbytnio – zawołał – urzędy rzymskie nie są skore do załatwiania spraw tak błahych. Jeden niewolnik więcej, jeden mniej, cóż to dla imperium znaczy. Powtarzam więc, nie rozpaczajcie.

– Zacytowany edylu – przemówił pułkownik – dziękujemy ci za słowa otuchy. Bądź łaskaw, wytłumacz nam, jak długo mogą przeciągać się formalności?

– Raport, o ile uda mi się opóźnić wysłanie, będzie wędrował po urzędach rzymskich co najmniej pół roku. A kiedy nadejdzie odpowiedź, znajdą się sposoby na przedłużenie procedury. Niestety, wola moja jest skrepowana...

Pożegnawszy się z edylem, pułkownik szepnął:

– To jakiś pocziwina. Czuję we wszystkim rękę jego żony.

Najważniejsze, że nic nam na razie nie grozi. Zaczniemy pędzić wódkę. Zrobię, co tylko można, aby edyl stał się naszym klientem, a nawet przyjacielem. Wtedy papierki kancelaryjne znajdą się pod sukniem. Wiercie

mi, jestem pełen najlepszych nadziei na bliższą i dalszą przyszłość.

Ponieważ w Pompei nie znaleźliśmy zakładu blacharskiego, pułkownik postanowił wybrać się do Herkulanum, by zamówić chłodnicę spiralną oraz szczelny kociołek miedziany. Jednocześnie zamierzał odwiedzić adwokata, o którym istne cuda opowiadał nam Ruben.

Kubuś z wiadomych powodów nie mógł wziąć udziału w wycieczce. Van Campen zrzekł się przyjemności, zatrzymywały go bowiem obowiązki.

– Zamówiłem – oświadczył z dumą – komplet spodenek sportowych dla mego klubu. Tymczasem dałem zaliczkę. Resztę zapłacę po pierwszym meczu publicznym.

– Rób, jak chcesz – odparł pułkownik – nie zapominaj tylko, że przyjechalіśmy tu, aby wrócić z pieniędzmi.

– Nie ma obawy, mój pułkowniku. Zgodziłem się z przedsiębiorcą widowiskowym na procent brutto. Publiczność tęskni za turniejami. Od sześciu lat nie było występów gladiatorów. Powiadają, że to pachnie Neronem, i dlatego nie chcą.

– Czym pachnie? Nie dosłyszałem.

– Neronem. To był cesarz. Ponieważ złą pozostawił pamięć, obywatele niechętnie go wspominają.

– Kto ci to powiedział?

– Impresario.

xxx

Kubuś otrzymał kilka listów miłosnych na tabliczkach drewnianych, powleczonych woskiem. Wygląd miały wesoły i zaciekawiający. Jeden z nich wysłała Helena. Pisała, że bynajmniej nie zamierza rezygnować z uczuć i skoro tylko ochłonie po ostatnich przejściach, odwiedzi Kubusia w mieszkaniu.

Wszystkie niemal listy ułożono w języku greckim. Dwa, pisane po łacinie, mniej zawierały poezji, a więcej konkretnych danych. Sprawiały wrażenie ofert.

Jak było do przewidzenia, Kubuś na żaden z listów nie odpowiedział i jeszcze naurażał autorkom. Schował sobie tylko na pamiątkę ozdobny futerał drewniany z wielobarwnymi rysunkami. Zawarte w nim tabliczki wyrzucił.

xxx

Pewnego ranka, przybrany w malowniczą pelerynę, wyruszyłem z

pułkownikiem do Herkulanum. Towarzyszył nam Ruben, który, jak się okazało, był krewniakiem słynnego adwokata.

Tuż za bramą miejską zaczynał się cmentarz niczym nie przypominający nowoczesnych miejsc wiecznego spoczynku. Ciągnął się wzdłuż szosy państwowej, tonąc w zieleni ogrodów. Pojedyncze groby i wielkie mauzolea mieszały się z willami bogatych patrycjuszów. Jakiś radosny spokój owiewał ten park umarłych.

– Czy nie odnosisz wrażenia – zagadnął mnie pułkownik – że taki cmentarz jest dziełem ludzi głęboko wierzących?

– I miłujących pamięć zmarłych – dodałem.

Domy mieszkalne, zupełnie niepodobne do ruder podmiejskich od strony Stabii, ciągnęły się nieprzerwanym łańcuchem. Zamiast bitej jezdni mieliśmy pod nogami wielkie płyty kamienne, miejscami powyżlabiane kołami pojazdów. Dla pieszych biegly z obu stron gościńca wygodne ścieżki, gęsto wysadzone drzewami.

Ruben wymieniał nazwy dworków oraz nazwiska nieboszczyków.

– Tu leży Klaudiusz Verus, słynny budowniczy. Niepotrzebnie wyjeżdżał do Luzytanii¹. Chciał zaopatrzyć w wodę dzikich Iberów, wzniósł dwie arkady pod akwedukt, kiedy go złapali i zatłukli pałkami. Dużo było kłopotu ze sprowadzeniem zwłok, które rząd musiał wykupić. W tym grobie leży jeden wojak. Nie pamiętam imienia. Prowadził wojnę w wilgotnym kraju Brytów i pokreśliło mu kości. Żołnierze odwieźli go do Plumbarium w Galii, gdzie kapał się w gorącej wodzie. Pomogło, ale wojować już nie mógł. Wrócił do Pompei i tu zmarł. Widywałem, jak chodził o kij, ciągnąc za sobą nogę. Podobno był w nią ranny i jeszcze przed chorobą kulał.

– Co to za dom, Rubenie? – spytał pułkownik.

– Dom Knejusza. Dawniej mieszkał w nim Cicero, słynny mówca. Ja go nie słyszałem, bo już dawno nie żyje, ale mi o nim dużo opowiadano. W tym grobie leżą prochy kapłanki Mamii. Wdzięczną pozostawiła pamięć z powodu szlachetnych uczynków. A za nią, w tym malowanym grobowcu, stoją liczne urny rodziny Istacydów. Spójrzcie na ten budynek. Nazywa się willą Diomedesa. Tego roku sprowadzili się tam bogaci Rzymianie.

Słońce zaczęło przypiekać, wobec czego Ruben zaproponował odpoczynek.

– Ja wam coś powiem. My teraz pójdziemy do rytualnej jadłodajni, gdzie jest dobra kuchnia. Oni wam też dadzą jeść, ale po waszym wyjściu potłuką miski. To wy im musicie dać za to kilka asów. Zawsze tak się robi, bo to sam Zakon nakazuje. Tam chodzą na rybne dania nawet prawdziwi Rzymianie i nigdy nie było nieporozumień.

¹ Prowincji rzymskiej, zajmującej teren dzisiejszej Portugalii i fragment zachodniej Hiszpanii.

Restauracja koszerna stała na uboczu. Zamiast szyldu widniały na ścianie trzy hebrajskie litery². Przed wejściem ujrzeliśmy lektykę.

– Ktoś przyjechał – szepnął Ruben zaglądając przez szparę we drzwiach. – Jeżeli rabbi ben Nannos, to nie siadajcie obok niego na ławie, bo to obraza.

– Któż to taki ten rabbi Nannos? – zainteresował się pułkownik.

– Nie wiecie? Rabbiego ben Nannosa przywiózł do Italii Tytus. To jest ortodoksyjny kapłan z Jerozolimy, bardzo uczony. On nie uznaje greckich ksiązek, a wszystko może wytłumaczyć. On zna na pamięć tyle wersetów, że go pytajcie, o co chcecie, i zaraz wam odpowie.

– W jakim języku ten mędrzec przemawia?

– Różnie, po aramejsku, po hebrajsku, a na przykład jutro będzie krzychał po grecku.

– Skąd wiesz, że będzie krzychał?

– Ja wam to opowiem, tylko przedtem zamówię miejsce.

Ruben znikł za drzwiami oberży. Po chwili wrócił i rzekł:

– Wejdźcie i siadajcie tam, gdzie ja pierwszy siądem. Staroego ben Nannosa pozdrówcie dobrym słowem. On wam nie odpowie. Uda, że was nie widzi. On tak zawsze.

W izbie, zapchanej tłumem wspaniałych brodaców, siedział rabbi-wygnaniec. Zajadał rybę gotowaną, starannie wybierając ości. Głowa drgała mu bez przerwy, palce biegały po misce, a bezzębne usta mozolnie żuły potrawę. Miał chyba ze sto lat sądząc z wyglądu. Lecz Ruben zapewniał, że rabbi jest znacznie młodszy i liczy najwyżej lat siedemdziesiąt pięć. Przekwitł zbyt szybko wskutek bezustannego ślęczenia nad księgami.

Nasz uprzejmy ukłon pozostał bez odpowiedzi. Starzec rzucił na nas przelotne spojrzenie i nie wyjmując rąk z miski, zażądał wina. Jeden z członków świty zerwał się z ławy, podbiegł do amfory, napelnił kubek gęstym płynem i z oznakami najgłębszego szacunku podał kapłanowi.

– Rubenie, co rabbi pije? – spytałem.

– On pije wino z góry Karmel.

– Zamów i dla nas.

– Dobrze, ale po jedzeniu. Tego nie można dużo pić, bo jest bardzo mocne. Najdroższe wino, droższe od win z Wysp Jońskich.

Byliśmy świadkami ciekawej sceny. Skoro ben Nannos uporał się z rybą, na miskę rzucili się brodacze. Powstała walka, zaciekała, choć niekrwawa, o resztki niedojedzonej ryby. Wrzeszcząc przeraźliwie, zapaśnicy wydzielali jeden drugiemu ości i kawałki chleba, szarpiąc się za brody. Przez cały ten czas rabbi siedział z obojętną miną.

– Oni myślą – objaśnił Ruben – że na nich spłynie błogosławieństwo.

Południowy posiłek w koszernej jadłodajni składał się z chleba, ryby, owoców i wina. Kosztował tanio. Dołożyliśmy parę drobnych monet na kupno nowych naczyń, za co gospodarz uprzejmie podziękował.

– Miałeś nam powiedzieć, Rubenie, dlaczego ben Nannos będzie jutro krzychał – rzekł pułkownik, kosztując lepkie wino palestyńskie.

– Aha, on będzie krzychał, bo on jedzie do rabina Jochai z gminy herkulańskiej, żeby się z nim posprzeczać. Oni zwykle tak się spotykają w drugi dzień po sabacie. Jochai jest aleksandryjskim rabinem, studiuje autorów greckich i łacińskich. W Jerozolimie nigdy nie był i dlatego wszystko inaczej tłumaczy niż ben Nannos. To oni spotykają się co siedem dni na placu przed domem modlitwy i prowadzą spory. Kto chce, może posłuchać. To nic nie kosztuje. Rabbi Jochai jest zimny, przemawia z godnością, jak patrycjusz. A ben Nannos łatwo się zapala i zaczyna krzychać. Czasami w rozmowie biorą udział słuchacze, to wtedy bywa krzyk jeszcze większy. Raz nawet wigile tłum rozpraszała, a tamtejszy edyl zabronił ben Nannosowi przyjeżdżać przez miesiąc do Herkulanum. Ben Nannos źle mówi po grecku, jąka się przy tym i dlatego przychodzą czasami Grecy, żeby się pośmiać.

– Rubenie, czy nikt z was nie zna hebrajszczyzny? Jak to się to stało, że zapomnieliście języka praocjów?

– Co znaczy, nie zna? Modlimy się po hebrajsku, bo to jest święty język, język Jehowy. Ale aleksandryjscy rabini piszą po grecku, choć za to im urąga rabinat jerozolimski. Teraz tu jest dużo Żydów z Jerozolimy. Tytus przywiózł ich na okrętach. Byli uważani za niewolników, ale obecnie są już wolni. Oni nas nazywają epikurejczykami. Za co? Może za to, że okazujemy więcej szacunku dla naszych sióstr i matek niż oni? Może za to, że nie spluwamy na widok poganina? Że młodzież goli brody, nie nosi pejsów i kąpie się dla przyjemności? Że niektórzy z nas gimnastykują się na palestrze? Ja się pytam, gdzie jest powiedziane, że tego nie wolno?

– Jeżeli nie żyjecie w zgodzie z ben Nannosem – wtrącił pułkownik – to dlaczego dopuszczacie do publicznych wystąpień?

– My dopuszczamy? To starzy go sprowadzają. U nas też jest rozłam. Rabbi Jochai niechętnie wita ben Nannosa, ale nie może pokazać, że go się boi. Zresztą, chcecie zobaczyć, jak to wygląda, to zaprowadzę was jutro do getta. Ja tam będę, bo lubię rozmowy mędrców. Czas ruszać w drogę. Chodźmy.

Na godzinę przed zachodem słońca stanęliśmy u wrót wielkiego domu noclegowego. Był to gmach dwupiętrowy, wybudowany kosztem administracji gościńców państwowych. Przyjemnie było spojrzeć na ład, czystość i wzorową sprawność nielicznej służby. Zaprowadzono pułkownika

² כ ו ש ך (Kof, Szin i Resz). Czytane od prawej do lewej, tworzyły właśnie słowo „Koszer”.

i mnie do wanny z bieżącą wodą, podczas gdy niewolnik zajął się odkurzaniem naszych ubrań. Po orzeźwiającej kąpieli i namaszczeniu oliwą zasiedliśmy do stołu. Ruben gdzieś znikł. Zauważyłem, że niechętnie korzysta z kuchni w domach, jak powiadał, pogańskich. Jeżeli pił wino, to własnym kubkiem drewnianym, który stale nosił przy pasku.

Spałem twardo. Pułkownik też dobrze wypoczął. Podano nam na śniadanie gorący odwar z berbersy słodzony miodem. Stwierdzam, iż jest to napój przyjemny o smaku ściągającym. Od biedy może zastąpić herbatę. Dodajmy do tego rogalik, dwie odmiany sera i mięso wędzone, a każdy przyzna, że posiłek był pożywny. Ruben oczekiwał nas przed zajazdem. Naglił do pośpiechu, gdyż dzień zapowiadał się upalny, a o marszu w południowej porze nie mogło być mowy.

Szliśmy teraz niemal nad brzegiem morza. Okolice była gęsto zaludniona. Wzdłuż traktu bieleły się budynki, ze studzien tryskała woda, z sadów dolatywał zapach dojrzewających owoców. Ruch panował ożywiony. Przejeżdżały wozy ciężarowe na dwu kołach i wózki chłopskie zaprzężone w muły, karawany kupieckich bud krytych płótnem, dźwigano też liczne lektyki. Nie widziałem nikogo wierzchem na rumaku. Pułkownik słusznie zauważył, że siodła nie są jeszcze znane, jako też nie ma zwyczaju podkuwania koni.

Po spędzeniu godzin południowych w przydrożnej gospodzie, ruszyliśmy spadzistą drogą ku miastu, wspaniale rozłożonemu na niskim wybrzeżu morskim. Herkulanum sprawiało lepsze wrażenie od Pompei. Lepiej było zabudowane, miało więcej placów i zieleni, a biel marmurów raziła wprost oczy. Pompejańczycy lubowali się w brązowej ochrze, dlatego też domy ich miały wygląd dość monotony.

– Nareszcie trafimy do środowiska łacińskiego – nie bez zadowolenia w głosie odezwał się pułkownik.

Im bliżej podchodziliśmy ku bramom Herkulesowego grodu, tym głośniej dźwięczała łacina, piękna, czysta, niezachwaszczona greczyzną.

Za naszymi plecami rozległ się głos trąb. Wozy i wózki zaczęły zjeżdżać na bok. W tumanie kurzu błysnęły hełmy metalowe, tarcze i włócznie. Wyłonił się oddział piechoty w szyku marszowym.

Na przedzie szedł chorąży z orłem na drzewcu. W odległości kilku kroków trębacze, za nimi centurion. Taboru nie było. Żołnierze mieli krótkie miecze przytroczone po stronie prawej.

Centurion, wyglądający na trzydziestoletniego mężczyznę, miał twarz zmęczoną, włosy przyprószone siwizną. Mijając przydrożną studnię, skomenderował: „Spocznij”. Szeregowcy porzucali ciężkie tarcze i otoczyli wodotrysk. Zauważyłem, iż niektórzy rozmawiają w językach obcych,

zupełnie dla mnie niezrozumiałych. Zaspokoiwszy pragnienie pokładli się pokotem obok drogi. Leżeli bez ruchu z rozkrzyżowanymi ramionami, wciągając powietrze pełną piersią.

– Doskonała szkoła – zauważył pułkownik – nie znam lepszej pozycji odpoczynkowej.

Centurion powstał pierwszy. Podeszedł do wodotrysku, zdjął sandały, opłukał stopy, umył twarz i ręce, po czym krzyknął:

– Wulf!

– Ik ben! – odpowiedział jeden z żołnierzy, zrywając się z murawy.

Setnik posadził go na krawędzi studni i, przeglądając się w łusce jego pancerza jak w lustrze, palcami poprawiał sobie włosy.

– Nie, nie wytrzymam – zawołał pułkownik – ten centurion zbyt mnie zaciekawia. Gotów jestem poświęcić zwierciadełko, byle z nim zawrzeć znajomość.

Z tymi słowy sięgnął w zanadrze, wyjął lusterko reklamowe w celuloidowej oprawie z napisem „Grand Bazar de la rue Neuve”, podeszedł do komendanta i przemówił:

– Bądź pozdrowiony, rycerzu, i pozwól, w dowód uznania dla twojej szlachetnej postawy, ofiarować ci ten skromny upominek.

Z tymi słowy podał mu lusterko.

Zdziwiony centurion przyjął drobiazg, obejrzał i z niedowierzaniem zerknął na pułkownika.

– Co mam z tym zrobić?

– Schowaj dla siebie lub daj ukochanej. Jest to zwierciadło. Czy nie widzisz swej podobizny w odbiciu?

Centurion obracał lusterko na wszystkie strony. Nagle krzyknął ze zdumienia. W okrągłym szkiełku dojrzał własną twarz odbitą tak wyraźnie, jak jeszcze nigdy w życiu nie oglądał. Zbiegli się żołnierze. Lusterko przechodziło z rąk do rąk, budząc zachwyt i podziw.

– Dzięki ci, cudzoziemcze – zawołał setnik. – Sam cesarz nie ma lepszego zwierciadła. Lecz skądże pochodzi ten cenny dar? Z jakiej krainy?

Znajomość była zawiązana. Pułkownik wszczął z centurionem żywą rozmowę. Dowiedzieliśmy się, że oddział szedł na zimowe leże do Kapui. Z wiosną miał wyruszyć ponownie do letniego obozowiska pod Paestum, gdzie na rok przyszyły były zapowiedziane manewry. Ponieważ trakt prowadzi przez Pompeję, należało się spodziewać, że centurion będzie naszym gościem.

Na tym stanęło. Pułkownik miał nadzieję, iż uda mu się zdobyć zaproszenie na owe manewry, a wtedy zbada taktykę rzymską i, być może, napisze arcyciekawą książkę. Nie wątpi, że geniusz wojenny Rzymian

opracował wiele szczegółów, których europejskie akademie wojskowe mogłyby pozazdrościć. Oczywiście, refleksjami tymi nie dzielił się z centurionem, który i tak by ich nie zrozumiał.

Nasz uprzejmy rozmówca zwał się Trebeliusz. Pochodził z kresowego miasta Akwilei, które za wierność dla Imperium uzyskało przydomek Roma Secunda. Wielokrotnie było napastowane przez barbarzyńców z Noryki. Obecnie tubylcy siedzą cicho, nawet garną się do cywilizacji, czego najlepszym dowodem jest stale wzrastający zaciąg ochotnika.

– Na przykład moja centuria – mówił Trebeliusz – składa się niemal wyłącznie z barbarzyńców, którzy z własnej woli stanęli pod sztandarami.

– A ten Wulf, którego wołałeś?

– Znalazł się w spisie rekrutów jako Lupus. Wdzięczny mi jest za to, że nazywam go Wulfem. Niejednokrotnie złożył dowody przywiązania. Z nimi można dać sobie radę, lecz trzeba postępować jak z dziećmi. Cenią sprawiedliwość, miłują wszelkie odznaki. Spójrz, cudzoziemcze, na ich tarcze. Zauważysz niemal na każdej godło rodowe. Wulf ma wyryty wizerunek wilka, Haring wyrzeźbił sobie rybę, a Thusco znak księżęcy. Podobno miał przodków wielce potężnych. Hej, Thusco, jak się zwał twój ojciec?

Żołnierz wyprężył się i odparł:

– Kuning Thormuld.

– Dobrze, możesz odejść.

Zwracając się do pułkownika, centurion rzekł z uśmiechem:

– Jak wam się podoba? Królewicz porzuca rodzinę, wędruje przez Alpy, naraża się na znoje obozowego życia, byle ujrzeć Rzym, byle móc opowiadać po powrocie do domu, że służył cesarowi.

– Wielka jest siła przyciągająca waszej kultury – przyznał pułkownik.

Na skinienie dowódcy centuria stanęła w ordynku. Pomaszerowali do Herkulanum. Trebeliusz, pożegnawszy nas serdecznie, przyrzekł, że w roku przyszłym odwiedzi Pompeję i zatrzyma się tam, choć na krótko.

VIII. DIALOGI MĘDRCÓW

Zmierzch już zapadał, gdy przekraczaliśmy wrota Herkulanum. Na razie udało nam się stwierdzić istnienie wielkiej magistrali przecinającej miasto z południa na północ. Boczne uliczki były równie ciasne i niepozorne jak w Pompei, ale forum olśniewało mnogością rzeźb i wspaniałych gmachów. Nie zauważyłem śladów trzęsienia ziemi, co świadczyło o sprężystości władz miejskich.

– Zaprowadzę was na najlepszy nocleg – rzekł Ruben – tylko przedtem wstąpimy do obrońcy sądowego Izhoka, który tu niedaleko mieszka i jest moim kuzynem.

Wkroczyliśmy do getta. Dzielnica miała wygląd nad wyraz nędzny, podobno wskutek napływu wygnańców jerozolimskich, stojących na niższym szczeblu kultury od miejscowych Żydów. Ponad uliczkami powiewała bielizna na sznurach. Strawę warzono pod gołym niebem w kotłach ustawionych na podmurówkach z kamieni. Słychać było bek kóz puszczonej luzem. Błąkały się między przechodniami, na próżno szukając trawy. Panował zgiełk. Ludność wyległa z domów. Mężczyźni we wschodnich szatach, a właściwie w lachmanach, stali grupami, gorąco nad czymś dyskutując.

– O co im chodzi? – zagadnął pułkownik.

– Domyślam się, że o ben Nannosa, który tu jutro wystąpi – odparł Ruben.

– A dlaczego Żydzi ci wybrali Herkulanum? W Pompei nie widać ich wcale.

– No, bo w Pompei za dużo jest Greków. Tutaj też im ciężko. Nasi nie chcą z nimi utrzymywać bliskich stosunków.

– Nie lubicie się?

– Jak można lubić takiego, co ledwo przyjechał i już chce być mądrzejszy.

Stanąwszy przed domem adwokata Ruben zapukał trzykrotnie. Uchyliły się drzwi, wyjrzała jakaś staruszka.

– Witaj, Estero, czy Izhok wrócił z forum?

– Wrócił – odpowiedziała kobieta – ale jest zajęty. Wejdźcie, zaczekacie.

Wprowadziła nas do małego atrium, które niczym nie przypominało wesołych wnętrz pompejańskich. Nie zauważyłem ani jednej rzeźby, ścian nie zdobiło żadne malowidło, w impluvium brakowało wody.

– Czy twój Izhok jest zamożny? – spytałem Rubena.

– On ma dużo pieniędzy, nikt nie wie, ile.
– Dlaczego nie ozdobi sobie mieszkania?
– Co jemu po tym, on musi liczyć się z klientką, która wzięłaby mu to za złe. Ten dom był pełen pogańskich bogów. Należał do Rzymianina, który wszystko stracił na wyścigach. To Izhok kupił dom na licytacji i zaraz posprzedawał wszystkie bałwany, a malowidła na ścianach kazał zdrapać i otynkować.
W głębi, domostwa dał się słyszeć gniewny głos Izhoka:
– Co, czternaście denarów? Zwariowałaś chyba! On mi daje czternaście denarów!
– Pomyśl tylko – perswadował interesant – ja tobie dam czternaście denarów, jakby za nic. Ty tylko pójdziesz do sądu i wytłumaczysz sędziemu, że mój brat jest całkiem porządnym człowiekiem.
– On jest porządnym człowiekiem? Ten oszust, ten złodziej! Słyszane rzeczy, on ma być porządnym człowiekiem. Idź sam i powiedz sędziemu, a ja będę zaśmiewał się na widok, jak ciebie wyrzucają za drzwi.
– Właśnie ja po to daję czternaście denarów, żeby nie mnie wyrzucano, ale ciebie.
– Mnie mają wyrzucić? Mnie, Izhoka? To ja ciebie wyrzucę z tego domu, ty psie z uszami!
– Po co się zaraz gniewać – przemówił gość tonem pojednawczym – dostaniesz piętnaście denarów i niech już będzie moja krzywda.
– Bodaj twój brat zdechł w więzieniu, a mniej niż dwadzieścia nie wezmę. Kto będzie opłacał świadków? Kto? Może ty? A widzisz, ty o tym słyszeć nie chcesz. Wszystkie koszty spadną na moją głowę. A jak świadek dostanie się do więzienia, to kto go będzie karmił? Może ty?
Kłótnia trwała dość długo. Ostatecznie interesant postąpił, adwokat opuścił i zapanowała najlepsza zgoda. Stało na osiemnastu denarach. Odprowadzając klienta, Izhok miał minę uśmiechniętą.
– A nie zapomnij pokłonić się bratu – mówił. – Ja bardzo się cieszę, że taki ogólnie szanowany człowiek potrzebował mojej pomocy.
Powitanie z Rubenem było serdeczne.
– Nareszcie przyszedłeś! – zawołał adwokat. – Dawno już ciebie namawiałem, żebyś się wziął do pracy. Czy w tej przychodzisz sprawie?
– Nie – odpowiedział Ruben – ja w tym mieście nie czułbym się dobrze. Nie lubię Herkulanum. Przyzwyczałem się do spokojnego życia w Pompei i mogę ci powiedzieć, że mnie tam lubią. Zarabiam mniej od ciebie, ale nigdy nie mówię do czynienia z sądami. Mnie w Pompei zna każdy pies. A jak przyjeżdża jaki patrycjusz z Miasta, to przede wszystkim wzywa mnie na naradę. Mam dobre imię, mogę wejść do każdego domu. A ty co? Kłócisz

się po całych dniach z klientami, chodzisz spocony i ciągle jesteś w strachu, że mogą cię zaskarżyć przed sądem.
– No, no, to już przesada. Ale co ty masz do mnie za interes, bo bardzo jestem ciekaw.
– Ja tobie powiem. Ci oto dwaj cudzoziemcy chcieliby zasięgnąć twego zdania w pewnej dość trudnej sprawie. Ich przyjaciel pochodzi z kraju, w którym obrabowano rzymskich kupców. Dlatego edyl pompejański, a właściwie edylowa zabroniła mu wydalac się poza bramy i, jak się zdaje, ma zamiar wysłać raport do Rzymu.
– Oj, to źle! – zawołał adwokat. – Taki raport nikomu nie wyszedł na zdrowie. Oni jego sprzedadzą z licytacji.
Do rozmowy wmieszał się pułkownik.
– Kiedy taka sprzedaż może nastąpić?
– Nieprędko – zapewnił mecenas – tego nie załatwia się na poczekaniu. Bo i po co? Cudzoziemiec i tak nie ucieknie. Wigile złapią go. Jakby uciekł, to pójdzie za karę do kopalni i będzie pchał taczki, póki nie odrobi kosztów pościgu. Ja wam powiem. Oddajcie sprawę w moje ręce. Znam żonę edyla Aulusa Firmusa. Trzeba jej posłać jaki upominek, na przykład złoty naszyjnik, i wszystko będzie w porządku.
Jednak pułkownik, ku zdumieniu Izhoka, nie chciał się zgodzić na takie załatwienie sprawy. Po wyjściu na ulicę rzekł do Rubena:
– Ten twój krewniak nie budzi zaufania.
– Tak – zgodził się przewodnik – on jest trochę kołowaty i z tego powodu miał nieprzyjemności. Na przykład sądzono pewnego Arkadyjczyka. Bronił go Izhok. Jak to zwykle bywa, przyprowadził świadków. To jeden z nich zaczął przysięgać, że w chwili przestępstwa widziano podsądnego w termach. A drugi znów przysięgał, że o tej porze Arkadyjczyk znajdował się w innym mieście. Poprzestając na dwu zeznaniach, sędzia kazał uwięzić obu świadków. Izhoka też złapali i przez cztery doby siedział w lochu o chlebie i wodzie. Zdaje się, że ta sprawa nie jest jeszcze ostatecznie załatwiona. Izhok nie lubi o tym gadać.
Hosteleria, do której wprowadził nas Ruben, znajdowała się obok niewielkiego, lecz wyjątkowo pięknego teatryku. Z wmurowanej w ścianę tablicy dowiedziałem się, że fundatorem był Annius Mammianus Rufus, a budowniczym Numizjusz.
W pokojach zastaliśmy przepelnienie.
– Jeżeli zgodzicie się spać we trójkę w tej samej sypialni – rzekł gospodarz – to trudność rozwiązana. Mam właśnie dwa wolne miejsca. Przedstawię was trzeciemu lokatorowi.
Nasz nowy kompan okazał się pompejańczykiem, kapłanem Junony. Na

imię mu było Seutes. Młoda, pogodna twarz miała w sobie coś, co pociąga. Po kwadransie gawędziliśmy jak dobrzy znajomi.

– Czy wyruszącie rankiem w drogę? – zagadnął.

– Nie – odparł pułkownik – mamy tu do załatwienia kilka spraw wymagających nieco więcej czasu. Poza tym chcielibyśmy jutro posłuchać dialogów mędrców żydowskich.

– Masz zapewne na myśli rabina Jochai i tego nieszczęśnika Nannosa?

– Tak jest, Seutesie. Czemu nazywasz go nieszczęsnym?

– Zważcie, że rabbi Nannos jest wygnańcem.

– Jego antagonistą rabbi Jochai pochodzi z Aleksandrii?

– Podobno. Wiem, że nie włada językiem aramejskim, jest za to obeznany z pismami greckich filozofów. Ben Nannos zwalcza naukę grecką i jako faryzeusz reprezentuje skrajny fanatyzm. Jeżeli nic nie macie przeciw temu, chętnie odłożę mój wyjazd, by posłuchać tak znakomitych mędrców.

Pułkownik ucieszył się z tego projektu. Dzień cały spędziliśmy w towarzystwie sympatycznego kapłana. Byliśmy w termach urządzonych lepiej i z większym przepychem od pompejańskich. Wybudowano je po ostatnim trzęsieniu ziemi, podczas gdy w naszym mieście stara łaźnia nie była jeszcze naprawiona. Z przykładu tego przebijała różnica temperamentów: w Pompei grecki, w Herkulanum rzymski. Tam ospałość, tu energia. Rzymianin nie bawi się w naprawianie starzyzny, buduje od fundamentów. Dlatego też w kąpielisku zastaliśmy takie urządzenia balneologiczne, o jakich pompejańczycy nie mieli pojęcia.

Na ulicach rozbrzmiewała prawdziwa łaćcina. Napisy były w jednym tylko języku. Kobiety ubierały się nieco odmiennie, nosiły też inne fryzury.

xxx

Niektóre dalsze ustępy w tym rozdziale będą się odznaczały głębokim ujęciem filozoficznym. Mam nadzieję, że po przeczytaniu tych rozpraw Kuba Schroetter przestanie dowodzić, jakoby nie był zdolny do napisania porządnej książki. Moim zdaniem, „Tyrani XX wieku” to dzieło kapitalne, nie wyklucza jednak sukcesów innych autorów.

xxx

Następnego ranka przyszedł po nas Ruben. Ujrzawszy Seutesa, skłonił się nisko i w kwiecistej przemowie oświadczył, iż będzie sobie poczytywał za wielki zaszczyt, mogąc mu być pomocnym.

Na ciasnym placu getta zastaliśmy kilkudziesięciu Żydów. Zdradzali

silne podniecenie. Sama myśl, że usłyszą rabiniczną dyskusję, działała na nich ekscytująco.

– Gdzie jest świątynia? – spytał pułkownik.

– Świątynia była w Jerozolimie – odparł Ruben – teraz są tylko domy modlitwy.

– A powiedz mi, co robią ci starcy? Dlaczego stoją w przejściach, jak gdyby czatowali?

– Oni pilnują, żeby czasem na plac nie weszła jaka kobieta i nie zanieczyściła swoją obecnością miejsca, na którym się znajdzie świątobliwy ben Nannos.

Pierwszy przyszedł reb Jochai. Otoczyli go niezwłocznie wielbiciele, czyściej ubrani od stronników antagonisty.

Zjawienie się ben Nannosa wywołało radosną wrzawę. Przybył w lektyce, zasłonięty gęstymi firankami przed grzesznym spojrzeniem niewiast. Na przedzie kroczył marszałek dworu, za nim gabe¹ i dwu szamesów².

Powitanie, jakie zgotował reb Nannos przeciwnikowi, nie da się określić jako uprzejme lub choćby powściągliwe. Wsiadłszy z lektyki, starzec zaczął krzyczeć piskliwym głosem:

– Gdzie jest ten epikurejczyk, co sromotę sprowadza na lud wybrany?

Gdzie jest ten obcy, co plugawi się czytaniem pism pogańskich?

Rabbi Jochai nie odpowiedział na obelgę. Przeczekawszy pierwszy atak gniewu, przemówił:

– Witam cię, przybyszu z Jerozolimy. Witam cię jako stały mieszkaniec tej ziemi.

Ben Nannos, jak gdyby nie słysząc tych słów, wołał dalej:

– Otwórzcie oczy wasze i uszy wasze! Pytajcie, o co chcecie, a ja wam powiem. Pytajcie w języku pogańskim, aby ten oto aleksandryjczyk, co wyrzekł się mowy swych przodków, mógł nas zrozumieć i aby uczniowie jego też zrozumieli mądrość naszą.

Mężczyzna w średnim wieku podniósł się z ziemi, stanął przed starcem i przemówił:

– Rebe, pozwól powtórzyć pytanie, które zadałem na poprzednim zebraniu. Nie odpowiedziałeś mi wtedy wyraźnie.

– Mów, o co tobie chodzi?

– Ja bym chciał wiedzieć, dlaczego wody w morzu nie przybywa. Ty sam, rebe, kiedyś wspominałeś, że do morza, nad którym mieszkamy, wpadają trzysta trzydzieści i trzy rzeki. To jak może być, żeby wody nie przybywało?

Ben Nannos wskazał palcem na aleksandryjskiego rabina.

¹ Gminny skarbnik i administrator synagogi – z *hebr.*

² Woźni opiekujący się synagogą – z *hebr.*

– Ty jego pytaj wprzód – krzyknął – ty jego pytaj! Niech on tobie powie, dlaczego woda nie zalała jeszcze Herkulanum.

– Chętnie ci wytłumaczę – odparł reb Jochai. – O wodach morskich istnieje obszerny traktat Pozydoniusza. Powinieneś i ty, ben Nannosie, przeczytać to dzieło, a dowiedziałbyś się, że wszelka wilgoć paruje, zgęszcza się w zimnym powietrzu, by spaść następnie na ziemię pod postacią rosy, deszczu lub gradu.

– Słyszycie – wrzeszczał starzec – on mi zaleca pogańskie księgi o wilgoci, a sam nie czytał naszych mędrców, bo im nie ufa. Gdybyś ufał, to nie potrzebowałbyś zaglądać do greckich.

– No, no, powiedz, rebe, dlaczego wody nie przybywa? – wołali zaciekawieni słuchacze.

– Ja wam powiem, ale niech mnie też słucha ten epikurejczyk. Woda morska nigdy nie wystąpi z brzegów, albowiem jest taka żmija, co ciągle ją pije. Ona wypija codziennie pół łokcia wody na głębokość, to jest akurat tyle, ile wpada z tych trzystu trzydziestu i trzech rzek.

Rozległ się szmer zachwytu. Ale i reb Jochai miał swych wielbicieli na placu. Jeden z nich, szczupły młodzian ze starannie wygoloną twarzą, zwrócił się do ben Nannosa:

– Pozwól, rebe, że teraz ja poproszę o parę słów wyjaśnienia. Twoja żmija wypija tyle wody, ile jest w trzystu trzydziestu trzech rzekach. Chciałbym wiedzieć, co ona robi z tą wodą?

– Jaki on głupi – krzyczał ben Nannos – on pyta, gdzie się ta woda podziewa! Ta woda wylatuje ze żmii tak, jak wyleciałaby i z ciebie. A ponieważ żmija leży na piasku, cała wilgoć wsiąka w piasek i nie ma po niej śladu.

– Dobrze, a co będzie, jeżeli żmija zaśnie na skale?

– Idź, ty głupi! Jak ona może zasnąć na skale? Jakbyś ty miał do wyboru skałę i miękki piasek, to na czym byś się położył? Na skale czy na piasku? Ja tobie powiadam, że na piasku. Żmija też tak robi.

Rabbi Jochai zamilkł wobec tak ważkich argumentów. Zhellenizowani Żydzi uśmiechali się dyskretnie, podczas gdy jerozolimczycy miotali na nich obelgi. Ten sam młodzian, który przed chwilą interesował się apetytem żmii, zadał drugie pytanie:

– Powiedz mi, rebe, jeżeli człowiek myśli, że nie myśli, to czy on wtedy myśli czy nie myśli?

Zagadka spotkała się z ogólnym zainteresowaniem. Ben Nannos był zaskoczony.

– Ty nie stój jak bałwan pogański – zawołał – ty mów do mnie z ręką, bo ja ciebie zupełnie nie rozumiem.

Do rozmowy wtrącił się gabe. Gestykułując gwałtownie, jął tłumaczyć:

– On się pyta, czy jak człowiek myśli, że nie myśli, to czy on wtedy myśli, że myśli, że nie myśli.

Lecz i tym razem rebe nie zrozumiał. Dopiero gdy mu przetłumaczono zdanie na aramejski, odparł:

– To bardzo proste. O co tobie chodzi? Przecie jak człowiek myśli, że nie myśli, to on myśli, że myśli, że nie myśli, i dlatego on musi myśleć, że nie myśli, więc on myśli.

Pomimo tak wyczerpującej odpowiedzi, kwestia wywołała nowe spory i słuchacze podzielili się na kilka grup. Krzyczeli, targali się nawzajem za brody, powstał wreszcie taki tumult, że aż się w to wdali dwaj wigile. Nie pytając, o co poszło, oznajmili, że uważają zebranie za skończone.

Podniecony tłum ulotnił się dość szybko.

Na życzenie Seutesa Ruben podszedł do rabina Jochai i oznajmił mu, że grecki kapłan Junony pragnie z nim mówić.

– Dobrze – odparł rabbi – powiedz mu, że zgadzam się na rozmowę, byle nie zbliżał się do mnie na ulicy. Przeprowadź go wraz z przyjaciółmi do mego domu, tylnym wejściem, po zachodzie słońca.

Omawiając podczas kolacji projektowaną wizytę, Seutes poruszył ciekawy temat*.

– Zauważcie – rzekł – iż niektórzy Żydzi zupełnie nas nie rozumieją, inni nie chcą rozumieć. Na przykład nasze zamięłowanie do przyozdabiania świątyń tłumaczy zupełnie błędnie, zarzucając nam kult bałwanów. W rzeźbie widzimy wszak dzieło sztuki. Sam pomysł nadawania wyglądu bóstwu jest niedorzecznością, wygląd bowiem może mieć tylko konkret, a nie abstrakt. Bóstwo zaś jest abstraktem, o czym wie każdy wykształcony człowiek. To tylko lud, nie umiejący wyobrazić sobie czegoś, co istnieje poza przestrzenią i czasem, musi mieć bóstwo uosobione w posagu. Wnosimy więc dla ludu posagi na podobieństwo człowieka. Mistrzowska rzeźba łatwiej przemawia do wyobraźni od pustych ścian. Ja, osobiście, nie potrzebuję do modlitwy żadnych posągów. Najchętniej obcuję z bóstwem patrząc w roziskrzone niebo lub słuchając szelestu liści w lesie. Wyobraźcie sobie jednak prostego chłopca, który spędza życie na roli. Nie przemówi do jego uczuć piękno przyrody, gdyż zbyt mu spowszedniała. Chłop musi mieć posąg, przed którym mógłby się modlić.

Seutes sprawiał wrażenie człowieka trzeźwego, o dużym zasobie

* Nie mogę powstrzymać się od zrobienia w tym miejscu uwagi, że moje rozmowy z Seutesem nie interesowały początkowo autora tych pamiętników, uważał je bowiem za nudne. Cieszy mnie więc jego zmiana zapatrywań. Odczuwam też szczere zadowolenie, iż niektóre dialogi, dzięki mej współpracy, są przedstawione we właściwym świetle. Oczywiście w niczym nie umniejsza zasług autora drobna okoliczność, że podkład filozoficzny niniejszego rozdziału nie jest jego dziełem.

wiadomości. Gawędząc, starannie dobierał słowa. Wyrozumiąły dla cudzych błędów, wyrażał się z pewnego rodzaju szacunkiem o wyznawcach innych religii.

Podczas tej rozmowy zwrócił się do nas z pytaniem:

– A wy, cudzoziemcy, jakich bogów chwalicie? Z tego, co od was słyszę, mam prawo wnioskować, iż jesteście ludźmi wierzącymi.

– Wielbimy jedyne Boga i syna jego Chrystusa – odrzekł pułkownik.

– Czy to być może?

– Tak jest, kapłanie. Powiedz mi, czy w Pompei są nasi współwyznawcy?

– Było ich kilku. Teraz gdzie się zapodzieli, może wyemigrowali.

Niedawno nawróciłem niewolnika w domu bankiera Cecyliusza.

Wyobraźcie sobie, że człowiek ten przystał do sekty

żydowsko-chrześcijańskiej i zaczął bywać na ich zebraniach. Zupełnie

niepotrzebnie z tym się ukrywał, gdyż w Pompei nigdy nie było

prześladowań. Zaniedbał się, przestał odwiedzać cyrulika, zapuścił brodę,

stał się ponury i milczący. Widząc to, bankier Cecyliusz...

– Nasz sąsiad i znajomy – wtrącił pułkownik.

– Ach tak? To nie zapomnijcie obejrzeć jego hermy domowej. Otóż Cecyliusz, widząc, że nie wypada trzymać w swym domu istoty o smutnej

twarzy, która odstrasza klientelę, wezwał owego niewolnika i rzekł:

„Feliksie, imię masz radosne, a oblicze coraz chmurniejsze. Taka powierzchowność źle świadczy o stosunkach w mym domu. Dlatego nie chcę cię oglądać i z dniem dzisiejszym obdarzam cię wolnością”.

Usłyszawszy te słowa, niewolnik padł na kolana i obiecał poprawę. Jednak

Cecyliusz nie zmienił postanowienia mówiąc: „Idź precz, Feliksie. Nie po tom się tobą opiekowałem, aby patrzeć na twój ponury zarost”. Feliks tułał się

kilka dni po zaułkach pompejańskich, wreszcie zgolił brodę, poszedł do

rzeźbiarza Alfenusa i zamówił hermę rodzinną dla swego chlebodawcy.

Wzruszony bankier przyjął go z powrotem pod dach. Feliks jest teraz

przełożonym nad niewolnikami w termach leczniczych na Aenarii. Herezji wyrzekł się zupełnie. Uchodzi wśród wyspiarzy za wyzwolenca, choć

formalności nie były załatwione. Przyznam się, że niemała w tym wszystkim

i moja jest zasługa, przez dłuższy czas bowiem opiekowałem się tym

człowiekiem. Dzięki gawędom, jakie prowadziliśmy wieczorami, poznałem

dokładnie wierzenia chrześcijan i mogę was zapewnić, że nie potępiam tej

wiary. Mam jednak wiele do zarzucenia jej wyznawcom.

– Cóż im zarzucasz?

– Obojętność na sprawy życia codziennego. W tym wypadku, choć nie

jestem Rzymianinem, lecz synem podbitego narodu, muszę stanąć w obronie

interesów państwowych. Niektórzy chrześcijanie dlatego są niebezpieczni,

bo mistycyzm pozbawił ich zupełnie instynktów twórczych. Stali się na

wszystko obojętni. Z rezygnacją znoszą przeciwieństwa losu, żadnego nie

stawiając oporu. Im gorzej im się powodzi, tym bardziej zdają się z tego

cieszyć. Zrozumiecie więc łatwo, iż gdyby w Rzymie rozpowszechniła się

ich doktryna, istnienie Imperium byłoby zagrożone. Uważam ich za

niebezpiecznych, ponieważ szerzą fatalizm nazywając go wolą Opatrzności.

Natomiast niesłuszne jest posądzanie ich o zbrodnie rytualne, co pochopnie

czyniono za Nerona. Oczywiście, między nimi też może znaleźć się

przestępca, lecz na ogół to ludzie łagodni i dobroduszni. Jednego tylko

pragną, by ich pozostawiono w spokoju. Toteż po samobójstwie

rudobrodego nikt im nie wchodzi w drogę, a obecnie panujący nam

imperator darzy ich nawet sympatią. Religia chrześcijańska nie ma widoków

powodzenia.

– Czyżby?

– Tak jest. Od kilku lat nic się nie zmieniło. W Neapolu mieszka ich spora

garstka, mają własną świątynię, kapłanów. O ile mi wiadomo, zanosi się u

nich na rozłam, a spory wybuchają tam coraz częściej.

– Z jakiego powodu?

– Szczegółów nie znam. Wiem tylko, że panuje niezgoda pomiędzy

dwoma kapłanami. Jeden jest Judejczykiem, drugi, imieniem Teofil,

Grekiem z Antiochii.

– O cóż się spierają?

– Tematów im nie braknie. Nie tak łatwo pogodzić żydowski

światopogląd z greckim uwielbieniem życia.

Podano na stół pieczone kasztany. Seutes poprosił o wino z wyspy Samos.

Miało smak przyjemny, lecz zapachem przypominało kreozot.

– Niech was nie dziwi aromat tego wina – wyjaśnił kapłan. – Wyspiarze

mają zwyczaj pokrywania wewnątrz beczek smołą bukową. W innych

naczyniach moszcz nie chce fermentować. Jestem pewny, że przyzwyczaiacie

się do tego dymku, który nadaje winom jońskim wysoką wartość handlową.

Do tawerny wszedł żołnierz. Podano mu chleb, polewkę z mąki i plaster

wołowiny. Siadł do stołu, nie zdejmując lśniącego hełmu mimo że we wnęce

ściany stała figurka.

– Oto prawdziwe niebezpieczeństwo – szepnął kapłan – wojak ten jest

wyznawcą Mitry.

– Cóż to za religia? – spytałem.

– Religia, przed którą zadrżało niedawno Imperium i zadrzy jeszcze, być

może. Wyznawcy Mitry byli dawniej prześladowani. Ich mistrz, niejaki

Spartakus, przewodził niewolnikom. Wywołał otwarty bunt. Kilkanaście

tysięcy fanatyków chwyciło za broń. Opanowali niektóre miasta, ruszyli na

Rzym. Drogę przecięły im legiony. Spartakus cofnął się w niedostępne góry. Fala powstańców ruszyła za nim. Było między nimi wielu gladiatorów, którzy objęli dowództwo nad motłochem. Dwa lata bronił się Spartakus odpierając ataki wojsk regularnych. Miał tresowane psy, które znosiły żywność z okolicznych wiosek, ludność bowiem sprzyjała szaleńcom. Spartakusowcy uprawiali wino i oliwę. Mięsa mieli w bród dzięki zagarnięciu wielkich stad bydła. Wreszcie atak legionów pod dowództwem Krassusa zmusił ich do złożenia broni. Sześć tysięcy powstańców wraz z wodzem wzięto do niewoli. Wszyscy ponieśli śmierć. Na Via Appia stanęło sześć tysięcy krzyżów. Czy możecie to sobie wyobrazić?

– Jednak religii Mitry nie wytępiono – zauważył pułkownik.

– Tak, nie wytępiono. W rok po stłumieniu buntu Spartakusa stwierdzono istnienie kultu w szeregach gwardii. Wybuchł nagle, w ciągu krótkiego czasu ogarnął wszystkie niemal wojska. Dziś legiony kłaniają się bogom narodowym, bo muszą, lecz w ukryciu oddają cześć wschodniemu bóstwu. Wiem z całą pewnością, że to samo czynią i wyżsi dowódcy armii. Na przykład taki Minucjusz Justus nie wstydził się chadzać na ich tajemne uroczystości i nawet opowiadał na rzymskim forum, że był skąpany we krwi świeżo zarżniętego byka. W Panonii i Noryce Mitra jest obecnie najważniejszym z bogów, a w Aquincum nad Dunajem wybudowano mu świątynię.

Podczas wieczornej przechadzki przyłączył się do nas Ruben.

– Idziemy – rzekł – rabbi Jochai czeka.

Wprowadził nas przez ogródek na małe podwórko, następnie do przestronnego pokoju bez okien. Skośne światło zachodzącego słońca dopływało przez drzwi od atrium. Nigdzie nie widziałem posągów ani malowideł.

Rabbi powstał na nasze powitanie.

– Witajcie w tym domu – przemówił – i bądźcie pewni, że chętnie widzę tak znakomitych gości. Jeżeli wprowadzono was skrycie, to tylko dlatego, aby nie dawać moim wrogom bodźców do oszczerstw, które chętnie na mą głowę miotają.

Po wzajemnej wymianie zawitych komplementów reb Jochai oznajmił, że tymczasem będzie z nami rozmawiał jako kapłan Jehowy, ale skoro przejdziemy do atrium na kubek słodkiego wina, stanie się zwykłym filozofem, nieskrępowanym żadnymi względami.

Z przyjemnością słuchałem płynnej mowy tego człowieka, na którym myśl grecka wycisnęła wyraźne piętno.

– Ośmielę się, dla zaspokojenia męczącej mnie ciekawości, zadać ci parę pytań – przemówił Seutes. – Czuję się do tego niejako uprawniony,

ponieważ znam z opowiadań dzieje waszego narodu. Podobno powtarzacie co rano słowa modlitwy: „Słuchaj, Izraelu, Bóg jest nasz, Bóg jest jeden” i w tym ma się mieścić największa mądrość waszej nauki.

– Tak jest, nie mylisz się, kapłanie – odparł reb Jochai – słowa te zawierają w sobie naszą wiarę w jedyne Boga.

– Lecz mówiąc: „Bóg jest nasz i jeden jest” przez to samo nie odrzucacie możliwości istnienia innych bogów. Wszak Rzymianin może powiedzieć: „Cezar jest nasz i jeden jest”, nie wątpiąc poza tym, iż w ościennych krajach rządzą inni monarchowie. Wy, Żydzi, modlicie się do Jehowy, jak ateńczyk modli się do Pallady, Pers do Mitry, a Egipcjanin do Izydy. Gdy cudzoziemiec przybywa do Grecji, przede wszystkim śpieszy pozdrowić jej bogów. Czemu wy, Żydzi, spluwacie na widok naszych świątyni?

Reb Jochai odrzekł:

– Spluwanie jest dowodem złego wychowania. Wyształcony Żyd nie pozwoli sobie na coś podobnego, ale też nigdy nie złoży hołdu obcym bałwanom. Albowiem powiedziane jest: „Nie będziesz miał cudzych bogów przede mną, nie będziesz im się kłaniał ani służył, bom ja jest Bóg twój, Bóg zawistny”.

– A nas uczyli filozofowie, że zawiść zaprzecza boskości. Wybacz, lecz dotychczas nie widzę, aby wasz Zakon był wyższy.

– Wyższy jest, gdyż chwali najwyższego Boga. Nasz Bóg jeden jest nad nami, niezrodzony, przewielki, wszechmocny. Wszystko widzi, sam będąc niewidzialny.

– Otóż to. Zarzut, jaki nam stawiacie z powodu wielobóstwa, godzien jest plebsu, lecz nie filozofów. Różnica co do ilości wyższych istot jest w gruncie rzeczy niczym. Liczba, powtarzam, istnieje w przestrzeni albo w czasie. Nie ma jej w sferze bóstwa. Miałaby sens jedynie przy materialnym pojmowaniu najwyższej istoty. Pomijając przemile klechdy helleńskie, w religii naszej nie ma rywalizujących bogów. Jest tylko jednowartościowość pojęcia „bóg” i „bogowie”. Najwyższa istota, o której nie wspominamy plebsowi, by nie wnieść zamieszania, jest bezkształtna, wszechmocna i nieskończona jak Jehowa. Wasz Bóg stworzył pierwszego człowieka na podobieństwo własne, my zaś podobiznom bogów nadajemy kształt ludzki. Czyż nie słusznie?

Spór, co można było z góry przewidzieć, nie doprowadził do niczego. Rabin bronił swej tezy, Seutes robił to samo. Wejście posługacza przerwało rozmowę, prowadzoną zresztą w tonie uprzejmym. Przeszliśmy do atrium. Gospodarz, po wypiciu kilku czarek mocnego wina, zaczął opowiadać o swych spotkaniach z ben Nannosem, o bezsensownych sporach kończących się najczęściej interwencją wigilów.

– Niestety – dodał – głupota łączy się do głupoty. Przybysze z Jerozolimy rozwijają w mej gminie żywą działalność religijną. Ciemna masa ciąży ku siedzibie ben Nannosa, który otoczył się licznym dworem i żyje jak udzielny książę. Podobno czyni nawet cuda.

– Oj, co do cudów, to mogę coś opowiedzieć – odezwał się Ruben.

– Doskonale. Opowiedz nam o cudach – zgodził się rabin. – Przysuń się bliżej i nalej sobie wina.

Ruben nie dał się prosić.

– Największy cud – zaczął – to był cud z Boruchem z Paleopolis. Kupiec ten często grzeszył i to bardzo ciężko. Potrafił na przykład zjeść rosół z kury i z tego samego naczynia napić się mleka. Ja to mogę powtarzać pod przysięgą, bo znam wszystkich mleczarzy z wybrzeża. Oni to widzieli na własne oczy. Jak się o tym dowiedział ben Nannos, to uniósł się strasznym gniewem i rzucił na Borucha kłątwe. „Oby tunel pogańskiego Augusta zawałił się temu nędznikowi na głowę i żeby jego żywcem pogrzebał, jeżeli on się ośmieli postąpić tam krokiem!”. Tak krzyczał ben Nannos, a wszystkich, co to słyszeli, ogarnęła trwoga. Boruch, choć nie należał do nabożnych, też zląkł się kłątwy i przestał chadzać przez tunel mimo że sprawy handlowe zmuszały go do odwiedzania Puteoli. Niemniej przestraszyli się i inni kupcy z Paleopolis. „Ten tunel – powiadają – jest niepewny. Już lepiej zrobimy nakładając drogi. Przynajmniej żony nasze nie będą wdowami, a dziatki sierotami”. I przestali korzystać z tunelu. Trwało to od wiosny do jesieni, nad tunelem ciążyła kłątwa. Aż znalazł się niejaki Gamaliel, z zawodu roznosiciel koszerne mięsa. „Ja – powiada – nóg już nie czuję od tego łążenia po wertepach. Żeby zdechł, ten Boruch, jak pies, za to, co on nam narobił. Trzeba go wziąć i siłą wrzucić do tunelu, i niech mu się ten tunel na głowę zawałi. Rzymianie naprawią szkody, a my przestaniemy się męczyć”. Jak o tym gadaniu dowiedział się Boruch, to wezwał żonę i mówi: „Idź do ben Nannosa, pokłoń mu się ode mnie i powiedz, że ja, skruszony grzesznik, błagam o przebaczenie. Że jestem ciężko chory z wyrzutów sumienia, że już przysięgłem nie brać do ust mleka wcześniej niż sześć godzin po mięsnej potrawie. Powiedz też, że ty mi kupiłaś nowy koszerne kubek do mleka”. To Estera, żona Borucha, poszła do cudotwórcy i powtórzyła słowa mężowskie. Ben Nannos o niczym nie chciał słyszeć. „Powiedziałem, że ten tunel ma się zawałić – krzyknął – to on się zawałi”. Dopiero gdy przybiegli Żydzi z Paleopolis i jęli błagać i tłumaczyć, że od tego handel kuleje, bo oni muszą chodzić bocznymi ścieżkami, a tam są rozbójnicy, to rebe dał się przebłagać, zmiękł i cofnął okrutną kłątwe. Wielka była radość w Paleopolis. Kupcy dla wszelkiej pewności zmusili Borucha, żeby pierwszy przeszedł przez tunel. „Boruch! –

wołali na niego – stąpaj ostrożnie! Nie tupaj!”. I stał się cud. Boruch przeszedł przez całą długość tunelu i ani jeden kamień nie spadł mu na głowę.

Amfora była pusta. W Herkulanum dawno już światła pogasły. Pożegnaliśmy gościnnego rabina życząc mu dobrej nocy.

IX. RYBA Z PIORUNAMI

– Nie można tego lekceważyć – tłumaczył Ruben – ja przecież zapewniłem Tulię, że ofiarujecie jej figurkę bóstwa opiekującego się wdowami. Jak ja teraz będę wyglądał, jeżeli dowie się, że to było kłamstwo?

Pułkownik usiłował wykręcić się sianem. Nie w smak mu były wydatki. Ale i na to Ruben znalazł radę.

– Kto powiada, że będzie wydatek? Przecie mówiłem o takim, co ma na składzie starych pogańskich bogów. On nazywa się Afrybał i może dostarczyć za bezcen. Od tego jest fenickim kupcem.

– Zgoda. Ileż może kosztować taki opiekun wdów? Oczywiście nie nowy, używany.

– Czy ja wiem? Pójdziemy do Afrybała. Obejrzyć wolno. Do kupna nikt nie zmusza.

Rupieciarnia mieściła się w ogródku, na tyłach domu Argusa. Afrybał sypiał w ciasnej budce z wulkanicznego tufu, którą odziedziczył po odźwiernym.

Zastaliśmy go przy pracy. Odświeżał właśnie jakąś rzeźbę, zalepiając gipsem liczne szpary. Ujrawszy Rubena, bąknął coś niewyraźnie.

– No, no, jazda – zaczął Ruben.

– No?

– Długo tak będziesz stękał?

– A ty długo mnie będziesz niepokoił?

– Oryginalny kupiec – mruknął pułkownik.

Tymczasem Ruben, wymieniwszy z Fenicjaninem kilka zdań bez większego sensu, dał wreszcie do zrozumienia, że dwaj cudzoziemcy pragnęliby obejrzyć rupieciarnię.

– Byle mi nie przeszkadzali – odparł Afrybał maczając pędzel w pokoście.

Rzeźby były szpetne. Zbieranina z całego świata. Przeważnie w stanie opłakanym. Chyba tylko taki Luwr ucieszyłby się z podobnej kolekcji, nam jednak zależało na znalezieniu posążka o przyzwoitym wyglądzie.

– Co kosztuje ten marmurowy kawaler? – spytałem.

– To nie dla was – oburzył się Ruben. – Przecie każdy pozna, że to Orfeusz. Wam potrzeba innego bałwana.

– Proszę cię – rzekł pułkownik – wyrażaj się z większym szacunkiem o bogach tej ziemi. Następnie bądź łaskaw nam wskazać coś odpowiedniego.

– Ja na waszym miejscu wybrałbym tego małego Akteona, a dla niepoznaki kazałbym dorobić jaki szczegół. Na przykład kota albo kaczkę. Lepiej kota, bo wdowy lubią pieścić się z kotami. Czegoś podobnego w Pompei nie widziałem. Jeżeli pozwolicie, to chętnie potarguję się o ten okaz.

Poradził nam, abyśmy z obojętną miną opuścili pracownię i zaczekali w pobliskiej oberży. Da sobie radę i klnie się na pamięć swych przodków, że jeżeli cokolwiek zarobi, to uczciwie.

Tym razem, jak i w wielu innych wypadkach, miałem możność stwierdzić, że Ruben kalkuluje rzetelnie. Prowizję sobie doliczał, w tym nie ma nic dziwnego, nie oszukiwał jednak jak inni pośrednicy.

Stało na tym, że kupujemy okazynego Akteona z dorabianym kotkiem. Będzie odesłany w przeciagu dekady z gwarancją dostarczenia w całości.

Załatwiwszy się z jednym kłopotem, pułkownik odwiedził warsztat blacharski, gdzie zamówił miedziany kociołek pojemności około dwunastu litrów. Ponieważ wykonanie spiralnej chłodnicy przedstawiało duże trudności, obmyśliliśmy nowy kształt, mianowicie zygzakowaty z kolankami na zgięciach. Chodzi o to, aby chłodnicę można było zanurzyć w naczyniu z przepływającą wodą, do czego się nadaje pierwsza lepsza beczka.

Seutes z brzaskiem dnia wyruszył do Neapolu. Nam udało się opuścić Herkulanum dopiero o godzinie czwartej po południu. Zwlekaliśmy ze względu na piekielny upał.

Jakże miło jest wracać do domu po parodniowej wycieczce. Pułkownik, któremu reumatyzm dawał się we znaki, maszerował z początku rażno, przyśpiewując sobie do taktu marsze wojskowe.

– Cóż to za księżę ten wasz Ziemowit? Że też mu do głowy strzeliło rabować rzymską karawanę – odezwał się znienacka.

– Mój pułkowniku – odparłem – nie zapominajmy, że znajdujemy się w czasach odległych. O Ziemowicie nic nie mogę powiedzieć. Jest to imię bardzo pospolite i takich księząt było więcej w Kaliszu i poza Kaliszem. A zresztą pańscy Gallowie też mordowali Rzymian, nim wreszcie ich uspokojono.

– Tak, to prawda – zgodził się pułkownik – mógł jednak ów Ziemowit powstrzymać się od rabunku choćby ze dwa lata. Fatalna historia. Im więcej nad nią myślę, tym większy niepokój mnie ogarnia. Nie chciałbym przerywać naszej pracy ani rezygnować z różowych perspektyw.

Po chwili milczenia dodał:

– Ten Ruben ma zdrowy sąd o rzeczach. Na przykład wczoraj, gdy byłeś zajęty kupowaniem owoców na targu, odezwał się do mnie w te słowa:

„Siedzicie w Pompei, a jeszcze żaden z was nie poszedł pokłonić się tamtejszym bogom. Ja bym wam radził to zrobić. Zanieście jaką ofiarę. Trochę kadzidła, trochę kwiatów. Tanio kosztuje, a wszystkim się podoba”.

– Co mu nie przeszkadza – dodałem – wyrażać się o bogach bez szacunku.

Maszerowaliśmy przyspieszonym krokiem. O zachodzie słońca pokropił nas przelotny deszczyk. Powietrze było świeże, kurz znikł. Postanowiliśmy przenocować w zajeździe administracji gościńców państwowych.

– Jak tam kolano, panie pułkowniku?

– Trochę mnie rwie. Pogorszenia spodziewam się jutro.

Przewidywania spełniły się ściśle. Nazajutrz, gdy dochodziliśmy do alei cmentarnej, pułkownik zaczął uskarżać się na ból. Kulał coraz wyraźniej.

– Obawiam się – rzekł – by nie zaniemóc przed dotarciem do miasta. Ten deszczyk wczorajszy stanowczo mi zaszkodził.

Wystrugałem mu łaskę z leszczyny. Przyjął z wdzięcznością. Mimo to szedł coraz wolniej. Już zaczynałem myśleć o znalezieniu lektyki, gdy raptem do uszu naszych doleciało wołanie:

– Eleleu, Eleleu!¹ Gol, gol!

Dał się słyszeć gwizd. Po ostrym dźwięku poznałem gwizdek Van Campena. Na polanie, ogrodzonej wysokim żywoplotem, odbywał się mecz. Piłka, podbijana nogami foluszniców, opisywała w powietrzu wspaniałe łuki. Trafiliśmy właśnie na bramkę. Okrzyki triumfu, pomieszane ze słowami komendy i groźnym pomrukiem zwyciężonych, tworzyły niebywały harmider. Pobiegłem do graczy.

Radość Jeffa nie miała granic. Pułkownikowi rzucił się na szyję, wyściskał Rubena i oznajmił, że udało mu się odnaleźć szulera z gospody „Pod Delfinem”.

– Zboksowałem go. Leży na barłogu z podbitymi oczami. Ludność portowa zrobiła mi owację. Dawno tak przyjemnych chwil nie miałem w życiu.

– Co robi Kuba?

– Maluje karty do brydża.

Chory mistrz uśmiechnął się na tę wiadomość.

– Słuchaj no, Jeff – odezwałem się – trzeba przenieść pułkownika do miasta. Zrozumiałeś? Pułkownik kuleje.

W ciągu kilku minut folusznicy nałamali gałęzi, sporządzili nosze. Wejście nasze do Pompei było połączone ze zbiegowiskiem. Otoczyli nas mieszczanie i mieszczki. Zapytywano, co się stało, czy czasem pułkownik nie złamał nogi.

Tulia, zapewne uprzedzona przez sąsiadki, wybiegła na spotkanie. Udałem

¹ Naprzód! Odwagi! Okrzyk bachantek – gr.

się wraz z nią po lekarza.

Znakomity internista nazwiskiem Civilis mieszkał naprzeciw hostelerii Sittiusza, obok wesołego lokalu. Jak się zdaje, sąsiedztwo to nic go nie krępowało. Częstość klienci sąsiedniej firmy, o ile im podczas bójk i o pannę uszkodzono głowy, udawali się wprost do Civilisa, który poza specjalnością miał sławę zręcznego chirurga. Prócz tego trudnił się preparowaniem lekarstw.

Na ścianie domu widniały symbole lekarskie: dwa węże pełzające równoległe z ziemią. Poniżej umieszczony był napis w języku łacińskim, zwracający się z prośbą do przechodniów o niezanieczyszczanie miejsca. Pokój przyjęć Civilisa miał skromny wygląd. Środek niewielkiej izby zajmował fotel z marmuru, na którym pacjent mógł spoczywać w rozmaitych pozach. Zdaje się, że był to fotel dla pań. Obok stał piecyk na trójnogu, używany do wypalania narzędzi chirurgicznych. Na ścianie wisiała szafka, a w niej leżało mnóstwo lancetów wszelakiego kształtu, szcypce, nożyce, pincety, igły i sondy. Wszystkie te przedmioty miały połysk świeżo polerowanego brązu. Z ozdób rzucało się w oczy jedynie popiersie Hipokratesa i napis powitalny „Have”, ułożony z wielobarwnych kamyków.

– Czy chory gorączkuje? – spytał medyk.

– Nie, zacny Civilisie – odrzekła Tulia – nie zauważyłam gorączki. Skarży się tylko na ból w nodze, która mu zupełnie zeszywniała.

– Powiedz mu, że będę go oczekiwał jutro rano przed bramą portową. Po otworzeniu bramy zaniesiemy go do laguny Likona. Tymczasem daj mu tych ziół na poty. Zalej białym winem, zagotuj, przestudź nieco i każ wypić duszkiem. Następnie nakryj chorego kocami. Niech leży do wschodu słońca.

Zacna wdowa naparzyła ziółek, napoiła pułkownika odwarem i całą noc czuwała u wezglowia. O świcie pozrywaliśmy się z łóżek. Sprowadzeni przez Van Campena tragarze ponieśli mistrza ku morzu. Przed bramą czekał na nas medyk.

Po wymianie powitań zagadnąłem go, co zamierza zrobić z pułkownikiem.

– Pozwól, cudzoziemcze, że nie odpowiem na to pytanie – rzekł tonem chłodnym. – Ponieważ zwracacie się do mnie, uważam to za dowód zaufania, lecz wtajemniczać was w swe zamiary nie myślę. Chory, mam nadzieję, będzie wyleczony. Wystarczy?

Trudno było prowadzić rozmowę z tak opryskliwym człowiekiem. Wolałem zamilczeć. Szedłem za lektyką obok Jeffa. Kubuś, nie chcąc łamać danego przyrzeczenia, pozostał w mieście.

Minęliśmy port i kilka zagród rybackich. Civilis zaprowadził nas do obszernego gospodarstwa, którego właścicielem był Likon, hodowca muren

i ostryg. Posiadał sześć sztucznie wykopanych stawów, połączonych rowami z morzem. Złe psy, biegające po groblach, strzegły dobytku. Wodę morską dostarczało pomysłowe urządzenie hydrauliczne, poruszane przez kierat z mułami.

– Witaj, Likonie – przemówił lekarz – przyprowadzam chorego. Jakże się czują twoje pioruny?

– Witaj, uczony mężu. Moje pioruny nie sprawią ci zawodu, są bowiem dobrze wypoczęte.

Weszliśmy na niewielkie podwórze, pośrodku którego znajdował się płytki stawek, wysypany żwirem. Przechyliwszy się przez kamienne ogrodzenie, ujrzałem kilkanaście ryb dziwnego kształtu. Były to płaszczyki rzadko spotykanej wielkości, pokryte brunatnymi cętkami.

– Karmisz je dobrze? – spytał Civilis.

– Dostały wczoraj wnętrzności dwu baranów.

– Jak dawno próżnują?

– Ostatni raz był kapłan z Surrentum. Od tego czasu pozostają w spokoju.

– Tym lepiej. Poślij po sieć i sukno.

Przyznaję się, że na razie nie rozumiałem, na czym ma polegać zabieg. Biednego pułkownika położono z noszami na brzegu sadzawki. Civilis zdjął mu z nogi bandaż i długo masował kolano posługując się oliwą. Następnie zmył tłuszcz wodą z popiołem.

Niewolnicy przynieśli siatkę na dwu kijach oraz zwój tkaniny wełnianej. Przystąpiono do chwytania płaszczyki. Wymykała się rozpaczliwie, lecz zręczny Likon omotał ją siecią i wyrzucił na rozłożone sukno.

Scenie tej pułkownik przyglądał się w milczeniu, również niewiele rozumiejąc. Dopiero gdy podeszli Civilis z Likonen i ujęli go pod ramiona, zawołał:

– Sacrebleu! Oni mnie będą elektryzować. To jest drętwa!

Więcej nic już nie mówił. Silne ręce postawiły go na suknie. Lekarz wdziawszy rękawice, złapał pułkownika za nogę i przycisnął mu stopę do grzbietu płaszczyki.

Rozległ się przeraźliwy krzyk. Ryba poruszyła ogonem. Widziałem na własne oczy, jak pułkownikowi włosy stają dęba.

Ciałem naszego mistrza wstrząsnęły drgawki, a z gardła posypały się jakieś wyrazy bez związku. Szarpał się kilka sekund, policzki mu posiniały, oczy wyszły na wierzch, z ust, których nie mógł zamknąć, spłynęła ślina.

Ogon drętwy poruszał się coraz wolniej. Mniej więcej po upływie pół minuty ruchy ustały.

– Dość – rzekł Civilis.

Przeniesiono pułkownika na ławę. Wyczerpaną płaszczykę wrzucono do

sadzawki.

Mój mistrz ukochany był nieprzytomny. Zdawało mi się, że nie oddycha. Zbadawszy puls chorego, Civilis nacisnął mu klatkę piersiową, podczas gdy Likon ujął go za łokcie i zaczął wyginać bezwładne ramiona. Wyciągał je wzdłuż bioder, czekał chwilę, następnie szybko przerzucał ku tyłowi. Jednocześnie druga para rąk wpędzała do płuc powietrze.

Na twarzy pułkownika wykwitł rumieniec, oczu jednak nie otwierał.

Zaprzestawszy gimnastyki, Civilis skinął na posługacza i rzekł mu coś do ucha.

– Czy już skończone? – spytałem Likona. – Zdaje się, że chory zasnął.

– Nie, nie śpi. Jest jeszcze nieprzytomny. Ocucimy go za chwilę.

Podszedł niewolnik z koszem pokrzyw i glinianą butelką. Civilis, zwilżywszy nogę pułkownika octem, wybrał kilkanaście łodyg i ułożył je w bukiet.

– Co zamierzasz robić? – spytałem.

Nie raczył mi odpowiedzieć. Ścisnąwszy pokrzywy w garści, zaczął chłostać obolałą nogę.

Zamykałem chwilami oczy nie mogąc patrzeć na takie znęcanie się nad chorym. Skóra na nodze pułkownika zmieniła barwę. Z cielistej stała się różowa, następnie czerwona, wreszcie sina.

Cichy jęk był zwiastunem, że pułkownik odzyskuje przytomność. Na twarz zarzucono mu chustę, a dwaj niewolnicy złapali go za ręce uniemożliwiając opór.

Civilis siekł kolano dość długo. Odrzucił pokrzywy, sięgnął do torby po szeroki bandaż wełniany, zwilżył obficie jakimś aromatycznym olejkiem, okręcił nogę pułkownika, położył na wierzch kawałek futra włosem do wewnątrz i na wszystko wciągnął wąski worek wołokowy, od stopy po samo udo.

Przyznaję, że słabo mi się robiło na ten widok. Gdyby mi dano do wyboru kurację lub chorobę, wybrałbym chyba zapalenie stawów.

Pułkownik wyciągnął do mnie dłoń, którą uściskałem. Pocięczałem go, jak mogłem, że będzie zdrow, że zabiegi udały się znakomicie. Nic nie mówił, uśmiechał się tylko.

Gdy niewolnicy ruszyli z lektyką, Civilis wziął mnie pod ramię i rzekł:

– Opiekun twój, młodzieńcze, dostanie teraz silnej gorączki. Powiedz Tulii, aby zalała kubkiem wrzącej wody dwie garstki kwiatu lipowego. Dodaj miodu, zmieszaj z gorącym winem i zmusz chorego do wypicia. Nie zapomnij nakryć go ciepło. Powinny być poty. Bandaża z nogi nie zdejmuj. Jeżeliby krzyczał lub wdawał się w gawędę z sennymi widziami, zrób mu zimny okład na głowę. Odwiedzę was jutro rano.

Noc minęła dość spokojnie. Pułkownik budził się kilka razy wołając o wodę. Bólów nie czuł. Dwukrotnie zmieniał przepoconą koszulę*.

Wczesnym rankiem przyszedł Civilis z butelką jakiegoś specyfiku. Uznał stan chorego za dobry. Wychodząc, wręczył mi zwitek papirusowy na paleczce. Był to obszerny spis przestrog i recept kulinarnych. Zaczynał się od słów:

„Civilis, lekarz pompejański, do szlachetnego cudzoziemca w mieszkaniu Tulii z Apulii. Niechaj bogowie mają cię w swej opiece. Wzruszony twymi cierpieniami, po zbadaniu przyczyn i objawów choroby, oznajmiam: słabość twa minie, o ile będziesz mi posłuszny. Przyczyny dopatruję się w wadliwym działaniu twych kiszek, które zbyt łapczywie pochłaniają mięso, wino i ocet, wytwarzając we krwi szkodliwe kwasy i sole. Osad z tych kwasów zbiera się na kościach, a jako cięższy od innych płynów ścieka do nóg i osiada na stawach. Wierza, cudzoziemcze, iż jedynie wielka wstrzemięźliwość w jadłach i napoju uchroni cię przed nawrotami choroby. Unikaj mięsa, mocnych win, ostrych sosów, nie lej do potraw octu, nie jedz tartej gorczycy. Odżywiaj się drobiem, rybami, pieczywem, jarzynami, oliwą, serem i mlekiem. Często odwiedzaj termy i siedź w gorącym powietrzu tak długo, póki nie zjawia się poty...”

Dalej następowały wskazówki dotyczące sypiania przy otwartym oknie, gimnastyki, grzania na słońcu chorej nogi. List kończył się modlitwą do Asklepiosa.

Po przestudiowaniu tekstu Kubuś położył się na posłaniu i zaczął kłać.

– Komu urągasz? – spytałem.

– Lekarzom.

– Niesłusznie. Pułkownik czuje się lepiej.

– Toteż nie tutejszym lekarzom urągam, tylko naszym. Porównaj treść tego papirusa z pierwszą lepszą ordynacją lekarzy warszawskich. Znajdziesz to samo. Nie wolno pić, mało jeść, odżywiać się mlekiem i jarzynami. Gdzie jest postęp wiedzy lekarskiej? U nas dają aspirynę, tu jakieś dekokty. Powiedz mi, po jakiego diabła rząd utrzymuje tyle fakultetów medycznych, jeżeli nie wynaleziono nic lepszego.

Papirus wręczyliśmy Tulii, aby wiedziała, jak należy gotować. Dobra kobiecina nie na żarty przejęła się chorobą pułkownika. Tegoż dnia kupiła na targu dwa duże pstrągi. Podała je „z wody”, bez sosu, z odrobiną soli i oliwy. Uważam, że dobra ryba innej przyprawy nie potrzebuje. Zwłaszcza pstrąg.

Nad wieczorem zjawiała się gorączka. Następnego ranka pułkownik czuł

* Należałoby zbadać działanie silnych wyładowań elektrycznych na chore organizmy. Sprawdziłem na sobie. Jeżeli chodzi o ostry reumatyzm, wyniki są nadzwyczajne.

się o tyle dobrze, iż podniósł się z łóżka i przeszedł do atrium.

– Czy wiecie – rzekł – mogę już zginać nogę w kolanie. Jutro będę zdrow.

Oprócz honorarium trzeba ofiarować Civilisowi jaki upominek.

Tulia twierdziła, że odpowiednim prezentem będzie paw pieczony, nadziewany farszem z kasztanów. Pułkownik innego był zdania.

– Zaniosę mu – oświadczył – maszynkę do golenia. Brzytwy pompejańskich fryzjerów mają wygląd okrutny.

X. PRZYGODA TULII Z APULII

Ujemną cechą domu Tulii stanowiła obsługa. Jedyny niewolnik Monotropos, nie czując nad sobą twardej ręki, rozpróżniaczył się do tego stopnia, że nawet Kubuś-socjalista wpadał chwilami w pasję.

– To ma być niewola? – mówił z goryczą. – Ależ on robi, co chce, nie troszczy się o nic i jeszcze stawia się kantem.

Monotropos stale dobierał się do naszych przyborów toaletowych. Raz przyłapałem go z maszynką „Gillette”. Zaparł się w żywe oczy.

Z tej racji Kuba, pokieraszowawszy sobie brodę tępym nożykiem, poskarżył się wdowie.

– Co ja z nim mam! – zawołała załamując ręce. – Ileż już razy mówiłam mu, by się wyniósł! Ale o wolności słyszeć nie chce. Groził wręcz, że jeżeli go uwłasnowolnię, to mi w całym domu porąbie rury ołowiane. Przed dwoma laty chciałam go zamienić na ogródek warzywny, lecz sam edyl Aulus Firmus, bojąc się awantur, odradzał. Teraz szukam kucharki. Ma przyjść w tych dniach. Lękam się tylko, żeby jej Monotropos nie przewrócił w głowie.

Zdumiony Kubuś bąknął nieśmiało:

– Słyszałem, że wy, Rzymianie, katujecie waszych niewolników.

– Tak się mówi – westchnęła wdowa. – Przede wszystkim nie jestem dość silna i sama rady mu nie dam. Wprawdzie mogłabym wynająć w porcie tragarzów, ale ludzie płatni biją nieostrożnie i mogą poprzecinać skórę.

– Niech przetną – wtrąciłem.

Tulia spojrzała na nas z niedowierzaniem.

– Żartujesz chyba – rzekła – wszak pokaleczony niewolnik przynosi hańbę familii, a po wtóre skutek blizn spada w cenie.

Nie uszło mej uwagi, że po tej rozmowie Kubuś sposepniał i długo błędził

między filarami atrium, bijąc się z myślami. Od czasu do czasu przystawał, mruzczał coś do siebie, wreszcie machnął ręką, wspomniawszy o stu diabłach i znikł za kotarą swej sypialni.

xxx

Po czterech dniach pułkownik udał się na przechadzkę. O kiju wprawdzie, ale z dobrą miną.

– Co ci to, cudzoziemcze – pytali przechodnie – azali kopalesz piłkę z folusznikami?

Mistrz uśmiechał się dobronnie, przyjmując życzenia. Na forum podszedł do nas edyl. Dowiedzieliśmy się, że list w sprawie Kubusia jest już w drodze do Rzymu, jednak odpowiedzi nie należy się spodziewać wcześniej niż za parę miesięcy. Takie drobne sprawy bywają załatwiane kolejno, bez pośpiechu. Co do stosunków politycznych na kresach północnych, to żadne nowiny nie nadeszły. Agentura handlowa w Vindobonie nadesłała memoriał w sprawie pokładów soli jadalnej za łańcuchem gór, w odległości 250 mil rzymskich na północny wschód od tego miasta. Eksploatacja kopalń przedstawiałaby jednak wielkie trudności, ponieważ leżą one w kraju barbarzyńskim, zamieszkałym przez ludność dziką i wojowniczą.

– Saliny nasze – dodał edyl – nie wystarczają na wszystkie potrzeby. Sól staje się coraz droższa, a w Syrii zaczyna odgrywać rolę monety obiegowej.

Siedliśmy na stopniach świątyni Jowisza. Podczas dalszej pogawędki Kuba oznajmił z dumą, że zdążył wykończyć talię kart, wobec czego proponuje brydża.

– Cóż to za nowa gra? Nigdy o niej nie słyszałem – dziwił się Aulus Firmus.

Zaprosiliśmy go na następny wieczór. Tym chętniej, że brakowało nam czwartego. Van Campen nie nadawał się bowiem do umysłowych rozrywek.

Podobno przy stoliku karcianym najlepiej można poznać charakter partnera. Edyl wykazał pewne zdolności, ale jednocześnie zdradził się z zamiłowaniem do sprzeczek. Ponieważ Kubuś również grał niespokojnie, utarczki słowne wybuchały dość często. Po dwu tygodniach nasz nowy partner wprawił się o tyle, że mógł już wywodzić w pole przeciwników. Różnił jednak zbyt po rzykancku, jak każdy początkujący. Co wieczór, po ukończeniu zajęć biurowych, przybiegał do nas na partyjkę, przeciągając się często aż do północy. Nie zapomnę skandalu, jaki wynikł z tego powodu.

Noc była, parna, zanosilo się na burzę. Zarówno Kubuś, jak i edyl gorączkowali się nieco. Graliśmy w atrium, notując wyniki na woskowanej

tabliczce. Tulia podawała herbatę z liści borówczanych.

Właśnie Kubuś doszedł był do ręki, miał forty w pikach, lecz przegapił. Na to edyl, waląc w stół pięścią, huknął:

– Albo piki, albo precz od stołu!

Pułkownik też się rozgniewał nie na żarty. Zaczęli dogadywać Kubusiowi, nazywając go partaczem. Gdy tak zgodnie krzyczeli, w przedsiönku rozległo się kołatanie.

– A kogóż tam diabli przynieśli? – zawołał Van Campen, idąc ku drzwiom.

Po chwili wrócił.

– Jakaś dama pyta się o edyla – oznajmił.

Usłyszawszy te słowa, dygnitarz zerwał się z ławy i nie powiedziawszy nic, czmychnął po schodach na pierwsze piętro.

Do atrium weszła pani edylova*.

– Czy tu przesiaduje ten łajdak? – spytała.

– Jaki łajdak? – zaniepokoił się pułkownik.

– Mój mąż, Aulus Firmus, któregoście wciągnęli do barbarzyńskiej zabawy. Gdzie on się schował?

– Wszak widzisz, szlachetna, że tu go nie ma.

– Zwiedzać waszego mieszkania nie mam zamiaru. Jedno wam powiem, że edylowi nie wolno zaniedbywać się w obowiązkach. Od czasu jak zaczął zadawać się z wami, coraz częściej zapomina o pracy. Takie spędzanie czasu dobre jest dla was, próżniaków, lecz nie dla przedstawiciela Rzymu. Żegnajcie. A nie zapomnijcie mu powiedzieć, że jeżeli zaraz nie wróci, to drzwi domu zastanie zamknięte.

I wyszła, nie skinąwszy nam nawet głową.

Edyl, który te słowa słyszał doskonale, stracił humor.

– Muszę was pożegnać – rzekł – bo gotowa naprawdę mnie nie wpuścić. Lękam się spotkania oko w oko. Może by który z was wyszedł na zwiady?

Ofiarowałem się towarzyszyć mu do domu. Idąc na przód, wychylałem głowę zza rogów kamienic, bacząc, czy babsko gdzie nie stoi. Lecz droga była wolna. Nieszczęsny małżonek dotarł do rodzinnego gniazda, przystanął i cicho zapukał.

Drzwi otworzyły się z zadziwiającą szybkością. Ujrzałem kobietą dłoń

* Jakkolwiek zawsze unikam wtrącania się w cudze sprawy rodzinne, muszę zaznaczyć z przykrością, że małżeństwo szlachetnego edyla Pompei nie było fortunne. Emilia Auli, aczkolwiek pochodziła ze starożytnego rodu Emiliuszów, odznaczała się charakterem przykrym i obejściem wręcz gminnym. Nie chciałbym mówić źle o kobiecie, nie zataję jednak, że małżonka naszego miłego kompana odbijała od swego środowiska – najzupełniej dystygowanego, chociaż prowincjonalnego. Jestem pewien, że liczne nietakty tej osoby zaważyły ujemnie na karierze urzędniczej Aulusa Firmusa. Jeśli nie uzyskał stanowiska pretora, o które ubiegał się od dawna, może to zawdzięczać Emilii.

zbrojną w pogrzebacz. Druga dłoń spadła na czuprynę edyla i z ręcznie wciągnęła go do domu.

Trzasnęły drzwi. Słyszałem urywany dialog, kilka głuchych uderzeń i wszystko ucichło.

Gdy zdałem relację, z tego co zaszło, pułkownik westchnął.

– Skaranie boskie z taką babą – rzekł – będziemy musieli przenieść się z brydżem w jakieś mało dostępne miejsce.

Przez kilka dni edyl nie dawał znaku życia. Pewnego ranka przysłał nam list przez wigila.

„Zacni przyjaciele – pisał – zawiadamiam, że dziś wieczorem będę wolny. Jeżeli chcecie, to gotów jestem przyjść”.

Rozumie się, że przyjęliśmy ofertę z radością. Pułkownik polecił Tulii, aby przygotowała gorącą kolację. Zamówił kurczęta z sałatą, rydze duszone, owoce i cztery gatunki win.

– W takim razie – rzekła – pójdę na wieś, bo w mieście o tej porze kurcząt już nie dostanę.

– Dobrze – odrzekł pułkownik – tylko proszę się nie spóźniać.

Tulia wyszła z koszykiem, obiecując wrócić jak najrychlej.

Zapomniałem wspomnieć, pisząc o kartach, z czego były zrobione. Otóż Kuba przygotował je ze świńskich pęcherzy, które nasycił garbnikiem. Dzięki temu zabiegowi stały się sztywne jak karton, elastyczne i łatwe do tasowania. Figury malował farbami mineralnymi z białkiem, utrwalał pokostem, połysk nadał przy pomocy wosku.

Przed wieczorem zjawił się edyl. Świeży, uśmiechnięty, ubrany w nową togę i z wiankiem na głowie.

– Żona pojechała do teściowej – zawołał.

Obsiedliśmy marmurowy stolik. Dzień był ciepły, bez wiatru. W impluvium biła fontanna szemrząc monotonna. Nad naszymi głowami ćwierkały w gniazdku jaskółki.

– Szlem bez atu – zadeklarował edyl.

– Kontra – oznajmił pułkownik.

Niepokoili nas nieco nieobecność Tulii. Wyszła przed kilku godzinami i jeszcze jej nie było.

– Jeżeli nie znalazła kurcząt, to mogła wziąć gęś albo coś w tym rodzaju – zrobił uwagę Kubuś.

– Tak – przyznał pułkownik – nie zdąży już jej upiec. Pewnie zagadała się z kumoszką.

Do atrium wkroczył Van Campen. Zakurzony od stóp do głów, powracał z boiska. Myjąc się pod wodotryskiem opowiadał o sukcesach drużyny.

– Czy nie widziałeś gdzie wdowy? – przerwał mu pułkownik.

– Nie. A czy wychodziła za miasto?

– Tak, poszła w stronę Teglana po kurczęta.

– No, to źle trafiła. Właśnie w tamtej stronie grasowali dziś zbójcy z Wezuwiusza. Mogli ją obrabować. Podobno widziano Dziobatego, który nie żartuje.

– Kto ci to powiedział? – zaniepokoił się Aulus Firmus.

– Słyszałem od poganiaczy mułów.

Zapanowało milczenie.

– Musimy czekać do jutra – bąknął edyl – dziś moi dzielni wigile i tak nic nie poradzą. Rozpuściłem ich do domów. Zresztą, za chwilę bramy będą zamknięte. Po nocy trudno coś przedsięwziąć. Jeżeli istotnie był tam Dziobaty, to niewątpliwie ukrył się w jednej z pieczar. Na kogo kolej? Ja rozdawałem karty.

Posłaliśmy Monotroposa do tawerny. Przyniósł znośną kolację i wino, ale humory nasze nie poprawiły się już tego wieczora.

Nazajutrz nie nadeszła żadna wiadomość od Tulii. Tylko edyl zjawił się na brydża. Był dobrej myśli.

– Waszej gospodyni nie stanie się nic złego – zapewnił nas solennie. – O ile wiem, porwali ją rozbójnicy. Dziobaty jest szlachetnym bandytą, krzywdy kobietom nie robi, a nawet wynagradza je hojnie, polecając się łaskawej pamięci. Pewnej pannie z dobrego domu podarował złoty naramiennik. Co prawda, niezbyt to wysokie odszkodowanie, jeżeli wziąć pod uwagę, że owa panna starała się o stanowisko westalki. Tulia bez wątplenia też spędzi pewien czas w jaskini. Ponieważ nie jest westalką, tylko wdową, nie ma więc powodu do rozpacz.

Tym razem graliśmy do godziny drugiej nad ranem. Korzystając z nieobecności żony, edyl zaprosił nas na dzień następny do swego domu.

W takich małych miasteczkach jak Pompeja partyjka brydża musiała zwrócić uwagę. O naszej namietności dowiedzieli się patrycjusze. Z tej racji Kubuś dostał kilka zamówień na karty. Dwie talie drogo sprzedał i zaczął przemysłować nad fabrykacją seryjną. Zawarł umowę z rzeźnikiem na dostawę świńskich pęcherzy i przygotował drewniane klisze, które sam wyrzeźbił.

Najudatniejszą talię ofiarowaliśmy edylowi. Nie posiadał się z radości. Zapewnił nas, że jeżeli Kubuś będzie wystawiony na licytację, to go kupi i założy z nim akademię brydżową.

Pomimo że gra przeciągnęła się do późnej nocy, pułkownik obudził nas nazajutrz o godzinie ósmej rano i oznajmił, że musimy wreszcie złożyć hołd miejscowym bogom.

– Radziłbym – dodał – odwiedzić świątynię Junony. Przede wszystkim

dlatego, że znamy jej kapłana, Seutesa, po wtóre, że Junona należy do boskiej elity i wreszcie z tego względu, że pozbedziemy się za jednym zamachem innych wizyt. Trzeba wam wiedzieć, że w tej samej świątyni stoją posągi i ołtarze innych bóstw, Diany i Apollina, przeniesione po ostatnim trzęsieniu ziemi. Ofiarujemy po woreczku syryjskiego kadzidła i będzie spokój.

Wychodząc z domu zauważyliśmy, że nie ma Van Campena.

– Gdzież on się podział? – zawołał Kuba. – Przed pół godziną widziałem go w atrium.

– Tak, i ja go widziałem – dodał pułkownik – a bez niego wszak nie pójdziemy. Trzeba go odnaleźć.

Wyruszyliśmy na poszukiwania. Wypytyjąc przechodniów, udało nam się wpaść na pewne ślady. Właściciel jatki mięsnej zakomunikował następującą wiadomość:

– Cudzoziemiec, o którego pytacie, był tu niedawno i namawiał czeladź rzeźniczą do wzięcia udziału w jakimś turnieju.

– A dokąd poszedł?

– Nie wiemy. Zabrał ze sobą krowią głowę. Mówił, że dla panny.

– Co? Krowia głowa dla panny? – oburzył się pułkownik. – A skądże on wziął krowią głowę?

– Wygrał. Założył się i wygrał.

– O co był zakład?

– O psy, które się gryzły.

– I zabrał?

– Tak. Wziął za ucho i poszedł.

Pułkownik nie posiadał się z gniewu. Twierdził, że takie zakłady wstyd tylko nam przynoszą. Słyszane rzeczy! Dwa kundły gryzą się przed jatką i zaraz ma być zakład. Na co mu ta głowa? Musimy zbadać sprawę, bo może wyjść z tego jakiś skandal. Jemu się zdaje, że jest małym Jeffem, który bryka po Etterbeek i gra w kulki z rówieśnikami. Jako cudzoziemiec powinien dbać przede wszystkim o dobrą sławę. I tak całe miasto dziwi się owemu kopaniu piłki w towarzystwie awanturników, dla których bójka uliczna jest rozrywką.

Dzięki uprzejmości sklepikarzy udało nam się odnaleźć Van Campena. Był w lokalu cieszącym się najgorszą sławą.

– Nie, to wprost nie do wiary – powtarzał pułkownik.

– Ja go stamtąd wyciągnę – mówił Kubuś – za nogi wyciągnę razem z tym krowim łbem.

Zapukałem energicznie do małych, lecz masywnych drzwi. Otworzyła Murzynka. Lokal składał się z dość obszernej salki, której ściany były

pokryte sprośnymi malowidłami. Ciasne przejścia prowadziły do niewielkich pokoików. Spoza zasłon dolatywał śmiech. W jednej z przegródek kłócono się o pieniądze.

– Ohyda – mruknął pułkownik.

Wsunąwszy pieniądz odzwiernej do ręki, spytał:

– Czy był tu kto z krowią głową?

– Tak, panie. Nawet jest jeszcze w tej oto komorze. Lecz nie odbieraj krowiej głowy, gdyż ofiarował ją Etiopce.

Zza kotary dał się słyszeć głosik:

– Iappe, kto o mnie pyta?

– Zapytują o krowią głowę.

– Powiedz, że odstąpię za sześć asów.

Wyprowadzony z cierpliwości pułkownik krzyknął:

– Jeff, proszę do mnie!

– Tout de suite, mon colonel!

– I nie wstyd ci to?

– Owszem, cokolwiek. Nie wiedziałem, co zrobić z tą głową.

Po chwili wylazł z przegródki, a za nim wysunęła się czekoladowa piękność, niosąc pod pachą krowi łeb. Z paszczy bydłęcia zwisał ozór. Jedno ucho sterczało z fantazją, drugie było opuszczone.

Mimo woli parsknąłem śmiechem. Kubuś też nie mógł się powstrzymać. Jedyne pułkownik zachował powagę i jak na wychowawcę przystało, zbesztął pupila nie za pociąg do płci czekoladowej, lecz za niewłaściwy sposób brania się do rzeczy.

– Chłopcze – mówił – gdzież tu urok, gdzie poezja? Ty, taki młody, chadzasz w zaloty z wołowiną w garści, zapominając, że ludzie patrzą. I do kogo? Do dziewczyny z lokalu, w którym zbierają się szumowiny miejskie, tragarze portowi, poganiacze mułów, przestępcy, włóczęgi. Nie żal ci młodych lat? Czemu nie zaprzyjaźnisz się z panną z porządnego domu? Idź na forum, zabierz wiązankę kwiatów, a krowie głowy pozostaw łobuzerii.

Zawstydzony Van Campen przyrzekł poprawę.

Po nieprzyjemnym zajściu pułkownik zrezygnował tego dnia z odwiedzin w świątyni. Odłożyliśmy wszystko na jutro, by ze świeżym umysłem zasiąść przy stole z kartami w domu Aulusa Firmusa.

Od Tulii nie nadeszła żadna wiadomość. Nie było już wątpliwości, że się dostała do niewoli i przebywa w jaskini u stóp Wezuwiusza, sama jedna wobec dwunastu zbójców.

Byliśmy szczerze wzruszeni jej losem.

– Ach – powtarzał pułkownik – gdybym tu miał moich lansjerów, zadalibyśmy pieprzu tym bandytom.

XI. RUCH W INTERESIE

– Dziękuję wam za pamięć o mej bogini – mówił wzruszony Seutes. – Promienna Juno z radością wita dobrych ludzi.

Pułkownik zaprosił go na kolację.

Niepokoili nas nieco zwłoka w uruchomieniu gorzelni. Zamówiony kociołek nie nadchodził, podczas gdy Akteon z kotem stał już od tygodnia w komórce. Wobec nieobecności Tulii był teraz zupełnie niepotrzebny.

Wieczorem, oprócz kapłana i edyla, zjawili się dwaj patrycjusze. Ku ogólnemu zadowoleniu miałem wykład o grze w chemin de fera¹. Rzymianie roznamiętnili się nie na żarty. Niezwykła prostota tej gry, łatwość, z jaką robi się banki, a zwłaszcza podniecające dokupywanie do dziewięciu, wszystko to sprawiło, że przesiedzieliśmy do piania kogutów.

Kubuś wygrał ćwierć kilo srebra, co w Pompei było poważnym zyskiem. Van Campen też zarobił, jak również edyl i Seutes. Ja przegrałem, pułkownik wyszedł bez strat, choć początkowo niezłe mu się wiodło.

Nazajutrz mieliśmy czterech klientów. Przyszli po karty. Sława chemin de fera szybko rozeszła się po mieście i nie było dnia bez zamówień.

Kolorowanie obrazków doprowadziliśmy do perfekcji. Każdy z nas miał wyznaczoną rolę. Ja, na przykład, dorabiałem królom, damom i waletom rumieńce na twarzach, po czym tą samą farbą barwiłem kara i kiery. Pułkownik operował kolorem niebieskim, Jeffa wyspecjalizowaliśmy w odcieniach żółtych. Kuba był zajęty robieniem odbitek z drewnianych klisz.

– Ile też bierzesz za talię? – zagadnąłem go pewnego razu.

– Pi, ile się da zedrzeć – odparł – ale noszę się z zamiarem standaryzacji typów. Za taką talię jak ta będę brał dwa dolary.

Długo myślałem, w jaki sposób Kubuś przeliczył sesterce na dolary, i dziś jeszcze nie wiem.

Nasza wspólna kasa rosła z dnia na dzień. Wkrótce tak nabrzała, że musieliśmy wymienić u Cecylusza srebro na złoto. Bankier interesował się zamiarami Van Campena.

– Czy to prawda – zagadnął – że młody wasz przyjaciel wybiera się na Olimpiadę?

– Nic nie wiemy – odpowiedziałem.

– A jednak całe miasto o tym plotkuje. Mówią, jakoby pragnął stanąć do turnieju poetów. Czytano mi jego utwory u Wesoniusza. Są świetne. Wszyscy to powtarzają. Utkwił mi zwłaszcza w pamięci wiersz o dyskobolu, zaczynający się od słów: „Rzut mój w rozwartej zaczyna się dłoni, rzut mój

się kończy – nie wiadomo gdzie. Dysk niby pieniądz połyskliwy dzwoni, poza światami, za metami, w mgle”. Piękna poezja, pulsująca zdrowiem, tężyzną i talentem.

– Ależ on nie umie pisać wierszy! W dodatku po grecku!

– Nie uwierzyłbym, gdyby mi nie czytano. Powtarzam, wiersze są doskonale. Takiego rytmu nigdy nie spotykałem, choć sporo poświęcam czasu najlepszym autorom greckim.

Po wyjściu od bankiera pułkownik załamał ręce.

– Co wy na to? – jęknął. – Czuję, że grozi nam jakiś nowy skandal. Ten osioł wpędzi nas w tarapaty, o jakich nikomu się nie śniło. Komu on ściągnął te poezje?

A kiedy znaleźliśmy się w domu, surowy mistrz wezwał trenera na rozmowę serio.

– Jeff, chodź no tu, chodź. O, tak. Stań i spójrz mi w oczy.

– Mój pułkowniku – bąkał Van Campen zmieszany – już ja tam nie chodzę. Ostatni raz... krowi łeb... więcej nie pójde...

– Dobrze, dobrze, nie o to pytam. Powiedz no, odkąd zacząłeś pisywać wiersze?

Chłopisko spąsowiał. Wlepił w pułkownika oczy, obejrzał się, pomyślał chwilę i wykrztusił:

– Sekret.

– Nie bądźże dzieckiem, Jeff. Tu nie ma obcych ludzi. Mów śmiało, skąd wzięłeś wiersze?

– Kupiłem za dwie drachmy.

– Gdzie kupiłeś?

– W księgarni Papateoklikosa w Salonikach.

Parsknęliśmy śmiechem. Pułkownik spojrzał łaskawiej.

– No dobrze, Jeff, pokaż książkę.

Uspokojony trener przyniósł plecak, zaczął wygrzebywać najrozmaitsze przedmioty. Wśród śmieci zauważyłem wycinki z dzienników salonickich, fotografie uroczych kobiet, statut jakiegoś klubu, wreszcie broszurkę, o którą nam chodziło.

Był to ni mniej, ni więcej tylko „Laur Olimpijski” Kazimierza Wierzyńskiego w przekładzie nowogreckim. Po takim odkryciu twarz pułkownika wypogodziła się do reszty.

– Aha, to te poezje puściłeś w kurs pod własnym nazwiskiem. Doskonale. Jakże sobie jednak radzisz z językiem? Chyba zauważyłeś, że w Salonikach mówiono nieco inaczej?

– Owszem, zauważyłem.

– To i wiersze musiałeś przerobić. Wątpię, by na tym zyskały.

¹ Odmianie bakarata – we Francji znanego już od średniowiecza, popularnego do dziś na całym świecie w kasynach.

– Ja nie przerabiałem. Przerobił admirał. Nauczyłem się na pamięć, deklamowałem, a on zapisywał i poprawiał.

– Co u diabła! Jaki admirał?

– Pliniusz.

Pułkownik oniemiał. Chwilę przypatrywał się trenerowi, potem spojrzał na nas.

– No, więc jak to było z tym poprawianiem?

– Zwyczajnie. Admirał przyszedł pogapić się na nasz trening koło cmentarza. Nawet próbował podbijać piłkę. Pytał, skąd jestem.

Powiedziałem, że z Belgii. Wtedy rzekł, iż zna ten kraj i łączy go z nim miłe wspomnienia.

– W jakim rozmawialiście języku?

– Po grecku.

– Cóż ci jeszcze mówił?

– Później ja go spytałem, co tu robi. Powiedział, że zwykle przyjeżdża w lecie na odpoczynek do swego przyjaciela Wesoniusza, bo w Misenum, gdzie sprawuje rządy, klimat jest zdradliwy i nie trudno o febrę. Powiedział też, że bardzo lubi sporty, mogę więc do niego przyjść, to pogawędzimy.

– I poszedłeś?

– Owszem. Opowiadałem mu dużo. Pochwalił mnie, że jestem inteligentny w sprawach sportu. Wtedy przypomniałem sobie, że mam książkę z wierszami. Nauczyłem się i zadeklamowałem. Pliniusz zaczął się zachwycać. „Szkoda – powiedział – że nie znasz języka literackiego”. Spisał wszystko i porobił poprawki. Wszyscy mi wieszowali i mówili, że takiego talentu dotychczas jeszcze nie było. Później przynosiłem następne wiersze i coraz więcej mnie chwalono. Pliniusz radził, żebym zawiózł utwory na Olimpiadę. Zapewnia, że zdobędę sławę wielkiego poety.

W miarę jak Jeff opowiadał, twarz pułkownika przybierała coraz życzliwszy wyraz, na jego ustach igrał uśmiech. Był to uśmiech serdeczny, kochany.

Mistrz z dumą spoglądał na wychowanka. Więcej niż z dumą – z zachwytem. Chwilami przerzucał wzrok to na mnie, to na Kubusia, jak gdyby chciał powiedzieć:

– Widzicie, on nie taki głupi, za jakiego mieliśmy go dotychczas.

Van Campen zakomunikował poza tym, że ma do dyspozycji dwie drużyny futbolowe: „Pompeiana” i „Star of Pompei”. Obecnie tworzy trzecią, złożoną z bezrobotnych gladiatorów, i czwartą – z wolnych zawodów. Najlepszego pomocnika, Poimandresa, wysłał do Nucerii, a Marcjalisa do Herkulanum, gdzie zakładają nowe kluby.

Rozmowę przerwał nam Monotropos oznajmiwszy, że obiad na stole. Od

czasu choroby pułkownika zmieniliśmy tryb życia przez wprowadzenie kuchni i kolejności posiłków na sposób francuski. Co tu dużo gadać, Francuzi najlepiej się na tym znają. Rano pijaliśmy kawę żołądźkową na mleku, z pieczywem, masłem i serami. W południe śniadanie, złożone z dania rybnego, kawałka mięsa, jarzyn, sera, owoców i wina. Wieczorem o godzinie szóstej to samo z dodatkiem zupy. Najgorzej było z masłem. Kucharka, przyzwyczajona do oliwy, nie chciała początkowo zgodzić się na taką reformę. Musieliśmy ją nauczyć robienia masła, o którym wyrażała się z lekceważeniem. Stawiała również opór przy robieniu omletów, twierdząc, że zbełtane jajko działa szkodliwie na nerki.

Po obiedzie Kubuś wziął mnie na stronę. Z zaambarasowanej miny od razu poznałem, że ma jakieś poważne zamiary.

– Mój kochany – zaczął – bardzo mnie zainteresowało opowiadanie Van Campena o gladiatorach. Chciałbym bliżej poznać tych nieszczęśliwych ludzi. Pomyśl tylko, wszak oni skazani są na śmierć w kwiecie wieku. Setkami giną co roku, zabijając się nawzajem ku rozrywce gawiedzi lub walcząc z dzikimi zwierzętami. Niedole gladiatorów to najciemniejsza plama w dziejach Rzymu. Poradź mi, w jaki sposób można by się dostać do koszar.

– Zapytaj Van Campena. On tam się stale kręci.

– Masz rację. Ale pójdziesz ze mną?

– Rozumie się. Choćby dlatego, że beze mnie zbrakłoby ci odwagi. Już ja cię znam.

Dzięki pomocy trenera zdobyliśmy pozwolenie na wejście do koszar. Oprowadzał nas siwy staruszek, były zapaśnik, zwycięzca stu czterdziestu turniejów. Z dumą wymieniał nazwiska słynnych przeciwników.

– Od dwudziestu lat jestem weteranem – dodał – a miasto zapewniło mi utrzymanie do końca życia.

Koszary gladiatorów składały się z dużego dziedzińca, ogrodzonego z czterech stron zabudowaniami. Cele zajmowały pierwsze piętro. Na parterze mieściły się kuchnie, warsztaty, przybory gimnastyczne, jadalnia, areszt i obszerna sala do ćwiczeń w razie niepogody.

Gladiatorzy wyciskali właśnie oliwę. Potężna prasa ręczna wymagała równie potężnych mięśni.

– Nasza oliwa – objaśnił przewodnik – słynie w okolicy. Dostarczamy ją kupcom. Ta prasa, najlepsza ze wszystkich pras w mieście, jest własnością spółdzielni gladiatorów. Mamy gaje oliwne tuż za bramą stabiańską.

Do cel wchodziło się przez drewniany balkon, biegnący wzdłuż ścian na pierwszym piętrze. Wysmukłe kolumny, malowane żółto i czerwono, nadawały koszarom wesoły wygląd. Zauważyłem na jednej z kolumn napis:

Kubuś, któremu zależało na zrobieniu wywiadu, zaprosił weterana do pobliskiej winiarni. Staruszek jednak nie śpieszył się ze zwierzeniami. Dopiero po posiłku okazał większą skłonność do pogawędki. Przyczyniła się do zmiany nastroju butelka gęstego wina z wyspy Samos, no i obecność Van Campena, z gladiatorami pozostającego za pan brat.

– Niech sobie dziadzio podpije – szepnął Kuba – a za chwilę dowiemy się strasznych rzeczy. Nie wątpię, że uzyskane rewelacje posłużą do uświetnienia mej przysłej książki.

A kiedy rozmowa przeszła na pożądaną temat, zagadnął:

– O, dzielny Gawiuszu, jakże ciężkie było twe życie! Czy nigdy nie ogarniała cię chęć buntu?

– Owszem – odrzekł weteran – raz odmówiłem posłuszeństwa, za co skazano mnie na chłostę.

Kubuś jęknął i spojrzał na mnie znacząco.

– Jakże to było? – spytał.

– Odmówiłem, ponieważ przedsiębiorca widowiskowy chciał mnie zmusić do walki z panterą. „Nie – powiadam – taka zabawa odpowiednia jest dla początkujących chłystków. Dajcie mi lwa, inaczej na arenę nie wyjdę!” „Nie – mówi przedsiębiorca – z lwem będzie walczył Teleas”. „Dlaczego?” – pytam. „Bo tak chcą widzowie” – odpowiada. „Czy Teleas ma być lepszy ode mnie?” – A on na to: „Może i nie lepszy, ale ma więcej gracji”. – Tak się rozgniewałem, że rzuciłem zbroję. Wieczorem wyspano mi dwadzieścia batów. Od tej chwili nie buntowałem się już nigdy.

Kubuś spochmurniał. Dla poratowania sytuacji usiłował wyciągnąć nieco zakulisowych szczegółów. Dowiedzieliśmy się tyle tylko, że przed igrzyskami dzikie zwierzęta są głodzone. W dniu występu dostają takie porcje padliny, że prawie nie mogą się ruszać. O tym, aby pierwsze rzuciły się na człowieka, nie ma mowy. Ponadto gladiator staje zawsze tyłem do słońca. Lew czy lampart, trzymany tygodniami w ciemnicy, na arenie zupełnie kołowacieje. Nim ryknie, trzeba go tęgo poszturchać.

Co do zapasów między gladiatorami, to dawniej zdarzały się śmiertelne wypadki, ale jedynie wtedy, gdy zapaśnik czuł do przeciwnika jakąś urazę. Na ogół między gladiatorami istniała cicha umowa. Wynik walki ustawiano z góry, oczywiście w ścisłym gronie. Od upadku Nerona nie było już walk z zakończeniem śmiertelnym. Zresztą publiczność pompejańska nigdy w nich nie gustowała*.

¹ Mansuetus **wzywający do walki**, przyniesie Wenerze swą broń, **skoro** zwycięży – lac. **Jeśli** wolno sądzić z tego, co widziałem, nie mogę oprzeć się uwadze, że my, współcześni, mamy o gladiatorach zhistryzowane wyobrażenie. Los ich nie **był** gorszy od losu hiszpańskich toreadorów.

Czwarty tydzień mijał od zniknięcia Tulii z Apulii. Nie otrzymaliśmy żadnej wiadomości, nie słyszeliśmy żadnej pogłoski, która dodałaby nam otuchy. Jedynie sława uprzejmych wobec dam kawalerów, jaką cieszyli się zbroje, pozwalała mieć jeszcze nadzieję, że wdowa wróci.

Rzeźbę z Herkulanum ustawiliśmy w perystylu. Kucharka ubrała ją kwiatami, a Monotropos zbudował z cegieł coś w rodzaju ołtarzyka z wgłębieniem do palenia kadzideł.

Nareszcie przysłano nam zamówiony kociołek z chłodnicą. Zakrzętnęliśmy się nad ustawieniem aparatury. Zdun przebudował piec kuchenny, majster z centrali wodociągów założył nowe krany, garncarz ustawił kadz glinianą.

Kubuś, początkowo wesół i pewny siebie, pod koniec przygotowań zaczął zdradzać niepokój. Wynajdował wciąż nowe trudności. Jaki rodzaj wina okaże się najodpowiedniejszy do przeróbki na wódkę? Po czym poznamy, że frakcje aromatyczne już wyparowały? Czy przegrzanie nie zepsuje smaku?

Tak, Kubuś miał prawdziwą treść, jak dobry aktor przed występem. Gdy jednak nadeszła wielka chwila i złote wino polało się do kotła, opanował wzruszenie, stanął na wysokości zadania.

Była mniej więcej godzina ósma wieczór. Pogoda pod psem. Deszcz, wiatr, melancholia wisały w powietrzu. Zaintrygowany Monotropos i nie mniej zaciekawiona kucharka asystowali przy pierwszej próbie. Pułkownik przebiegał atrium wielkimi krokami, wsuwał co chwila głowę do kuchni, pytając:

– A co, czy już się gotuje?

Kubuś, jak na gorzelanego przystało, nie odchodził od kociołka. Gładził go ręką, pukał, poprawiał, uszczelniał połączenia gipsem z pakułami. Ja pilnowałem pieca. Van Campen od wczesnego rana był nieobecny.

W jakieś trzy kwadransy po roznieceniu ognia, w alembiku¹ zaczęło coś trzaskać.

– Zaczyna się – rzekł Kubuś, puszczając wodę do kadzi z chłodnicą.

Kociołek drzał jak motor samochodowy. U wylotu rurki miedzianej zawisła kropla płynu.

– Idzie już, idzie! – krzyknąłem.

Trudno opisać radość pułkownika, gdy przełknął odrobinę wonnego płynu. Ucisnął nam dłonie, siadł na posadzce obok amfory, do której

¹ Pierwszy aparat do destylacji alkoholu skonstruował arabski alchemik Dżabir ibn Hajjan dopiero na początku IX w.

splywała okowita i długo wsłuchiwał się w warkot kociołka. Owej nocy, po raz pierwszy od ucieczki z Castellamare, tręcaliśmy się kieliszkami.

- Drwię sobie z przeziębień i reumatyzmu – mówił Kubuś – na wszelkie choroby leczyłem się koniakiem. Raz, pamiętam, rozpedziłem hiszpankę.
- Co tu tak wesoło? – zagadnął Van Campen, ukazując się we drzwiach.
- Jeff, chodź no – zawołał pułkownik – skosztuj tego płynu i powiedz, co to?
- Schiedam.
- Nie, nie zgadłeś.
- Koniak.
- Niezupełnie. Ale mniejsza o to. Jak ci smakuje?
- Mocne.
- Siadaj z nami. Weź słoik z półki. Jeżeli jest w nim coś, to wysyp i umyj.

xxx

Słońce już przeszło, a pułkownik spał jeszcze po wczorajszej ekspertyzie gorzałki. Kubusia zastałem w kuchni. Rozpalał w piecu pod kociołkiem.

- Wiesz – rzekł – będziemy mieli dobry dochód. Jak myślisz, po ile dolarów można brać za hektolitr?
- Przestańże liczyć na dolary. Przypomina mi to inflację. Przecież, bogom niech będą dzięki, waluta cesarska stoi mocno.
- Dzień cały spędziliśmy w kuchni, co dało w wyniku około dwudziestu sextariusów okowity, którą Kubuś porozlewał do niewielkich amforek.
- Trzeba sprowadzić większe zapasy wina – rzekł – przy takim tempie starczy tego, co mamy, najwyżej na tydzień.
- Zupełnie słusznie – zgodził się pułkownik.
- I pomyślawszy chwilę, dodał:
- Ponieważ rozpijanie sąsiadów nie jest godne pochwały, radziłbym wmówić w klientelę, że napój ten posiada własności lecznicze. Wtedy będziemy w porządku. Chodzi tylko o wynalezienie odpowiedniej nazwy.
- Mamy ją – zawołał Kubuś. – Po co szukać lepszej od aqua vitae, czyli wody życia.
- Słusznie! Nazwa sama za siebie mówi. Jędrna, krótka, łatwa do zapamiętania.
- W takim razie przygotuję jutro kliszę do odbijania etykiet. U spodu dam kilka słów po łacinie, w rodzaju: „Wieczna młodość, zdrowie, siła, słoneczny pogląd na życie”. To chyba nie zaszkodzi?
- Oczywiście.
- Warto by też umieścić jaki znak fabryczny. Na przykład Herkulesa

miotającego skałę.

- Zrób Herkulesa. To dobrze przemawia do wyobraźni. A czym korkować butelki?
- I o tym pomyślałem. Tu posługują się rdzeniem dzikiego bzu. Dla pewności można jeszcze zalewać mieszaniną żywicy z kredą albo po prostu zalepiać gipsem.
- Podczas tych narad zjawił się Seutes na partię brydza. W chwilę po nim przyszedł w tym samym celu Aulus Firmus. Krótco dał do zrozumienia, że miejsca znaleźć sobie nie może z powodu przykrych stosunków rodzinnych. Żona sprowadziła swą matkę. Teraz obie mu dokuczają.
- Wrogom nie życzę takiej teściowej – westchnął. – Zobaczycie, jeżeli się zasiedzę, to obie tu przylecą.
- Staniemy w twojej obronie – zapewnił pułkownik.
- Jednak edyl był niepokieszony.
- Wy jej nie znacie – powtarzał – ona do wszystkiego jest zdolna. Gotowa posłać sykofanta¹ do Rzymu, a wtedy...
- Tu zwrócił się do Kubusia:
- A wtedy nie chciałbym być w twojej skórze, przyjacielu.
- Zaniepokoił się nie na żarty. Systematyczny tryb życia, dobre zarobki, a zwłaszcza perspektywa jeszcze większych, wszystko to wyrobiło w nas poczucie pewności siebie, bezpieczeństwa i optymistyczny pogląd na świat. O możliwych kłopotach przestaliśmy myśleć.
- Po ile gramy? – przerwał milczenie Seutes.
- Zaszeleściły karty. Dla poprawienia humorów przyniosłem karafkę wódki. Edyl i kapłan, którzy nigdy w życiu nie mieli w ustach czegoś podobnego, skrzywili się po pierwszym kieliszku.
- Pijcie – zapraszał pułkownik – jest to prawdziwa woda życia. Dodaje siłę, wzmacnia wolę, słabych na duchu przemienia w herosów.
- Edyl z zapartym tchem słuchał tych objaśnień.
- Prawdę mówisz? – spytał.
- Najzupełniejszą.
- Dolej mi jeszcze.
- Popijaliśmy grając. Lecz gra nie kleiła się jakoś. Aulus Firmus był roztargniony. Kręcił się na stołku, ocierał pot z czoła, wpadał chwilami w zadumę. Po szóstym kieliszku gorzałki rzucił karty.
- Odstąp mi nieco tego napoju – rzekł do pułkownika.
- Wszak jesteś naszym gościem, przyjmij więc w darze.
- Bogi niech wam sprzyjają!
- Wyszedł z butelką pod płaszczem.

¹ Donosiciela – z gr.

– Obawiam się – rzekł Seutes – aby z tego nie było jakiego nieszczęścia. Aulus Firmus jest usposobiony bojowo.

– I ja się lękam o następstwa – dodał pułkownik. – Nie mogłem mu wszak odmówić.

Nazajutrz rano dowiedzieliśmy się o strasznym skandalu w domu edyla. Wysoki ten urzędnik zbuntował się przeciwko żonie i teściowej. Spać poszedł z butelką wódki. O świcie, wytrąbiwszy zawartość do suchego denka, wygrzebał się spod koców, zszedł na parter i zaczął przechadzać się po perystylu. Był zupełnie nagi.

Teściowa, dosłyszawszy szmery na parterze, obudziła czym prędzej córkę. Zeszły i wspólnymi siłami jęły wymyślać edylowi.

A on milczał. Jakaś dziwna moc przenikała jego ciało. W mięśniach, w kościach czuł ciepło pomimo chłodnej nocy. Gwałtowna potrzeba ruchu sprawiła, że ku oburzeniu niewiast zaczął się gimnastykować, nie zwracając uwagi na obelgi.

– Zmysły postradałeś! – krzyczała teściowa.

– Idź spać, bo dostaniesz kijem! – wrzasnęła żona.

Wtedy dopiero edyl zareagował.

– Jestem panem w tym domu czy nie? – huknął.

Widząc, że małżonka sięga po kij, wyrzucił marmurową figurę centaury, delfinowi odtrącił ogon, wyrwał z korzeniami drzewko i wymachując nim jak buławą, zaatakował przerażone damy.

Pierwsza drapnęła teściowa. Małżonka usiłowała stawić opór. Potężny cios drzewkiem w czubek głowy zmusił ją do ucieczki. Zatarasowały się w sypialni.

Zrewoltowany edyl szalał. Powyrywał resztę krzewów w perystylu, wypuścił z klatki szczygiełka, odkręcił kran fontanny, z akwarium powyrzucał karaski, podarł purpurową zasłonę, potłukł lampy, złamał harfę, wreszcie, uzbroiwszy się w batog, zwołał niewolników i rzekł:

– Jeżeli który jest niezadowolony, to niech się kładzie.

Okazało się, że wszyscy są zadowoleni. Wtedy zapytał:

– Jestem panem w swoim domu czy nie?

– Jesteś – odpowiedzieli niewolnicy.

Wyprowadzka teściowej miała przebieg spokojny. Co do edylowej, ta przez cały dzień nie wychodziła z sypialni. Dopiero późnym wieczorem, zgłodniała, złamana na duchu, zeszła na dół i padła mężowi do kolan.

Jeżeli pozwoliłem sobie na tak szczegółowy opis, to tylko dlatego, że rozporządzałem wiadomościami z pierwszorzędnego źródła. Przede wszystkim sam edyl opowiedział o swoich przygodach. Uzupełniła je nasza kucharka, którą łączyła zażyłość z jego kucharką.

Zresztą o buncie mówiło miasto całe. Na ścianach ukazały się napisy wychwalające męstwo Aulusa Firmusa. Otrzymał mnóstwo wierszy z dedykacjami. Artyści i rzemieślnicy ofiarowali mu bezinteresownie usługi. Zdemolowane atrium doprowadzono w ciągu kilku dni do dawnej świetności. Nowy szczygieł znalazł się w klatce, a rybki w akwarium*.

I my cieszyliśmy się z triumfu edyla. Zaczynał ten człowiek nie omieszkując zwierzyć się znajomym, że zawdzięcza zwycięstwo wodzie życia, wyrabianej przez cudzoziemców w domu Tulii. Toteż zamówienia na wódkę sypały się w takiej obfitości, iż chwilami nie wiedzieliśmy, jak z tego wybrnąć.

XII. SUBTELNOŚCI TEOLOGICZNE

Nadszedł listopad, chłodny i deszczowy. Nieopalone mieszkanie dawało się we znaki. Kładąc się spać, brałem do łóżka lekytos z gorącą wodą. Jest to

* Szybka pomoc, z jaką spotkał się Aulus Firmus ze strony mieszczaństwa pompejańskiego, nie była niczym szczególnym. Prastary obyczaj rzymski regulował wzajemną pomoc w wypadkach klęsk żywiołowych (pożary, wylewy rzek itp.). Trudno mi powstrzymać się w tym miejscu od uwagi, że dzisiejsze ubezpieczenia społeczne rozwiązują to samo zagadnienie w sposób mniej bezpośredni. Zbiurokratyzowanie pomocy społecznej pociąga za sobą wysokie koszty administracyjne, a samą akcją pozbawia najistotniejszej cechy: elementu życzliwości sąsiedzkiej, tak bardzo wzmacniającej poszkodowanego na duchu. Niższość dzisiejszego systemu wzajemnej pomocy potęguje jeszcze fakt, że częstokroć system ten, nie wynagradzając należycie ludzi uczciwych, daje pole do popisu przeróżnym aferzystom, którzy z wyłudzenia odszkodowań stworzyli istny proceder. Nie zalecając, bynajmniej, powrotu do wzorów rzymskich, ze wzruszeniem wspominam czasy, gdy pewność szczęśliwego jutra nie zależała od załatwienia formalności z polisą ubezpieczeniową i kiedy prawdziwie poszkodowany nie potrzebował wydeptywać przedpokojów, walcząc o każdy grosz wsparcia.

stary, wypróbowany sposób. Butelka utrzymuje pod koldrą ciepło przez parę godzin, zabezpieczając przed chłodem i wilgocią.

W któryś z tych smutnych, jesiennych wieczorów zameldowano nam gościa. Był nim Ruben. Po wymianie pozdrowień rozejrzał się ostrożnie, czy nikt obcy nie słucha, i rzekł prawie szeptem:

- Przychodzę w ważnej sprawie.
- Siadajże, mój przyjacielu, napij się z nami – zapraszał pułkownik. Ale Rubenowi śpieszyło się do zwierzeń.
- Właściwie tylko do ciebie mam interes – zwrócił się do Kubusia.
- Do mnie? Mówże, ciekaw jestem.
- Chodzi o to, że rabbi ben Nannos poszukuje rudej krowy.
- Niestety, nie znam się na krowach.
- Ja też nie handluję, ale jak można zarobić, to co komu szkodzi?
- Skądże ci wezmę rudą krowę?
- Bądź spokojny. Ja ją znajdę, a ty pomożesz mi w czym innym.
- Do czego Nannosowi krowa?
- Do zmazania grzechów.
- Krowa zmazuje grzechy? Zwariowałaś, Rubenie!
- Po co miałem wariować, kiedy takie jest przykazanie Jehowy. Nie wierzysz? Przyniosę nasz Zakon pisany po grecku.
- I powiadasz, że to wymyślił Jehowa?
- A któż inny mógłby wymyślić. Wszystko powiedziane jest wyraźnie: do zmazania grzechów z całej gminy potrzeba rudej krowy. I koniec.
- Kup więc rudą krowę. O co ci chodzi?
- Tu właśnie jest zmartwienie, że w całej Kampanii nie ma ani jednej prawdziwej rudej krowy. Albo mają białe nogi, albo białe łaty. Jest jedna, to znów z białą strzałką na czole. Żeby się upewnić, czytałem komentarze. Reb Jochanan powiada, że w najgorszym razie taka krowa może mieć trzysta trzydzieści trzy białe włoski z prawej i z lewej. Ale, jeżeliby ona miała o jeden włos za dużo, to nie ma odpuszczenia grzechów. Choćbym nawet znalazł taką krowę, to jak rachować? I czy można być pewnym, że się człowiek nie myli? Ja chciałbym wiedzieć, w jaki sposób rabbi Jochanan liczył. Jak on to liczył?
- Trudno – rzekł Kubuś – nie pomogę ci. Nie starczy mi cierpliwości. Licz sam, na palcach.
- Ruben zamilkł, spojrzął Kubusiowi badawczo w oczy, przysiadł się bliżej i po chwili spytał:
- Nikomu nie powtórzysz?
- Bądź spokojny. Ani ja, ani moi przyjaciele.
- Słuchaj więc. Przeprowadzę krowę z łatami, a ty ją ufarbujesz.

– Rubenie, kiepsko masz w głowie. Też ci się zachciało!

– Nie rozumiem – rzekłem – dlaczego byś nie miał ufarbować krowy. Znasz się na tym. Kolorowałaś karty do gry. Przecież chodzi o zmazanie grzechów całej gminy, a to nie fraszka.

– I ty mnie namawiasz! – wściekł się Kuba. – Zaprowadź krowę do damskiego fryzjera. Niech ją farbuje. Ja nie przyłożę ręki.

– Przepraszam. Projekt Rubena wydaje się zupełnie do rzeczy. Dlaczego nie miałbyś pomóc ludziom przy oczyszczaniu się z grzechów.

– Bałwanie, czymże ją ufarbuję!

– Pomyślałem – tłumaczył się Ruben – że potrafisz. Wszak robisz kolorowe obrazki.

– No właśnie – poparłem Rubena.

– Ach, cóż za bałwan! Mineralnymi farbami chce malować krowę! – darł się Kubuś, biegnąc po atrium.

Zupełnie nieoczekiwanie do rozmowy wmieszał się Van Campen.

– Ja ją pomaluję – oświadczył – byle Ruben dobił targu.

– Będzie ruda krowa! – krzyknął uradowany pośrednik.

Z dalszej rozmowy dowiedziałem się, że Rubenowi chodziło nie tyle w tym wypadku o zarobek, ile o podtrzymanie własnej renomy. Ilekroć pojawiał się kłopot, zwracano się do niego o poradę. Nie mógł więc zrobić zawodu gminie ben Nannosa. Uspokojony, pociągając wino z własnego kubka, prawil:

– Raz było tak. Jeden mąż posądzał żonę o zdradę. Właściwie to on nie miał pewności, tylko widział ją z tamym w krzakach i to mu dało do myślenia. Idzie więc do Nannosa i mówi: „Rebe, ty mnie ratuj. Ja moją żonę mam w podejrzeniu”. „Dlaczego ty masz swoją żonę w podejrzeniu?” – pyta ben Nannos. „Bo ja ją widziałem w krzakach razem z Bencjanem”. „A czy ty ją wtedy trzymałeś za uszy?”. „Po co ja miałem ją trzymać? Ja tylko stałem i patrzyłem z nieprzyjemnością”. „No, no i co ty widziałeś?”. „Żeby to ja widziałem! Ja nic nie widziałem, bo trawa była wysoka, a podejść bliżej nie miałem odwagi, bo on jest bardzo mocny”. „Obawiam się, mój synu – odrzekł rebe – że twoją żonę trzeba będzie poddać próbie na gorzką wodę. Ty przyjdź do mnie jutro, a ja tymczasem rozpatrzę się w księgach”. Jak ten zdradzony mąż przyszedł nazajutrz, to ben Nannos krzyknął: „Nie ma innej rady. Ona musi pić gorzką wodę przekleństwa”.

– Za pozwoleniem – przerwał pułkownik – co to za gorzka woda przekleństwa?

– To jest taka woda, którą się daje podejrzanym o zdradę mężatce.

– I cóż dalej?

– Jak ta woda działa, to znaczy, że mężatka ma grzech na sumieniu.

– Co za okropne brednie! Chyba nie zaczniesz we mnie wmawiać, że i ten przepis dał Jehowa.

– Po co mam wmawiać. Zajrzyjcie do Zakonu. Wszystko tam jest wytłumaczone. Sam czytałem.

– Dobrze, dobrze, cóż się stało z ową mężatką, o której zacząłeś opowiadać.

– Wielki był kłopot ze znalezieniem wody. Ben Nannos jeździł po okolicy i szukał gorzkiego źródła. Nie znalazł. Przylatuje więc do mnie gabe i powiada: „Ja tobie dam pesachowej mąki dwadzieścia kwart za jeden sextarius takiej wody”.

– I dałeś wodę?

– Co nie miałem dać. Narwałem liści bobkowych, co są bardzo gorzkie, namoczyłem w wodzie, przecedziłem i zaniósłem.

– Skutek?

– Wprost przeciwny. Dostała wymiotów.

– I cóż na to rebe?

– Powiedział do niewiasty: „Idź w spokoju, jesteś niewinna, albowiem jelita twoje nie przyjęły gorzkiej wody przekleństwa”. Wtedy mąż zaczął się ciskać i krzyżeć, że ta woda nie była prawdziwą gorzką wodą. Szames wypchnął go za drzwi.

Dziwna ta opowieść do głębi wstrząsnęła pułkownikiem.

– Szkoda – rzekł – iż nie mamy pod ręką Starego Testamentu. Chciałbym naocznie sprawdzić, czy istotnie mieszczą się w nim przepisy o rudej krowie i gorzkiej wodzie przekleństwa*.

xxx

Mniej więcej w sześć tygodni po zniknięciu Tulii z Apulii, podczas gdy siedzieliśmy przy obiedzie, podeszła do nas kucharka i rzekła:

– Szlachetni panowie, w imieniu klientów właścicielki tego domu oraz w imieniu własnym przychodzę prosić was o urządzenie święta ku czci bóstwa, które opiekuje się wdowami. Być może, bóstwo wasze będzie łaskawsze dla Tulii od naszych bogów. Modły, które zносиłam dotychczas, okazały się bezskuteczne.

Pułkownik podrapał się w czuprynę*.

* Obecnie, rozporządzając Starym Testamentem, stwierdzam, że tak **jest** istotnie.

* W obawie, aby ktoś uprzedzony nie poczytał niżej opisanej ceremonii za niepoważną komedię, śpieszę wyjaśnić, że tylko głębokie przywiązanie, jakie klienci okazywali swej patronce, Tulii, skłoniło mnie do tego kroku. Dodać muszę, że każdy nobil pompejański (a do ich grona zaliczała się Tulia) posiadał mniejszy lub większy zastęp klientów, którymi opiekował się stale, pomagając im w życiu prywatnym. W zamian za to w życiu publicznym klienci wspierali patronów. W interesującym

– Dlaczego klienci nie przyszedli do mnie osobiście, lecz ciebie przysłali? – zagadnął.

– Są to ludzie prości, z głębokiej prowincji. Wstydzili się, władają bowiem tylko językiem gminnym.

– Kiedyż urządzić te modły?

– Choćby dziś. Oni czekają. Zatrzymali się w oberży poza murami miasta.

– Dobrze. Powiedz im, żeby przyszedli przed zachodem słońca.

Po wyjściu kucharki odbyliśmy naradę.

– Co ja mam robić – zalił się pułkownik – nigdy nabożeństwa nie odprawiałem, zdolności aktorskich nie posiadam. Jeżeli zacznę grać komedię, to na pewno nic efektownego nie wyjdzie. A teraz powiedzcie mi jeszcze, jak można wzywać pomocy bóstwa, nie znając jego imienia. Pytał mnie o imię Seutes i nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

– O imię mniejsza – wtrącił Kubuś. – Ponieważ bóstwo nasze opiekuje się kobietami, nazwijmy je Babylosem. To nawet logiczne: baby los, los baby, czyli Babylos. Pan tego nie rozumie, panie pułkowniku, ale to pięknie brzmi po polsku. Babylos, bóstwo opiekuńcze.

– Niech i tak będzie – zgodził się nasz mistrz – ważniejsza sprawa, jak zainscenizować nabożeństwo.

– Zdaje mi się – rzekłem – iż można jako tako wybrnąć z trudności. Wytłumaczy się słuchaczom, że Babylos jeszcze nie przyzwyczał się do tutejszych języków. Zresztą, co ich to obchodzi. Pan, panie pułkowniku, zadeklamuje coś po francusku, ja i Kubuś po polsku, poza tym nalejemy na tackę trochę okowity i podpalimy. Tego tu nie widziano.

Wspólnymi siłami ułożyliśmy program. Reżyserią zajął się Kuba. O zmroku zjawili się klienci, dwie kobiety i pięciu mężczyzn. Byli to ludzie więcej, poubierani w penule z kapturami. Daleką drogę odbyli pieszo, co znać było po zniszczonych sandałach.

Nie chcąc tracić zbyt wiele czasu pułkownik od razu wziął się do rzeczy. Kazał wysunąć rzeźbę na środek atrium, podpałił gorzałkę na ołtarzyku i zwróciwszy się twarzą do Babylosa, wygłosił rostandowski monolog, zaczynający się od słów: „Naprzód, kadeci Gaskonii, pierwsi do łgarstwa i do broni, naprzód, gaskońskie junaki, pijaki, zabijaki...”.

Następnie Kuba zadeklamował poprawnie wstęp do „Pana Tadeusza”, a ja

nas wypadku Tulia odziedziczyła po mężu obowiązek opiekowania się czterema rodzinami. Pocziwi wieśniacy zamieszkiwali **jej** folwarczek pod Lucerią, siejąc pszenicę, wytłaczając oliwę i wino. Daniny nie płacili żadnej, jeżeli nie brać pod uwagę pięciu amfor wina i dwudziestu **modiusów** mąki, co roku, po ukończeniu zbiorów, dostarczanych do Pompei. Przypominam, że gospodyni nasza, choć niezamożna, niemniej ze względu na szlachetne pochodzenie (słynny mówca Ciceru **był jej** stryjcznym pradziadem) wyrzekła się wielu potrzeb, by godnie sprostać obowiązkowi, nakładanym na nią przez **jej** sferę.

wyrecytowałem jedyną rzecz, która mi utkwiała w pamięci z czasów szkolnych, mianowicie „Pawła i Gawła”. Wszystko, razem wzięwszy, wcale źle nie wypadło.

Uroczystość dobiegała końca. Klienci płakali, gdy raptem na ulicy dały się słyszeć wrzaski. Tumult przeistoczył się przed naszym domem w istną burzę. Myślałem, że to folusznicy wzięli się za czuby.

Ktoś zakołatał. Monotropos wybiegł do przedsionka. Wołano: „Witaj! witaj!”. Fala ludu wtargnęła do atrium. Wśród ciżby ujrzałem Tulię z koszyczkiem, siedzącą na ramionach wigilów.

Trudno opisać, co dalej się działo. Około kwadransa trwał zgiełk. Wszyscy krzyczeli, pytali, dawali odpowiedzi, cieszyli się. Tulia beczała, to samo robiła kucharka i kilka matron pompejańskich.

Zjawienie się edyla wniosło nieco porządku. Wysoki ten urzędnik państwowy, po pamiętnym zwycięstwie nad żoną, cieszył się teraz ogólnym posłuchem. Toteż obcy ludzie, wiedzeni jeno ciekawością, musieli opuścić progi naszego domu. W atrium pozostali najbliżsi znajomi, klienci, sąsiedzi, my i grupa wybitnych obywateli.

Tulia, dowiedziawszy się o naszych modłach do Babylosa, rzekła:

– Oto jest bóstwo, któremu zawdzięczam ocalenie.

Z tymi słowy podeszła do posągu, ręce złożyła na piersiach, podniosła głowę i wygłosiła modlitwę dziękczynną.

Zauważyłem ze zdziwieniem, że jest porządnie ubrana, wygląda nieźle i bynajmniej nie robi wrażenia osoby torturowanej przez zbójów. Po wyjściu gości opowiedziała nam, jak to naprawdę było. Do szczerych zeznań, być może, przyczynił się odwar berberysowy z miodem i wódką, które pułkownik nie żałował.

– Ach, filozofie zacny – mówiła wdowa – sama nie wiem, od czego zacząć opowieść o chwilach spędzonych wbrew mej woli w jaskini. Jak wiesz, wysłałam owego dnia za miasto po kurczęta. Dla skrócenia drogi wybrałam ścieżkę u stóp Wezuwiusza. Za laskiem oliwnym, w pobliżu wioski Caesarina, podszedł do mnie jakiś mężczyzna i zapytał, czy czego potrzebuję. A kiedy mu wytłumaczyłam, rzekł: „Chodź ze mną, szlachetna damo, nie zawiodę twego zaufania”. I zaprowadził mnie między wertepy skaliste, gdzieś bardzo wysoko. Potem włożył do ust dwa palce, gwizdnął i na ten znak wyskoczyła z krzaków gromada zbrojnych mężów. Otoczyli mnie i, nie bacząc na łzy i zakłęcia, zawiedli do pieczary.

– Straszne – rzekł pułkownik – czy bardzo znęcali się nad tobą, o Tulio?

– Musiałam im ulegać. Pierwszą dekadę trzymał mnie przy sobie ich przywódca. Potem powiedział, że obowiązkiem wodza jest dbać o wszystkich. Co trzy dni zmieniali się więc moi opiekunowie. Karmili mnie

rzetelnie, nie mogę narzekać. Dziś rano przywódca bandy, a było ich razem dwunastu, wręczył mi kobiałkę z parą kurcząt, ofiarował ten oto drogocenny pierścień i rzekł: „Gdybyś jeszcze kiedy potrzebowała drobiu, o Tulio, przyjdź w te strony”. Wyprowadził mnie na ścieżkę i puścił.

Klejnot, подарowany przez przywódcę zbójców, istotnie wyglądał pięknie. Ponieważ nie ulegało wątpliwości, że pochodzi z rabunku, Tulia była nieco zażenowana.

– Czy wypada go nosić? – pytała.

Następnego ranka odwiedził nas edyl z sekretarzem. Tym razem przyszedł jako osoba urzędowa, by przeprowadzić śledztwo w sprawie porwania. Po spisaniu zeznań odprawił pomocnika, a sam pozostał u nas na południowym śniadaniu. Honory domu z wdziękiem sprawowała wdowa. Zwróciliśmy uwagę, że pobyt w jaskini nie odbił się źle na jej zdrowiu. Odmłodniała, wyprzystojniała, głos jej stał się dźwięczniejszy, a ruchy bardziej harmonijne. Toteż nie żaliła się zbyt, choć powrót pod własny dach napawał ją szczerą radością.

– Nawet mi przez myśl nie przeszło – mówił edyl – że wasz Babylos jest tak potężnym bogiem. Żałuję, iż nie wierzyłem, gdy mi o tym opowiadał Judejczyk Ruben. Byłbym się może wcześniej uwolnił od przykrych stosunków domowych.

– Skutek twych modłów, edylu – rzekła Tulia – mógłby okazać się wręcz niepożądany. Babylos jest opiekunem kobiet, w sporach małżeńskich więc nie staje po stronie mężów. Ot, gdyby Helena z tawerny Sittiusza przyszła się pomodlić, kto wie, czy nie spotkałoby ją spełnienie marzeń.

Kubuś skrzywił się z niesmakiem.

– Chyba i moja wola coś tu znaczy – bąknął.

– Co do Heleny – odezwał się edyl – to rozmawiałem dziś rano z tą dziewczyną. W dalszym ciągu jest w tobie zakochana, mój młody przyjacielu, i nie zamierza rezygnować z miłości. Mówiła poza tym, że Sittiusz związa tawernę i przenosi się z żoną i dziećmi w okolice Syrakuz, gdzie kupił folwark. Helena będzie wolna. Zapewne jeszcze w ciągu tej zimy wydam jej akt emancypacyjny, na którego zasadzie zyska pełne prawo obywatelstwa.

Po krótkim milczeniu edyl zwrócił się znów do Kubusia:

– Mam jeszcze do spełnienia dyskretną misję. Proszono mnie o zakomunikowanie ci pewnej wiadomości. Jak wiesz, Helena jest osobą zamożną. Gdyby chciała, mogłaby kupić tawernę po Sittiuszu wraz z całkowitym urządzeniem. Renomę ma ustaloną, przedsiębiorstwo jest w stanie kwitnącym, zdawałoby się, iż nic nie stoi na przeszkodzie.

– No to czemu się namyśla – mruknął Kubuś – niech kupi.

– Otóż nie. Jest pewna przeszkoda.
 – Mianowicie?
 – Miłość. Helena woli wręczyć swe oszczędności przysłemu mężowi. Jednym słowem przeznaczają je na posag i liczy, że ty zostaniesz jej mężem.
 – Jeszcze czego! – uniósł się Kuba. – Ja mam jej zastąpić całą tawernę razem z gośćmi. Nie, to nie da się zrobić!
 – Helena ma przyjaciół w najlepszych domach Pompei – wtrąciła Tulia.
 – Gra na lirze – przypomniał edyl.
 – Píše poezje – dodałem ja.
 – Zresztą nie do mnie należy zachwalanie jej cnót – mówił edyl – ona sama ci o tym napisze. Pokazywała dziś na forum list adresowany do ciebie. Jeżeli jeszcze nie otrzymałeś...
 W sieni rozległo się kołatanie.
 – Czego tam? – zapytał Kubuś, sięgając po laskę.
 Zaskrzypiały drzwi. Monotropos wprowadził ośmioletnie pacholę.
 – No – odezwałem się – takiego chyba nie wypędzisz.
 – Tak, to najstarszy z synów Sittiusza – odparł. I zwrócił się do malca:
 – Czego pragniesz, Marku?
 – Pozdrawiam cię, panie, w imieniu Heleny, która dała mi ten list do wręczenia.
 – Dobrze. Uważaj misję za spełnioną.
 – Czy dostanę odpowiedź?
 – Nie, dostaniesz garść fig. Nadstaw ręce. O tak, trzymaj, zuchu. A na drugi raz, jak przyjdiesz z listem od Heleny, dostaniesz baty.
 Podskakując z zadowolenia, mały Marek wybiegł na ulicę.
 Słowo pisane, nie wyłączając listów, było w Pompei rzadkością. Ani jedno z miast Kampanii nie okazywało takiej powściągliwości w studiowaniu literatury jak nasze. Dość powiedzieć, że w Herkulanum istniały dwie biblioteki publiczne i wiele zbiorów prywatnych, podczas gdy w Pompei nie wydawano pieniędzy na książki.
 Toteż każdy list budził w mieście zaciekawienie. I w tym wypadku wiedziałem, że Kubuś musi, rad nierad, zaspokoić ciekawość edyla i wdowy. Ponieważ sam nie chciał czytać, wyręczyłem go z przyjemnością.
 List był skreślony nie na woskowanej tabliczce, lecz na kosztownym papirusie. Zaczynał się od słów: „Helena do swego oblubieńca”. Dalej następowało zwykle pozdrowienie w imieniu bogów, wreszcie tekst:
 „Luby, wybac mi śmiałość. Gdyby nie przekonanie, że miłością przewyciężę twój upór, nie odważyłabym się wysłać listu, który rani mą dumę...”
 Kuba wzruszył ramionami. Czytałem dalej.

„O, jakże ręce mi drżą, gdy piszę te słowa. Kocham cię i nie przestanę, albowiem spełnić się musi wola bogini, której złożyłam w ofierze trzy pawie. W nagrodę oznajmić mi raczyła przez usta kapłana, że przybysz z dalekiej północy moim wkrótce zostanie. Dlatego wiedz, o luby, że wszystko, co mam, tobie przeznaczam, oddaję bez zastrzeżeń. Śmiało, z podniesioną głową zdążam do celu, niosąc ci miłość i szczęście...”
 – Ona zbzikowała – zawołał Kubuś – idę po karty!
 I wyszedł. Na prośbę Tulii dokończyłem czytania listu. Było w nim jeszcze ślubowań bez liku i szczegółowy projekt przyszłego współżycia. Helena obiecywała wierność do grobowej deski, posłuszeństwo oraz gotowość wyjazdu do dzikich barbarzyńskich krajów.
 Dopiero po przeczytaniu ostatniego zdania spostrzegłem, jak wielkie ten list wywarł na słuchaczach wrażenie. Tulia płakała cicho, edyl miał oczy wilgotne, a tylko Monotropos, stojący pod filarem, uśmiechał się złośliwie.
 Na schodach ukazał się Kubuś. Skoro spostrzegł, że wszyscy szlochają z rozrzewnienia, zawrócił.
 Wypłakawszy się, wdowa położyła mi dłoń na ramieniu i rzekła:
 – Takiej miłości nie wolno deptać bezkarnie.
 – Masz słuszność, Tulio – potwierdził edyl – nie byłoby sprawiedliwości na świecie. Czy nie uważasz, że twoje doświadczenie mogłoby mieć wpływ na bieg wypadków?
 – Zastanowię się nad tą sprawą, Aulusie. Namówię też Helenę, aby przyszła pokłonić się Babylosowi.
 – O, jeżeli zajdzie potrzeba – wniósł się do rozmowy pułkownik – to nawet urządzimy uroczyste modły.
 – Hej, Kubuś – zawołałem, ujrawszy go na schodach – urządzamy nowe nabożeństwo!
 – Za kogo?
 – Za ciebie.
 – Niby po co?
 – Żebyś przekonał się do Heleny.
 – Nie lubię kobiet z długimi włosami.
 – A w jakimż to kraju kobiety noszą krótkie włosy? – zainteresował się edyl.
 – W moim – odparł Kuba.
 – Chyba im obcinają za karę?
 – Bynajmniej. Same chodzą do fryzjerów. Chłopięce fryzury dodają im wdzięku.
 – Wprost nie do wiary!
 – Szczerą prawdą – potwierdził pułkownik.

– Czy i poważne matrony postępują w podobny sposób? – zainteresowała się wdowa.

– Owszem, często nawet babki.

Na stole ukazały się karty. Różniśmy w chemin de fera do północy. Tulia, nie wykazująca większych zdolności przy brydżu, w lot pojęła, na czym polega nowa gra, i dzielnie dotrzymywała nam towarzystwa. Szczęście fuszerom sprzyja. Udało jej się obębnić partnerów, co również padło na konto opieki Babylosa.

– I jak tu nie wierzyć w bogów – rzekł edyl.

XIII. JEFF ZAKOCHANY

Pewnego ranka zupełnie nieoczekiwanie obudził nas wielki rejwach. Spośród obcych głosów wybijał się na plan pierwszy baryton Monotroposa.

– Stój! Gdzie się pchasz, barania głowo? – wrzeszczał nasz maître d'hôtel.

Nie ulegało wątpliwości, że w atrium są obcy ludzie. Pośpiesznie otuliłem się płaszczem wełnianym i zbiegłem na parter. To samo zrobił pułkownik, z którym spotkałem się na schodach. Ujrzeliśmy scenę świadczącą o wielkiej swobodzie obyczajów porannych gości.

Dokoła impluvium stało około czterdziestu zawadiaków. Dwaj z nich byli zajęci biciem Monotroposa, inni zachęcali ich do czynu, reszta wymyślała na czym świat stoi.

– Co to ma być? – krzyknąłem tonem możliwie groźnym.

Przybysze zamilkli. Jeden z nich wysunął się naprzód, powitał mnie na sposób rzymski i przemówił:

– Czcigodny panie! Przyszliśmy z okazji Nowego Roku złożyć życzenia naszemu mentorowi, lecz ten oto nędzny niewolnik nie chce nas wpuścić.

– Przede wszystkim wy go puście – rozkazał pułkownik – a teraz mów wyraźnie, o jakiego mentora wam chodzi i coście za jedni?

– Jesteśmy członkami drużyn piłkarskich.

– Aha, od tego trzeba było zacząć. Monotropos, sprowadź Jeffa.

Niewolnik, gładząc dłonią rozczochraną czuprynę, odparł:

– Nie ma go. Mówiłem tym cuchnącym folusznikom, że go nie ma. A oni wołają: „Jest, jest!” i zaraz biorą się do bicia.

– A gdzie podział się Jeff?

– Skąd ja mam wiedzieć. Od tygodnia już nie nocuje. Kiedy wszyscy pójdą spać, wymyka się chyłkiem z domu i wraca dopiero na śniadanie. Sprawdziłem. Posłanie trenera było puste.

– Moi przyjaciele – rzekł pułkownik do gości – może przyjdziecie nieco później. Wasz wódz jest nieobecny.

– Tak zrobimy, czcigodny panie – zgodził się folusznik – lecz pozwól nam pozostawić skromne upominki.

Podszedł do stołu i postawił spory garnuszek gliniany. To samo zrobili inni z tą różnicą, że naczynia ich były mniejsze.

– Ciekaw jestem, co zawierają te garnki? – zwrócił się pułkownik do Monotroposa po wyjściu gości.

– Zwyczajnie, miód – odparł zapytany – co taka hołota mogłaby przynieść lepszego.

Istotnie, we wszystkich garnuszkach była patoka.

Do atrium wbiegła wystraszona Tulia. Ujrawszy pułkownika, zawołała:

– Jakże się cieszę! Miałam sen, że zbóje z Wezuwiusza napadli na mieszkanie. Najwyraźniej słyszałam krzyki. Lecz co tu tak czuć czasnek?

– Mieliśmy gości... foluszników – z pogardą w głosie wyjaśnił Monotropos. – Pozostawili w upominku te skorupy za naukę kopania piłki.

Na powtórne zaśnięcie po tak raptownym przebudzeniu było już za późno. Poprosiliśmy więc o wodę do golenia.

– Gdzie tego szalapatę diabli ponieśli? – mruczał pułkownik skrobiąc się zyletką.

Nie mogłem odpowiedzieć na pytanie. Zresztą ciekawości naszej nie wystawiono na ciężką próbę.

Po zejściu na dół zastaliśmy przy stole Van Campena popijającego kawę w towarzystwie Tulii. Apetyt miał, jak zwykle, doskonały, szczebiotał wesoło i co najdziwniejsze, zupełnie był świeży, ogolony, nawet pachnący. Szczegół ten zaintrygował nas wszystkich. Wszak o tej porze fryzjerzy jeszcze nie pracują.

Ujrawszy surową twarz opiekuna, Van Campen poczerwieniał. Zamilkł, spuścił oczy i zaczął bębnić palcami po stole. Następnie chrząknął, spojrzął na sufit i wstał, chcąc cichaczem wymknąć się z atrium.

– Jeff, skończcie śniadanie – zatrzymał go pułkownik.

Van Campen zawrócił.

– Siadaj.

Usiadł.

– Powiedz, gdzie byłeś dziś w nocy?

– U narzeczonej.

Pułkownik zdębiał. Nikt nie z nas spodziewał się takiej odpowiedzi. Jedna tylko Tulia nie okazała zdziwienia.

– Jeff mówi prawdę – rzekła – bo skądżeby wziął olejek ambrowy, którym jest namaszczoney.

Na dalszą rozmowę zabrakło czasu, gdyż do atrium powtórnie wtargnęli folusznicy. Wynieśliśmy się na górę, pozostawiwszy trenera z wychowankami.

– Mais c'est inouï, c'est inouï – powtarzał zirytowany pułkownik – co on sobie myśli? – O godzinie szóstej rano wraca od narzeczonej i w dodatku już ogolony, wysmarowany pachnidłami. Słyszeliście? Od narzeczonej. O godzinie szóstej rano wraca od narzeczonej!

Tymczasem na parterze odbywały się owacje. „Pompeiana” i „Star of Pompei”, zbratane wspólnym uniesieniem, zapomniały o antagonizmach dzielących kluby, by złożyć hołd założycielowi.

Pierwszy połapał się w sytuacji Kubuś.

– Mistrzu – rzekł – porozmawiamy z Jeffem przy sposobności. Jeżeli zrobił coś niewłaściwego, to tylko w prostocie ducha. Tymczasem należałoby sportowców poczęstować. Czy nie mam racji? Wszak to Nowy Rok, mój pułkowniku.

Posunięcie Kubusia było zręczne. Na dźwięk słowa „poczęstować” pułkownik wyzbył się gniewu, a na wspomnienie Nowego Roku ogarnęła go tkliwość.

– Tak, masz rację – oświadczył z mocą – wszak to Nowy Rok.

I znów zeszedł na dół, by wymienić tradycyjne życzenia z wdową, światem sportowym i służbą.

Każdy z nas dostał od Tulii po garnuszku miodu, taki tu bowiem był zwyczaj. Wzruszony pułkownik przepijał winem na prawo i lewo, a po upływie pół godziny wrócił do sypialni, skąd wyszedł dopiero w połowie dnia.

W ciągu dnia napłynęło pod naszym adresem około trzydziestu naczyń z miodem. Niektóre były ozdobione pięknymi rysunkami. Najwspanialej wyglądał upominek przysłany Kubusiu przez Helenę, dzban z kutego srebra, pokryty płaskorzeźbami. Rysunki wyobrażały sześć scen z życia Afrodyty. Zawierał miód przyprawiony olejkiem różanym.

Edyl wykosztował się na okazałą wazę glinianą z malowidłami. W podobny sposób przypomnieli się nam: Seutes, bankier Cecyliusz, Sittiusz, Civilis. Nawet Ruben przysłał garnuszek z miodem. Najciekawsze, że Van Campen otrzymał też cenne naczynie malowane z napisem greckim:

„Wielkiemu poecie – wielbiciele”. Wcale nie zmieszany, zaniósł je do Tulii z prośbą o przechowanie*.

Podczas południowego posiłku humory były doskonałe. Drażliwą sprawę narzeczeństwa poruszyła wdowa.

– Bardzo mnie cieszy – rzekła – iż przynajmniej jeden z was przestał być sobkiem. Jakże można, gdy tyle pięknych pań jest dokoła, boczyć się i unikać zalotów.

Wymawiając te słowa spojrzała na Kubusia, potem na srebrny dzban z wizerunkami Afrodyty i znów na Kubusia.

– Kiedy się o tym zgadało – przemówił pułkownik – powiedz no mi, Jeff, w kim jesteś zakochany?

Czerwony jak wisienka założyciel klubów sportowych odparł:

– O, to bardzo przyjemna panna.

– Nie wątpię. Lecz jak się nazywa i co robi?

– Nazywa się Irena. Robi w kosmetyce.

– Która Irena? Może ta fryzjerka? – spytała Tulia.

– Właśnie, właśnie.

– Znam ją. Dobra dziewczyna. Dawniej była niewolnicą Fabiusza Valensa, który, umierając, zapisał jej domek ze sprzętami i obdarzył wolnością.

Zadowolony z pochwały, Jeff przesunął ręką po podbródku i dodał:

– Goli jak anioł.

– Aha, więc to ona cię pielęgnuje? – roześmiał się pułkownik.

– Ona.

– I ona cię naperfumowała?

– Tak.

– Zgoda. Pielęgnujcie się nadal, ale dlaczego nazywasz ją narzeczoną?

– Bo jesteśmy po słowie.

– A to w jaki sposób?

– Zwyczajnie. To się nazywa sponsalia. Ja jej ślubowałem, a ona mnie.

Byliśmy z tym u księdza proboszcza.

– Jakiego proboszcza?

– Z parafii świętej Junony.

– I cóż wam powiedział?

– Powiedział, że bardzo mu przyjemnie oglądać taką zakochaną parę, potem odebrał przysięgę i pobłogosławił nas na nową drogę życia.

– Kiedy ślub?

– W lecie, przed Olimpiadą. Irena chce, żeby uroczystość odbyła się w jej

* Autor zapomniał dodać, że na wszystkie podarki, jakie wpłynęły do naszego domu, odpowiedziałem w podobny sposób. Tak zwanego „rewanżu” przestrzegano w Pompei bardzo ściśle.

rodzinnym kraju, dokąd pojedziemy. Potem sprzedamy dom w Pompei, a w zamian kupimy porządniejszy na Aenarii. Cecyliusz urządza tam termy lecznicze, klientela więc będzie pierwszorzędna, przeważnie z Rzymu. Zakładamy „Salon de beauté”¹ dla pań i panów. Wszystko już omówione.

– Porzucasz więc piłkę nożną?

– Tymczasem nie myślę. Mam nadzieję niezgorzej zarobić na wiosennych meczach. Jeżeli spotka mnie zawód, to rzucę.

– I zamieszkaż na stałe przy termach aenaryjskich?

– Tak. Trzeba się wreszcie urządzić.

– Mówiłeś o tym projekcie z Cecyliuszem?

– Rozmawiała Irena.

– Ha, daj ci Boże szczęście – westchnął pułkownik.

I pomyślawszy chwilę, dodał:

– Powiedz swej narzeczonej, by do nas przyszła.

Tego dnia wieczorem odbyliśmy radę bez udziału trenera.

– Rozumiecie chyba – mówił pułkownik – jak bardzo mnie zaskoczyła ta wiadomość. Nie mam za złe Jeffowi, że się zakochał. Przynajmniej nie będzie się włóczył po obskurnych spelunkach jak ta, w której zastaliśmy go pewnego razu. Co innego mnie trapi. Jak wiecie, nie pozostaniemy tu dłużej ponad dwa, trzy lata. Van Campena oczywiście zabierzemy. Co stanie się więc z jego żoną, domem, salonem piękności? Ten szaloputa mówi tak, jak gdyby nie myślał o powrocie.

– Drugie pytanie – dodał Kuba – nad którym warto się zastanowić, czy to wypada, aby młody człowiek zwracał pannie głowę małżeństwem, o ile wiadomo, że w końcu ją porzuci.

– Podoba mi się tak jasne ujęcie sprawy – rzekł pułkownik. – Gotów jestem porozmawiać z Jeffem na ten temat, wątpię jednak, czy będzie jaki skutek. Chłopak nie zdaje sobie sprawy, co dzieje się dokoła. Nie rozumie nawet, że znalazł się w innej epoce. Traktuje wszystko jako zwyczajną zmianę miejsca.

– Dajmy mu więc tymczasem spokój – rzekłem – i niech się żeni. W ostatecznym razie skłonimy go do rozwodu.

– Z tego wniossek, że najlepiej nic nie przedsiębrać – zgodził się Kubuś.

Na to pułkownik:

– Przystaję na zupełną bierność. Co do fabrykacji wódki, to jeżeli uznacie za konieczne, zamówię większy alembik. Stwierdzam, że za jakie półtora roku będziemy zamożnymi ludźmi. Sprzedajemy dziennie dwadzieścia litrów, i to dość drogo, przyznajmy to otwarcie. Nie jestem za podbijaniem ceny. Wolałbym zwiększyć produkcję.

¹ Salon piękności – *franc.*

– I wprowadzić na rynek nowe gatunki – podsunąłem myśl, którą Kuba poparł.

– Tak, nowe odmiany trunków – zawołał – to mi się podoba! Zaraz się biorę do przygotowania anyżówki. Ze też wcześniej nie przyszło mi to do głowy.

Na tym stanęło. Pułkownik dał nam jeszcze do zrozumienia, że cena likieru powinna być umiarkowana.

– Weźcie pod rozwagę – mówił – że obecnie pompejańczycy płacą za litr tyle, ile w Paryżu kosztuje garnitur marynarkowy u pierwszorzędnego krawca. Podbijanie takich cen byłoby bezwstydnym wyzyskiem. Co innego karty. Nad talią trzeba się napracować, ubabrać, a wódka sama się robi. Jak widzę, opętała was mania łatwych zarobków.

Ku końcowi konferencji, nie bacząc na gwałtowny sprzeciw ze strony Kubusia, palnąłem krótką mowę w obronie Heleny. Jeżeli współczujemy narzeczonej Jeffa, jeżeli zastanawiamy się nad jej przyszłością, to czyż nie zasługuje na jeszcze większą litość nieszczęsna lutnistka, zakochana bez wzajemności? Irena nic nie straci na miłości do Van Campena. Przeciwnie, zarobi, gdyż osiadzie na bogatej wyspie. Co innego Helena. Zrzekła się, jak wiadomo, oberży po Sittiuszu i lokuje wszystkie swe oszczędności w efemerydach, które zapewnić jej mają szczęście. Uważam, że polityka Kubusia doprowadzi dziewczynę do ruiny. Należy coś zrobić, albo-albo, bo tak jak jest, dalej nie może być.

xxx

Nie powinienem pominąć milczeniem pewnej przygody, jaką miał Kuba w początkach lutego. Szliśmy boczną uliczką, on i ja, gawędząc o sprawach bieżących.

Raptem zza węgła wyskoczył na nas jakiś stary dziad z sękatym kijem.

– Hu, hu! – wrzasnął i rzucił się na Kubusia.

Ten w nogi. Uciekał około dwustu kroków, potem obejrzał się, stwierdził, że ma do czynienia z osobnikiem słabszej kompleksji, wobec czego przystanął, nadał pierś jak atleta i przyjął pozycję bojową.

Dziad z kijem zatrzymał się również.

– Ej, ty stary wariacie, co ci się zachciewa? – krzyknąłem.

– Zachciało mi się wygarbować skórę barbarzyńcy.

– Za cóż to?

– Za Helenę.

Uspokojony Kubuś podszedł z godnością. Przyjrząwszy się istocie, która napędziła mu strachu, spytał:

– Jak się nazywasz?

– Pitos.

– Pitos? To coś w rodzaju beczułki.

– Tak mnie nazywają. Byłem pękaty za młodu.

– A czym się zajmujesz?

– Przeważnie pijaństwem.

– To chodź z nami do tawerny. Dostaniesz tyle wina, ile się zmieści w twoim beczkowatym żołądku.

Czego jak czego, ale knajp w Pompei nie brakowało. Kiedyśmy siedli za stołem, Pitos zawołał:

– Mariuszu, przynieś amforę. Tylko żywo, nie marudź, patrz, kto do ciebie przyszedł.

Karczmarz obrzucił nas nieufnym spojrzeniem.

– Który z was płaci? – zagadnął.

– Ja – zapewnił Kuba.

Wjechało wino. Pitos nie chciał pić zwykłym kubkiem. Zażądał większego naczynia. Trzeba przyznać, że na przezwisko zasługiwał zupełnie. Jak żyję nie widziałem takiego spustu. Wypić za jednym zamachem litr ciepłego piwa, to i ja potrafię. Ale łykać w tym samym tempie chłodne wino, wydaje mi się popisem.

– Zdrowo ci? – spytałem.

– Zdrowo.

– Nalać?

– Nalej.

– A teraz powiedz, Pitosie – rzekł Kuba – za co napadłeś na mnie z kijem?

– Ze złości. Mówiłem ci już, że za Helenę. Nie myśl, że skoro piję z tobą, to zacznę cię szanować.

– Czy Helena jest twoją krewniaczką?

– Nie. Jest moją uczennicą.

– Uczyłeś ją zapewne mieszania win w kraterze?

– Mylisz się. Uczyłem ją gramatyki, dykcji, pisania wierszy, moralności i filozofii.

– Wybacz, że cię nie doceniałem. Twój malowniczy wygląd usposabia do poufałości.

– Tak, jestem cokolwiek zaniedbany – zgodził się profesor. – Niedawno Helena podarowała mi nowy płaszcz z wełny kreteńskiej. Niestety, przegrałem.

– Wracając do Heleny: co cię oburza w moim postępowaniu?

– Wszystko.

– Skąd czerpiesz wiadomości? Czy zwierzała ci się ze zgrzyzot?

– Nie dalej jak wczoraj.
– Co mówiła?
– Przestań udawać głupiego. Pytasz, jak gdybyś sam nie wiedział. Dziewczyna wyrzeka się tawerny, byle zostać przy tobie. Zrywa z bogatymi kochankami, porzuca Sittiusza, który ją kochał jak córkę. A ty? Czy powitałeś Helenę choć raz dobrym słowem? Może chcesz wiedzieć, co myślę o tobie? Chcesz?
– Nie, nie mów. Czuję, że musiałbym się obrazić. A zależy mi na utrzymaniu poprawnych stosunków.
– Sam więc sobie powiedz.
– Zgoda. Jak długo masz zamiar pomieszkać w tym szynku?
– Do zamknięcia.
– W takim razie żegnaj, Pitosie. Pozostawiam ci fundusz na opłacenie należności.
– Żegnaj, barbarzyńco*. Nie wiedziałem, że wystarczy nastraszyć cię pałką, by znaleźć się w winiarni.

xxx

Wieczór był dżdżysty. Siedzieliśmy w kuchni, grzejąc się przy kociołku destylacyjnym, gdy nagle w atrium coś ryknęło. Jednocześnie dał się słyszeć głos Jeffa:

– Allez, allez, cocotte!
– Krowę przyprowadził! – zawołał Monotropos, wbiegając.
Na żwirze, przy wodotrysku, machała ogonem młoda krówka. W bladym świetle lampki oliwnej zauważyłem, że jest pokryta błotem po samą szyję. Pułkownik oburzył się nie na żarty.
– Do czego to podobne! – zawołał. – Bądź łaskaw wyprowadzić ją na dwór.
– Tylko na jedną noc, mój pułkowniku – prosił Van Campen. – Co ja z biedaczką pocznę. Szukałem noclegu w oberżach, nigdzie nie chciano mnie przyjąć.

Dopiero po zapaleniu drugiej i trzeciej lampy spostrzegliśmy, że Jeff jest równie zapałkany, jak krowa.
– Gdzieżeś się tak ubabrał? – spytał udobruchany pułkownik.
– Byłem na jarmarku w Mons Lactarius. Właśnie stamtąd wracam.
– Dlaczego ty, a nie Ruben? On miał się zająć kupnem.
– Ruben pojechał łodzią do Stabii po farbę z łupin orzechowych. Tylko

tam można dostać. Jest to preparat używany do damskich włosów.

Podszedł do krowy, poklepał ją po karku i dodał:
– Zmęczyła się. Bardzo pocziwe bydlę. Przed dobieciem targu musiałem spoić chłopa winem.
– Ale gdzie ją będziesz trzymał? – zaniepokoił się pułkownik. – Chyba nie w atrium!
– Jeżeli Tulia pozwoli, to w atrium. Innego miejsca nie ma. Przywiążę do tego filara i niech sobie stoi. Gdyby narobiła nieporządku, sam sprzątnę.
Wróciliśmy do kuchni. Van Campen tymczasem wpędził krowę do basenu. Właściwie wpędził tylko pół krowy, gdyż więcej nie mogło się pomieścić. Wziął szczotkę i zajął się myciem. Pracował w pocie czoła. Na pysku zwierzęcia znać było cierpienie.
Nazajutrz rano zastałem krowę pośrodku atrium. Leżała na boku, patrząc bezmyślnie na malowane ściany.
– Jadła co? – zagadnąłem Van Campena.
– Pozjadała kwiatki z rabatek.
– Dlaczego spuściłeś ją z powroza?
– To nie ja. Odwiązał Ruben.
– Był?
– O wschodzie słońca. Teraz poszedł na śniadanie. Chciałem go poczęstować, ale brzydzi się naszej kuchni.
Wymyta krowa z wysiłkiem podniosła tylną część ciała, następnie przednią i stanąwszy na nogach, głośno ryknęła.
– Tęskni za oborą – zrobił uwagę Jeff.
Farbowanie zajęło dwie godziny. Po wielokrotnych poprawkach łaty poznikały. Van Campen podczas tych zabiegów toaletowych zabarwił sobie dłonie na brązowo.
Ruben przynaglał do pośpiechu.
– Już czas – mówił – reb Nannos czeka. Wkrótce minie ostatni termin odpuszczania grzechów.
Wdowa wręczyła Jeffowi zawiniątko z żywnością na drogę.
– Wróc przed nocą – rzekła – chciałabym was mieć jutro przy sobie.
– Czy zanoszi się na jaką uroczystość? – zagadnął pułkownik.
– Jutro wypada Dzień Zaduszny. Zapalę światła na grobie mego męża. Liczę, że i wy przyłączycie wasze modły do moich.

* Czytelnika zaskoczy może epitet „barbarzyńcy”, jakim nas stale częstowano. Śpieszę wyjaśnić, że określenie to nie było zbyt obelżywe. Oznaczało przybysza z dalekiej prowincji.

miejskich. Tak był z mordowany, że nie jadł nawet wieczerzy, nie opowiadał o przygodach, tylko runął, jak stał, na posłanie i zasnął.

Nazajutrz rano obudziło nas słońce. Koło godziny ósmej przyszła Helena z pękiem kwiatów. Kubusiowi skinęła tylko głową na powitanie.

Wyruszyliśmy na cmentarz dźwigając małe lekytosity z winem i oliwą. Po drodze wstąpiliśmy do kwiaciarni, gdzie pułkownik obładował nas mnóstwem sasaneł, przyłasczek i kaczeńców.

Grób Antoniusza, męża Tulii, przypominał wiejską kaplicę. Wprost wejścia zobaczyłem ołtarzyk. Z obu stron pod ścianami ławki kamienne. Na ołtarzu stała urna alabastrowa z popiołami zmarłego. Obok dwie jeszcze urny, skromniejsze, zawierające prochy niewolników.

Helena przybrała wewnątrz grobowca kwiatami, podczas gdy wdowa napełniła oliwą lampki gliniane i poustawiała je na ołtarzu, a Monotropos skrzesał ognia.

Przy świetle żałobnej iluminacji zasiedliśmy na ławach, by wypić po czarce wina ku czci tych, którzy odeszli. Cisza panowała, nikt nic nie mówił. Wdowa i Helena, ukrywając twarze w dłoniach, modliły się szeptem.

Sam nie wiem, jak to się stało, dość że i ja szeptać zacząłem Wieczny Odpoczynek. Nie zdziwiłem się też wcale widząc, że i pułkownik porusza wargami, a Van Campen żegna się nabożnie.

– Chodźmy pomodlić się na innych grobach – rzekła Tulia.

Kapliczkę pozostawiła otwartą aż do zmroku, zgodnie z tutejszym obyczajem. Zwiedziliśmy kilka mogił, nie zapomniawszy rzucić na każdą po pęczku kwiatów. Były to przeważnie grobowce rodzinne, często bardzo okazałe, pełne rzeźb i malowideł ściennych. Wszędzie płonęły lampki poustawiane na półkach bądź zawieszane pod sklepieniem.

Cmentarz roił się od pobożnych. Między publicznością kręcili się sprzedawcy kwiatów, oliwy i wina. Nie brakowało też żebraków, którzy zjechali do Pompei z okazji Zaduszek.

– Co to za zbiegowisko? – zagadnął pułkownik na widok wielkiego tłumu przed skromną kapliczką.

– W grobowcu tym – rzekła Tulia – spoczywają zwłoki dwunastoletniego Gracjusza Caeciny. Utonął w rzece Sarno ratując młodszego brata, dlatego czcimy jego pamięć.

Nieco dalej ujrzałem pomnik z trawertynu wyobrażający popiersie starszego mężczyzny. Na cokole widniał napis z prośbą o westchnienie do bogów. Przed grobowcem, twarzą do trawnika, leżała kobieta. Obok niewolnik trzymał za rękę sześciolletnią dziewczynkę.

– To Decymilla Alfeni oplakuje męża – rzekła Tulia.

Na prośbę Heleny odwiedziliśmy grób pierwszej żony Sittiusza. Kapliczka

XIV. UMARLI I ŻYWI

Van Campen nie zrobił nam zawodu. Wrócił przed zamknięciem bram

mieściła się w piwnicy. Przy urnie z prochami zmarłej stała urna z niebieskiego szkła i dwie inne, gliniane. Dowiedziałem się, że zawierają one szczątki pierworodnej córeczki oberzysty oraz dwu niewolników, których nabył wraz z tawerną od poprzedniego właściciela.

Najwspanialszy, moim zdaniem, był grób przypominający świątynię, wybudowany przez wyzwolenca Ariusza Diomedesa dla siebie, dla swej byłej pani i jej niewolników. Dzięki zaletom charakteru i licznym zasługom Diomedes piastował wysoką godność, o czym świadczył napis na ścianie: MAGISTER PAGI AUGUSTI FELICIS SUBURBANI¹.

Koło południa tłumy na cmentarzu zaczęły rzędnąć. Obywatele wracali do miasta, by przed wieczorem odwiedzić po raz drugi miejsce wiecznego spoczynku. Wszystkie grobowce były przez ten czas otwarte. Czuwały nad nimi patrole wigilów uzbrojonych w laski i krótkie miecze.

Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie wywarł na mnie o zmierzchu widok alei grobów, oświetlonej tysiącami lampek. Pompejańczycy, hałaśliwi za dnia, snuli się teraz jak białe cienie po cmentarzu. Jeżeli co mówiono, to szeptem, a szeptano przeważnie modlitwy za zmarłych.

Dawno już słońce zaszło, gdy Tulia zamknęła drzwi swej kapliczki. W owym dniu bramy miasta stały otworem do północy. Można było wchodzić i wychodzić. Czasami tylko wigile zapytywali o imię i o dzielnicę.

Jedynym zakłóceniem Zaduszek była obława na hieny cmentarne. W podziemiach grobu duumvira Scaurusa ujęto draba, który usiłował wynieść posążek marmurowy.

xxx

– Zgadnijcie, co dziś będzie na obiad? – rzekła Tulia.
– Może pstrągi – próbował trafić pułkownik, znawca i amator ryb łososiowatych.
– Będzie potrawka z kurcząt.
– To mi nie imponuje. Jadamy je często.
– Tak, ale z jakich kurcząt! Są to kurczęta mojego chowu. Ojcem ich jest kogut, a matką kwoka, które otrzymałam od zbójów z Wezuwiusza.
Pułkownik powinszował wdowie przychówku i dał jej do zrozumienia, że wobec tego zaprosi edyla i Seutesa. Do tego właśnie Tulia zmierzała. Strach, jak ta kobieta roznamiętniła się do loteryjki, w którą dla odmiany grywaliśmy od czasu do czasu.

Obiad, podany według wzorów francuskich o godzinie szóstej wieczór, zakończył się nieoczekiwanym epizodem.

– Źle nam jakoś wdowa wygląda – mówił edyl – patrzcie, jaka blada.
– Istotnie – przyznał Seutes – blada jak maska tragicznego aktora, choć przed chwilą z zapałem grała w karty.

– Co ci to, Tulio? – zagadnął pułkownik.

– Nic, nic, nie zwracajcie na mnie uwagi. To przejdzie. Stałam przy piecu, zakręciło mi się w głowie od gorąca.

Jednakże nie przeszło. Gościnną Tulia, obchodząc stół z półmiskiem, zachwiała się nagle i ciężko runęła na posadzkę.

– Wody, wody! – krzyknął pułkownik.

Złapałem krater od wina, skoczyłem do basenu, napelnilem wodą i wylałem na twarz nieprzytomnej wdowy.

Przenieśliśmy ją do sypialni. Monotropos pobiegł po lekarza.

Dzięki ponawianym natryskom i masażowi rąk i nóg Tulia ocknęła się dość szybko z omdlenia. Dalszymi zabiegami zajął się Civilis. Pozostawiliśmy go sam na sam z chorą.

– A, to coś nowego – powtarzał pułkownik zabierając się do potrawy z kurcząt.

– Mój przyjacielu – rzekł edyl – organizm kobiecy bywa niesłychanie wrażliwy. Na przykład moja żona. Zdawałoby się, jędza z piekła rodem. Tymczasem miewa bóle głowy z taką punktualnością, że mógłbyś regulować godziny zajęć. Jeszcze ciekawsza pod pewnymi względami jest teściowa. Przed każdym deszczem uskarża się na łamanie w kościach. Zresztą, nie tylko przed deszczem. Wrażliwość tej kobiety na wilgoć bywa tak wielka, iż wystarczy, by podczas upału polano perystyl wodą. Częstokroć nawet przed polaniem zaczyna ją łamać jak przed słońcem.

– Zdumiewające – zawołał pułkownik – zaczyna ją łamać przed polewaniem? Chyba przesadzasz, edylu*.

Do atrium wszedł Civilis. Obstąpiliśmy go, pytając o zdrowie Tulii.

– Nic szczególnego – oświadczył – zwykły przypadek kobiecy. Mniej więcej w pierwszych dniach lipca w domu tym zakwili niemowlę.

– Niemowlę? – bąknął zdumiony pułkownik. – Niemowlę Tulii?

– Tak jest.

– Ładna historia!

Po wyjściu lekarza zapanowało kłopotliwe milczenie. Sam nie wiem dlaczego, zacząłem spoglądać ukradkiem na pułkownika, pułkownik na edyla, edyl na Kubusia, a Kubuś na mnie. Milczenie przerwał Seutes.

– Czy czasem nie pamiętacie daty porwania Tulii? – zagadnął.

– Owszem – odparłem – można obliczyć. To był początek października.

* Istotnie, nieraz zauważyłem, że Aulus Firmus po kilku kieliszkach lubił zagalopować się w rozmowie.

¹ Zarządca okręgu podmiejskiego, Augustus Felicis – *lac.*

– Nie – rzekł edyl – porwano ją w połowie września. Wypadek ten mam zanotowany w księdze raportów.

– W takim razie – ciągnął Seutes – rozumiem wszystko. A i wy, niewątpliwie, domyślacie się, o co chodzi.

– Na Jowisza – zawołał pułkownik – zdaje się, że już zrozumiałem! Biedne dziecko, biedne dziecko...

Na to odezwał się edyl bez cienia współczucia:

– Tulia doczekała się tego, o co prosiła bogów.

– Wybacz, edylu – zaprotestował pułkownik – nie uwierzę, by ją to cieszyło.

– A jednak. Pamiętam Tulię, kiedy nie była jeszcze wdową. Składała wtedy często ofiary błagając bogów o potomstwo. Owdowiawszy, nie poruszała więcej tej bolączki. Jestem przekonany, że czuje się szczęśliwa, choć nie wypada jej przyznawać się otwarcie.

– Ja myślę, że nie wypada – westchnął pułkownik. – Biedne dziecko, dziecko z tuzinem ojców. I to jakich! Sami zbóje. Żeby choć jeden był przyzwoity, to ostatecznie można by wszystko na niego zwalić.

– Najsmutniejsze – odezwał się edyl – że przy wciąganiu imienia niemowlęcia do spisu obywateli Pompei wypadnie zaznaczyć, kto jest ojcem. Nie wiem, doprawdy, jak z tego wybrnę.

– Miejmy nadzieję – rzekłem – iż znajdzie się szlachetny mężczyzna, który przyjmie na siebie odpowiedzialność. Na przykład Kubuś.

Strzał był trafnie wymierzony. Mój przyjaciel zaczął się wściekać.

– Dlaczego nie ty – zawołał – co by ci szkodziło zostać trzynastym w tej kompanii?

– Nie czas na sprzeczki – wmieszał się pułkownik – lepiej pomyślmy nad pytaniem, skąd wziąć dla Tulii damę do towarzystwa.

– Sprowadźmy Helenę – rzekłem. – Ona teraz nie ma nic do roboty. Słowa te rozgniewały Kubusia. Gdyby nie obecność pułkownika i gości, potraktowałby mnie stekiem przekleństw.

Ostatecznie nie powzięliśmy żadnej decyzji. Lecz któż zdoła opisać przerażenie Kuby, gdy nazajutrz rano zjawiała się Helena, nie zapraszana przez nikogo, z własnej inicjatywy.

Siedzieliśmy właśnie przy stole. Byłem przyjemnie zdziwiony, widząc z jaką ta dziewczyna umie zachować się godnością, prostotą i taktem. Przechodząc przez atrium pozdrowiła nas grzecznie i rzekła:

– Przyszłam do Tulii, ponieważ zawiadomiono mnie o jej chorobie.

Następnie zwróciła się do Kubusia, który wykonał gest, jak gdyby chciał uciec:

– Możesz na mnie nie zwracać uwagi! Nie twoim jestem gościem.

I odeszła do dalszych pokojów.

– Tyś ją tu sprowadził – burknął Kuba.

– Głupstwa pleciesz. Nie wychodziłem z domu.

Jakkolwiek słabość Tulii minęła bardzo szybko, Helena nie przestawała jej odwiedzać, unikając naszego towarzystwa. Była to inteligentna taktyka, obliczona na stopniowe obłaskawienie Kubusia. Toteż przestał kłąć na jej widok, a pewnego razu pierwszy podniósł ramię na powitanie.

xxx

Pamiętam ranek, w którym nas obudziły melodyjne piski. Ktoś grał w atrium na instrumencie przypominającym saksofon.

Co to może być? Wyskoczyłem z łóżka, to samo zrobił pułkownik. Zbiegliśmy po schodkach.

Koło wodotrysku, na kopce zieleni, siedział Van Campen i, przytupując do taktu nogą, wygrywał na tataraku.

– Jeff – zawołałem – co to za harmider?

Spojrzał na nas, uśmiechnął się i odparł:

– Gram.

– Do czego te łodygi?

– Do przybrania. Dziś mamy Zielone Świątki. Całe miasto na nogach. Wstawajcie. Będzie wesoło*.

Jeff miał słuszość. Nigdy nie widziałem tak radosnego powitania wiosny, jak w owym dniu, poświęconym Junonie. Wszystkie domy, ulice i place zazieleniły się, zapachniały. Gałęzie, wodorosty i kwiaty zwożono wozami, znoszono w koszach, dostarczano na osiołkach.

Zabawnie wygląda taki osiołek obładowany sitowiem. Widać tylko głowę i kopyta. Dziw ogarnia, że tyle może udźwignąć.

Święto wiosny było jednocześnie świętem matek i kobiet, które pragną zostać matkami. Z tej racji naszą Tulię odwiedzały liczne przyjaciółki, modliły się na jej intencję przed Babylosem i obdarzały ją wiązkami kwiatów. Helena przyniosła bukiet przepysznych róż.

– Wracam ze świątyni Junony – rzekła do pułkownika. – Ponieważ twój bóg, Babylos, opiekuje się kobietami, pozwól mi schylić głowę przed jego posągiem.

– Ależ z największą przyjemnością – odparł – chętnie sam wezmę udział

* Zaduszki obchodzono w Pompei w drugiej połowie lutego. Święto, które Van Campen nazwał Zielonymi Świątkami, wypadło 1 marca. Poza tym utkwilo mi w pamięci jeszcze jakieś święto ludowe ze skakaniem przez płonące ognisko. Jak powiada Kubuś, podobne obrzędy odprawia się po dzień dzisiejszy w Polsce. Warto by zbadać genezę tych obyczajów.

w uroczystości.

Tulia, wspierana przez Helenę i kucharkę, przeszła do atrium i zasiadła w fotelu przed posągiem. Pozapalaliśmy wszystkie lampy. Żadnych innych efektów pułkownik nie robił. Co uchodziło wobec dzikich klientów z prowincji, nie mogło być powtórzone w chwili, gdy dwie inteligentne kobiety błagały Babylosa o szczęście. Poprzestałem na roznieceniu ognia na ołtarzyku i rzuceniu szczypty kadzideł.

Cisza panowała w atrium. Kubuś ukrył się na pierwszym piętrze, pułkownik siedział na uboczu przyglądając się posągowi, który w migotliwym świetle miał wygląd niemniej tajemniczy od innych bóstw pompejańskich.

Nagle stało się coś, czego najmniej można się było spodziewać. Pocałowawszy Tulię w czoło, Helena podeszła do Babylosa i drżącym głosem przemówiła:

– Nie znam cię, obcy bogu. Nie wiem, jakich ofiar potrzeba, by zyskać twoją przychylność. Nie przynoszę ci złota ani ambry, lecz to, co mam najdroższego. Przyjmij więc, o dobry bogu, i spraw, by ofiara moja nie poszła na marne.

– Co ona robi? – syknął pułkownik.

Nim zdążyłem się połapać we wszystkim, Helena rozpuściła włosy. Ciężkie, falujące, obfite. Zgarnęła je nad głową i jednym dotknięciem nożyc odcięła.

– Stój, Heleno!

Pułkownik rzucił się naprzód, lecz było już za późno. Deszcz loków spadł na posadzkę. Ktoś załkał za moimi plecami. Obejrzałem się. Szlochała kucharka. A Monotropos, ten łajdak, chichotał.

Przeniosłem wzrok na Tulię. Siedziała bez ruchu z twarzą ukrytą w dłoniach. Helena zaś, podniósłszy odcięte loki, złożyła je u stóp Babylosa. Następnie padła na kolana, ręce oparła o kamienną podstawę rzeźby i znieruchomiała w modlitwie.

Zrobiło mi się nieswojo. Poszedłem na górę i zawiadomiłem Kubusia o rzeczach widzianych. Mruknął coś niewyraźnie.

– Ofiarowała włosy Babylosowi.

– Gwiżdżę na Babylosa.

– Nie ryzykuj. Babylos pokazał, co umie.

Najwyraźniej Kubuś sponsepniał. Znać było, że go dręczy niepokój. Bo Kubuś jest zabobonny. Na przykład lęka się trzynastki, nigdy w piątek nic nie zaczyna, a gdy czarny kot przebiegnie mu drogę, zwraca bez namysłu. Pobyt w Pompei, ciągle obcowanie z bogami, atmosfera cudów, wszystko to spotęgowało w nim wrodzone skłonności. Toteż, dowiedziawszy się o

postępku Heleny, stracił humor.

– Bardzo sobie obcięła? – spytał.

– Przy samej głowie.

– I złożyła je na ołtarzu?

– U stóp bóstwa.

– A co teraz robi?

– Modli się.

– Gotowa sprowadzić nieszczęście. Po jakiego diabła przywoziliście tego bałwana.

Okręciwszy się kocem, zamknął oczy.

– Zejdiesz na dół?

– Nie, nie zejść.

– No to martw się. Ja idę do atrium.

Tegoż dnia spadła na nas klęska. Zjawił się edyl i bez żadnego wstępu oznajmił:

– Otrzymałem odpowiedź z Miasta. Bardzo przykra.

Poprawił tożę, odkasznął i mówił dalej, zwracając się do Kubusia:

– Boski Wespazjan nie wchodząc w bliższe szczegóły uważa cię za obywatela wrogiego kraju. Masz być sprzedany z licytacji. Do czasu póki kwestor nie zajmie się tą sprawą, odpowiadam osobiście za ciebie. Poczawszy od dnia dzisiejszego jesteś niewolnikiem.

Wyrecytowawszy jednym tchem urzędową formułkę, edyl przeistoczył się w cywila, objął Kubusia w pole i jął zawodzić:

– Żegnaj, drogi przyjacielu! Żegnaj, osłodo mojego życia. O ty, który nauczyłeś mnie przepięknych gier w karty, który przyczyniłeś się do poskromienia żony-złościcy, żegnaj mi, żegnaj!

Rozdzierająca scena trwała co najmniej kwadrans. Edyl rozpaczal powtarzając:

– O, on już przepadł! Wywiozą go z Pompei, o ile na miejscu nie znajdzie się człowiek dość bogaty, by sobie pozwolić na taki zbytek.

– Dlaczego mają wywieźć? – z trwogą w głosie zagadnął pułkownik.

– Na pewno wywiozą. Kupi go jakiś przemysłowiec, odstawi do Miasta i założy fabrykę wody życia.

– A czy na przykład ktokolwiek z nas nie mógłby kupić Kuby? – spytałem.

– Nie. Wszak żaden z was nie posiadał praw obywatelskich. Niewolników trzymać wam nie wolno.

– Ratuj, edylu, ty wszystko możesz! – wołał pułkownik.

– Sam nie wiem, doprawdy, sam nie wiem, co robić – odpowiedział dygnitarz ocierając łzy skrajem togi.

Podczas tego dialogu, prowadzonego w tonie nerwowym, zerkalem na Kubusia. Bładł, rumienił się, zieleniał.

- Jak się czujesz? – spytałem.
- Odpryśnij – odparł.
- Kupiłbym cię, gdyby mi było wolno.
- I cóż byś ze mną zrobił?
- Oddałbym Helenie za pół ceny.
- To ma być żart?

Tymczasem Tulia zdążyła podzielić się nowiną z sąsiadami. Przed domem zebrał się tłum życzliwych osób. Wywoływano Kubusia parokrotnie. Wszyscy zapewniali, iż nie bacząc na nagły spadek w hierarchii społecznej, nadal będzie traktowany z szacunkiem. Świeżo upieczony niewolnik nie bardzo wiedział, co odpowiadać, toteż plótł trzy po trzy bez żadnego ładu i składu.

Zegnając się z nami, edyl przemówił do Kubusia:

– Tymczasem nie potrzebujesz zmieniać postępowania. Wiem, że z Pompei nie uciekniesz ani nie popełnisz żadnego nietaktu, za który byłbym odpowiedzialny. W niedalekiej przyszłości będę musiał przelać wszelkie prawa do twojej osoby na kwestora. Gdybyś po tym falcie zdążył zbiec z miasta, żadna przykrość już mnie nie spotka. Rozważ to i wyciągnij wnioski.

xxx

Dwie doby po otrzymaniu przykrew wiadomości Kubuś nie wychodził z mieszkania. Wstydził się, a może lękał, by go wigile gdzie nie zamknęły. Dość że przesiedział kamieniem cały ten czas, gryzmołając na papirusach jakieś notatki.

Edyl odwiedzał nas codziennie. Nie poruszał więcej drażliwego tematu, pytał się tylko, czy mamy jakie projekty i cośmy zdziałali.

Nastrój w domu był jak przed pogrzebem. Tulia i kucharka popłakiwały, pułkownik stał się milczący, tylko Monotropos uśmiechał się złośliwie, spoglądając z ukosa na Kubusia. Największą przedsiębiorczość okazał Van Campen.

– Jeżeli zajdzie potrzeba – rzekł pewnego razu – to pouzbrajam moich foluszniaków w pałki i niech się dzieje wola boska.

– Nie myśl o tym – zgromił go pułkownik – znajdziemy lepszą radę.

Projektów było bez liku. Codziennie ktoś przychodził z nowym pomysłem. Wzruszyła nas zwłaszcza Tulia. Ubrdało jej się, że Kubuś powinien uciec i wstąpić do rozbójniczej bandy Dziobatego.

– Znam ścieżkę – rzekła – od czasu do czasu będziemy się więc widywać.

A przy sposobności czmychniesz do Kalabрії.

Lecz Kuba nie chciał o tym słyszeć.

– Ani mi się śni – powtarzał – nie chcę być zbójcem.

Z realniejszym projektem wystąpił pułkownik. Należy zaczekać do czasu, aż edyl zrzeknie się odpowiedzialności na rzecz kwestora i wtedy urządzić ucieczkę. Dokądże Kubuś ma zbiec? Oczywiście do Neapolu, gdzie znajdzie przytułek u chrześcijan. Schowają go w katakumbach i szukaj wiatru w polu. Chodzi tylko o to, aby przedostał się niepostrzeżenie przez jedną z bram miejskich. W tym pomoże Van Campen. Spoi dozorców albo przekupi. Ponieważ droga lądowa jest tłumnie uczęszczana i patrole łatwo mogłyby Kubusia złapać, powinien wybrać drogę morską. Trzeba więc pomyśleć o wynajęciu żagłówki.

Po odejściu edyla Kubuś upił się jak nieboskie stworzenie. Upił się po desperacku. Jeszcze w atrium zsuł sandały, wbiegł na pierwsze piętro i myk do łóżka. Następnie zaczął walić czymś twardym w podłogę, wołając po francusku:

– Madame, madame!

Tulia, otrzaskana z jego dziwactwami, zjawiała się niezwykle szybko, siedziała bowiem w sąsiednim pokoju.

– Co się stało?

– Szukam zapomnienia, o Tulio.

– Może ci opowiedzieć o mych larach rodzinnych?

– Nie, Tulio, przyślij mi wina.

Kubuś-niewolnik przespał kamieniem do dnia następnego.

Krótko mówiąc, zalał robaka. Może to i dobry sposób spędzić noc pod narkozą.

– Gdzie teraz mieszka Helena? – zwróciłem się nazajutrz rano z zapytaniem do Tulii.

– W domu Sittiusza.

– Wszak Sittiusz wyjechał.

– Zostawił jej klucze.

– Co ona tam robi?

– Pakuje rzeczy.

– Przenosi się?

– Tak, do tego domu. Przygotowałam jej pokój obok mojego. Powinna zjawić się lada chwila.

Do rozmowy wtrącił się pułkownik.

– Nie rozumiem – rzekł – dlaczego Kubuś trwa w uporze. Helena jest ładna, zgrabna, inteligentna, ma w charakterze dużo szlachetności.

Dżentelmen nie powinien zasmucać damy. Sama delikatność wskazuje w

tym wypadku drogę do serca.

Dolał sobie wódki do gorącego grogu. Tulia westchnęła.

– I gdybym był na jego miejscu – ciągnął mistrz – wierzajcie mi, tę złotą dziewczynę w ramionach bym nosił, po rękach całował, obsypywał kwiatami...

W przedsiönku rozległy się kroki. Do atrium weszła Helena. Chciała nas minąć nie zatrzymując się, lecz pułkownik zastąpił jej drogę, do piersi przycisnął, przyhołubił, pocałował w czoło, wołając:

– Córuchno, jakże ty go kochać musisz, moja ty śliczna!

Zaskoczona lutnistka rzuciła pytające spojrzenie. Widocznie nie znalazła w mych oczach złośliwości, gdyż przytuliła się do pułkownika jak ufne dziecko.

Pobiegłem na pierwsze piętro, by wyciągnąć Kubę z pościeli.

– Co robi Helcia? – spytał. – Zdaje mi się, że słyszałem jej głos.

– Siedzi przy stole.

– Bardzo zacięta?

– Mniej od ciebie.

Skrzywił się, ziewnął, uniósł na łóżku i sam do siebie mruknął:

– Diabli mnie tu przynieśli.

– Zejdiesz na dół?

– Muszę zejść. Jestem niewolnikiem.

– Może chciałbyś przedtem zobaczyć ją z obciętymi włosami?

– A zmieniła się?

– Wygląda jak lalka. Sądząc z główki, aniołek.

– Chciałbym popatrzeć. Czy nie ma kogo na schodach?

– Nie ma.

Kubuś wyskoczył z łóżka, zszedł na półpiętrze, potem niżej, stanął na czworakach i ostrożnie wysunął głowę. Był zupełnie nagi.

Trzeba trafu, że wtedy nadeszła nasza kucharka z dzbanem wody.

Ujrawszy czworonoga, krzyknęła przeraźliwie, upuściła naczynie i uciekła.

Rozumie się, że i Kubuś drapnął. Huk pękających skorup okrutnie go przeraził. W domu powstało zamieszanie. Przez kilka minut słychać było bieganie, łoskot przewracanych stołków i gniewny głos pułkownika. Do sypialni wpadł Van Campen wołając:

– Nie wiecie, co się stało?

I nie czekając na odpowiedź, pobiegł dalej.

Ostatecznie Tulia orzekła, że kucharce, która lubi pociągać z amfory, widocznie coś się przywidziało.

Wyłażąc po raz drugi z łóżka, Kubuś nie omieszkał podzielić się ze mną myślami:

– Wy tłumacz, gdzie tu logika? Jedne baby z krzykiem zmykają na mój widok, inne z miłości dostają bzika, trzecie są obojętne. A zapytaj je o zdanie, każda ci powie co innego.

Gdy zeszedliśmy do atrium, Heleny już nie było. Udała się po swe rzeczy do oberży, wzięwszy do pomocy Jeffa i Monotroposa. Kuba skorzystał, by napić się spokojnie wina i udać się w mym towarzystwie na spacer. Ciepło było, słonecznie.

– Co tak pachnie? – spytał.

Wskazałem na Wezuwiusz, skąd wiatr przynosił zapach kwitnących drzew migdałowych.

Do studni ulicznej podeszła dziewczyna z dzbanem. Jedna z tych, które wieczorami widywałem na stopniach świątyni. Ujrawszy nas z uśmiechem rzekła do Kubusia:

– Będziesz grzeczny? Chyba teraz nie odtrącisz Heleny?

XV. „OI BARBAROI”

Stara to prawda, że czas jest najlepszym lekarzem wszelkich strapień. Po parodniowym przygnębieniu wróciliśmy do równowagi duchowej i, jakby nic nie zaszło, pędziliśmy gorzałkę.

Pułkownik zawarł znajomość z kwestorem. A że ceremonia ta odbyła się przy butelce, bez trudności więc doszli do porozumienia.

Stanęło na tym, że nie ma się co śpieszyć z ogłaszaniem przetargu. Dobrze jest, jak jest. Kwestor będzie dostawał w równych odstępach czasu określoną ilość okowity, w zamian za co ma siedzieć cicho.

Byle pchać dalej, byle nie tracić czasu.

I znów w domu Tulii z Apulii zagościł spokój. Pewnym zgrzytem, który nas na razie obszedł niewiele, było zjawienie się Rubena.

– To nie wiecie – rzekł z tajemniczą miną – że o was mówi całe miasto? Że wkrótce ma być wystawiona komedia i zostaniecie ośmieszeni?

– Pierwsze słyszę – odparł pułkownik. – Któż sobie pozwala na takie żarty?

– Poeta Amfikrates. Napisał komedię pod tytułem „Oi barbaroi”¹.

– To drań dopiero! – oburzył się Kuba.

– I pomyśleć – dodał pułkownik – że fundowałem chłystkowi parokrotnie kolację, uważając go za życzliwego człowieka. Ostatecznie, co nas to wszystko obchodzi. Niech sobie gryzmoli na nasze konto. Wszyscy i tak wiedzą, że jesteśmy więcej warci od Amfikratesa. Z nas mogą się pośmiać, ale szanować nie przestaną, podczas gdy jego wyrzucają za drzwi z pierwszej lepszej szynkowni.

Ochłonawszy z gniewu, pułkownik zagadnął Rubena, jak było naprawdę z rudą krową. Od Jeffa nie mogliśmy się wiele dowiedzieć, gdyż się wysławiał nieudolnie.

Ruben opowiedział, że krowę sprzedali za pół ceny. Przyczyniła się do tego ulewa. Całodzienny deszcz spłukał z bydłęcia barwnik, wskutek czego zaczęły prześwitywać łaty. Kiedy stanęli w getcie, powitano ich jak

zbawców. Żydzi modlili się po domach błagając Niebiosa o zesłanie rudowłosej krowy. Rabbi dwie noce nie spał ze zgrzyoty i nie jadł przez dwa dni. Aby nie umrzeć z wycieńczenia, drzemał we dnie, a w nocy popijał rosół.

– To jak on się dowiedział, że przyprowadziłem rudą krowę – mówił Ruben – to on kazał szamesowi zatrzeć z wielkiej radości, a potem wołał: „O, Jahwe! Nie opuściłeś wybranego ludu!”. I wszyscy się cieszyli, i taki był krzyk, że aż przyleciał wigil. Ale na drugi dzień, jak eksperci zaczęli krowę oglądać, zrobił się lament. Szames przybiega do mnie i robi wymówki, że krowa jest niedobra. Kobiety płaczą, a patriarchowie wołają: „Rabbi, ratuj! Ona jest pstrokata! Rabbi, zrób cud, żeby ona się stała całkiem jak wiewiórka!”. Na to nadbiega szames i wrzeszczy: „Precz z tego domu! Cudów im się zachciało w taki deszcz! Jeszcze rabbi krowy nie widział, a oni chcą cudu!”.

– No, no i co powiedział rabbi? – z rosnącym zainteresowaniem pytał pułkownik.

– Rabbi długo myślał. Oglądał krowę, potem rzekł: „Ja tak od razu nie mogę powiedzieć, czy ona jest w porządku. Ja muszę zajrzeć do ksiąg. Wy tymczasem idźcie się modlić”. To wszyscy modlili się od rana do wieczora. A kiedy słońce zaszło, ben Nannos zwołał starców. „Ja – powiedział – jeszcze nie mam pewności. Ja się zamykam teraz na siedem godzin i będę błagał Przedwiecznego o jasnowidzenie”. W całym getcie był wielki niepokój. Nikt z mężów nocy tej oka nie zmrużył. W każdym domu rozbrzmiewały psalmy błagalne do Jehowy. I rabbi miał widzenie. Przyszedł doń anioł-zwiastun i rzekł: „Wzywałeś pomocy Niebiosa, ben Nannosie, powiedz, czego ty chcesz?”. Na to rabbi padł twarzą przed aniołem i, nie podnosząc oczu, odpowiedział: „Ja by chciałem wiedzieć, czy ta krowa jest dobra do zmazania grzechów z mojej gminy”. „To ty musisz zaczekać – odpowiedział anioł – a ja zwołam siedemdziesięciu aniołów-pasterzy i jak z nimi naradzi się Przedwieczny, to ja tobie dam znać”. Ben Nannos trwał w ekstazie do samego rana. I znów zjawił się anioł-zwiastun i oznajmił: „Ty możesz być spokojny. Ta krowa jest dobra, ale nie całkiem. Nie dawaj za nią więcej niż połowę zgodzonej ceny”.

– Tak powiedział anioł?

– On tak powiedział. I przez to zarobiliśmy tylko połowę.

Zauważyłem, że pułkownik był nieco zgorszony opowieścią.

– Jak to, Rubenie – rzekł – i nie odczuwasz wyrzutów sumienia?

Oszukałeś rebego, oszukałeś gminę i jeszcze masz do tych ludzi żal, że ci nie wypłacili całej sumy?

– Co znaczy, oszukałeś? To był handel z ręki do ręki. Jeżeli anioł

¹ Ci barbarzyńcy – gr.

powiedział, że krowa jest dobra, choć nie całkiem, to o czym tu gadać?

xxx

Zapowiedziane widowiska teatralne odbyły się w dniu 17 marca. Uroczystości, zwane liberaliami, zbiegały się mniej lub więcej ściśle z okresem, kiedy młode wino krajowe przechodziło powtórna fermentację. Mętny moszcz zaczynał burzyć się w kadziach, strącał zawiesiny, wyzbywał się smaku surowizny i nabierał cech właściwych winom z tych okolic. Zgręzy opadały na dno, tworząc twarde, słonawo-kwaśny osad.

Z tej racji cieszył się ludek pompejański, zawsze skory do śmiechu i zabaw. W teatrze odbyły CZAS PRZYSZŁY się dwa przedstawienia. Przed południem dramat, na który wolno było zapraszać kobiety, a po południu komedia tylko dla mężczyzn.

– Pójdziemy? – spytał pułkownika.

– Oczywiście – odparł – gdybyśmy nie poszli, zrozumiano by nasz postępek jako bojaźliwość. Niech wiedzą, że gotowiśmy znieść z zimną krwią szyderstwa Amfikratesa. Dramatu też nie opuszczę. Jeżeli ów rodzaj twórczości was nie zajmuje, to siedźcie w domu, pójdę sam, a po obiedzie wybierzemy się razem.

W Pompei były dwa teatry. Mały, kryty kopulastym dachem, i większy, na pięć tysięcy widzów, osłaniany podczas przedstawień płótnem żaglowym, które rozwieszano na wysokich masztach. Płótno polewano wodą, dzięki czemu w upały panował przyjemny chłód.

Do teatru wielkiego wchodziło się korytarzami, przy czym widzowie musieli stać w kolejce dość długo, nim otrzymali krążek skórzany zastępujący bilet. Dla zabicia czasu wydrapywali na ścianach idiotyczne napisy, nie oszczędzając najpoważniejszych notablów miejskich, a nawet cezara.

Najlepsze miejsca, zwane ima cavea, były zarezerwowane dla patrycjuszów. My zasiedliśmy w media cavea ze szlachetnie urodzonym mieszczaństwem. Teatr zapełnił się po brzegi mimo braku płci pięknej. Krzyczano, gestykulowano, nawoływano się z imienia. Znajomi choreutów¹, którzy od tygodnia ćwiczyli się w komedii, zaczęli klaskać na nasz widok. Pułkownik odpowiadał na ukłony grzecznie i z godnością. Nie dał po sobie poznać, że lęka się czegośkolwiek. Minę miał obojętną. Co do Kubusia, to znać było jego zdenerwowanie. Na sąsiadów spoglądał spode łba, podejrzewając szyderstwo w każdej uśmiechniętej twarzy.

Na pierwszy ogień, gwoli zaspokojenia wymagań plebsu, odegrano

trywialną jednoaktówkę z życia wieśniaków. Niewiele zrozumiałem, gdyż dialog toczył się w ludowej łacinie. Pamiętam, że główną postacią był głupek Pappus, kąsany bezlitośnie przez pchły i inne owady. Co chwila drapał się, rzucał pasożyta na ziemię i miażdżył go stopą. Dalej zbierali oklaski: żarłoczny Bucco, kretyn Macus, wreszcie uczone Dossenus, którego wszyscy bili. Jeżeli chodziło o wywołanie efektu komicznego, to bicie oraz łapanie pcheł stawiano na pierwszym miejscu. Widownia szalała z uciechy, ilekroć Dossenus dostawał lanie od kompanów.

Zaletą tej komedyjki było to, że trwała krótko. Podczas przerwy wtargnęła na widownię chmara przekupniów. Roznosili misy pełne kiełbasek na gorąco, wiaderka z ostrygami, gotowane małże, smażoną wątróbkę, kwaszone jabłka, kasztany w miodzie, konfury morwowe.

Kubuś, chciwy na słodycze, kupił spory garnuszek kasztanów.

– Zjem – oświadczył – a skorupą szmergnę w aktorów.

– Raczej w Amfikratesa – rzekłem – o ile wyjdzie kłaniać się publiczności.

– Ani jedno, ani drugie – wmieszał się pułkownik. – Zabraniam jakichkolwiek manifestacji. Nie zapominajcie, że jesteśmy cudzoziemcami.

Nie będę opisywał szczegółowo wszystkich błazeństw, jakie widziałem na scenie. Dziś jeszcze, kiedy je wspomnę, ogarnia mnie niesmak.

Dość powiedzieć, że przez długie dwa akty byliśmy wystawieni na pośmiewisko. Amfikrates nie oszczędził ani nas, ani wdowy, ani naszych przyjaciół. Ze szczególną pasją znęcał się nad Kubusiem. Aktor, występujący w roli mego przyjaciela, nosił zabawną maskę, a na głowie perukę z sierści wielbłądziej, co miało imitować jasne uwłosienie. Uciekał przed Heleną, którą można było poznać po lirze. W innej znów scenie uciekała Helena, a on ją gonił z nożycami. Pułkownika przedstawiono jako czarodzieja. Tulia umizga się doń w sposób zupełnie wyraźny, on tego nie widzi, zajęty jest bowiem chwytaniem żab, jaszczurek, zbieraniem muchomorów, które wrzuca do kotła i gotuje z winem, co w sumie daje okowitę. Zrozpaczona Tulia, nie mogąc zaspokoić tęsknoty, wychodzi na ścieżkę odwiedzaną przez zbójów i płaczącym głosem wzywa Dziobatego, by ją porwał. Życzeniu staje się zadość.

W akcie drugim Tulia powraca z kurczętami w koszyku. Chwali się, że celu dopięła. Kubusia sprzedają na licytacji. Kupuje go, oczywiście, Helena i zmusza do igraszek miłosnych. Pułkownik, któremu zabrakło żab, wrzuca do kotła mnie, następnie Jeffa z piłką, wreszcie sam skacze i ginie w pełni chwały. Pijacy pompejańscy wnoszą mu pomnik z pustych naczyń po wódce.

Taka była treść tej bezdennie głupiej komedii. Nie rozumiem, co w niej

¹ Aktorów, członków chóru – z gr.

widziano śmiesznego*. Muszę jednak przyznać, że publiczność wpadała chwilami w ciełący zachwyty. Autorowi, aktorom oraz naszemu gronu zgotowano owację. Nikt nam nie ubliżył, choć nie brakowało głośnych epitetów, dowcipów i uwag.

Kubuś, jak zwykł był robić w chwilach zdenerwowania, po powrocie z premiery położył się do łóżka. Tulia przyniosła mu dwa dzbany: z winem czerwonym i białym. Upił się, zwymyślał mnie i zasnął.

xxx

Pierwszy posiłek południowy, spożyty w towarzystwie Heleny, pozostawił wrażenie jak najmiłsze. Pułkownika oczarowała jej dystynkcja, wdzięk i prostota. Nie zawadzając nikomu wniosła do naszego mieszkania wiew młodości i zdrowia. Umiała nadać swej twarzy maskę osoby obojętnej, traktując z jednaką uprzejmością zarówno Kubusia, jak i każdego z biesiadników. Po kilku minutach gawędziliśmy z nią swobodnie, wesoło, z przyjemnością.

A kiedy wstaliśmy od stołu, Tulia wezwała mnie do swej komnaty.

– Potrzebny będziesz – rzekła. – Wszak wiesz, że trudno mi jest wspinać się na wzgórze, a ponieważ wybieram się za miasto, chciałabym cię mieć za towarzysza.

– Licz na mnie, Tulio.

– A wiesz, dlaczego ciebie wybrałam? Bo umiesz milczeć.

– Dziękuję ci, Tulio, za miłe słowa.

Wyszliśmy bez pożegnania z domownikami, jak na zwykłą przechadzkę. Za bramą sarneńską wdowa wskazała ścieżkę wiodącą ku rzece.

– Dokąd idziemy? – spytałem.

– Do chaty rybaka. Nie znam dobrze drogi, zapomniałam. Bądź łaskaw wejść na ten pagórek i rozejrzeć się po okolicy.

Tuż za wzgórzem, na brzegu rzeki, znajdowała się nędzna rudera, dokoła której suszyły się sieci rybackie. W odległości kilkunastu kroków od legowiska był ustawiony z nieociosanych kamieni niewielki piecyk. Siedział przy nim na murawie brodaty mężczyzna. Spożywał właśnie zupę, spoglądając z ufnością na zawieszzonego nad ogniem szczupaka.

– Hej! – krzyknąłem.

* Zgadza się z moim przyjacielem, że komedia Amfikratesa nie osiągała nawet przeciętnego poziomu literackiego. Trudno wprost nazwać komedią ten zlepek scen bez żadnej ciągłości. Błażeństwo mieszało się z brakiem dobrego smaku. Mimo iż wyobrażono mnie jako głównego bohatera, stwierdzam obiektywnie, że jeśli chodzi o walory artystyczne – nie dostrzegłem żadnych. Autor wykazał brak taktu i jakichkolwiek zdolności literackich. Zachwyty widowni tłumaczą sobie faktem, że w gruncie rzeczy Pompeja pozostawała nędzną dziurą prowincjonalną.

Obejrzał się, zmierzył mnie wzrokiem i nic nie odpowiedział. Drugie wezwanie również nie zrobiło na nim żadnego wrażenia.

– On chyba nie słyszy – odezwałem się do wdowy.

Okrążyliśmy pagórek. Znalazłszy się oko w oko z rybakim, powitałem go grzecznie.

– Zajęty jestem – odparł.

Zupę zdążył już zjeść. Odstawił garnek, zdjął z patyka rybę i zabrał się do ogryzania.

– Przychodzę do ciebie... – zaczęła Tulia.

Lecz stary dziwak przerwał jej w połowie zdania.

– Zajęty jestem – powtórzył i wykręcił się plecami.

Dopiero po zjedzeniu ryby i napiciu się wina raczył rzec dobre słowo.

– Chciałabym, byś nas zawiózł do Metelli – zaczęła Tulia.

– Nie lubię czarownic – mruknął.

– Zapłacimy hojnie.

– Dość jestem bogaty, by móc odmówić. Idźcie do rybaków portowych.

Oni podejmą się wszystkiego. Ja łowię tylko rzeczne ryby, inne mam więc obyczaje.

– Zapewniam – rzekła Tulia – że nie zamierzam kupować trucizny. Jeżeli mi nie ufasz, wejdź ze mną do mieszkania Metelli i patrz na moje ręce.

Argument wystarczył. Rybak załóż wodą ognisko i uprzejmym gestem zaprosił do płaskodennej łodzi, przypominającej „psychówki” piaskarzy warszawskich. Nie posługiwał się wiosłami, lecz tyką. Manewrował zręcznie, trzymając się lewego brzegu.

Starąłem się wybać Tulię, co zamierza robić u tajemniczej Metelli. Położyła palec na ustach na znak, że nie czas o tym mówić w obecności obcego człowieka.

– Wsiadajcie – zawołał nagle rybak – dalej nie pojedę. Dom czarownicy znajdziecie za tym gajem. Będę na was czekał do zmierzchu.

Metella była znachorką. Przed laty mieszkała w Pompei. Wyrzucono ją z miasta po jakimś procesie o otrucie. Wprawdzie nikt jej nie dowiódł udziału w zbrodni, mimo to ciążyło na niej podejrzenie, że trudni się sprzedażą olejku z pestek morelowych.

Przyznam się, że na widok tej czarownicy, jak ją nazywał rybak, nie odczuwałem lęku. Prosta kobiecina, o wyglądzie przeciętnym, niczym nie przypominała jędz z książeczek dla dzieci. Żyła z uprawy ziół leczniczych, utrzymując matkę-staruszkę.

– Metello – przemówiła Tulia – potrzebny nam jest eliksir miłosny.

– Zjawiacie się w odpowiedniej chwili – odparła znachorka. – Zajęta jestem właśnie zbieraniem muszek Afrodyty. Mam zapas świeżego eliksiru.

Rozejrzałem się po izbie. Nad kominem, na okrągłym sitku połyskiwały jakieś czarne owady o lśniących pancerzach. Druga partia podobnych muszek gotowała się w płaskim naczyniu miedzianym. Wraz z parą unosił się zapach, od którego Tulii robiło się słabo. Żałuję, że nie mam pojęcia o sztuce lekarskiej. Poprzestanę więc na opisie rzeczy widzianych.

Znachorka zdjęła z ognia rondelki i przecedziła zawartość przez kawałek płótna. Zabarwiony na brązowo płyn zaprawiła mlekiem, wbiła białko z jednego jaja i około dziesięciu minut bełtała trzcinowym mieszadłem. Mleko zwarzyło się wchłaniając ciemny barwnik.

Przefiltrowawszy po raz drugi i trzeci, Metella otrzymała ciecz zupełnie przezroczystą, pozbawioną zapachu. Był to ów eliksir przeznaczony do rozmiękczenia zatwardziałego serca Kubusia*.

Mknąc do Pompei z biegiem rzeki Sarno zaśmiewałem się na myśl o niespodziance, jaką zgotujemy Helenie. Stańło na tym, że podczas wieczorowego posiłku zajmę się mieszaniem wina z wodą. Jeden krater przygotuję dla wszystkich, a drugi, zawierający wino z Falernum, dla mego przyjaciela, który gustował w tym napoju. Zawczasu dodamy eliksir i niech się dzieje, co chce.

W domu zastaliśmy gości: sprowadzoną przez Jeffa Irenę, którą znałem z widzenia, oraz centuriona Trebeliusza. Dzielnego wojaka dotrzymał słowa. Jadąc do Paestum wstąpił do nas, by zawiadomić pułkownika o projektowanych manewrach.

Wobec tak licznych towarzyszy Tulia wystąpiła z uroczystą wieczerzą. Ze wszystkich pokoi Monotropos poznosił ławki i materace, na których można było siedzieć lub leżeć, nie pytając dam o pozwolenie. Menu, zawczasu opracowane przez pułkownika, przypominało obiady w dobrych domach gastronomicznych Paryża. Jako wstęp – ostrygi z Caprei. Zupa z delikatnego groszku z grzankami. Karp „z wody”, bez żadnych sosów, posypany pietruszką. Dalej vol-au-vent z drobiu, wytworna sałata. Na deser krem ze śmietanki, słodzony, jak zwykle, miodem.

Czuję się w obowiązku pochwalić kucharkę. Wszystkie potrawy przygotowała bez zarzutu w niespełna trzy godziny. Pomagał jej wprawdzie pan pułkownik, ale co warta taka męska pomoc.

Podczas zajmowania miejsc przy stole Tulia rozsadziła nas tak sprytnie, że Kubuś znalazł się obok lutnistki. Początkowo boczył się nieco i wszczynał ze mną kłótnię o byle drobiazgi. A kiedy nabrał pewności, że ma obok siebie osobę grzeczną, dobrze wychowaną i wstrzemięźliwą, wziął udział w ogólnej zabawie. Helena była uszczęśliwiona widząc go tak uprzejmym. Z

* Nie potrzebuję chyba wyjaśniać, czym był ów sławetny napój miłosny. Na podobnie ryzykowne eksperymenty nigdy nie udzieliłbym sankcji.

przyjemnością obserwowałem, jak jej dolewa wina.

– Wypij za zdrowie Helenki – rzekłem, podając mu kubek.

Wypił. Było to wino z eliksirem. Tulia uściśniła mi dłoń pod serwetą. Czekałem z bijącym sercem, co nastąpi. I nastąpiło. Mniej więcej po godzinie Kubuś oświadczył, że w atrium jest bardzo gorąco, wobec czego zaczął się przytulać do Helenki. Następnie przypomniał sobie, że ma jej coś do zakomunikowania. Wstali i elastycznym krokiem podążyli na pierwsze piętro.

Uważając swą rolę za skończoną, poszedłem spać do pułkownika, ustąpiwszy własną sypialnię centurionowi. Wdowa również pożegnała się z towarzystwem. W atrium pozostali Van Campen z Ireną i wojak.

W tym miejscu muszę się przyznać do fatalnego błędu. Przez roztargnienie zapomniałem usunąć krater z winem falerneńskim. Należało je wylać. Pomijam Jeffa, który podobno wypił dwa kubki. Wykazał wobec swej narzeczonej pełnię galanterii i koniec. Gorsza heca wyszła z centurionem. Na samo wspomnienie ciarki mnie przechodzą.

Już świtało, gdy pułkownika i mnie obudziły nieludzkie wrzaski. Hałas dolatywał z parteru. Okręciwszy się kocami, zbiegliśmy z pułkownikiem do atrium.

W półmroku potknąłem się o coś miękkiego. Po chwili zjawiała się wdowa ze światłem. Oczom naszym przedstawił się oburzający widok.

Trebeliusz ciągnął kucharkę za włosy w kierunku ławy. Biedaczka, w obronie własnej, kąsała go w kolano.

– A to co? – krzyknęła Tulia.

Oślepiiony blaskiem legionista wytrzeszczył pijane oczy, zaklął, puścił kucharkę, odepchnął nadbiegającego Monotroposa i skoczył ku drzwiom od ulicy.

Usłyszeliśmy trzaśnięcie. Uciekł, by wrócić po dwu godzinach.

Bardzo zmieszany, ze skrucą przeproszał za nietakt:

– Sam nie wiem, co się ze mną działo – mówił do Tulii. – Jakiś szal mnie ogarnął po waszym winie. Jeżeli teraz jestem przytomny, zawdzięczam to zimnej kąpeli, którą przed chwilą wziętem w morzu. O ile sobie mogę przypomnieć, za co nie ręczę, brałem udział w bójce z niewolnikami. Bo skądże miałbym guza na czole? Tak, tak, szlachetna Tulio, coś mi się zdaje, że zostałem wyrzucony z prywatnego mieszkania. Postanowiłem skrócić pobyt w Pompei, by uniknąć możliwych nieprzyjemności.

Trebeliusz wyjechał tegoż dnia po spożyciu prandium. Na drogę dostał od Tulii pieczoną gęś, a od kucharki życzenia wszystkiego najgorszego. Nie dziwię się wcale, że była zła. Centurion, wlokąc ją po żwirze koło wodotrysku, pokaleczył jej plecy o kamyki.

XVI. POST FACTUM

Nadspodziewanie udany debiut miłosny Heleny i Kubusia sprawił w zachwyty mieszkańców Pompei. Po południu rozpoczęły się wizyty znajomych, przeważnie kobiet, z których każda przyniosła upominek. Przed wieczorem atrium było wprost zavalone kwiatami, słodyczami i naczyniami z winem.

Helenka witała gości serdecznie, dając przy okazji do zrozumienia, iż dzień ten uważa za „engysis”, czyli za zaręczyny. W ten sposób zajęła w świątku mieszczańskim zupełnie wyraźne miejsce.

Między innymi zjawił się i edyl z pięknie malowaną wazą. Po złożeniu życzeń Helenie, wziął nas na stronę i rzekł:

– Wyobraźcie sobie, co za dziwny wypadek zdarzył się w moim domu. Wczesnym rankiem, kiedy leżałem jeszcze w łóżku, żona zeszła do perystylu, by popodlewać kwiatki. Raptem wpada jakiś centurion, chwytając ją wpół, zaczyna ścisnąć. Krzyki usłyszeli niewolnicy. Intruza wypędzono sromotnie, a nawet dano mu niegorszą nauczki. Zabroniłem służbie rozgłaszania wieści o zajściu i nie przedsięwziąłem żadnych kroków prawnych. Wolę milczeć niż narazić się, by Amfikrates zrobił ze mnie bohatera następnej komedii.

– Słusznie postępujesz, Aulusie – zgodził się pułkownik. – Bywają wypadki, nad którymi lepiej jest przejść do porządku.

Seutes ofiarował Helenie posążek Junony.

– Bogini łaskawa stanie się waszą patronką – przemówił – patronką całego domu. W jej imieniu przynoszę błogosławieństwo. Niechże mi wolno będzie wyrazić nadzieję, że niezadługo połączę was węzłami dozgonnej miłości.

Na to odrzekła Helena:

– Jeżeli ukochany zechce, gotowam choćby dziś złożyć me lalki u stóp Junony Promiennej.

Dzięki interwencji pułkownika stało na tym, że ślub odbędzie się w najbliższym czasie podczas pełni księżyca, albowiem małżeństwa zawarte wtedy uchodzą za szczęśliwe. Ponieważ Kuba był cudzoziemcem, w dodatku niewolnikiem, nie przysługiwało mu prawo spisania legalnego aktu ślubnego. Mógł zawrzeć związek „sine conventione in manu”, oparty na wzajemnej przysiędze.

Po wyjściu gości odbyliśmy naradę.

– Dom nasz – mówił pułkownik – staje się coraz ciasniejszy. Przybyła Helena, której obecnością, mówiąc nawiasem, jestem zachwycony. Poza tym należy się spodziewać, że Jeff sprowadzi Irenkę. Wszak ta dziewczyna i tak więcej czasu spędza pod naszym dachem, niżby wypadało. Uważam, że młode panny, zwłaszcza narzeczone, powinny być bardziej powściągliwe. Mnie, na przykład, w młodości, kiedy zaręczyłem się z Adrienką Van Grootekamer, nawet na myśl nie przyszło sprowadzać ją na noc tak otwarcie. Najwyżej raz na tydzień. I ostrożnie, podczas nieobecności domowników. Co kraj to obyczaj. U nas było inaczej, tu też jest inaczej. Wolałbym jednak, aby naręczona Jeffa zdradzała nieco więcej skromności. Co do Helenki, nic jej nie mam do zarzucenia, ponieważ termin ślubu ściśle określono.

Po tym wstępie pułkownik przeszedł do właściwego tematu. Wobec przewidywanego braku miejsca, radził przenieść gorzelnię do dzielnicy północnej, gdzie jest do wynajęcia nieczynna piekarnia. Są tam dwa wielkie naczynia gliniane do przechowywania mąki, stoły kamienne, na ścianach kilkanaście półek drewnianych, cztery misy i sporo innych naczyń. Piec trzeba będzie przebudować. Stożkowaty młyn, poruszany przez osły, sprzedamy pierwszemu lepszemu piekarzowi. Wraz z lokalem są do kupienia dwaj niewolnicy. Pułkownik radził, aby nie namyślać się długo, bo trudno o lepszą okazję. Cena nie była wygórowana.

W dalszej pogawędce wspominał o manewrach pod Paestum. Zaprosił go na nie Trebeliusz, w porozumieniu ze sztabem legionów.

– Zauważyliście zapewne – rzekł – nową kitę na jego hełmie. Trzeba wam

wiedzieć, że awansował na dowódcę prawej kohorty i obecnie będzie zasiadał w radzie wojennej. Należało mu się to słusznie. Cieszę się z tej znajomości, gdyż da mi ona możliwość bezpośredniego zetknięcia się ze znakomitymi wojskami cesarstwa. Dla takiego człowieka jak ja, który spędził cztery lata w okopach Flandrii, który kierował operacjami wojennymi w Meksyku, manewry nie są nowością. Pochlebiam sobie, że armii, która okaże mi gościnność, będę mógł się zrewanżować niejedną cenną radą.

Opowiadał jeszcze pułkownik, że manewry pod Paestum mają się odbyć według jakiegoś tam schematu.

– Jest to taktyka bardzo ryzykowna – dodał na zakończenie.

– Mój pułkowniku – odezwałem się – czy nie zabrałby mnie pan na te manewry? Ogromnie lubię patrzeć na wojsko, zwłaszcza rzymskie. Zrobiłoby mi to prawdziwą przyjemność.

– Ależ owszem. Wszystko zależy od Trebeliusza. Uprzejmy ten oficer na pewno ci nie odmówi.

– Kiedy wyjedziemy?

– Nie wiem. Czekam na list. Wkrótce mają przeciągać przez Pompeję liczne oddziały wojskowe. Markotni są z tej racji kupcy, a nawet patrycjusze, gdyż oprócz wojsk regularnych odwiedzą nasze miasto formacje pomocnicze, złożone z barbarzyńców. Prawdopodobnie będą wśród nich i Gallowie.

Dzień ów, w którym najszlachetniejsza z bogiń, Junona, stała się opiekunką naszej gromadki, miał zakończenie niezwykle malownicze. Podczas wieczery wpadł do atrium Pitos.

– Witajcie – zawołał – gdzie jest Helena?

– Tu jestem, mistrzu. Zapewne wiesz o wszystkim.

– Tak, przychodzę ci wieszować. Jednocześnie wyrażam nadzieję, iż nie pozwolisz mi opuścić tego domu z pustym żołądkiem.

Zgłodniały filozof zajął miejsce obok swej uczennicy i nie tracąc czasu sięgnął do półmiska. Zjadł dwa jaja sadzone, co najmniej ćwierć kilo salami, talerz twarogu, parę bułek, patereczkę czereśni i słoik marmolady. Skosztowawszy gorzalki narobił takiego gwałtu, że w pierwszej chwili nie wiedzieliśmy, o co mu chodzi.

Ten szczególny objaw zachwyty przeistoczył się po kilku kieliszkach w ciche rozumowanie,

– Tobie to dobrze – mówił profesor spoglądając z niechęcią na Monotroposa – tobie dobrze, bo jesteś niewolnikiem. Wszystko masz, o nic nie potrzebujesz się troszczyć. Dostaniesz jeść, dostaniesz pić, a i ogniste wino nie jest ci obce. W chitonie twym nie widzę ani jednej dziury, łydki

two błyszczą od oleju, a na rumianym pysku znać dobrobyt.

– No, no – obruszył się Monotropos – tylko z dala od mojego pyska.

– A wiesz – powiedział filozof rozpalając się coraz bardziej – że podsunałeś mi myśl. Otóż to! Chciałbym, mówiąc szczerze, wyprać cię po pysku. Pytasz za co? Bo twój pysk jest pulchny, rumiany i dobrze wygolony. Dlaczego mój jest chudy? Dlaczego? Całe życie ślęczałem nad książkami, całe życie chodziłem głodny, innych uczyłem mądrości i co mam z tego? Jeżeli padnę pod płótem, kto poda mi rękę, kto? A ty, próżniaku, wieprzu spasiony, co jesteś wart w porównaniu ze mną? Wałkonisz się od dzieciństwa, brzuch ci puchnie, na karku wyrosło sadło...

Nie mając pojęcia o retoryce, Monotropos milczał. Od czasu do czasu zerkał na filozofa jak wilk, zaciskając pięści. Przykra scena przeciągała się cokolwiek za długo. Aby położyć jej kres, Kubuś przemówił:

– Czcigodny Pitosie, azali wszyscy o tobie zapomnieli? Coś mi się zdaje, że słyszałem opowiadanie o pewnym płaszczu kreteńskim.

– Sam ci mówiłem – odparł profesor – masz rację, nie wszyscy o mnie zapomnieli. Dobrą pamięć zachowała Helena, najzacniejsza z moich uczennic. Jej zawdzięczam płaszcz z przepięknej wełny, który ogrzewał mi ciało przez parę dni zaledwie. Chcecie wiedzieć, w jaki sposób straciłem ten cenny podarek? Słuchajcie, gdyż i was poniekąd to dotyczy. W pobliżu bramy stabiańskiej gromadzą się w dni świąteczne najrozmaitsi łotrzykowie. Lubię ich towarzystwo i nie wstydzę się tego, milsi bowiem bywają od patrycjuszów. Pewnego razu, otuliwszy się płaszczem, poszedłem za bramę. Spotkałem tam kilku nowych obwiesiów, jak się okazało z Aequany. Jeden z nich siedział przy stołeczku, wykrzykując: „Czarna, przegrywa, czerwona wygrywa!”. Zaciekawiony, wdałem się z nim w rozmowę. Poinformował mnie uprzejmie, że należy odgadnąć, która z trzech kart rzuconych na stołeczek jest barwy czerwonej. Zacząłem zgadywać. Po chwili przegrałem wszystko, com miał w mieszk.

– Wiemy, wiemy – przerwał mu Kubuś – potem chciałeś się odegrać, stawiałeś na kredyt i ostatecznie przeběgniłeś płaszcz od Heleny. Ale wytłumacz no, dlaczego sprawa, jak się przed chwilą wyraziłeś, i nas dotyczy?

– Wszak jesteście fabrykantami tych przeklętych obrazków. Gdyby nie one, cieszyłbym się z płaszcza po dzień dzisiejszy.

– Ejże, przegrałbyś w kości.

– Albo zastawiłbyś w pierwszym lepszym szynku – dodał Monotropos.

I znów rozgorzała kłótnia między filozofem i niewolnikiem.

– O co mu właściwie chodzi? – spytał pułkownik.

– Chciałby dostać nową oponę z kapturem – wyjaśniła Helena.

- Mam zapasowy płaszcz, mogę mu dać.
- Jestem pewna, że długo nie ponosi.
- A dlaczego zaczepia Monotroposa?
- Zwykła zawiść. Głodny filozof nie znosi sytych niewolników.

Tymczasem spór przybrał zastraszające formy. Profesor sypał przekleństwami, trajkocząc jak wiatrak. Jeżeli milkł, to tylko, by zanurzyć głowę w garnku z winem. Stopniowo, zestawiając własną niedolę z losem Monotroposa, rozżalił się nie na żarty.

– Pomyśleć tylko – wołał – że taka kreatura ma być zapewniony, należy do rodziny, o nic się nie zatroszczy! A ja? Nawet kąta własnego nie mam, rodziny nie mam, nic nie mam. O, czemu nie urodziłem się niewolnikiem! Przeklęta wolność złamała mi życie!

– I to ma być filozof – obruszył się Kubuś – co za brednie ten pijak wygaduje!

– On tak zawsze – zapewniła Helena.

Uspokoiwszy się nieco, Pitos podszedł do Tulii i wskazując na pusty dzban gliniany, zagadnął:

- Powiedz, o zagna niewiasto, czy bardzo sobie cenisz to naczynie?
- Wszak widzisz, Pitosie, że jest bez ozdób.
- To zrób mi z niego podarek.
- Proszę cię, bierz.

Filozof ujął dzban za ucho, podniósł i roztrzaskał na głowie Monotroposa.

xxx

Pożycie Kubusia z Heleną ułożyło się jak najlepiej. Helena zaopiekowała się nim jak prawdziwa, kochająca żona. Własnoręcznie uszyła mu coś w rodzaju kamizelki z krótkimi rękawami. Zauważywszy w naszych oczach zazdrość, przyrzekła, że i nam uszyje podobne kaftaniki.

Pomysł dawania łapówek kwestorowi okazał się praktyczny. Wysoki ten urzędnik odwiedził naszego mistrza i w wytworny sposób wyraził nie tylko zadowolenie, ale i nadzieję, że przesyłki będą go dochodziły nieco częściej.

Po wymijającej odpowiedzi pułkownik zagadnął gościa o ewentualny termin przetargu.

– Rzecz zależy od wielu czynników – odparł Sulpicjusz. – Właściwie nie powinno się zwlekać. Co będzie można, to się zrobi.

Po wyjściu kwestora doszliśmy do wniosku, że pewnego rodzaju licytacja już się rozpoczęła. Ważne czy łapówki nasze przewyższą procent od dochodu, jaki kwestor spodziewa się osiągnąć ze sprzedaży Kubusia.

– Innymi słowy – dodał pułkownik – Sulpicjusz będzie szantażował, a my

będziemy się bronili. Porcje alkoholu trzeba zwiększyć. Im bardziej zasmakuje w wódce, tym lepiej. Niechby się stał nałogowym pijakiem, to mielibyśmy go w ręku. Rozwijajmy więc nasze przedsiębiorstwo, pracujmy, zbierajmy złoto, ładujmy je do woreczków, a woreczki do kasy pancernej.

W myśl tego programu zamówiliśmy ciężką skrzynię dębową, wykładaną panczerem z brązu. Skomplikowany zamek uniemożliwiał dostęp rabusiom. Przy pomocy czterech potężnych śrub przytwierdzało się skarbczyk do ściany lub do podłogi.

A kiedy nadszedł dzień, w którym do skrzyni posypały się złote monety, twarze nasze jaśniały radością. Helena również złożyła w skrzyni własne oszczędności, nie wzięwszy w zamian żadnego kwitu. Ten oczywisty dowód zaufania wzruszył nas szczerze. Odtąd zaczęliśmy ją traktować jako współniczkę w interesach handlowych.

Wydajność nowej gorzelni po sprowadzeniu wielkiego kotła z Herkulanum zwiększyła się w czwórnasób.

– Nie podołamy ze zbytem – zrzędził Kubuś – klientela pompejańska nie wchłonie naszej produkcji.

– Nie ma obawy – odpowiedział pułkownik – jeżeli zajdzie potrzeba, pootwieramy filie w innych miastach. Lada dzień pojedę do Paestum. Znajdę tam niewątpliwie człowieka godnego zaufania. Poza tym nie zapominajcie o wielkim turnieju piłki nożnej w amfiteatrze. Jeżeli podczas przerw roznoszą wino, to możemy zwerbować sprzedawców do roznoszenia wódki. Na ten temat rozmawiałem już z edylem. Nie tylko zgadza się, ale przyrzekł, że pomoże zorganizować sprzedaż napojów wysokokowych na wszystkich piętach. A miejsc jest, jak wam wiadomo, ładnych kilkanaście tysięcy. Zapasy więc, które według ciebie zajmują tylko miejsce, przydadzą się na turniej. Radziłbym nawet przyspieszyć produkcję, pracować choćby na dwie zmiany. Jeden mecz może przynieść większe dochody niż miesiąc detalicznego handlu.

– Zgoda – zawołał Kubuś – pracujmy intensywniej. Dla pięknych pań, by nie pozbawiać ich przyjemności, gotów jestem przygotować słabiutki likierek anyżowy, ot, góra dwadzieścia procent. Zarobimy na nim więcej jeszcze niż na okowicie.

Pułkownik pochwalił ten pomysł. Ułożyliśmy nowy podział czasu, według którego każdy z nas miał dyżurować w gorzelni pięć godzin na dobę wraz z jednym niewolnikiem.

A propos niewolników. Pragnąc zabezpieczyć się przed kradzieżami, zamówiliśmy u grawera pieczęć firmową. Służyła do wyciskania znaków na gipsie, którym zalewaliśmy wyloty wąskich szyjek amfor, zatkanych uprzednio gałką z konopi. Niewolnik czułby się pokrzywdzony, gdyby mu

nie dano skosztować destylatu. Weszło więc w zwyczaj, że po dyżurze dostawał pół sextariusza (około ćwierć litra) świeżo odpędzonej gorzałki.

Los dwu niewolników nie był przykry. Pracowali na równi z nami. Wypłacaliśmy im stałe pensje, nie zapominając o tradycyjnym „peculum”, dość wysokim. Stosownie do miejscowego zwyczaju, niewolnikom przysługiwały prawa członków „familii”. Z tej racji, o ile nie przyszli goście, obaj zasiadali z nami do wspólnego stołu i jedli te same potrawy.

Dodać wypada, że niewolnicy należeli formalnie do Heleny, nam bowiem jako barbarzyńcom nie przysługiwało prawo własności. W dniu, kiedy przeszli pod nasz dach, Helena obsypała ich podarkami. Dostali nowe szaty, obuwie, pościel, przybory toaletowe i dużo słodczy.

– Przyjmuję was do rodziny – rzekła. – Starajcie się nie przynieść nam wstydu.

xxx

Zastanawiałem się często nad subtelnościami duszy kobiecej. Skoro po mieście gruchnęła wieść o modlitwie Heleny przed Babylosem, o złożeniu jej wspaniałych włosów u stóp ołtarza, w świątku niewieścim zawrzało. Poważne matrony spoglądały na nią z litością jako na istotę, która oszpeciła się dobrowolnie z miłości.

Pamiętam pewien spacer po forum. Dla zamaskowania rzekomej brzydoty Helena obwiązała głowę chusteczką koloru zielonej żabki. Kolor ten cieszył się szczególnym wzięciem wśród pompejańskich Greczynek.

– Ależ zapewniam cię, Helenko – mówił pułkownik – że krótkie włosy dodają uroku. Jeżeli Kuba pokochał cię tak nagle, to właśnie dzięki nowemu uczesaniu. Nie lękaj się, zdejmij chusteczkę, spójrz śmiało w oczy przechodniom.

Helena usłuchała. Jak było do przewidzenia, dokoła powstało zbiegowisko. Posypały się sprzeczne uwagi.

– Biedna! Co ona z siebie zrobiła!

– Hej, lutnistko, stań no bokiem!

– Mylisz się, Tymazjonie, ta mała ma dużo wdzięku.

– Puszczać! Niech i ja zobaczę!

– Cha, cha, cha! Dziewczyna z głową pacholęcia! Nie, czegoś podobnego, jak żyję, nie widziałem.

– Heleno, dobrze jest, zostań nam taką!

– Zostań, zostań, podobasz mi się, moja mała.

Pierwszy spacer bez chusteczki spowodował nieoczekiwane następstwa. Nazajutrz rozeszły się pogłoski, jakoby żona bogatego kupca Wediusza,

który w przedsionku swego domu umieścił napis: SALVE LUCRUM¹, zamierzała obciąć sobie włosy. Opowiadano, że małżonek zrobił jej awanturę i zagroził rozwodem.

Ile te plotki zawierały prawdy, nie wiem. Mogę tylko powiedzieć, że po upływie tygodnia pokazało się w Pompei kilkanaście zalotnic z fryzurami à la garçonne². Po miesiącu nikt już nie zwracał uwagi, tyle się tego namnożyło.

Oczywiście, że jedną z pierwszych pionierek nowej mody stała się Irena, co zrozumiałe choćby ze względu na jej zawód fryzjerki.

Jeżeli dotychczas poświęcałem niezbyt wiele miejsca tej dziewczynie, to tylko dlatego, że nie zajmowała mnie zbyt. Kubuś określił ją w dwu słowach:

– Głupia gęś.

Istotnie. Zresztą dla Jeffa wymarzona partnerka, dobrali się w korcu maku, co tu dużo gadać.

Odwiedziłem Irenę pewnego razu w zakładzie kąpielowym Crassusa Frugusa, gdzie miała posadę. Przedsiębiorstwo mieściło się poza murami miasta w pobliżu alei cementarnej, tuż obok placu, na którym jej narzeczony ćwiczył foluszników. Było to wzorowe kąpielisko, zakład z własnym źródłem gorącym, zaopatrzony prócz tego w wodę morską. Źródło nie posiadało własności leczniczych, jednakże nadawało się świetnie do kąpieli. Obowiązki dyrektora spełniał wyzwoleniec Januarius, jegomość uprzejmy, rozmowny i pełen dobrego humoru.

Wchodząc przeczytałem nad drzwiami napis: THERMAE M. CRASSI FRUGI. AQUA MARINA ET BALNEA AQUA DULCI³. W poczekalni panował ścisk. Około tuzina niewiast niecierpliwilo się dość głośno.

– Czy przyszły do kąpieli? – spytałem.

– Chcą pozbyć się loków – odpowiedziała Irena.

Epidemia fryzur à la garçonne zataczała coraz szersze kręgi. Doszło do tego, że kapłan Apollina rozpoczął przeciw tej modzie krucjatę. Wychodząc z założenia, iż bezwstyd ma swe granice, złorzeczył kokietkom pompejańskim.

Znacznie dalej posunął się kapłan Zeusa. Po prostu głosił, że nie dopuści przed oblicze bóstwa żadnej kobiety z krótkimi włosami. Odniosło to ten skutek, że zalotnice przestały się modlić przed Zeusem, zwróciwszy się do bardziej tolerancyjnej Izdydy.

¹ Witaj zysku – *lac.* Mówiąc „Ave” zwracamy do osób równych nam, bądź wyżej stojących, słowa „Salve” używamy zaś bezosobowo lub kierujemy je do niższych w hierarchii społecznej.

² Na „chłopczyce” – *franc.*

³ Łazienka Marka Krassusa Frugi. Woda morska i kąpiele w delikatnej wodzie – *lac.*

Pewnego ranka staliśmy się świadkami niesłychanego popłochu. Obudził nas hałas uliczny.

– Co to może być? – pytał pułkownik.

– Nie wiem. Pewnie pożar w mieście – odrzekłem wyskakując z łóżka.

Wybiegliśmy przed dom. W Pompei nikt już nie spał. Chodniki zapychał tłum. Środkiem ulic ciągnęły wozy i wózki ręczne, otoczone przez lamentujących Żydów. Na tobołach darły się półnagie dzieci. Kobiety gnały stada kóz, starcy dźwigali worki.

– Co się stało?

Nikt nie wiedział. Wysuwano najrozmaitsze przypuszczenia. Wigil, pilnujący porządku, zdobył się zaledwie na odpowiedź:

– Żydzi uciekają. Przestraszyli się czegoś.

Dopiero Ruben, którego spotkaliśmy przypadkowo, wytłumaczył, o co chodzi. Pod murami Herkulanum dokonał się pogrom. Dzieło żołnierzy skierowanych na manewry do Paestum. Podobno bóżnicę zrównano z ziemią, zniszczono ejruw¹ i porąbano skrzynię z rodalami².

– C'est inouï, c'est inouï – powtarzał pułkownik, słuchając opowiadania. – Jakież był powód tych ekscesów?

– Zwyczajnie – odparł Ruben – to samo, co i w ubiegłym roku. Legioniści chcieli zmusić Żydów do oddania hołdu sztandarom rzymskim*.

– Dokąd ci nieboracy uciekają?

– W kierunku Stabii. Po przemarszu wojsk wrócą do Herkulanum.

Ostatnie partie ofiar pogromu przeciągnęły przez miasto. Żał było patrzeć na nędzarzy zgłodniałych, oberwanych, bezradnych na obcej ziemi.

Przed zachodem słońca rozpoczął się przemarsz wojsk i trwał aż do północy. Pierwsze przeszły obok miasta oddziały regularnej piechoty. Następnie łucznicy balearscy, procarze kreteńscy, dzikie kohorty

¹ Sznury lub druty oplatające żydowskie obejścia. Konstrukcja taka, tworząc jedno symboliczne podwórko, pozwalała obejść prawo talmudyczne zakazające wykonywania w sobotni szabas najprostszyc czynności – z *hebr.*

² Zapisanymi ręcznie, zdobionymi zwojami Tory (Pięcioksięgu Mojżesza), odczytywanymi podczas nabożeństw w synagodze – z *hebr.*

• Często zastanawiałem się, skąd się biorą pogromy żydowskie. Wiem, że zdarzały się zarówno w średniowieczu jak i w starożytności. Uderza szczegół, że dziennikarze żydowscy poprzestają na biadaniu, nie starając się wyjaśnić istoty zjawiska. Nie wszystko wszak da się wytłumaczyć złą wolą autochtonów. Antagonizm plemienny jest zjawiskiem zagadkowym i do dziś dnia niezbadanym. Weźmy dla przykładu, niedaleko sięgając, odwieczną waśń Walonów i Flamandów, która swoją ojczyznę dzieli na dwa wrogie obozy. Skąd się bierze wzajemna niechęć? Doprawdy, nie znajduję odpowiedzi na to pytanie.

barbarzyńców, treny, pontony, maszyny oblężnicze wojsk technicznych, wreszcie konnica.

Pułkownik badał wszystkie szczegóły z ogromnym zainteresowaniem. O uzbrojeniu piechoty wyrażał się pochlebnie. Dzięki uprzejmości jednego z oficerów zdołał ustalić, że obciążenie żołnierza rzymskiego wynosi około trzydziestu kilogramów, czyli mniej więcej tyle, ile musi dźwigać szeregowiec belgijski czy francuski.

Formacje doborowe posiadały krótkie miecze, sztylety, włócznie i tarcze z lekkiego drzewa, pokryte blachą. W niektórych oddziałach hełmy były skórzane z metalowymi obiciami, w innych całkowicie z brązu. Pancerze również skórzane, kryte płytkami. Poza tym żołnierz niósł zapasy żywności, naczynie do gotowania i rydel.

Horzej przedstawiały się kohorty dzikie. Zamiast hełmów metalowych barbarzyńcy mieli na głowach dziwaczne przybrania, najczęściej ze sztywnych, niewyprawionych skór wilczych. Z profilu przypominali zwierzęta.

Minęła północ. Wróciliśmy do miasta przez furtkę w bramie i syci wrażeń szliśmy do domu. Na nasze spotkanie wybiegła Helena.

– Szukam was i szukam – rzekła drżącym ze wzruszenia głosem.

– Są jakie nowości? – spytał pułkownik.

– Jak to, nic nie wiecie? Tulia ma syna.

– Syna? A dlaczego tak nagle? Czy aby zdrów?

– Najzupełniej.

– A Tulia?

– Też dobrze się czuje. Civilis zapewnia, że słabość minie bez żadnych powikłań.

Przyśpieszyliśmy kroku. Pułkownik jakoś zmarkotniał.

– Biedne dziecko – westchnął – dwunastu ojców i to sami zbóje.

Do sypialni Tulii wpuszczono nas nazajutrz rano. Chłopak dał się wniebogłosy. Wdowa, choć bardzo blada, zdradzała dobry nastrój. Helena pełniła obowiązki pielęgniarki.

W imieniu wszystkich sublokatorów i niewolników pułkownik ofiarował noworodkowi pięknie rzeźbiony wózek, a edyl i Seutes przynieśli po grzechotce.

Pięć dni minęło, Tulia podniosła się z łóżka. Po tygodniu wróciła do zajęć gospodarskich. Przez cały czas rekonwalescencji ściany naszego domu zieleńły się od gałązek oliwnych. Dnia dziesiątego odbyła się uczta,

podczas której nadano chłopcu imię Lucjusz. Właściwie powinien powinien otrzymać jeszcze nazwisko rodowe. Ponieważ kwestia ta przedstawiała się niejasno, edyl zaproponował, by nazwać malca Lucjuszem z Wezuwiusza. Tak też się stało.

XVII. PEŁNIA KSIEŻYCA

Zapowiedziany ślub Heleny i Kubusia trzeba było odłożyć. Przyczyniły się do tego igrzyska w amfiteatrze, wyjazd pułkownika i mój na manewry oraz podróż Jeffa z Ireną na Olimpiadę.

Program igrzysk przewidywał trzy mecze. Rozgrywkę klasy „A” między „Pompeianą” a „Herculo-Clubem” z Herkulanum, dalej spotkanie miejscowych gladiatorów z gladiatorami z Cumae, wreszcie największy przebój sezonu – mecz reprezentacji Pompei z reprezentacją Nucerii. Wejścia płatne. Miejsc dwadzieścia tysięcy. Jeżeli będzie komplet, to można spodziewać się poważnych zysków. Folusznicy liczą na zarobek. Również i gladiatorzy. Zwłaszcza ci ostatni wobec wyjścia z mody spotkań z bronią. Igrzyska urządzano dawniej dla letników z Rzymu. Letnicy zlekli się trzęsień ziemi. Trzeba więc dopomóc bezrobotnym szermierzom.

Van Campen osobiście zajął się afiszami. Dobrawszy do pomocy sportowców obchodził z drabinką ulice, kreśląc na ścianach zapowiedzi.

Pułkownik, zainteresowany tą pracą, zadał mu pewnego razu pytanie:

– Powiedz no mi, Jeff, dlaczego bierzesz się do łaciny? Nie znasz języka, robisz błędy, a twoi przyjaciele, jak się zdaje, też nie są zbyt biegli w ortografii. O igrzyskach wie całe miasto. Czy warto wobec tego gryzmolić ochrą na murach? Po co szpecisz i tak niezbyt starannie utrzymane ulice?

– Tak, to prawda – zgodził się trener – pytałem kilku osób. Powiadają, że o widowiskach sportowych pisze się po łacinie, a o komediach po grecku.

Wielkie zapasy wódek, przygotowane pośpiesznie na dwie i trzy zmiany,

daliśmy w komis znajomym restauratorom, którzy pozakładali bufety w obrębie amfiteatru. Było to jedyne wyjście, trudno bowiem wymagać, aby pułkownik przywdział fartuch i stał za szynkasem.

Nazłaziła się chmara sprzedawców łakoci, napojów chłodzących, pachnidel i kwiatów. Od wczesnego ranka koło amfiteatru kręcili się kuglarze, akrobaci, wróżbici, wędrowni fryzjerzy, tancerze i tancerki, czyściciele ubrań, przewodnicy, tłumacze oraz liczni oberwańcy bez określonej profesji. Ściągnęła ich do Pompei nie tyle chęć obejrzenia igrzysk, ile nadzieja łatwego zarobku.

Przekonałem się wkrótce o szkodliwości tego elementu. Do edyla zaczęli zgłaszać się poszkodowani, których ograno w kości, okradziono bądź oszukano przy zmianie pieniędzy.

Przed rozpoczęciem zawodów odbyła się walna obława na męty uliczne. Około stu drapichrustów zamknięto w ciasnym więzieniu obok hali targowej, skąd wyszli dopiero dnia następnego.

Van Campen z folusznikami zorganizował drugą obławę na łobuzów usiłujących przedostać się do amfiteatru bez biletów. Wyłapał, jak sam powiada, ze dwie setki, mimo to gapy nie zlikwidował. Ilu ich wdarło się gwałtem, trudno obliczyć.

Rozejrzawszy się po amfiteatrze, od razu zauważyłem, że kompletu nie będzie. Nawet zaproszeni nie załatają puchów. Nie ma się czemu dziwić. Kompletu w tak olbrzymim gmachu zdarzały się przed laty, kiedy wpuszczano gratis każdego oberwańca. Obecnie wskutek katastrof żywiolowych miasto zubożało i bezpłatne widowiska stały się rzadkością. Ostatnią walkę gladiatorów w liczbie ośmiu par podziwiali mieszkańcy Pompei przed piętnastu laty za Witeliusza, przy czym jedno ze spotkań miało wynik śmiertelny. Gladiatora, który zabił kolegę, omal nie zlinczowano. Musiał opuścić miasto.

Opowiadał mi pułkownik o walkach byków w Meksyku, kiedy to wyniesiono z areny dwa trupy ludzkie i sześć końskich, nie licząc pomordowanych buhajów. Zrobiłem wtedy uwagę, że takie walki można z powodzeniem zorganizować w samym Rzymie przed Jego Cesarską Mością. Odrzekł mi na to:

– Nie wątpię, iż Rzymianie zainteresowaliby się walkami byków. Zgadza się też z przypuszczeniem, że dałoby się na tym dobrze zarobić. O byki nie trudno, skąd jednak weźmiesz matadorów, pikadorów, banderillosów i toreadorów? Wszak ludzie ci ćwiczą się w sztuce zabijania niemal od dzieciństwa. Założyć akademię? Pomyśl, ile lat musiałbyś czekać na wyniki? Skąd wziąć instruktora? Pytanie zresztą, czy wychowankowie nie ulękliby się byka? Nie sztuka zabić lwa przed igrzyskami trzymanego w

ciemnicy. Wpuść na rzymską arenę dzikiego byka z Andaluzji, a ręczę ci, że gladiatorzy wezmą nogi za pas. Hiszpański toro rusza do ataku. Bez namysłu. Nie lęka się trzasku petard, mknie wprost przed siebie w bezmyślnym uniesieniu, pruje rogami końskie brzuchy nie rozumiejąc, o co chodzi...

Na galerii amfiteatru od strony północnej zaczęto gwizdać.

– Niecierpliwia się – rzekła siedząca obok mnie wdowa.

Zarówno na miejscach droższych, jak i tańszych utworzyły się oddzielne zbiorowiska widzów. Przybysze z Herkulanum i Neapolu trzymali się razem. Także goście z Noli, Caprei i Paestum. Najliczniej stawili się obywatele Nucerii. Helena wyrażała się o nich z pogardą, przypisując im najgorsze skłonności. Tak sądziła i Tulia.

– Nie utrzymujemy z nimi żadnych stosunków towarzyskich – rzekła.

– Powiedz, Tulio, dlaczego? – zainteresował się Kubuś.

– Sama nie wiem. Od zawsze. Trzeba szanować stare obyczaje.

Gwizdanie wzmogło się. Najgłośniej hałasowali zawadiacy z Nucerii, neapolitańczycy też darli się jako tako. W odpowiedzi, z ław pompejańczyków zaczęto psykać, nawet wygrażać pięściami.

– Zaczynamy – zawołał Van Campen przeciskając się ku nam. – Może przysłać przekupnia z limoniadą?

– Dobrze, przyślij – odpowiedział pułkownik – i powiedz no, Jeff, dlaczego nie pilnujesz rozkładu? Publiczność gwizdże.

Trener podszedł bliżej.

– Urwanie głowy z gladiatorami – rzekł cicho. – Chcieli koniecznie biegać za piłką z mieczami przy boku. Kłóciłem się z nimi całe pół godziny. Powiadają, że chodzi o honor.

– I co będzie?

– Stanęło na tym, że będą mieli helmy. Drużyna z Paestum wystąpi w półpancerzach. Ręczę, że spuchną po kwadransie.

Znikł za wrotami z żelaznej kraty. Po chwili ukazał się na arenie z wielką klepsydrą piaskową, zastępującą chronometr. Powitawszy publiczność rzymskim gestem, przyłożył do ust świstawkę i gwizdnął przeciągle.

Na ten sygnał wyłoniły się z podziemi obie drużyny. „Pompeiana” wystąpiła w białych spodenkach i czarnych koszulach. Członkowie „Herculo-Clubu” mieli spodenki zielone, a koszule białe.

Sędziował Van Campen. Jak się zdaje, obie strony darzyły go zaufaniem. Tzeba przyznać, że sędziował sprawiedliwie.

Wylosowano bramki. Potem rozległo się gwizdnięcie i piłka zaczęła skakać po arenie.

Nie będę bawił się w ocenę gry i wysiłków, nie znam się na

subtelnościach tego sportu. Stwierdzam, że zarówno folusznicy z Pompei, jak i przybysze z Herkulanum wprost wyłazili ze skóry, byle wpakować przeciwnikowi piłkę do bramki. Galopowali po boisku z wywieszonymi językami, Van Campen biegał z chorągiewką, na galeriach wrzeszczano.

Lepiej wyćwiczona „Pompeiana” zrobiła do przerwy bramkę. Po przerwie drugą. „Herculo-Club” miał jedną z karnego. Wynik 2:1 na korzyść „Pompeiany”. Grano, według pułkownika, dość ostro.

Przy sposobności muszę pochwalić tutejszą publiczność. Ani razu nie słyszałem okrzyków w rodzaju „Sędzia kalosz!”, jak to się często zdarza w Warszawie. Wprawdzie przy końcu zawodów wynikła głośna heca, ale nie uprzedzajmy wypadków.

Po przerwie, trwającej pół godziny, przemaszerowały przez arenę obie drużyny gladiatorów. Powitał je ryk surm bojowych. Nasi mieli helmy, ci z Paestum dźwigali na piersiach pancerze. Przewidywania Van Campena sprawdziły się szybko. Obładowany brązem bramkarz nie mógł skakać za piłką, toteż do przerwy wlepiono pesteńczykom cztery gole. Zmiarkowawszy, o co chodzi, pozrzucali pancerze, ale za późno. Ponieśli sromotną porażkę 8:0.

Przykro było patrzeć na tych ludzi, schodzących z boiska. Bramkarz płakał.

Mniejsza o bramkarza. Ważniejsze, co się stało potem.

Podczas drugiej przerwy, przed spotkaniem reprezentacji Pompei z Nucerią, przylecieli do pułkownika właściciele bufetów i krzyczą, żeby im dać wódki, bo już sprzedana.

– Nie mam ani cjatusa – zapewnia pułkownik.

– Szkoda – mówią restauratorzy – popyt jest coraz większy.

Zaczęła się gra w tempie, jakiego nigdy nie widziałem. Wzięli w niej udział nie tylko sportowcy, ale i widzowie. Ci ostatni początkowo darli się przeraźliwie, klaskali w dłonie, powiewali płaszczami i togami, a kiedy piłka wpadła do bramki (nie pamiętam, do której), pozeskakiwali na arenę i wszczęli najordynarniejszą bójkę*. Walono się kijami, butelkami, puszczone w ruch noże. Kobiety zaczęły wrzeszczeć, zrobiła się panika. Spokojni obywatele, a zwłaszcza obywatelki, rzucili się ku wyjściu. W korytarzach powstał ścisk, ze wszech stron słychać było wołania:

– Ratunku! Mordują!

* Muszę tu rozprawić się z pogłoskami, jakie wkrótce po meczu zaczęły krążyć w okolicach Pompei. Winę bójki przypisywano nam, twierdząc, że wywołało ją nadużycie alkoholu. Niecne oszczerstwa, wymyślone przez nuceryjczyków, najlepiej obrazują ich niski charakter. Sama hipoteza **jest** nonsensem, jeśli się weźmie pod uwagę, że w amfiteatrze sprzedano zaledwie dwadzieścia pięć hektolitrow okowity i niecałe dwanaście hektolitrow likierów. Zważywszy, że publiczności płci obojga **było** ponad dziesięć tysięcy, absurd **tych** plotek widać wyraźnie.

A na arenie kwiat pompejańskiej młodzieży walczył z takimż kwiatem znieawidzonej Nucerii. Nie zdążyłem ocenić wyniku tych nadprogramowych zapasów, ponieważ szczęśliwie uciekłem. Kubuś dał przykład. Tulia i Helena również żadnego szwanku nie odniosły. W pułkownika trafił kawałek cegły, rzucony nie wiadomo przez kogo.

Po wydostaniu się z cyrku widziałem nadbiegający oddział wigilów. Widziałem poza tym, jak wynoszono rannych, jak rozpędzano zbiegowisko i odbierano kije.

Edyl Aulus Firmus wysłał trębaczów, którzy obwieścili przybyszom z Nucerii, że mają wynosić się z miasta. Kto nie usłucha, tego siłą wyrzuci się za bramę.

Do samego zmroku panowało w Pompei niezwykle podniecenie. Na przedmieściach, których nikt nie pilnował, wybuchały żwawe potyczki. Wigile strzegli głównie ulicy biegnącej od forum do amfiteatru, strzegli bram, szynków i domów zajęznych. W śródmieściu szybko przywrócono spokój. Niestety, w innych dzielnicach działy się awantury niemal przez całą noc.

O świcie pompejańczycy urządzili polowanie na nuceryjczyków, gdyż sporo było wśród takich, którzy po pijanemu spędzili noc pod ścianami.

Van Campen uratował kasę przed pogromem. Restauratorzy również zdążyli ujść cało. Strat więc nie ponieśliśmy żadnych, jeżeli nie brać pod uwagę guza na czole pułkownika oraz braku pięknego szala, który Helena zgubiła podczas ucieczki.

Natychmiast po opanowaniu sytuacji w mieście, edyl wysłał do Rzymu przez specjalnego gońca długi raport, w którym zwałił winę na gości z Nucerii.

Ze swej strony jego kolega nuceryjski zredagował podobny dokument, lecz w duchu wręcz przeciwnym.

Po dziesięciu dniach nadszedł zakaz urządzania jakichkolwiek widowisk w Pompei na przeciąg roku. Na zakazie widniał podpis Wespazjana.

xxx

Ślub, jak już pisałem, uległ zwłoce. Wyjazd pułkownika i mój na manewry nastąpił podczas pełni księżyca i zbiegł się z wyjazdem Van Campena z Ireną na Olimpiadę. Prowadzenie gorzelni powierzyliśmy Kubusiowi. Helena zajęła się buchalterią. Ponieważ nie znała cyfr arabskich, trzeba było jej pozostawić zupełną samodzielność. Ostatecznie rachunki w cyfrach rzymskich nie są znów takie straszne, jak sobie wyobrażałem. Tak samo można mnożyć, dodawać, odejmować, nawet dzielić. Helena dała

sobie radę, o czym przekonaliśmy się po powrocie.

Przy sposobności śpieszę wspomnieć o tej dziewczynie z najwyższym uznaniem. Nie tylko prowadziła rachunki, ale też dbała o cały dom, o niewolników i dziecko Tulii, które codziennie podczas przerwy obiadowej wozila na spacer w wózeczku.

Kubuś, co zresztą każdy znający go bliżej mógł przewidzieć, stawał się coraz bardziej zrezygowany, o ślubie rozmawiał spokojnie, a na pytania znajomych odpowiadał bez zająknięcia:

– Pobierzemy się podczas następnej pełni.

Pewnego ranka, żegnani serdecznie przez domowników, pułkownik, Jeff, Irena i ja wsiedliśmy na żaglowiec handlowy, kursujący między Zatoką Neapolitańską a wybrzeżami Grecji. Niewielki stateczek, obliczony na czternastu pasażerów, był zwinnie i dobrze utrzymany. Żółte żagle wesoło łopotały na wietrze. Na przedzie kadłuba, z obu stron nad powierzchnią wody, srożyły się dwa krokodyle z otwartymi pyskami. Pod pokładem chowano towary, a na pokładzie stał domek z leżakami do spania. Miłe chwile przeżyłem w czasie tej zbyt krótkiej podróży. Przyjemnie jest leżeć na miękkim materacu, w cieniu żagla, nie myśląc o niczym. Z jednej strony morze, z drugiej ciemnozielone brzegi.

– Dobrze nam tu, mój pułkowniku – mówiłem – czyż warto myśleć o Pompei, gorzelni, amfiteatrze? Jedźmy na Olimpiadę.

Mistrz uśmiechnął się tylko. Wiedział, że to żarty.

– Ja tam do Pompei zniechęciłem się ostatecznie – rzekł Jeff. – Dość mam już sportu.

– Osiadasz więc na Aenarii? – spytałem.

– Z całą pewnością. Po Olimpiadzie Irena sprzedaje dom i przenosimy się na wyspę.

Pułkownikowi podobała się stanowczość Van Campena. Nachyliwszy się do mego ucha, szepnął:

– Ten chłopak wie, czego chce. Da sobie radę w życiu.

O godzinie drugiej po południu przemknęliśmy obok Surrentum. Kapitan żaglowca pokazywał mi małą zatokę, zamieszkałą jakoby przez syreny. Pokazywał też wejście do groty, w której ukrywają się przed okiem ludzkim złośliwe karzelki. Pułkownika zaciekawiała latarnia morska, zbudowana na samym cyplu półwyspu. Oświadczył, że jest wyższa niż w Hawrze. Mało mnie to obeszło. Człowiekowi, który jadał śniadania na wieży Eiffla, nie imponują takie latarnie.

Za półwyspem mieliśmy wiatr pomyślny. Przed zapadnięciem zmroku zawinęliśmy do Paestum. Przyznaję, że miasto zaskoczyło mnie wielkością placów i okazałością gmachów. Trebeliusz, który czekał na przystani, uznał

za stosowne zaprowadzić nas do świątyni Neptuna.

– Pokłońcie się patronowi tego grodu – rzekł – by darzył was przychylnością.

Paestum otaczały mury zachowane lepiej od pompejańskich. Bruki też były lepsze, jezdnie szersze, domy obszerniejsze. Świątynia Neptuna, górująca nad przestronnym forum, przypominała wielkością i kształtami kościół Św. Magdaleny w Paryżu.

Pułkownik kupił w kramiku ulicznym pęk kwiatów i wręczył Irenie mówiąc:

– Masz, złóż w naszym imieniu Neptunowi.

Przyznaję się, że stanąwszy przed kamiennym posagiem bóstwa, kornie schyliłem głowę. Nastrój, którego określić nie potrafię, udzielił się nam wszystkim. Irena złożyła kwiaty na ołtarzu i w słowach prostych prosiła Neptuna o łaskawą opiekę.

Posiłek spożyliśmy w oberży odwiedzanej przez oficerów. Po ostatnim toaście za zdrowie młodej pary, narzeczeni wrócili na pokład okrętu, by ze świtaniem wyruszyć w dalszą drogę.

Trebeliusz zaprowadził nas na nocleg do pewnej mieszczki, której imienia nie pamiętam. Hostellerie pozajmowali wojskowi wszelakich rang i rodzajów broni. Obozy ciągnęły się na ogromnej przestrzeni pomiędzy Paestum a rzeką Silarus, poza którą stała armia nieprzyjacielska. Kroki wojenne miały się rozpocząć z chwilą przyjazdu Tytusa.

Na beztroskim próżniactwie minęło parę dni. Pewne ilości wódki, które przezornie zabrał ze sobą pułkownik, ułatwiły nam wstęp do towarzystwa sztabowców.

Nie mam pojęcia o strategii, nie wiem, od czego zależy zwycięstwo. Choć przez cały czas przysłuchiwałem się rozmowom wybitnych wojaków, niewiele zyskałem. Natomiast mój mistrz wprost promieniał z radości omawiając plany posunięć taktycznych. Z jakimż zapałem tłumaczył Rzymianom o konieczności manewru na tyły z przecięciem dróg odwrotowych, o formowaniu grupy uderzeniowej, o małej wydajności frontalnych ataków, o utrzymaniu inicjatywy za wszelką cenę, o służbie wywiadowczej na polu walki, o pożytku, jaki przynosi zaskoczenie, i o wielu innych rzeczach, od których wprost mąciło mi się w głowie.

Pamiętam pewną przemowę pułkownika. Gdy skończył, jeden z oficerów-sztabowców rzekł:

– Wszystko to już było, szlachetny cudzoziemcze. Manewr, o którym mówisz, wypróbowaliśmy na własnej skórze. Stosowali go Kartagińczycy. Nie przypuszczaj, jakoby strategowie nasi nie przewidzieli obejścia skrzydeł przy pomocy konnicy i lekkobrojnej piechoty z jednoczesnym związaniem

środką. Mogę ci przytoczyć kilka przykładów, bardzo nawet charakterystycznych, z których wynika, że teoria z praktyką niewiele ma wspólnego. Wierz mi, iż manewr ten równie często zawodzi, jak i doprowadza do zwycięstwa.

– Cóż więc, twoim zdaniem, zapewnia powodzenie? – spytał pułkownik.

Rzymianin rozpostarł ramiona, złożył je na piersi, schylił głowę i odparł:

– Wola bogów.

Rozmowa ta zdenerwowała pułkownika.

– Taki fatalizm w sztabie generalnym – mówił – jest niedopuszczalny.

Całe szczęście, że Rzymianie poczytują swych bogów za potężniejszych od obcych, w przeciwnym razie zamiast zwycięstw ponosiliby klęski.

Nie wiem, jak odbywają się manewry w XX wieku. To, co widziałem pod Paestum, przypominało prawdziwą wojnę. Jedyne sieczność broni była złagodzona. Szeregowcom piechoty poowijano miecze łykiem, aby w uniesieniu nie zabijali przeciwników. Na ostrza włóczni nasadzono czopy drewniane. Procarze posługiwali się kulami ze świeżo rozrobionej gliny, a łucznicy dostali tępe strzały trzciniowe.

Pomimo tak daleko posuniętych środków ostrożności nie obeszło się bez nieszczęśliwych wypadków. Widziałem wielu poszwankowanych, zwłaszcza z ranami tłuczonymi. Podobno procarze mają zwyczaj oblepiać kamienie gliną. Podczas kontroli wszystko wygląda niewinnie, a niech no kto dostanie takim pociskiem w głowę, to z nóg się zwali.

Ponieważ manewry były bardzo wyczerpujące (żołnierze robili według pułkownika po trzydzieści do czterdziestu kilometrów dziennie), musiano przedsięwziąć środki zaradcze przeciwko przechodzeniu żołnierzy do dobrowolnej niewoli. Sposób był bardzo prosty. Ktokolwiek dostał się do niewoli, przez trzy doby pozostawał bez jedzenia. Zresztą przepis dotyczył tylko formacji barbarzyńskich. Żołnierz rzymski o silnie rozwiniętym poczuciu godności osobistej szedł naprzód dla chwały sztandarów.

Jak już wspomniałem, ośrodkiem naszej armii było miasto Paestum. Nieprzyjacielska kwatera główna mieściła się w Picencji. Rolę naturalnej granicy spełniła rzeka Silarus.

Pierwszych kilka dni upłynęło na wzajemnym rozpatrywaniu stanowisk i wyszukiwaniu miejsc dogodnych do przeprawy. Obie armie zarządzały fałszywe alarmy, usiłując wprowadzić w błąd przeciwnika. Dopiero szóstego dnia od rozpoczęcia kroków zaczepnych, przy jednoczesnych czterech atakach demonstracyjnych, armia, której towarzyszyłem, przekroczyła rzekę w odległości trzech mil rzymskich od ujścia, opodal miasteczka Eburum. W miejscu tym przechodziła szosa wiodąca do Picencji.

Nieprzyjaciel, zagrożony oskrzydleniem od północy, rozpoczął odwrót.

Jak powiada pułkownik, manewr ten był niezbędny, przyjęcie bowiem decydującej bitwy w tych warunkach groziło klęską.

Nie będę wymieniał wszystkich miejscowości, przez które przejeżdżaliśmy niewygodnym wozem na dwu kołach. Pominę też milczeniem ruchy wojsk, o których jeden tylko pułkownik mógłby napisać rzeczowo. Przechodzę od razu do najważniejszych wypadków. Po dwu dniach i dwu nocach, spędzonych niemal bez przerwy na niemiłosiernie trzęsącym wózku, zajęliśmy wraz ze sztabem na jakieś wzgórze. Cała płaszczyna, jak okiem sięgnąć, była zavalona wojskami. Za wzgórzem stała konnica, w ukryciu. Nasz obóz był niewidoczny, natomiast nieprzyjacielskie namioty, otoczone rowami, dostrzegało się gołym okiem.

Pułkownik zdradzał niezwykle podniecenie. Ponieważ sztabowcy nie mieli czasu na zabawianie go rozmową, gawędził ze mną, tłumacząc przebieg akcji.

Nadchodziła rozstrzygająca chwila. Na płaszczynie odbywały się ostateczne przegrupowania. Podobał mi się szyk potrójny ciężkozbrojnej piechoty. Raz tylko widziałem piękny manewr, kiedy luźno rozstawione kohorty zamieniają się w okamgnieniu w zwarty szereg z rezerwami na tyłach. Bardzo to ładnie wygląda i sprawia potężne wrażenie.

Wbrew przewidywaniom armia nieprzyjacielska pierwsza ruszyła do ataku. Bój rozpoczęli lekkozbrojni. W odpowiedzi na natarcie wysłano z naszej strony również lekką piechotę. Dopiero po upływie pół godziny pchnięto falangi pancerne. Wtedy to zrozumiałem, różnicę między doborowym żołnierzem a drugorzędnymi formacjami.

Legiony szły jak automaty. Zdawało się, że nic ich nie powstrzyma. Natknęły się jednak na ciężką piechotę przeciwnika, który jednocześnie wysłał konnicę na nasze prawe skrzydło. Wobec tego i nasza kawaleria wystąpiła z ukrycia.

Z przebiegu bitwy rozumiałem niewiele. Wiem tylko, że konnica nieprzyjacielska, rozporządzając bitym traktem, zdołała nadspodziewanie szybko przedostać się na nasze tyły. Zauważyłem niepokój wśród sztabowców. Ogłuszający zgiełk nie pozwalał na połapanie się w sytuacji.

– Teraz i ja straciłem orientację – bąknął pułkownik*.

Dokoła nas wrzało. Przebiegały kompanie. Co chwila jakiś jeździec galopował z rozkazem, inny znów wpadał na wzgórze i, nie zeskakując z konia, składał raport.

Straszny kurz dosłownie mnie oślepiał. Pod powiekami czułem ziarnka

* O ile czas pozwoli, przebieg manewrów pod Paestum postaram się opisać w oddzielnej książce. Oczywiście temat potraktuję z innego punktu widzenia niż autor niniejszych wspomnień. Dzięki obcowaniu ze sztabowcami Tytusa, materiał, jaki zgromadziłem, przedstawia się dość interesująco.

piasku. Na domiar nieszczęścia zabrakło wody. Dwie nieprzespane noce sprawiły, że z trudnością trzymałem się na nogach.

– Czy prędko koniec tej zabawy, mój pułkowniku?

– Pojęcia nie mam.

Nagle usłyszałem za plecami jakieś okrzyki. Z niewiadomej przyczyny wynikł popłoch. Do naszego wozu podbiegł centurion, podniósł ramię i zawołał:

– Szlachetni cudzoziemcy, bądźcie łaskawi opuścić wzgórze.

Spodziewany jest atak.

Pułkownik cmoknął na konia. Nie uciekał, nie szukał bezpiecznego ukrycia, lecz ruszył wprost przed siebie, ku linii głównej. Zresztą tak wszystko się pomieszało, że nie wiedziałem gdzie wróg, a gdzie swój.

– Zdaje się – rzekł smutnie pułkownik – zdaje się, bierzemy w skórę.

Klęska stawała się coraz wyraźniejsza. Jak się nazajutrz dowiedziałem, atak konnicy nieprzyjacielskiej na wzgórze odparto. Prawdziwe niepowodzenie zaczęło się z chwilą, kiedy dwie nasze kohorty barbarzyńskie przeszły na stronę przeciwnika. Oburzający ten postępek, nieznanym w dziejach armii rzymskiej, sprawił, że dowódcy zupełnie potracili głowy. W lukę, jaka wytworzyła się wskutek tego w linii bojowej, przeciwnik pchnął zupełnie świeże rezerwy, co przesądziło o wynikach bitwy. Porażka była sromotna!

Kohorty, które przeszły do nieprzyjaciela, składały się wyłącznie z Markomanów*. Po manewrach długo namyślano się nad wyjściem z niezwyklej sytuacji. Stosownie do obowiązujących ustaw, zdrajcy winni byli ponieść karę śmierci. Jeżeli nie wszyscy, to co dziesiąty, przez losowanie. Jednakże Tytus, przyjrawszy się z bliska tym szczególnym wojakom, oświadczył:

– Widocznie zdrada jest cechą narodową tego plemienia, nie zdają sobie bowiem sprawy z obrzydliwości swego postępku.

I polecił rozformować obie kohorty, sztandary spalić, a szeregowców powieścić do oddziałów rzemieślniczych, które wloką się zwykle z trenami za armią.

Dodać wypada, że Markomanów nie okrążono i w ogóle udziału w bitwie nie brali. Przeszli do wroga w szyku bojowym, ze sztandarami, z orkiestrą na czele.

Jeden z dowodzących nimi podoficerów, Rzymianin, nie mogąc przeżyć takiej hańby, powiesił się na drzewie piniowym. Samobójcę pochowano z

* Kochany autor myli się nieco, nazywając tych zdrajców Markomanami. Nie byli to Markomanowie, w ścisłym znaczeniu tego słowa, lecz plemię tubylcze z Markomanii. Właściwi Markomanowie, którzy ujarzmili tubylców, odznaczali się cnotami rycerskimi.

honorami. Tytus przyznał wdowie rentę dożywotnią.

Zupełnie inaczej walczyły pozostałe formacje barbarzyńskie. Słyszałem pieśni Gallów idących do boju. Germanowie odznaczyli się wzorową karnością i hartem ducha. Zapalczywych Ilirów musiano powstrzymać, gdyż wyrwali się naprzód. Ale prawdziwą niespodziankę zrobili dowództwu górale zwani Zabokami, którzy wzięli manewry zbyt na serio. Wykazali przy tym nieprzeciętny wstręt do Markomanów. Na tym tle wynikł zabawny epizod.

Gdy o zachodzie słońca przepędzono przed sztabem owe dwie smutnej pamięci kohorty markomańskie, jedna kompania Zaboków ruszyła raptem do ataku.

Z dzikim wyciem wpadli na Markomanów. Choć nieliczni, narobili takiego zamieszania, że obie kohorty tchórzów rzuciły się do ucieczki.

Widziałem na własne oczy górala o orlim profilu ścigającego całą bandę. Sam jeden pędził przed sobą co najmniej dziesięciu, wywijając nieszkodliwym dzirytem.

– Nom d'un chien – zaklął pułkownik – a cóż to za wojsko! Ale dlaczego tamci ich gonią? Kto im kazał?

Jeden z Markomanów, ogarnięty przerażeniem, cwałował wprost na nasz wózek. Nie mogłem wytrzymać. Zeskoczyłem, przeciąłem mu drogę i złapałem za skórę baranią, którą był opasany.

– Stój, ścierwo – krzyknąłem po polsku – czego uciekasz?

Spojrzał na mnie zdziwiony, zrobił ręką rozpaczliwy gest i zawołał:

– Pust mne! Ja sem se wystraszył!

– Czegoś się wystraszył?

Barbarzyńca wyrwał mi się z rąk i drapnął.

Pułkownik oburzył się:

– I to ma być wojsko – powtarzał – to ma być wojsko? Rozumiem odwrót, rozumiem nawet ucieczkę, gdy nie ma innej rady. Nigdy jednak pojąć nie zdołam tego, co zaszło.

Minęła dobra godzina, nim zdołano uspokoić wzburzonych górali oraz wyłapać półprzytomnych Markomanów. Z obawy przed dalszymi awanturami rozkwaterowano ich oddzielnie.

Nazajutrz rano ruszyliśmy z powrotem do Paestum. O godzinie pierwszej po południu zaczęliśmy popas w majątku ziemskim starego kretyna imieniem Trymalchion, który szastał pieniędzmi na prawo i lewo. Wyprawił dla oficerów ucztę, przy czym popisował się deklamowaniem wierszy. Nikt go nie słuchał. Humory były podłe z powodu niefortunnego wyniku manewrów.

Po raz pierwszy i jedyny w życiu widziałem wtedy wschodnich kuglarzy,

którzy przekłuwali sobie piersi długimi igłami. Jeden z tych magików, wbiwszy sześć igieł w okolice serca, zwrócił się do mnie z pytaniem, z której rany ma pociec krew. Powiedziałem, że z drugiej, licząc od góry, co też się stało. Wskazana ranka krwawiła, podczas gdy inne nie pozostawiły na skórze najmniejszych śladów.

Jedzenie było wyśmienite. Trymalchion upił się pierwszy i zasnął. Na to tylko czekali goście. Skoro gospodarza przeniesiono do sypialni, rozpoczęła się prawdziwa zabawa. Obsiadły nas tancerki, fletnistki, poetki, recytatorki i inne artystki żyjące bez troski w dominium Trymalchiona.

Uczta przeciągnęła się do zmroku. Do poprawy nastrojów przyczyniły się szlachetne wina i słodkie dziewczęta o niezbyt surowych obyczajach. Hasaliśmy po całym domu, nie kępując się niczym, robiąc, co kto chciał. Nawet pułkownik nabrał werwy i wyszedł z tancerką-bosonózką do gaju oliwnego, by porozmawiać, jak twierdził, o filozofii. Co do mnie, to owej nocy zostałem partnerem uroczej akrobatki.

XVIII. NA AENARII

Stanąwszy w Paestum, pułkownik zakrzętnął się nad zorganizowaniem hurtowni okowity. Dzięki pomocy Trebeliusza zawarliśmy znajomość z pewnym rzetelnym kupcem, który podpisał z nami kontrakt.

Nie przypuszczałem, że powrót do Pompei ulegnie zwłoce, i to z powodu choroby. Pułkownik zasłabł w przeddzień projektowanego wyjazdu. Przyczyniły się do tego fatalne niewygody, kilka nocy spędzonych w namiocie i duże ilości napojów wysokowych, którymi podtrzymywaliśmy nasze siły podczas manewrów. Nastąpił nowy atak ostrego reumatyzmu.

Mistrz gorączkował. Bóle nie pozwoliły mu zasnąć. Obrzęk kolana był jeszcze wyraźniejszy niż po powrocie z Herkulanum. Rozumie się, że wobec takich objawów zrezygnowałem z podróży, wynająłem pokój w prywatnym domu i udałem się na poszukiwanie doktora.

W Paestum nie było lekarzy. Obowiązki ich spełniali kapłani Asklepiosa. Mieszkali w internacie obok świątyni, opiekując się chorymi zupełnie bezinteresownie. Kto chciał, ten mógł złożyć dary przed ołtarzem bóstwa. Lekarstwa wydawano bezpłatnie.

Kapłan, którego sprowadziłem do łóżka pułkownika, przepisał gorący odwar z ziół napotnych, polecił nakryć chorego stosem koców, a kiedy poty minęły, przyniósł nowe lekarstwo – nasiona jakiejś rośliny*.

Odliczywszy czterdzieści sztuk, kapłan wsypał ziarenka do glinianego garnka, zalał winem i postawił na ogniu. A kiedy ukazała się pianka na

* Ziarenka, o których wspomina autor, były ni mniej, ni więcej tylko nasieniem pospolitego zimowita (*colchicum autumnale*). Środek ten, po dzień dzisiejszy stosowany, uchodzi jednak za niebezpieczny. Farmakopeja belgijska przewiduje pod postacią wyciągu alkoholowego najwyższą dawkę 1,5, francuska 1,85, niemiecka 2,0.

powierzchni, zestawił i odcodził. Otrzymanym w ten sposób dekoktem poił pułkownika co pół godziny, starannie odmierzając dawki.

– Nie lękaj się – rzekł do mnie na uboczu – jeżeli wystąpią nowe objawy. Pan twój przed wieczorem zacznie uskarżać się na duszności. Nie opuszczę go, póki nie nastąpi poprawa.

– Powiedz mi, kapłanie – spytałem – czy można liczyć na szybki powrót do zdrowia?

– Jeżeli pragniesz zwalczyć zło, musisz zawieźć chorego na Aenarię.

Koło godziny szóstej wieczór wystąpiła silna gorączka. Kapłan nie wychodził z naszego pokoju. Badał pułkownikowi tętno, posługując się małą klepsydrą, osłuchiwał serce, mierzył też gorączkę, wkładając mu pod język kulki wielkości grochu. Zależnie od szybkości, z jaką topniały, określał ciepłotę ciała.

Przeżywałem prawdziwie ciężkie chwile. Pułkownik narzekał na duszności. Dopiero nad ranem nastąpiło polepszenie. Kryzys przeminął.

Dla odpędzenia snu zabrałem się do pisania. Nie jest to rzecz łatwa wydrapać rylcem list na woskowanej tabliczce, zwłaszcza gdy nie ma się wprawy. Dwie godziny zajął mi opis wypadków, choroby pułkownika i najbliższych projektów. List, przeznaczony tylko dla Kubusia, skreśliłem w języku polskim. Wysłałem za pośrednictwem kuriera wojskowego, za co, przy sposobności, składałem podziękowanie zacnemu Trebeliuszowi. Tą samą drogą, po upływie dwu dni, otrzymałem odpowiedź.

Uściśnij od nas wszystkich dłoń Mistrza – pisał Kubuś – i powiedz, że myślą jesteśmy przy Nim. Ha, niech się dzieje wola bogów. Jedźcie na Aenarię, kiedy tak orzekł kapłan. Jesteśmy zdrowi. Syn Tulii chowa się dobrze, tylko czasami choruje na brzuszek. Pocięszam ją, że od tego są dzieci. Zaangażowaliśmy mamkę, wprawdzie z plebsu, ale stanu wolnego. Helena wozi malca na spacer. Gorzelnia działa sprawnie. Odpędzamy około trzydziestu litrów na dobę. Kupiłem jeszcze jednego niewolnika, ponieważ spodziewam się powiększenia produkcji. Lukrecjusz jest nam winien przeszło sto dwadzieścia HSX¹ i wciąż bierze na kredyt. Co do moich spraw osobistych, nic się nie zmieniło. Kwesor Sulpicjusz staje się coraz bardziej natarczywy. Złości mnie to, ale co robić? Posyłam draniowi wódkę. Od Van Campena brak wiadomości. Aulus Firmus ma urwanie głowy w związku z zajściami na meczu piłki nożnej. Mieszkańcy Pompei są oburzeni wyrokiem, nie poczuwają się bowiem do winy. Chcą protestować. Odbyły się już dwa wiece na forum, mała jest jednak nadzieja, aby poskutkowało. Rzym nie lubi zmieniać rozporządzeń. Helena podarowała Pitosowi nową pelerynę z

¹ Dziesięć sestercji.

kapturem. Jak dotychczas, nie przepił. Czy zamierzacie długo siedzieć w uzdrowisku? Napisz do mnie zaraz po przyjeździe na Aenarię. Ściskam cię mocno. Kubuś.

P. S. Monotropos jest skończonym łotrem. Nie wiem, co z nim robić.

Z listu wyciągnąłem wniosek, że możemy być najzupełniej spokojni. Kuba da sobie radę. Zirytowała mnie tylko wiadomość o natręctwie kwestora. Szczegół ten zataiłem przed pułkownikiem, który wskutek cierpienia zbyt łatwo ulegał podrażnieniu.

Po tygodniu kapłan oznajmił mi, że jeżeli chcemy wyjechać, to nadarza się dobra sposobność. Z Paestum miał odejść nazajutrz żaglowiec do Aenarii. Należało zamówić miejsce.

Rady tej usłuchałem. Przed odjazdem wynająłem lektykę, aby pułkownik mógł odwiedzić świątynię Asklepiosa. Czuł się o tyle lepiej, że próbował nawet posuwać się o kiju.

Z wdzięczności za opiekę ofiarowaliśmy kapłanowi osiołka, by nie musiał biegać pieszo do chorych.

Schylwszy głowę przed posągami bóstwa, pułkownik wsiadł do lektyki, żegnany serdecznie przez kapłanów. O zachodzie słońca stanęliśmy w porcie i weszli na statek, który z blaskiem dnia odbił od brzegu. W południe minęliśmy Capri.

– Szkoda – rzekł pułkownik – że na tej wyspie nie mamy agenta. Sądząc z okazałości gmachów i ogrodów mieszka tu bogata publiczność.

Za Capri wypłynęliśmy na pełne morze. Pogoda była zachwycająca. Koło godziny drugiej po południu sternik pokazał nam ciemną plamkę na horyzoncie.

– Aenaria – oznajmił. – Przed wieczorem będziemy na miejscu.

Łądowanie na tej uroczej wysepce było dla nas prawdziwą niespodzianką. Nigdy w życiu nie widziałem tak dobrze urządzonego zdrojowiska. Nie mówiąc już o gorących i zimnych źródłach, które tam spotykało się niemal na każdym kroku, wprawiła mnie w zachwyt pieczara ogrzewana ciepłem wulkanicznym.

Wynajęliśmy dwa pokoje w domu obywatela Skaurusa, opodal łaźni i grot. Pułkownik zapłacił dość wysokie komorne z góry za cały miesiąc, bo tyle czasu zabierała kuracja. Lekarza, kąpiele i inne zabiegi opłacało się z dołu. Ponieważ i ja odczuwałem czasami łamanie w kościach, postanowiłem skorzystać ze sposobności i poddać się opiece lekarskiej. Wszak nieraz ludzie zupełnie zdrowi kąpią się dla zabezpieczenia organizmu na przyszłość przed chorobą.

Rzecz godna uwagi, że zarówno pułkownikowi, jak i mnie, przepisano tę

samą kurację. Przez pierwsze pięć dni braliśmy zwykle kąpiele w gorącej wodzie mineralnej, zupełnie czystej, bez smaku, w dotknięciu jak gdyby śliskiej. Kazano nam siedzieć w basenie, póki nie zaczniemy odczuwać zmęczenia. I na tym koniec.

Po pięciu dniach – przerwa. Wtedy wystąpiły niepokojące objawy. Pułkownika zupełnie połamało. Nie mógł, nieborak, przekręcać się w łóżku z boku na bok. Ja dostałem nieznośnych bólów w krzyżu.

Lekarz, skoro opowiedzieliśmy mu, co nam dolega, uśmiechnął się i rzekł:

– Bardzo dobrze, bardzo dobrze, o to właśnie chodziło. Teraz wiem, jak was leczyć. Woda z tych źródeł ma tę zaletę, że po kilku kąpielach utajone dolegliwości występują na jaw.

Przepisał pułkownikowi łaźnię, a mnie polecił kąpać się nadal.

Po tygodniu bóle złagodniały, stałem się wesół i rześki. Nie mogę tego samego powiedzieć o pułkowniku. Sanitariusze znosili go do podziemi, skąd wracał czerwony jak burak. Następnie leżał dość długo zawinięty w koce, po czym zaczęli go męczyć dwaj masażyści.

Po drugim tygodniu zauważyłem poprawę. Nasz mistrz mógł się wkrótce poruszać po ogródku, wsparty na moim ramieniu. Pewnego dnia poszliśmy na ryby do okrągłego jeziora. Wtedy to wyciągnąłem na wędkę węgorza o pyszczku przypominającym z profilu psią głowę. Podczas zdejmowania z haczyka ugryzł mnie w palec. Ryba owa, zwana mureną, była na wyspie poszukiwana przez smakoszków. Zrobiłem z niej prezent gospodarzowi.

Przed ukończeniem kuracji lekarz polecił mi wziąć sześć kąpiele parowych w łaźni podziemnej. Gdy po raz pierwszy tam schodziłem, prowadził kierownik zakładu. Nazajutrz sam dałem sobie radę. Drogę w ciemnym korytarzu znajdowało się trzymając ręką przeciągnięty sznur. Musiałem tylko wołać co chwila: „Hej, hej, uwaga!”, by nie wpaść na kuracjusza wędrującego w przeciwnym kierunku.

Im niżej schodziło się przebitym w skale korytarzem, tym wyższa stawała się temperatura. W samej grocie, również zupełnie ciemnej, panował taki upał, że na całym ciele natychmiast występowały poty. Nie wiem, jak czuli się inni, ja miałem wrażenie, że jestem złotą rybką w akwarium z niezmienną wodą. Wyciągałem szyję ku górze w przypuszczeniu, że znajdę chłodniejsze powietrze. Wkrótce jednak doszedłem do wniosku, że lepiej kucnąć na rozpalonej ziemi. Wszyscy chorzy postępowali podobnie.

Czas regulowano w pomysłowy sposób. Lekarz wyznaczał pacjentowi do odmówienia w grocie tyle a tyle zwrotek z „Eneidy”. Mnie też wyznaczył. Ponieważ nie wiedziałem, co to jest „Eneida”, powiedział, bym sobie dobrał towarzysza i przysłuchiwał się jego deklamacji.

Z grot wracało się, tak jak przy schodzeniu, za pomocą liny. Druga linka,

umieszczona tuż przy ziemi, służyła do alarmowania obsługi w razie nagłego załabnięcia. Wystarczyło schylić się i szarpnąć, by przybiegł kąpielowy. Podczas mego pobytu nie zdarzył się w grocie żaden nieszczęśliwy wypadek.

Minął miesiąc, kuracja nasza dobiegała końca.

– Jeżeli wam pilno – rzekł lekarz – nie zatrzymuję. Radziłbym jednak odpocząć, poleżeć na słońcu. Dobrze robią takie promienne kąpiele. Nie zapomnijcie tylko o przewiązaniu głowy białą chustą i natarciu ciała oliwą. Zabezpieczy was to przed opierzchnięciem skóry.

Ponieważ czuliśmy się na Aenarii zupełnie dobrze, pułkownik postanowił siedzieć jeszcze choćby tydzień lub dwa.

– Zdrowie mi wraca – rzekł – a ponieważ jestem zmęczony, odpoczynek przyda się bez wątpienia.

– I ja chętnie zostanę – dodałem – wcale mi nie śpieszno do pompejańskiej ciasnoty. Teraz dopiero widzę, jak niefortunnie wybraliśmy miejsce na stały pobyt. Wszak w Pompei można by drzewa porachować na palcach, a ten zwyczaj budowania domów bez okien od ulicy zupełnie nie ma sensu.

Podczas kuracji otrzymałem od Kubusia dwa listy. Żalił się w dalszym ciągu na bezceremonialność kwestora. Pisał poza tym, że po głębokim namyśle sprzedał Monotroposa. Postępek dość dziwny jak na socjalistę, członka honorowego irlandzkiej Partii Pracy.

xxx

Pewnego razu, leżąc z pułkownikiem na wydmie piaszczystej, usłyszałem gwar głosów, wiwaty i bicie w bębny. Hałas dolatywał od strony portu.

– Kogoś witają – rzekł pułkownik – przerwijmy kąpiel słoneczną i chodźmy zobaczyć.

– Może przyjechał cesarz?

– Wątpię. Wiedziano by zawczasu.

Otuliwszy się togami, zbiegliśmy pędem ze wzgórza. Pułkownik biegł zwaśny już niż młodzieniaszek. W pobliżu portu zaczęłam młodą kobietę, która zdążyła w tym samym kierunku, niosąc pęk świeżo zerwanych kwiatów.

– Co się stało? Kogo witają?

– Nie wiecie? Powraca z Olimpiady zwycięzca turnieju poetów.

Przyjechał na naszą wyspę, gdyż zamierza osiąść tu na stałe.

– Cóż to za poeta?

– Imienia jego nie znam. Wiem tylko, że jest cudzoziemcem. Ostatnio

mieszkał w Pompei i bawił na Olimpiadzie jako wysłannik tego miasta.

Im bardziej zbliżaliśmy się do przystani, tym wyraźniej dochodziły okrzyki: „Have! Have!” Pułkownik ścisnął zęby, jak gdyby coś przeżuwał, co było wyraźną oznaką wzruszenia.

– To on, mój pułkowniku.

– Tak, tak, na pewno.

– Należałoby i nam postarać się o jakie kwiatki.

– Szkoda czasu. Możemy się spóźnić. Zresztą i tak zrobimy mu nie byle jaką niespodziankę.

Port był zatłoczony tysięcznym tłumem. Wąskie przejście, ochraniające przez wigilów, czerwieniło się od rozesłanych kobierców. Z obu stron stały małe dziewczynki z koszami kwieciami. Na żagłowcu, przymocowanym do słupa, odbywało się właśnie uroczyste powitanie zwycięzcy olimpijskiego.

Van Campen przeżył się na kapitańskim mostku, słuchając z zachwycającą powagą przemówień miejskich notablów. Na głowie miał laurowy wieniec.

Irena trzymała się nieco na uboczu, jak na skromną małżonkę przystało.

Usiłowałem dostać się na pokład, nie wpuszczono nas jednak.

– Nic nie szkodzi – rzekł pułkownik – możemy zaczekać.

Mniej więcej po trzydziestu minutach skończyły się przemowy. Van Campen, prowadząc pod ramię żonę, przeszedł szpalerem. Chwilami wprost zniknął pod deszczem kwiatów.

– Jeff! – krzyknął pułkownik.

Poeta obejrzał się, wyrzucił dwie dziewczynki, skoczył w ramiona naszego mistrza, pocałował go i znów zaczął ścisnąć.

– Zwyciężyłeś, Jeff, zwyciężyłeś?

– Pierwsza nagroda, mój pułkowniku! Wielki triumf! Obnoszono mnie na rękach po stadionie. A zawody to coś takiego, że niech się schowa Amsterdam razem z Paryżem.

– Czy oprócz tego wieńca dostałeś coś jeszcze?

– Dostałem tyle podarków, że ledwo je załadowano na okręt. Wiozę najrozmaitsze rzeźby, meble, tkaniny i drobiazgi. Starczy na urządzenie domu. Kupimy stary lub wybudujemy nowy.

Ostatnie parę dni spędziliśmy na przechadzkach po uzdrowisku. Irena znała wyspę i orientowała się lepiej od męża w stosunkach miejscowych. Jej też zawdzięcza Van Campen szybkie nabycie nieruchomości, w czym dopomogli mu miejscowi obywatele. Stał się właścicielem obszernej willi, którą umebłował darami z Olimpiady.

– Czy wszyscy zwycięzcy otrzymali tak piękne upominki? – zagadnąłem go od niechcenia, podczas gdy tragarze znosili skrzynię za skrzynią.

– O, nie – odparł – ja dostałem najwięcej, ponieważ po ukończeniu

turnieju wzięłem niezwłocznie ślub z Ireną. To przeważnie podarki ślubne od moich wielbicieli. Musiałem w zamian pić przez całą dekadę i deklamować wiersze. Taki ich ogarnął zachwyt, że gdybym chciał, mógłbym ogołocić z mebli niejedno mieszkanie.

– Co im się podobało?

– Najczęściej musiałem powtarzać „Gaj Akademos”, „Spartanina” i „Dyskobola”. Co do wiersza zawierającego zwrotkę: „Płynę w powietrzu jak wieża”, na ogół twierdzili, że to przesada.

Bliższe zaznajomienie się z podarkami nastąpiło nazajutrz. W skrzyniach znaleźliśmy rzeźby brązowe, marmury, obrazy i mozaiki. Oraz opakowane w siano i rogożę z łyka: stoły, krzesła, kanapy, etażerki, lampy, lichtarze, przybory kąpielowe, słoiki z wonnymi maściami, szpilki do włosów, klamry, grzebienie, zwierciadła ze szlifowanego srebra, sprzęty kuchenne, wartościowe wazy gliniane, brązowe i srebrne, sosjerki, solniczki, łyżki, kubki do jaj, obrusy, wachlarze ze strusich piór, płótna pościelowe, tkaniny wzorzyste, szkatułki z ambłą wschodnią, piękne kosze z drutu miedzianego do podawania owoców, dwa trójnogi do spalania kadzideł, zegar słoneczny, młynek do kręcenia sosów majonezowych, wspaniały krater srebrny do mieszania win z wodą, mnóstwo perfum we flakonach z kryształu górskiego, puchary z niebieskiego szkła, najrozmaitsze klejnoty złote, kamee, posążki bóstw domowych z onyksu, wełniane tuniki i togi, zapasy kosmetyków, ośmiokątny kałamarz z brązu, kilkanaście zwojów czystego papierusa, sztylety, instrumenty muzyczne, tabliczki woskowane, wreszcie kilka skrzyń fig i rodzynków.

– Z tym wszystkim – rzekł Van Campen – mógłbym rozpocząć gospodarstwo. Jednakże przedtem sprowadzę z Pompei ruchomości Ireny. Tymczasem trzeba się będzie zareklamować.

Nie zdawałem sobie sprawy, na czym ma polegać reklama. Okazało się, iż Jeff przemyśliwa nad szyldem salonu piękności. Poszedł do malarza, omówił z nim szczegóły i oto zastałem obu przy pracy. Wymalowali na frontowej ścianie napis w trzech językach. Łacina, grecki niech sobie będzie. Ale nadzieić się nie mogłem, po co Van Campen dodał „Salon de beauté”. Pułkownik też uważał, że to zupełnie zbyteczne.

W początkach lipca wyjechaliśmy do Pompei wraz z Jeffem i jego żoną.

XIX. KTO DA WIĘCEJ?

– Kubusiu! – zawołałem po pierwszych wybuchach radości – Kubusiu, prowadź nas na górę, otwórz skarbiec, zdaj raport z dochodów!

Helena przyniosła tabliczki z rachunkami. Nie pamiętam, ile tego było w rzymskiej walucie, wiem tylko, że na każdego z nas wypadło około piętnastu kilogramów złota.

– No – rzekł pułkownik – jeżeli tak dalej pójdzie, to będziemy mieli kłopot z bogactwem.

Odezwałem się, że wobec dobrego stanu interesów moglibyśmy sobie pozwolić na jaki zbytek. Na przykład kupić jacht. Przechodząc przez forum, widziałem ogłoszenie o okazyjnej sprzedaży.

– Pomysł dobry – zgodził się mistrz – ze zdrowiem czuję się wybornie i z przyjemnością popływałbym po zatoce. Taki jacht przydałby się poza tym do rozwożenia wódki. Żał mi jednak Kubusia, który nie ma swobody ruchów.

– Jeżeli o to chodzi – wtrąciła Helena – z kwestorem damy sobie radę. Rozmawiałam z nim wczoraj. Nos ma czerwony z fioletowymi żyłkami, a kiedy wspomina o wódce, głos mu drży, oczy biegają niespokojnie.

Mrugnawszy znacząco na pułkownika, powtórzyła:

– Tak, z kwestorem damy sobie radę.

I stało się, że tegoż jeszcze dnia kupiliśmy żaglówkę. Mogło w niej się pomieścić około dziesięciu osób. Na pokładzie ustawiono baldachim dla ochrony przed słońcem, a pod pokładem znajdowały się cztery miejsca sypialne.

Ze wszystkich sportów, przypuszczam, żegluga na własnym jachcie jest najprzyjemniejsza. Urządaliśmy przejażdżki niemal codziennie. Do Stabii, Aequany, Herkulanum. Parokrotnie Kuba brał udział w wycieczkach, za co Sulpicjusz dostawał łapówki. Aby sobie choć w części powetować wydatek, przewoziliśmy na jachcie transporty gorzałki. Pułkownik pozakładał hurtownie w miastach nad zatoką. Wydajność gorzelni wzrastała z każdym tygodniem, a do skrzyni pancernej wartkim potokiem płynęły aureusy.

Zbliżał się termin ślubu Kubusia z Heleną. Lada dzień miała nadejść pełnia księżycy. Pewnego razu, powróciwszy z pułkownikiem z przejażdżki, zastałem w domu kwaśne miny.

Co się stało? Nikt nie chciał powiedzieć. Dopiero Kuba, przyciśnięty do muru, wybełkotał:

– Dałem kwestorowi w pysk.

– Oszalałeś!

– Mówię, jak jest. Dałem i basta. Wpakował się do gorzelni, zaczął łązić po magazynie, otwierać butelki. Zółć mnie załała. Nie wytrzymałem.

– Porządnie dałeś?

– Tak sobie, średnio. Zwalił się z nóg, bo był pijany.

– I co teraz będzie?

– Nie wiem.

O ile ja potraktowałem wiadomość o spoliczkowaniu kwestora dość lekko, o tyle pułkownik przreraził się. Nie chcąc Kubusia straszyć, wziął mnie na stronę i rzekł:

– Mój kochany, z tego może wyniknąć taki mętlik, że wprost trudno sobie wyobrazić. Bądźmy przygotowani na najgorsze. Idę zaraz do Sulpicjusza. Wezmę litr kminkówki.

– Może zapomniał – starałem się pocieszyć pułkownika – może nie pamięta, kto go uderzył. Był pijany.

Minęła doba, nic nie zwiastowało burzy. Kwestor przyjął pułkownika uprzejmie i w jego obecności odpieczętował gąsiorek.

xxx

W przeddzień ślubu Helena poubierała swe lalki w nowe sukieneczki i zaniósła Junonie na znak, że już przestaje być dziewczęciem. Następnie, w obecności wdowy, Ireny i kilku przyjaciółek wzięła tradycyjną kąpiel w odwarze tymianku. Po wyjściu z pachnącej wody przywdziała długą stołę.

Kubuś, jak na pana młodego przystało, miał do czynienia z krawcem, fryzjerem i szewcem. Wszyscy zresztą, nie wyłączając niewolników, zaopatrzyliśmy się w odświętne stroje. Co do Tulii to wprost wyłaziła ze skóry, byle stanąć na wysokości zadania. Wśród zaproszonych gości brakowało, niestety, edyla. Musiał wyjechać do Rzymu, dokąd go ponownie wezwano w związku z fatalnym turniejem.

Orszak ślubny wyruszył do świątyni Junony w chwili, gdy na niebie ukazała się gwiazda wieczorna. Drogę oświetlały żagwie jodłowe. Dzieci śpiewały pieśni dla panny młodej, wołano też głośno: „Talassio, Talassio!”¹,

przypominając małżonce o obowiązkach prądki.

Kapłan Seutes wygłosił w świątyni krótką przemowę, następnie podał Kubusiowi dzirynt i polecił dotknąć ostrzem głowy Heleny. Mąż obejmował władzę nad żoną.

Potem Kuba zwrócił się do Heleny z pytaniem, czy chce być jego żoną. Odpowiedziała, że tak, i włożyła sobie do pantofelka miedziany pieniążek. Wtedy druzbowie porwali ją sprzed ołtarza i zanieśli na forum, gdzie uformował się nowy pochód.

Helena szła z opuszczoną na oczy zasłoną wełnianą, prowadzona przez męża. Niewolnicy kroczyli przodem. Jeden z nich trzymał gałązkę tarniny dla odpędzania uroków, drugi kądziel i wrzeczono, trzeci koszyk z przyborami do robót kobiecych.

Przed drzwiami domu Kubuś zwrócił się znów do Heleny z jakimś zapytaniem, na które odparła, że gdzie on będzie – tam i ona. Wówczas druzbowie podali jej zapalone łuczywo i dzban wody, co oznaczało, iż gotowa jest pójść za mężem w ogień i wodę.

Dla pokazania, że będzie dobrą prądką, zawiesiła na drzwiach pęczek wełny i posmarowała futryny tłuszczem wieprzowym, aby złe duchy nie miały dostępu. Towarzyszki wniosły ją do atrium, uważano bowiem za złą wróżbę, gdyby stopą dotknęła progę.

A Kubuś, spocony i trochę zły z powodu zbyt długich formalności, rzucił dzieciom ulicznym garść orzechów, zaznaczając w ten sposób, że się wyrzeka kawalerskich błahostek.

– Uf! – odsapnął – nalejcie mi wina. Zmęczyły mnie te ceremonie.

Bodaj czy nie bardziej przejęty był tym wszystkim pan pułkownik. Zupełnie jakby prowadził do ślubu rodzzonego syna.

Kilka stołów i kilkanaście ław pożyczonych od sąsiadek Tulia ustawiła w kształcie podkowy. Zasiadliśmy w nastroju jak najmielszym. Ku uciesze gości, kiedy już dobrze sobie podpito, Kuba opowiedział o trudnościach, na jakie się natknął, usiłując sprzedać Monotroposa.

Ponieważ niewolnik ten miał bardzo złą opinię, nikt nie chciał go kupić. Aż wreszcie znalazł się naiwny, Terencjusz Maior. Kupił, a na drugi dzień przyleciał z awanturą. „Oszukaliście mnie – krzychał – co ja z tym łotrem będę robił!” A Kubuś odpowiada: „Puść go na loterię, zarobisz”. I Terencjusz przygotował sto biletów, które tegoż jeszcze dnia zaczął sprzedawać na forum. Skutek był taki, że Monotroposa wygrała pewna dama, a przekonawszy się, jaki zrobiła interes, podarowała go czym prędzej swemu siostrzeńcowi. Zamiast się cieszyć, kuzynek desperował. Ostatecznie, ponieważ miał zobowiązania wobec praczki, udało mu się wkręcić jej Monotroposa w zamian za skreślenie długu. Co będzie dalej z

¹ Wzywając imię **zaprzyjźnionego z Romulusem** porwanie Sabineek,, sprzyjającego małżeństwu.

niewolnikiem, trudno zgadnąć. Przechodzi z rąk do rąk i bardzo się zdewaluował. Każdy nowy właściciel pozbywa go się czym prędzej, nawet ze stratą.

Druhny i družbowie zaśmiewali się do łez, słuchając tej opowieści.

O północy drzwi naszego domu stanęły otworem. Każdy, kto chciał, nawet zupełnie obcy człowiek, miał prawo wejść i brać ze stołu, co mu się podobało. Nazłaziło się więc sporo niewolników, łazęgów i żebraków.

O świcie, kiedy goście żegnali się już, do atrium wkroczył zniecka Porcjusz, szef nocnej służby bezpieczeństwa i jednocześnie naczelnik straży ogniowej. Towarzyszyli mu dwaj mężczyźni o minach nie wróżących nic dobrego.

– Z polecenia kwestora Sulpicjusza – przemówił Porcjusz – przychodzę zabrać niewolnika.

Z tymi słowami wskazał na Kubusia, który zrobił się blady, tak blady, że aż zielony.

xxx

Zbliżał się dzień licytacji. Helena spuchła od łez, porobiły jej się kurze stopki pod oczami. Pułkownik błąkał się po atrium od rana do wieczora. Z domu prawie nie wychodził. Tylko coś mruczał sam do siebie. Musiałem pilnować gorzelni bez niczyjej pomocy. Zapotrzebowanie na wódkę wciąż wzrastało, ponieważ wbrew oczekiwaniom zjechali do Pompei dość liczni letnicy, przeważnie bogaci Rzymianie. Mieszkali w podmiejskich willach przy trakcie prowadzącym do Herkulanum.

Edyl nie wracał, wskutek czego straciliśmy resztę nadziei. Jedno było pewne, że gdziekolwiek zawiozą Kubusia, tam i my pojedziemy. Żal będzie gorzelni, tak pięknie rozwijającej się w ostatnich czasach, ale trudno. Pojedziemy za przyjacielem, nie opuścimy go, bo i on nie opuściłby nas w nieszczęściu.

Podły postępek Sulpicjusza był dla naszej gromadki ciosem. Wiedziałem jednak, iż w razie potrzeby staniemy do walki niezłamani, gotowi na wszystko. Wystarczy sygnał alarmowy, by w pułkowniku przebudził się lew, lew wspaniały, nieugięty, którego dewizą jest najpiękniejsza z dewiz: „W jedności siła”.

Kubuś siedział w więzieniu na forum obok świątyni Apollina. Dostawał od nas obiady i kolacje. Zanosila je żona. Przez długi tydzień, poprzedzający licytację, widzieliśmy go raz tylko, gdy szedł pod eskortą do łaźni. Sulpicjusz dbał o dobry wygląd niewolnika we własnym interesie. Miał otrzymać procent od ceny sprzedażnej.

W dniu przetargu ogolono Kubusia niezwykle starannie, ubrano go w jaskrawe szaty, namaszczone ciało i włosy oliwą. Wyglądał nienajgorzej, choć twarz miał skrzywioną.

Licytacja zaczęła się od sprzedaży innych niewolników, przywiezionych przez kupców z Benewentu. Kwestor nie brał w niej udziału. Zjawił się dopiero koło południa.

Przyglądałem się z zaciekawieniem handlarzom, ludziom o nikczemnej powierzchności, minach szorstkich i gburowatych. Jeden z nich, przechadzając się przed wzniesieniem z desek, wskazywał na wystawionych na sprzedaż niewolników.

– Patrzcie na tego chłopca – wołał – jak pięknie jest zbudowany! Podziwiającie jego czarne oczy, jego czuprynę. Słyszysz wybornie, widzi doskonale, zdrow na ciele i umyśle. Skromny, uczciwy, pojętny, posłuszny na pierwsze skinienie. Mówi po łacinie, po grecku, śpiewa, potrafi rozweselić swego pana przy stole.

Klepiąc chłopaka po udach, handlarz darł się zachrypłym głosem:

– Słyszycie, jak to ciało dźwięczy? Jędrne jak marmur. Takiego ciała nie ima się choroba. Za dwanaście tysięcy sestercji możecie go nabyć na własność!

Następnie zwrócił się do małej Mulatki:

– Hej, pokaż, co umiesz, przed panami świata!

Dziewczynka zaczęła tańczyć, starała się, jak mogła, nikt jej jednak nie kupił.

– Czyż nie jest zwinna, czyż nie jest miła? – wołał handlarz.

Tendencja na targowisku była ospała, obroty małe. Ożywienie nastąpiło z chwilą zjawienia się kwestora i Kubusia.

Teraz zmieniły się role. Handlarze z Benewentu ze sprzedawców stali się kandydatami na nabywców. Pospędzali własnych niewolników z trybuny, robiąc miejsce dla niewolnika państwowego.

Skorzystałem z krótkiej przerwy, by pobiec do domu i zawiadomić pułkownika, że już czas na trójkatne forum.

– Dobrze – odparł krótko – idziemy.

Poszliśmy wszyscy, z Heleną, Tulią i niewolnikami. Ciepło było, słonecznie. Gdzieś w dali klekotał bociek zupełnie jak w Polsce. Zapewne Kubuś też słyszał ów klekot. Co też sobie myślał? Przechodząc obok tawerny Sittiusza zwróciłem uwagę Heleny na napis: HOSPITIUM HIC LOCATUR TRICLINIUM CUM TRIBUS LECTIS ET CUM MOBIS OMNIBUS¹.

– Wszyscy mnie opuszczają – szepnęła.

¹ Miejsce z trzema łózkami i wszelkimi wygodami – *lac.*

Tymczasem na rynku zebrało się co najmniej ćwierć miasta. Na twarzach gapiów nie zauważyłem złośliwości. Zarezerwowane miejsca pozajmowali notable. Znałem prawie wszystkich, jeżeli nie z nazwiska, to z widzenia. W większości byli to nasi klienci.

Seutes stanął tuż przy nas. Twierdził, że Kubuś powinien udawać niedołęgę. Należy zniechęcić kupców z Benewentu.

Słowa te powtórzyłem po polsku, zupełnie głośno, nie lękając się, by mnie kto obcy zrozumiał.

– Hop, hop, Kuba! Udawaj, że nic nie potrafisz!

Skinął głową. Chciał nawet odpowiedzieć, lecz kwestor, siedzący z pisarzem przy stoliku, przeszył go wzrokiem.

– Dlaczego nie zaczynają? – denerwował się pułkownik.

Wdowa objaśniła, że niektórzy z bogaczy miejscowych nie spożyli jeszcze południowego posiłku, kwestor więc woli poczekać, by licytacja przybrała od razu żwawe tempo.

Podczas przerwy załatwiono na uboczu kilka transakcji. Kupcy sprzedali jakąś ciemnocia piękność z Palmiry, która umiała wróżyć z ręki, z gwiazd i z lotu ptaków, grała na flecie, haftowała, zręcznie pływała w morzu i udatnie przyrządzała olejki pachnące. Z kolei ten sam kupiec usiłował spieniężyć Murzyna. Na liczne pochwały stale mu odpowiadano:

– Znamy go, znamy! Mieszkał w naszym mieście. To czarny, uwodzi białe niewolnice. Tuzin dzieci woła na niego papo. Już ty nam głowy nie zawrócisz!

A kiedy kwestor powstał i wyciągnął rękę na powitanie tłumu, zaległa cisza. Na ławach patrycjuszów zauważyłem poruszenie. Do trybun zaczęli się cisnąć spekulanci.

Krótko, zwięźle, jak dobry adwokat, wspomniał kwestor o zaletach Kubusia, o jego inteligencji, fachowym wykształceniu i zyskach, jakie można osiągnąć przez założenie wytwórni wody życia. Kończąc oznajmił, iż rozpoczyna przetarg od stu tysięcy sestercji.

– Kwestorze – odezwał się jeden ze spekulantów – jeżeli zaczynasz od stu, to na ilu masz zamiar skończyć?

– Sto tysięcy sestercji – powtórzył pisarz kwestora nie zwracając uwagi na pytanie.

– A czy on wart jest tyle? – nalegał handlarz.

Zdaje się, że Kuba poczuł się dotknięty, gdyż z niechęcią spojrzął na kupca.

Na ławie patrycjuszów rozległy się szept. Bogaty kamienicznik Pansa podniósł rękę.

– Daję sto tysięcy – oznajmił.

– Sto dziesięć – rozpoczęli podbijanie cen handlarze z Benewentu.

– Dam sto piętnaście – zaryzykował znany skąpiec, dygnitarz miejski Spuriusz.

– Śmiały jest, bo wie, że nie kupi – zaśmiał się głośno Wetiusz młodszy i podniósł cenę do stu dwudziestu.

Teraz dopiero zaczęła się licytacja na dobre. W niespełna pięć minut wartość Kubusia przekroczyła dwieście tysięcy. Za takie pieniądze można nabyć majątek ziemski z domem.

Po następnych pięciu minutach kupcy zaczęli przejawiać niepokój. Nastąpiło załamanie tempa. Ścierały się już tylko dwie grupy finansowe: spółka zawodowych handlarzy oraz bracia Wetiusze, których wspaniała rezydencja słynęła w mieście ze sprośnych malowideł ściennych.

– Dwieście sześćdziesiąt cztery tysiące – wołał pisarz.

– Sulpicjusz – zwrócił się do kwestora przedstawiciel kupców z Benewentu – pozwól zadać niewolnikowi pytanie.

Uzyskawszy zgodę, zagadnął Kubusia:

– Jakich kapitałów wymaga uruchomienie wytwórni wody życia?

– Nie wiem.

– Zastanów się i odpowiedz.

– Nie wiem – powtórzył Kubuś – spytaj tych, którzy wiedzą. I wskazał na pułkownika.

Manewr wywołał konsternację. Dla handlarzy był to zimny prysznic. Lecz w tej chwili wmieszał się do dialogu Sulpicjusz i nie krępując się naszą obecnością wyluszczył, że Kuba zna się świetnie na gorzelnictwie, ponieważ ostatnio prowadził przedsiębiorstwo na własną odpowiedzialność.

– Stwierdzam – zakończył – że cała komedia była z góry ułożona.

Niepotrzebnie wdajecie się w rozmowę z niewolnikiem. Trudno wymagać, by nie kłamał.

Wetiusz starszy, naradziwszy się z bratem, podniósł cenę o pięć tysięcy. Handlarze odpowiedzieli nową zwyczajką.

– Kto da więcej? – wrzeszczał pomocnik kwestora. – Kto da więcej?

Do starszego Wetiusza podeszła Helena. Wspiąwszy się na palcach, szepnęła mu coś do ucha, na co odpowiedział skinieniem głowy.

– Kwestorze – przemówił – daję za niewolnika trzysta tysięcy sestercji.

– Trzysta dziesięć! – krzyknęli kupcy.

– Trzysta dwadzieścia – rzekł Wetiusz.

– Zbyt szybko postępujesz, czcigodny Wetiuszu – wołali rywale – tym lepiej dla nas. Łatwiej dobijemy targu. Dajemy trzysta dwadzieścia pięć!

Było jasne, że kupcy nie zamierzają ustąpić. Wetiusz, zamieniwszy kilka słów z Heleną, próbował jeszcze walczyć, lecz bez zapału. Po chwili Kubuś

stał się własnością spekulantów, którzy nabyli go za fantastyczną sumę trzystu sześćdziesięciu sześciu tysięcy sesterceji. Z ciężkim sercem przyjęliśmy do wiadomości wynik przetargu.

Podczas gdy kwestor spisywał akt kupna, podszedłem nieznacznie do trybuny. Notable opuszczali ławy, na placu zabawiała się tłuszcza. Za przedmiot żartów andrusi wybrali Helenę.

– Ej, przepiórko – wołał jakiś oberwaniec – wzięłaś ślub, zdmuchnięto ci męża.

– Odsłoń twarz! – domagał się inny.

– Odsłoń twarz, odsłoń twarz! – krzyczano.

– Milczeć! – huknął pomocnik kwestora. – Hej, wigile, opróżnić rynek z hołoty!

Korzystając z zamieszania, zamieniłem kilka zdań z Kubusiem.

– Jak się czujesz?

– Średnio.

– Martwisz się?

– Mam zamiar.

– Pojedziemy za tobą, bądź spokojny. Helenka też pojedzie.

– Co ona tam szeptala z Wetiuszami?

– Zdaje się, że chciała przyłączyć swe oszczędności do ich kapitału.

– Pocziwe stworzenie.

Przedstawiciel spekulantów wszedł na trybunę, stanął przed stolikiem, na którym umocowano wagę, rzucił na szalkę pieniędzy i rzekł, wskazując palcem Kubusia:

– Powiadam, że ten oto niewolnik, według prawa Kwiryków, należy do mnie, go kupiłem za ten pieniądz i na tę wagę.

– Rzekłeś – potwierdził kwestor.

Na stole zadźwięczało złoto. Mego przyjaciela sprowadzono z trybuny. W towarzystwie nowych panów opuścił targowisko. Zdążyliśmy wymienić spojrzenia i nic więcej.

Nabywcy, uszczęśliwieni z transakcji, poszli wprost do szynku, gdzie pili, zmuszając i Kubusia do picia, po czym wywieźli go z Pompei.

– Gdzie jest Van Campen? – spytałem po powrocie do domu.

Okazało się, że nikt go nie widział na rynku podczas licytacji. Resztę dnia i całą noc był nieobecny, co jeszcze bardziej zdenerwowało pułkownika.

Siedzieliśmy w atrium, stawiając pasjansy. Wdowa nie pokazywała się wcale. Helenka schodziła do na parter, poprawiała knoty w lampach, podlewała kwiaty, karmiła karaski w basenie. Koło północy zeszła po raz ostatni, klękła przed Babylosem i zaczęła się modlić.

Pułkownik coraz bardziej nerwowo tasował karty. Oczy miał szkliste, usta

ściśnięte. Milczał, bo właściwie o czym gadać.

Powstawszy z klęczek Helena zaczęła kaprysić.

– Gdzie Jeff? Dlaczego nie ma Jeffa? Boję się, boję...

Pułkownik wzruszył ramionami.

– I ja się boję – mruknął.

Dzień następny minął bez wiadomości. Trzeciego dnia dowiedzieliśmy się, że skradziono nam żaglówkę. Mało nas to obeszło.

Po pięciu dniach zjawił się Van Campen. Pod lewym okiem miał guza potwornej wielkości, który zmienił mu profil. Opuchlina przypominała barwą wyłogi sukni biskupiej. Przywitawszy się z nami poprosił wdowę o liść aloesu.

– Głupstwo – rzekł na jej biadania – znam się na tym. Za tydzień śladu nie będzie. Czy jest Helena?

– Wyszła z dzieckiem.

– Poślijcie po nią. Mam coś do powiedzenia.

– Jeff – odezwał się pułkownik – tylko mów krótko i bez wykrętów. Z kim się biłeś?

– Z handlarzami.

– Z handlarzami niewolników?

– Tak.

– No i co?

– Spraliśmy ich na amen.

– Gdzie Kubuś?

– W Neapolu.

– U kogo?

– U starozakonnych katolików.

– Byłeś z nim w Neapolu?

– Właśnie wracam. Odwiozłem go żaglówką.

Zapominając o powadze, pułkownik wybiegł z domu. Ja, oczywiście, puściłem się za nim. Galopował wąskimi uliczkami aż do amfiteatru, gdzie na boisku, pod okiem nianiek, bawiły się dzieci pompejańskie. Ujrawszy Helenę, złapał ją na rękę, podniósł i zaczął się kręcić, wołając:

– Do Neapolu! Jedziemy do Neapolu!

Helena zrozumiała. Niewiele brakowało, by świadkowie tej sceny dowiedzieli się o kryjówce. Uznałem więc za stosowne przerwać wylewy radości.

– Attention, mon colonel!

Kiedy stanęliśmy w domu, Van Campen kończył właśnie śniadanie.

– Żadnego listu nie przywiozłem – rzekł – bo Kuba zamierza przejść do innej drużyny religijnej. Twierdzi, że znajdzie lepszą.

– Mówiłeś, że jest u chrześcijan.
– Owszem, ale chcieli mu zrobić krzywdę, więc się wystraszył. On wam to opisze.

Van Campen musiał parokrotnie powtarzać opowieść o porwaniu. Szczegóły, jakie następnie zebrałem podczas przechadzek po forum, pozostawały najzupełniej zgodne.

O zmroku, w odległości czterech mil rzymskich od miasta, dokonano napadu na handlarzy niewolnikami. Co to za banda, kto nią dowodził, gubiono się w domysłach. Posądzano o napad szajkę zbójceją spod Wezuwiusza, tę samą, która porwała Tulię. Napastnicy w liczbie około dziesięciu obskoczyli znieścacka podróżnych i obezwładniwszy ich po krótkiej walce, spuścili im tęgie lanie kijami. Jeden z handlarzy ma złamane żebro, drugi naruszoną szczękę, trzeci tak jest poturbowany, że nie wiadomo, kiedy zacznie chodzić.

Handlarzami zaopiekowały się władze powiatowe. Ciężej rannych odesłano w lektykach do Herkulanum.

Ogólne zdumienie wywołał szczegół, że bandyci nic nie zrabowali, choć mieszkni handlarzy nie świeciły pustkami. Odbili tylko niewolnika i uciekli z nim w kierunku wybrzeża, gdzie ślad zaginął.

Nie potrzebuję chyba dodawać, że owi srodzy zbóje rekrutowali się spomiędzy członków „Pompeiany” i „Star of Pompei”.

– Powiedz mi, Jeff – spytałem go mimochodem – dlaczego biłeś handlarzy? Wszak obchodzili się z Kubusiem zupełnie przyzwoicie.

– Broń Boże – odparł – nikogo nie tknąłem. To folusznicy bili. Ledwo ich mogłem oderwać.

– A czemu nie zwierzyłeś się przed nami z zamiarów?

– Bałem się, żeby pułkownik nie zabronił.

XX. LISTY KUBUSIA

Drodzy przyjaciele!

Piszę do was w języku francuskim przede wszystkim dlatego, że trudniej mi pisać po grecku, a następnie lękam się, by list nie wpadł w ręce jakiego sykofanta. Przepróście więc Helenę w mym imieniu.

Van Campen opowiedział wam zapewne o pierwszych perypetiach, pozostaje do skreślenia ciąg dalszy mych przygód.

Po wylądowaniu w Neapolu zrezygnowałem ze zwiedzania miasta. Jak najmniej rzucać się w oczy przechodniom. Co krok – to wróg, takie obrałem sobie hasło. Folusznicy pozostali w porcie przy żaglówce, a my z Jeffem szybko przebiegliśmy magistralę Północ–Południe. O ile się nie mylę, ulicy tej odpowiada strada di Roma. Mniejsza o to. Minąwszy mury miejskie, zaczęliśmy wstępować na wzgórze, lśniące w promieniach słońca oślepiającą żółcizną. Były to złomy tufu wulkanicznego. Zagadnąłem jakąś staruszkę o katakumby. Wskazała ręką poszarpane zbocza. Wspiawszy się nieco wyżej stwierdziłem, że teren podzielono na parcele poprzegradzane kamiennymi ścianami. Czyżby katakumby były własnością prywatną?

Słońce prażyło. Ścieżyna, po której wspinałem się z Jeffem, była pusta. Nieco dalej ujrzałem żebraka rozciągniętego w cieniu drzew kasztanowych. Wyglądał pocziwie, twarz miał pogodną, nawet zadowoloną. Powitałem go słowem „Salve”. Obejrzał nas od stóp do głów i wyciągnął rękę po jałmużnę. Dałem mu srebrny pieniążek, ale niewiele skorzystałem, gdyż żebrak okazał się niemową. Bełkotał coś długo, wskazywał na złomy żółtego kamienia, wykręcił się do mnie plecami i, jak się zdaje, zasnął.

– Trzeba znaleźć innego przewodnika – zdecydował Van Campen.

Nie było to jednak łatwe. Przechodzień, któregośmy następnie zaczepili, wskazał na wzgórze i oświadczył:

– Wiem, że wśród wertepów tych znajdują się liczne grobowce. Sekciarze chowają tam swych zmarłych. Nie mogę wam jednak powiedzieć, jakiego wielbią boga. Nigdy mnie to nie zajmowało i nikt z moich znajomych tam nie bywa. Zapytajcie raczej oberżysty, za tym zakrętem. On zna tutejsze stosunki.

Niestety, oberżysta też nie zaspokoił naszej ciekawości.

– Co? Chcecie zwiedzać cmentarze chrześcijańskie? – zawołał, stawiając kubki z winem. – Idźcie sami. Ja was nie zaprowadzę.

– Dlaczego?

– Bo nie mam zamiaru zgubić tam swych kości.

– Chrześcijanie są niebezpieczni?

– Nie tyle chrześcijanie, co ich sąsiedzi.
– Jacy sąsiedzi?
– A kto ich tam wie. W tym wzgórzu mieszczą się cmentarzyska kilkunastu bractw pogrzebowych. Kują w tufie chodniki, każda grupa na własną rękę.

Zamilkł na chwilę, spojrzął ku kamieniołomom i dodał:

– To moja klientela. Zwykle po pogrzebie piją. Mitraiści najchętniej. Z chrześcijan nie mam pociechy.

Zagadnąłem go ponownie o chrześcijan. Odpowiedź nic mi nie wyjaśniła. Opowiadał o Żydach, o Syryjczykach na ogół bez zachwytu. Proponowałem, aby nas podprowadził pod górę za dobrą zapłatą. Nie chciał.

– Idźcie sami – rzekł – nie mam pomocnika. Niedawno owdowiałem i muszę pilnować oberży. Zresztą zbliża się burza. Nie lubię piorunów.

Pobrnęliśmy więc dalej. Teraz dopiero zauważyłem ciemne chmury nadciągające od strony południowo-zachodniej. W dusznym powietrzu muchy kasały bez litości.

– Tak, będzie burza – zgodził się Van Campen.

– Może chcesz zawrócić do karczmy?

– Bynajmniej. Lubię pioruny.

Po godzinie uciążliwego skakania po wertepach stanęliśmy przed wejściem do jakichś podziemi. Otwór owalnego kształtu wykuto wprost w tufie. Stwierdziłem, że skała jest tak miękka, iż przy pomocy zwykłego kija można w niej wiercić dziury.

Na zewnętrznej ścianie nie brakowało napisów skreślonych alfabetem łacińskim, prawie nieczytelnych. Zapamiętałem jeden, moim zdaniem głupi: VENERI VOLO RUMPERE COSTAS¹. Ponieważ wejścia nie oznaczał krzyż, poszedłem dalej.

Kręta dróżka, wyżłobiona w porowatej skale, zaprowadziła nas na rozległy taras z ogrodzeniem. Znalazłem połamaną drabinę, trochę skorup i resztki uczy pod gołym niebem. Możecie sobie wyobrazić moje wzruszenie, gdy Jeff, wskazując wejście do ciemnego lochu, zawołał:

– No, nareszcie! Widzę krzyż!

Zaczynały chłostać pierwsze krople deszczu, puściłem się więc pędem ku skale. Istotnie, w ścianie wykuto krzyż, ale niezwykłego kształtu. Ramiona miał równe, w połowie długości złamane i zgięte. Tak czy owak krzyż, więc nie zastanawiałem się nad szczegółami.

W dali zagrzmiało. Ciemna chmura zasłoniła słońce. Stojąc w wejściu do korytarza spoglądałem na panoramę Neapolu. Wtedy spośród głązów wyłoniła się postać kobieca, przebiegła taras w podskokach, wpadła do

korytarza i na nasz widok stanęła jak wryta.

– Coście za jedni – spytała – czego tu szukacie?

– Schroniliśmy się przed burzą, piękna neapolitanko – odparłem.

– To chodźcie do mego ojca, który jest stróżem labiryntu.

Z tymi słowami wprowadziła nas do podziemi. Posuwając się po omacku, doszliśmy do niewielkiego przedsionka, skąd rozchodziły się w kilku kierunkach korytarze. Zawieszona pod sklepieniem lampa oliwna rzucała mdlawe światło. Zauważyłem na ścianach mnóstwo krzyżyków z pozaginanymi końcami.

– Hej, ojczu, prowadzę ci gości! – zawołała dziewczyna.

Na nasze spotkanie wyszedł mężczyzna w pełni sił, dość czysto ubrany.

– Witajcie – rzekł krótko, nie pytając o nic.

Uważałem za stosowne przedstawić się, bez podawania na razie rzeczywistego celu podróży. Wysłuchawszy nas, dozorca odpowiedział:

– Bóg, do którego modłę się wraz z braćmi, nakazuje gościnność i miłosierdzie. Spocznijcie więc i niech ta izba zastąpi wam dom własny.

Wprowadził nas do obszernego pokoju wykutego w skale. Światło dzienne wpadało przez małe okienko. Na ścianach czerwieniły się krzyżyki, ryte i zabarwione. Po chwili weszła żona gospodarza, by przygotować gorącą polewkę na winie. Pierwszy raz jadłem tę chłopską potrawę. Ponieważ zgłodniałem, smakowała mi jako tako.

– Zacni jesteście ludzie – rzekłem – i cenię waszą uprzejmość. Bądźcie laskawi powiedzieć, co oznaczają krzyże, które widzę na ścianach.

– To święte znaki naszej wiary – odparł dozorca.

– A jak się zowie wasz bóg?

– Bogiem jest Mitra świetlisty. Żyjemy w zgodzie z chrześcijanami. I my dla oczyszczenia z grzechów kąpiemy się w wodzie. Nasz kapłan najwyższy zowie się ojcem ojców, lecz imienia jego nikt nie wymienia.

– Dlaczego?

– Aby nie dowiedzieli się Rzymianie.

– Was też prześladowają?

– Teraz prześladowań nie ma. Któż jednak zaręczy, że nie wrócą. Cesarze zmieniają się często, a wraz z nimi i obyczaje.

Dowiedziałem się z dalszej rozmowy, że podstawa wzgórza jest poorana korytarzami we wszystkich kierunkach. Katakumby istnieją od niepamiętnych czasów. Pierwsi zaczęli je kuć kupcy syryjscy, następnie Żydzi, mitraiści, sekciarze gnostycy, wreszcie chrześcijanie.

Co do przyszłości chrześcijan, dozorca wyrażał się dość sceptycznie. Wątpił, czy w ogóle zdołają się utrzymać. Póki istniały prześladowania, wyznawcy nowej wiary żyli w zgodzie, nie zajmując się drobiazgami.

¹ Chcę połamać żebra Wenerze – *lac.*

Obecnie w łonie ich daje odczuwać się ferment. Grecy buntują się przeciwko obyczajom semickim, a Żydzi-chrześcijanie wyrażają się z obrzydzeniem o Grekach, którzy nie chcą wyrzec się łaźni, gimnastyki oraz sztuk pięknych.

Na pytanie, czy można by zwiedzić katakumby, dozorca odparł:

– Kaplicy ani grobów mych braci wam nie pokażę, gdyż nikt obcy nie bywa tam wpuszczany. Idźcie do chrześcijan. Oni chętnie oprowadzają każdego przybysza, a nawet biorą na naukę. Znam stróżów cmentarzysk i jeżeli chcecie, ułatwię wam dostęp.

Z oferty tej skorzystałem skwapliwie. Uprzejmy dozorca zaprowadził mnie najpierw do sekciarzy trudniących się magią. Są to tak zwani uczniowie Szymona z Samarii. Pytałem ich, kim był ów Szymon. Odpowiedzieli, że uważają go za wielkiego proroka, który dał im moc wywoływania zmarłych.

Sekciarze ci nie są chrześcijanami, choć praktykują coś w rodzaju chrztu przez zanurzanie się w rzece.

Podczas długoletniej wędrówki po ziemiach cesarstwa Szymon założył kilka gmin w Samarii i przeniósł się do Rzymu, gdzie zyskał wielką popularność. Podobno, wzorem apostołów, rozsyłał listy do gmin chrześcijańskich, za co wielokrotnie karmił go święty Piotr.

W Rzymie zdołał przedostać się na dwór cesarski i oszłomił czarami Klaudiusza. Obiecał nawet, że w biały dzień, w obecności tysięcy świadków uniesie się w powietrze.

Klaudiusz wyznaczył mu na forum miejsce do popisu. Zebrało się najwytworniejsze towarzystwo, kapłani wszelakich kultów, wojskowi i mrowie prostego ludu. Szymon dotrzymał słowa. Uśpiony przez przyjaciół, zeszywniał jak deska, a kiedy otworzył oczy, lżejszy był od pajęczyny. Bez niczyjej pomocy wszedł na stopnie świątyni Saturna, podniósł ramiona i popłynął nad głowami obecnych.

Wielce dziwili się Rzymianie nie wyłączając Klaudiusza, który czuł lęk przed czarami. Lecz koniec popisu był smutny. Szymonowi zabrakło sił czy też ściągnęły go na ziemię przekleństwa antagonistów, dość że spadł i skręcił sobie szyję. Pochowano czarodzieja na wyspie Tybrowej, a mogiła stała się miejscem pielgrzymek.

Szymoniści tworzą w Neapolu nieliczną, lecz zwartą grupę. Ponieważ nigdy nie podlegali prześladowaniom, cechują się pogodą ducha, szczerością i mają większe zaufanie do ludzi niż inni sekciarze. Chętnie popisują się czarami, które widziałem. Jestem przekonany, że gdyby mi po raz drugi zaproponowano coś podobnego, zrzekłbym się bez namysłu. Widziałem i mam dosyć. Te same wrażenia odniósł Jeff. Zapytajcie go ostrożnie o wywoływanie duchów.

Zaprowadzono nas do starej dzielnicy, zwanej Paleopolis. Nikt mnie nie pytał o imię ani skąd przychodzę. Czciciele Szymona-czarodzieja miny mieli skromne, do kobiet zwracali się z szacunkiem. Rozmawiali po grecku, po łacinie i w jakimś wschodnim języku, którego nie rozumiałem.

Zebranie odbyło się w obszernej izbie bez okien. Kilka lamp oliwnych, zawieszonych na ścianach, dawało więcej śwędu niż światła. Zostałem około trzydziestu osób płci obojga, Były też i dzieci, a nawet jedno niemowlę. Wszyscy stali, prócz szczupłej dziewczyny, otulonej od stóp do głów w czarną tkaninę. Siedziała bez ruchu na kamiennej posadzce, oplótłszy ramionami kolana. Spod zawoju widać widniały tylko oczy, szkliste i jak gdyby rozszerzone lękiem. Dowiedziałem się, że to kapłanka Antuka.

Po pewnym czasie zamknięto drzwi. Sekciarze, porozumiewając się gestami, siedli wokół kapłanki. Postawiono przed nią płaskie naczynie z wodą i cztery płonące lampy. Zaległa cisza. W głębi sali ktoś westchnął nerwowo.

– Wyjdź poza koło – rozkazała Antuka.

Starzec, do którego słowa te zwróciła, opuścił krąg i stanął obok mnie pod ścianą.

Zaczęło się męczące wyczekiwanie. Mniej więcej po upływie dziesięciu minut kapłanka sięgnęła za pasek, wyjęła srebrny pieniądz i rzuciła do miski. Następnie, nachyliwszy się nad naczyniem, wpatrywała się w wodę. Trwało to dość długo. Zauważyłem, że nie unika światła, choć powieki jej drżały.

Stopniowo, opanowana bezwładem, opuściła ramiona, przymknęła oczy i wreszcie ciężko padła na podłogę.

Zabrano misę z wodą. Z ust dziewczyny zaczęły wydobywać się chrapliwe dźwięki, przerywane czkawką. Chwilami mówiła głosem własnym, to znów basem albo kwiliła jak dziecko. Chwytałem pojedyncze sylaby, nic jednakże zrozumieć nie mogłem. Zdaje się, że była to mieszanina najrozmaitszych języków.

Widzowie zachowywali spokój. Jedyne kierownik był podniecony.

– Odpędź ich – wołał, szarpiąc Antukę za rękę – odpędź ich, wezwij mistrza! Niech przyjdzie i niech będzie z nami!

Po krótkim wahaniu dziewczyna odsłoniła twarz.

– Pogaście światła – rzekła. – On już idzie...

Wiadomość przyjęto szmerem wzruszenia. Podczas gdy kierownik zabierał kopcące lampki, sekciarze nucili jakąś pieśń monotonną. A kiedy ciemność nastąpiła, utworzyli łańcuch. Jeffa i mnie również zaproszono. Znalazłem się między kobietą a starcem, którego przedtem usunięto z grona.

W takt śpiewu wszyscy kołysali się z wolna. Bezwiednie zacząłem

wykonywać te same ruchy. Stwierdzam, że śpiew chóralny i bezustanne kiwanie się w tył i naprzód rozprasza myśli, odpędzając jednocześnie nieprzyjemne uczucie lęku.

Poczułem chłodny powiew. Nie umiem sobie wytłumaczyć, skąd się nagle wzięło tyle zimna. Zesztywniały mi palce, chłód rozszedł się po kościach, przeniknął do serca. Widocznie inni uczestnicy zebrania odczuli to samo, gdyż pieśń zamilkła. Słyszało się tylko tłumione szepty. Moja sąsiadka trzęsła się gwałtownie, szarpiąc mnie za rękę. Starzec był, jak się zdaje, nieprzytomny ze strachu.

Zimno stawało się coraz nieznośniejsze. Nie mogłem rozróżnić sylwetek. Brak jakiegokolwiek szmeru świadczył, iż teraz wszyscy siedzimy bez ruchu.

Lecz co to? Błękitna błyskawica rozświetliła na chwilę izbę. Przeleciała pod pułapem i zgasła. A po błyskawicy zajaśniał rój błędnych ogników. Bujały wdzięcznie w powietrzu, ścigając się nawzajem. Zjawisko było tak ładne, że zupełnie zapomniałem o lęku. Istne stado promiennych motyli.

Nowa fala chłodu. Zęby zaczęły mi dzwonić. Usłyszałem dość głośny szelest w rogu sali. Zupełnie jak gdyby kto pocierał suchym pęcherzem o podłogę.

– Idzie – szepnęła sąsiadka.

Szelest ustał. Zamigotały dwa seledynowe światła, rozległo się stąpanie twardych sandałów. Ktoś chodził poza kołem, ktoś witał się z obecnymi. A kiedy podszedł do mnie, podniosłem oczy.

Był to wysoki mężczyzna z czarną brodą, ubrany w biały chiton, przepasany rzemieniem. Bujne włosy zwisały mu na plecach, a grzywka przysłaniała czoło. Szedł z wolna, oświetlając się dłońmi, które wysyłały promienie jak reflektory. Zatrzymał się przede mną, spojrział, nachylił się i coś mi szepnął do ucha.

– Nie rozumiem.

– Ktoś ty? – zapytał po grecku, tym razem zupełnie wyraźnie.

– Jestem obcy.

– Bądź pozdrowiony w tym domu.

Powiedziawszy te słowa, poszedł dalej.

W powieściach, anegdotach i bajkach często można spotkać zwroty o włosach jeżących się ze strachu. Nie wierzyłem, bo co ma strach do czupryny? A jednak gotów jestem przysiąc, że przez kilka sekund włosy me stały dęba. To samo uczucie miał Jeff, gdy zjawa zadała mu pytanie.

Poza tym, co opowiedziałem, nic szczególnego nie zaszło. Brodacz z zaświatów obszedł izbę dokoła, rozmawiając z każdym uprzejmie. Matce, która prosiła o zdrowie dla dziecka, odrzekł:

– Więcej mleka, powietrza i ruchu.

Noc po owym upiornym seansie spędziłem pod gołym niebem, na tarasie przed wejściem do lochu mitraistów. Wolałem świeże powietrze od ciasnoty.

Nazajutrz, o świcie, dozorca zaprowadził nas do chrześcijan, którzy mieli swe katakumby o piętro wyżej. Zwiedziłem je dość szczegółowo, bo były niewielkie. Wbrew oczekiwaniom nigdzie nie spotkałem znaku krzyża. Na niektórych płytach grobowcowych wykuto serca, baranki, gołębie, kotwice, ryby. Co do napisów, to przeważały hebrajskie i greckie. Łacińskich zauważyłem zaledwie cztery. Pod nazwiskiem zmarłego mieściła się zwykle pobożna sentencja w rodzaju: „Pokój z tobą”, „Oby dusza twa zaznała szczęścia wiecznego”, „Módlcie się za Phoebe”, „Tu spoczywa dziewczyna o sercu gołębicy”. Tłumaczenia, które podaję, nie dotyczą oczywiście tekstów hebrajskich, gdyż nie znam tego języka.

Liczbę grobów w katakumbach chrześcijańskich obliczam na sto dwadzieścia. Wszystkie są jednakowo skromne. Na żadnym z nich nie wymieniono stanowiska, jakie zmarły zajmował za życia.

Mniej więcej w połowie głównego korytarza znajduje się ciemna kaplica. Korzystają z niej tylko Żydzi-chrześcijanie. Grecy mają własną, poza obrębem cmentarzyska.

Wyrażając się ściślej, kaplica Żydów-chrześcijan jest po prostu rozszerzonym korytarzem. Cienka ściana tufu dzieli ją na dwie części. Po stronie prawej modlą się mężczyźni, po lewej kobiety. Zwyczaj ten stał się podobno jedną z przyczyn rozłamu w gminie neapolitańskiej. Grecy nie mogli zrozumieć, dlaczego ich żony i córki mają być poczytywane za nieczyste.

W kaplicy nie zastałem nic, co przypominałoby ołtarz chrześcijański. Nie dostrzegłem żadnej ozdoby, rzeźby czy obrazu. Jedynie dla kapłana było kamienne wzniesienie.

Przechodzę teraz do najważniejszej części sprawozdania. Rozstawszy się z Jeffem, przez własną lekkomyślność przyłączyłem się do Żydów-chrześcijan zamiast do Greków. Przyjęto mnie dość podejrzliwie. Moje odpowiedzi wzbudziły ogólną nieufność. Zresztą, co mogłem powiedzieć? Kręciłem, kołowałem, bo przecież i tak nie zrozumieliby, skąd się wzięłem.

Wystarczy, gdy się dowiecie, że neapolitańscy Żydzi-chrześcijanie modlą się w śmiertelnych koszulach, a pod chitonami noszą „cycełe” z przepisową ilością frędzli. I mnie chcieli ubrać w taki fartuszek, ale sprzeciwiłem się.

Nie dość na tym. Na trzeci dzień oznajmili, że muszę wykapać się w mykwie¹. Widziałem ten zakład balneologiczny.

¹ Basenie do inicjacyjnych ablucji, służącym też do rytualnego mycia skalanych naczyń. W

– Nie – powiadam – ja tu nie wejść.

Obrazili się więc i długo coś szeptali. Po pewnym czasie szept przeszedł w głośną rozmowę, której nie rozumiałem. Jedno było pewne, że ważą się moje losy.

– Jeżeli chcesz pozostać z nami – rzekł wreszcie ich wojewoda – to musisz poddać się wszystkim przepisom rytualnym.

– Chętnie – powiadam mu – lubię kąpiel, byle w czystej wodzie.

Tymczasem nie o kąpiel chodziło, lecz o pewien zabieg chirurgiczny, na co oczywiście zgodzić się nie mogłem.

I poszedłem. Wróciłem do dozorca cmentarza mitraistów. Dwa dni wylegiwałem się na tarasie rozmyślając, w jaki by tu sposób trafić do weselszego towarzystwa. Szczęście mi sprzyjało. Natknąłem się na dwie Greczynki, które szły z kwiatami do chrześcijańskich katakumb. Znajomości tej zawdzięczam wiele. Przyjmijcie do wiadomości, że od tygodnia jestem psalmistą miejscowej parafii. Śpiewam najniższym basem, wzbudzając ogólny podziw. Szczegóły podam w następnym liście. Ucałujcie ode mnie Helenę, uściskajcie wdowę, kłaniajcie się niewolnikom i powiedzcie Jeffowi, że jeszcze raz mu dziękuję za wyrwanie mnie z rąk handlarzy.

Kochający was

Kuba.

xxx

Drodzy przyjaciele!

Zabieram się do niniejszego listu z prawdziwą przyjemnością. Przede wszystkim moje towarzystwo. Obracam się wśród ludzi inteligentnych, wesołych i niezmanierowanych. Są to przeważnie Grecy.

Kapłanem naszym i przywódcą jest szlachetnie urodzony Teofil, osobisty przyjaciel św. Łukasza Ewangelisty, z którym prowadzi stałą korespondencję.

Dobrze mi tu. Przechodzę pewnego rodzaju trening duchowy i zaczynam rozumieć, że w służbie Bożej można znaleźć prawdziwe zadowolenie.

Gmina liczy około dwustu osób. Jest mniej liczna od żydowskiej, ale za to rozwija się lepiej. Podczas gdy tamci trzymając się starych przepisów kostnieją z każdym dniem, my rzucamy w świat hasła zbudowane na najszczytniejszych podstawach etyki. Wysłańcy nasi przebiegają Imperium, werbując nowych prozelitów. Dla przykładu przytoczę cyfry. Przed czterema laty ojciec Teofil zdecydował się na utworzenie oddzielnej gminy

średniowieczu Żydzi zaczęli nazywać mykwami swoje łącznie.

w Neapolu. Miał wtedy zaledwie kilkunastu wiernych. Obecnie, jak już wspomniałem, parafia nasza liczy dwie setki, podczas gdy żydowska stanęła na martwym punkcie. Nic dziwnego. Nie można zaczynać nawracania od kąpeli w mykwie, a zwłaszcza od niebezpiecznej operacji nożem kamiennym.

Opowiem teraz, jak wygląda świątynia. Wyobraźcie sobie, że kościoła w ścisłym tego słowa znaczeniu nie mamy wcale. Nabożeństwa, a właściwie pogadanki treści moralnej, odbywają się w ogrodzie ojca Teofila, zacienionym starymi platanami. Pierwszego dnia po przyłączeniu się do Greków trafiłem na naukę młodego misjonarza, który wrócił był z dłuższej podróży.

Słońce zalewało ogródek. Pnie platanów błyszcząły jak srebro. Mężczyźni, kobiety i dzieci siedzieli wprost na murawie, swobodni, niemal rozbawieni.

W ścianie domu znajduje się wmurowany obraz mozaikowy, przedstawiający młodzieńca o złotych włosach grającego na lirze, dokoła którego na łące zielonej spoczywa stado baranków. Podniósłszy pyski zwierzęta tulą się do Pasterza. Zapewne pieśń nie jest smutna, gdyż Dobry Pasterz ma twarz uśmiechniętą, oczy jasne, szczęśliwe, z ufnością wzniesione do nieba. Gdyby nie pewność, że znajduję się wśród chrześcijan, gotów byłbym pomyśleć, że to Apollo.

Obraz tonął w kwiatkach. Każda wchodząca kobieta przynosiła nieco świeżego kwiecica. Mężczyźni pozawieszali sobie wianki na skroniach jak podczas uczty. Nie zauważyłem żadnego zdziwienia na mój widok. Nie tylko nikt nie boczył się, nikt o nic nie pytał, ale jako gość dostałem najlepsze miejsce tuż przed obrazem. Dwie dziewczyny, jedna z dzbanem wody, druga z koszem owoców, kręciły się po ogrodzie częstując zebranych. Nad naszymi głowami wirowało stado gołębi. Z domostwa wyszedł pies i legł na trawie, oparłszy pysk na moich kolanach. Ucieszyłem się z tej poufałości, uważając to za dobrą wróżbę.

Zjawił się misjonarz, nazywany w rozmowie młodszym bratem.

– Witaj, witaj! – wołano.

Misjonarz był ubrany czysto, nawet z pewnym wykwintem. Stanął na czworokątnym kamieniu przed obrazem i mówił. Nie będę powtarzał jego słów, gdyż pamięć mam kiepską.

Nauki w ogródku odbywają się trzy razy tygodniowo. Zazwyczaj przemawia ojciec Teofil, pan domu i mój szef bezpośredni. Jest to mężczyzna w sile wieku, doskonały mówca, dawny oficer piechoty. Podczas pobytu w Azji Mniejszej zachorował na złośliwą gorączkę i prawie nie umarł. Ocalenie zawdzięcza staraniom młodego lekarza – ni mniej, ni więcej

tylko Łukasza Ewangelisty. Od tej chwili rozwija się ich przyjaźń.

Co do zwyczajów w domu Teofila, to wstajemy niemal ze słońcem, podlewamy grządki w ogrodzie, odmawiamy modlitwę i wtedy dopiero siadamy do śniadania. Poza tym panuje zupełna swoboda. Teofil jest żonaty i ma dwie córki, o których już wspominałem. Jedna z nich podczas zebrań rozdaje owoce, druga roznosi wodę.

Czas płynie spokojnie, bez trosk. Z domu wychodzę rzadko, unikając spotkania z wigilami.

Drodzy moi, kiedy was zobaczę? Wszak stan taki nie może trwać wiecznie, a kariera zbiegłego niewolnika nie jest pociągająca. Chciałoby się wrócić do Pompei. Napiszcie i przyślijcie odpowiedź przez oddawcę tego listu. Jakie są wasze zamiary, jak idzie gorzelnia, czy zmieniliście węzownice przy większym alembiku? Co porabia Helena? Czy bardzo tęskni? Ukłony dla szlachetnej Tulii.

Panu pułkownikowi, który jest człowiekiem głęboko wierzącym, który z rozrzewnieniem opowiada o prześladowaniach religijnych w Meksyku, przygotowałem niespodziankę. Znajdzie ją z drugiej strony tego papyrusa. To odpis listu apostołskiego św. Łukasza do ojca Teofila. Skopiowałem dosłownie z oryginału pisanego w języku greckim. Przypuszczam, że pan pułkownik zainteresuje się tym dokumentem. Ściskam was wszystkich serdecznie

Kuba.

LIST APOSTOLSKI

Pozdrowienie w Panu ślę ci, czcigodny Teofilu, jako i gminie w Neapolis. A zalecam wam Tobiasza, który ten list przyniesie i który jest służebnikiem zboru w Efezie. Abyście przyjęli go w Panu, jako przystoi wyznawcom Chrystusa, i stali przy nim w której by was kolwiek rzeczy potrzebował, albowiem wielce pomocny był on, Tobiasz, wielom z naszych, a i mnie samemu.

Pozdrowcie, czcigodny Teofilu, Weronikę, Klitemnestrę i Publiusza miłego, pomocniki moje. Pozdrowcie także Erastusa i Gajusa, których wdzięcznym sercem wspominają wszyscy nasi w Efezie.

Błogosławieństwo wiernym w Neapolis.

Zapytujesz mnie, czcigodny Teofilu, jako ci czynić przystoi w zamieszkach i sporach, które z przyczyny Żydów chrześcijańskich powstały. Jedno odrzec mogę, słowa Chrystusowe przypomniawszy: „Strzeżcie się nauczonych w piśmie, którzy chodzą w szatach długich i miłują pozdrawiania na rynkach. Zaprawdę, powiadam wam, nie Mojżesz dał wam

chleb z nieba, ale Ojciec mój daje chleb on prawdziwy, niebieski. Zaprawdę, zaprawdę powiadam, pierwej niż Abraham był, Jam jest”.

Nie masz tedy wątpliwości dla prawego chrześcijanina w wyborze między nauką Chrystusa a Mojżesza. Koniec przykazania naszego jest miłość z czystego serca, z sumienia dobrego i wiary nieobludnej, a zapłatą nam będzie zbawienie wieczne. Mojżesz tu na ziemi zapłatą obiecuje, królestwo dając ludowi wybranemu nad narodami świata. Przez to zatwardzone są umysły ich. Do dnia dzisiejszego przy czytaniu Zakonu zasłona opada na serca i sumienia ludzkie. Okrutne to pismo przez Chrystusa Pana zniszczenie bierze.

Zakazuje Mojżesz spojrzeć w twarz Pana, w prochu poniewierki i w trwodze serca pełznąć każe ku Niemu. Lecz my wszyscy, którzy z odkrytym obliczem na chwałę Pańską jako w zwierciadło patrzymy, wiemy, iż Boga w sobie mamy, mocą własnej zasługi w wyobrażenie Boskie przemienieni bywamy, z chwały w chwałę.

Nie trwóście się, czcigodny Teofilu, że odłączyli się od was chrześcijanie żydowscy. Wierzajcie mi, że bliżsi są Chrystusowi poganie Platona i Arystotelesa czytujący, aniżeli ci, którzy w ponurych zabobonach tonąc, na kozła ofiarnego grzechy swe przelewają mniemając, iż przez krew niewinnego zwierzęcia owe darowane im będą. Nie można rzec, aby krew kozłów i wołów gładzić miała grzechy. Chrystus Pan, wchodząc na świat, do Ojca Swego Przedwiecznego mówi: „Ofiary i obiady nie chciałeś, aleś mi ciało sposobił. Całopalenia i ofiary za grzech nie upodobały Ci się”.

Nie bawciez się więc baśniami i wywodami nieskończonymi Zakonu, które więcej sporów przynoszą niż zbudowania Bożego. Nie pilnujcie się żydowskich przykazań, które się od prawdy odwracają. Dobrze się stało, iż chrześcijanie judejscy odłączyli się od was.

Wszelako nie walczcie z nimi. Zostawcie ich losowi ich, a w skostniałości swojej sami do zginienia przyjdą. Nowe czyni stare wiotkim, a to, co wiotczeje i starzeje się, bliskie jest zniszczenia.

Natomiast z gorliwością wielką zwróć się, czcigodny Teofilu, ku nawracaniu pogan. Na nich buduj Kościół Chrystusowy. Poganie są bowiem współdziedzicami, wspólnym ciałem i współuczestnikami obietnicy Boga w Chrystusie przez Ewangelię. Nie czytaj im wszelako Mojżesza, nie opowiadaj, jako Abraham żoną własną kupczył, jako Izaaka i Labana Jakub oszukiwał, jako Symeon i Lewi Hemorejczyków zdradą i podstępem obrzydłym wygubili, jako Żydzi Egipcjan oszustwem ze złota i klejnotów wyzuli, jako męża, niewiastę, starca i dzieciątko w miastach nieprzyjacielskich okrutnie mordowali. Ale im mów, że miłować winni nieprzyjacioły swoje, że miłość jest cel ostateczny przykazań

Chrystusowych. Jehowa mściwy i krwawy nie jest ojcem Chrystusa Pana. Bóg nasz Przedwieczny, jasny jak słońce, dobrotliwy jest i radosny. To im mów, Teofilu.

Pozdrowienie ręką moją Łukaszową. Łaska Pana Naszego Jezusa Chrystusa niech będzie z wami wszystkimi. Amen*.

XXI. NIESPODZIANKA

Brnęliśmy dalej. Życie toczyło się zwykłym trybem.

Utarł się już zwyczaj między nami, że zasiadając do brydża, wychylaliśmy po kubku wina za zdrowie Kubusia. Było to coś w rodzaju sekretnego obrzędu, który nas łączył w tym prawdziwie ciężkim okresie.

– Kochani przyjaciele – pewnego razu rzekł edyl – przychodzi mi na myśl,

* List św. Łukasza rzuca znamienne światło nie tylko na **stosunki** wśród pierwszych chrześcijan, ale także i na obecnie ustalony związek między Kościołem katolickim a Starym Testamentem.

że teraz można by wszcząć rokowania z handlarzami. Prawdopodobnie wylizali się już z ran, ale straty przeboleć nie mogą. Jestem przekonany, że gdyby im ktokolwiek zaproponował wyrzeczenie się praw do niewolnika, to mogliby się zgodzić na podobne załatwienie sprawy. Umowy takie zdarzają się dość często. Obywatel sprzedaje zbiega obywatelowi, pozbywając się za jednym zamachem wszelkich kłopotów. Cena bywa zależna, oczywiście, od szans na ujęcie. W interesującym nas wypadku kupcy nie powinni targować się zbyt. Wszak Kuba przepadł, nic o nim nie słyhać i śmiało upierać się można, że już jest poza granicami półwyspu.

– Jakże sobie wyobrażasz, Aulusie, podobne kupno? – spytałem.

– Tylko przez osobę zaufaną. Z nas tu obecnych nikt jechać nie może. Ja z urzędu, kapłanowi nie przystoi, wy, jako najbliżsi niewolnikowi, wzbudziłibyście tylko podejrzenia.

– Więc kto?

– Wyślijcie Helenę. Handlarze na pewno jej nie zauważyli, choć się kręciła podczas przetargu. Tak, tak, niech jedzie Helena. Uważam, że to najlepsze wyjście. Pojedzie do Herkulanum, gdzie prawdopodobnie zastanie jeszcze ich przywódcę, Kejradata, z połamanymi żebrami.

– Jeżeli pomysł ten dojdzie do skutku – rzekł Seutes – będę szczęśliwy mogąc przydać się na coś. Wiecie zapewne, że na dniach wybieram się do Neapolu w odwiedziny do tamtejszego kapłana Junony, gotów więc jestem towarzyszyć Helenie.

– Doskonale się składa – zawołał pułkownik – będziemy przynajmniej pewni, że nikt Helenki nie ograbi z pieniędzy. Jak myślisz, edylu, ile też będzie musiała zabrać?

– Na kupno ani asa. Dajcie jej na osobiste wydatki, a poza tym niech zabierze świadectwo, że jest osobą wypłacalną.

Dowiedziawszy się o planowanej podróży, Helena zaczęła skakać z radości po atrium.

– Prędzej, prędzej! Dlaczego nie dziś? Dlaczego nie dziś mamy jechać?

– Dziecko drogie – mówił pułkownik – przecież nie puszcę cię w taką drogę pieszo. Musimy postarać się o konie. Zaczny edyl wystawi ci świadectwo, a nasz miły kapłan zaopiekuje się tobą. Nie zapominaj, że im później pojedziesz, tym mniej za męża zapłacisz. Bądź więc cierpliwa i czekaj. Podczas twej nieobecności przygotowujemy żagłówkę do dalszej podróży i w najbliższym czasie popłyniemy wszyscy do Neapolu.

W trzy dni po zapadnięciu uchwały przed nasz dom zajechał parokonnny wózek.

– Wszystko pięknie – rzekł pułkownik – ale obawiam się, że złote serce Heleny nie będzie zdolne do targów. Zawodowi handlarze, skoro zwietrzą

dobry interes, podbiją cenę do takiej wysokości, że na pewno dostaniemy w skórę.

– Dobrze rozumiesz – przyznała wdowa – lepiej, gdybym ja pojechała do Herkulanum zamiast Heleny.

Ta jednak uparła się, że jedzie. Ostatecznie stało na tym, że obie udadzą się w drogę. Rozmowę z handlarzami poprowadzi Tulia, występując w roli opiekunki Heleny.

Spożyliśmy śniadanie w podnieconym nastroju. Kapłan, ujawszy Tulię pod ramię, poprowadził ją do zaprzęgu. Zajęli tylne miejsca. Helenka ulokowała się obok woźnicy.

– Szczęśliwej drogi!

– Dziękujemy!

– Niechże bogowie mają was w swej opiece – wołał pułkownik, spoglądając na oddalający się wózek.

– Można by pomyśleć – zrobiłem uwagę – że pan, panie pułkowniku, stałeś się już wyznawcą tutejszych bogów.

– A wiesz – odparł – i mnie czasami tak się zdaje. Raz nawet przyłapałem sam siebie na oryginalnym postępku. Przechodząc przez bramę portową położyłem gałązkę bzu na ołtarzyku Minerwy. I nie zauważyłbym tego, gdyby jednocześnie nie podeszła jakaś dziewczyna. Spojrzała, skinęła głową. „Widzę – rzekła – iż wielbisz naszych bogów, choć jesteś cudzoziemcem. Przyjmij za to ten wianek”^{*}.

– Aha, pamiętam. Wrócił pan wtedy z wiankiem na głowie. Pytaliśmy się, co, jak, od kogo. A pan uśmiechał się tylko i, jak na dzentelmena przystało, milczał.

– Tak, bardzo mnie wzruszyła ta dziewczyna. Pomyślałem, że takie jak ona niewiele różnią się od dziewcząt z Franchimont, które przynoszą z pół kwiaty dla Madonny. Niestety, pociski armatnie zniszczyły podczas wojny nasz stary kościółek. Parafianie z Franchimont chodzą na mszę do Theux. Nie wiem, czy kiedykolwiek odbudują ruiny, bo okolica jest biedna. Na

^{*} Przyznaję, że w niektórych świątyniach pompejańskich panował nastrój tak podniosły, że poddawałem mu się mimo woli. Jest to dla mnie tym bardziej ciekawe, że wychowany w ideach XX wieku wyobrażałem sobie, iż na przykład na posąg Minerwy nie można patrzeć inaczej niż na bezduszny kształt, a na jej wyznawców – jak na bałwochwalców. Ku mojemu zdziwieniu stwierdziłem, że stosunek starożytnych do ich bóstw nie miał nic wspólnego z tym, co zwykliśmy nazywać pogaństwem. Przeciwnie, tamtejsza atmosfera religijna była identyczna z atmosferą religijną wieku XX. Nie brakowało oczywiście sceptyków podających w wątpliwość istnienie bóstw w ogóle, ale, jak sobie teraz uświadamiam, światopogląd ich nie różnił się niczym, od światopoglądu tuzinkowego ateusza naszych czasów. Wszelako inteligencja ówczesna, wykształcona na Arystotelesie i Platonie, wierzyła, że bóstwo istnieje gdzieś poza ludzkimi zmysłami, a posągi są tylko jego symbolem. Inteligencja ta spełniała praktyki religijne z podobnym rzewnym oddaniem, z jakim przeciętny katolik chodzi do kościoła. Temu właśnie nastrojowi nie mogłem się oprzeć.

skale nie rodzi się nic prócz wrzosów. Lepiej nie mówmy o tym, tęskno mi. Pomyślmy raczej o zaopatrzeniu jachtu do podróży.

Możliwość rychłego zobaczenia się z Kubusiem dodała nam energii. W miejscowym arsenale zamieniliśmy zniszczone żagle na nowe, oczyściliśmy kadłub z wodorostów, pokład zaciągnęliśmy pokostem.

– Ciekawe – mówił pułkownik – jaką też minę zrobi Kuba, kiedy się dowie, że jest własnością Heleny.

– Zabawna historia i doskonały temat do żartów.

– Jak myślisz, kiedy niewiasty wrócą?

– Spodziewam się, że w ciągu trzech dni dobiją targu. Seutes pozostanie w Neapolu nieco dłużej. Jednak to ładny spacer, co tu dużo gadać.

Po doprowadzeniu jachtu do porządku, napełniliśmy beczułkę wodą źródlaną, a do spizarki, mieszczącej się na rufie, znieśliśmy zapasy żywności.

– No – rzekł pułkownik – teraz możemy jechać choćby do Ostii. Szkoda tylko, że Jeff przeprowadza się dziś na Aenarię. Ucieszyłby się Kuba ujrzawszy nas w komplecie.

O godzinie drugiej po południu odprowadziliśmy Van Campena i jego żonę do portu. Sprzedali dom w Pompei wraz z całym umeblowaniem, doszli bowiem do wniosku, że na miejscu zaopatrzą się taniej we wszystko, co im będzie potrzebne do urządzenia salonu piękności.

– Jeff, nie zapominaj o nas!

– Przyjadę niezadługo, mój pułkowniku!

Pożegnowali z wiarą w szczęśliwą przyszłość.

A kiedy wróciliśmy do domu, pułkownik rzekł:

– Dziwnie jestem czegoś zdenerwowany. Być może, oddziaływa na mnie pustka w mieszkaniu, które zazwyczaj bywało gwarne, a nawet hałaśliwe. Czy czasem niewolnicy nie upili się w gorzelnii.

– Ależ nie. Pod kotłem nie ma dziś ognia.

– Jednak czuję, że coś złego wisi w powietrzu. Dlaczego nie słyhać głosu dziecka? Co robi mamka? Zajrzyjmy do pokoju Tulii.

Malec spał w kołysce. Spał tak twardo, że nawet nie otworzył oczu, kiedy pułkownik wziął go na ręce. Mamki ani kucharki nie było w domu.

Minęły trzy godziny, a dziecko spało.

– Co to ma znaczyć?

– Doprawdy, nie rozumiem – odpowiedziałem – przecież brzdąc o tej porze bawi się zwykle grzechotką albo wrzeszczy.

Pułkownik wszedł do kuchni i zaczął szperać po kątach. Zaglądał do garnków, słoików i innych naczyń, kosztując i wachając. Trafił wreszcie na jakiś ronderek, w którym znajdowały się resztki wygotowanej zieleniny.

Roztarł ją w palcach, przyłożył do języka, znów roztarł na dłoni.

– Kanalia – mruknął – już wiem, dlaczego dziecko śpi tak twardo.

Domyślasz się, co to jest?

– Może makówki? U nas chłopci poją tym dzieci.

– Tak, posiekane i wygotowane makówki. Mamka odurzyła małego narkotykiem, a sama poleciała z kucharką do kumoszek. Kanalia!

Staliśmy właśnie nad garnkami, gdy raptem coś huknęło. Odniosłem wrażenie, że jakiś młot potwornej wielkości uderzył w fundamenty domu.

– A to co? – zawołał pułkownik.

W tejże chwili naczynia miedziane zadźwięczały na półkach, z sufitu runął płat tynku i rozprysł się na drobne kawałki.

Wybiegliśmy przed dom. Słyszałem krzyki, nie mogłem jednak zmiarkować, o co chodzi.

Na ulicy panowało zamieszanie. Sąsiedzi wyskakiwali z mieszkań. Niektórzy kręcili się, nawołując krewniaków, inni znów, wzniosłszy ramiona, wzywali pomocy niebios. Widziałem jednego z wyzwolenców, jak chłostał batogiem niewolnika. Za co go bił? Nie zdążyłem zapytać. Bankier Cecyliusz wybiegł przed dom. Bez tuniki, w spodniej szacie. Twarz miał wykrzywioną przestraczem. W kilku susach dotarł do studni, przystanął, wsparł się o krawędź, coś krzyknął sam do siebie i jak szalony z powrotem wpadł do domu. Obok mnie przemknęła dziewczyna z koźlęciem na karku. Trzymała je za nogi uginając się pod ciężarem. Koźlę beczało przeraźliwie. Do ogólnego zgiełku przyłączył się psi koncert. Wszystkie kundły miejskie wyły i ujadły. Wrzask ludzki niczym był w porównaniu z tym żalonym skowytom.

– Pułkowniku, co się dzieje?

– Źle, źle, mój przyjacielu. Może być nieszczęście.

Po raz drugi niewidzialny młot uderzył w ziemię od spodu. Zauważyłem, że płyty chodnika podskoczyły. Właściwie wyczułem stopami.

Zgiełk w mieście robił się coraz większy. Naszą ciasną uliczką pędził jakiś wózek bez woźnicy. Konie poniosły. Przegalopowały z taką szybkością, iż ledwośmy zdążyli uskoczyć. Ktoś krzyknął na mnie po imieniu. Obejrzałem się. To Ruben biegł, wymachując rękami.

– Ziemia drży – wołał – uciekajcie!

– Dobrze, ale dokąd?

– Wszystko jedno, byle nie być w mieście. Mury was przygniotą. Uciekajcie w pole.

– Słuchaj, Rubenie – rzekł pułkownik – uciekniemy razem. Pomóż nam zabrać złoto.

– Zgoda, byle prędzej.

Wbiegliśmy na pierwsze piętro. Pułkownik otworzył skrzynię pancerną i zaczął wyrzucać woreczki. Było tego przeszło pięćdziesiąt.

– Udźwigniemy – zapewnił Ruben.

Rozdzieliwszy woreczki na trzy części, umieściliśmy je w naszych togach i skręciwszy końce, wzięliśmy na plecy. Jeden ładunek ważył co najmniej trzydzieści kilo.

– Idziemy do portu – zdecydował pułkownik.

Na forum panował zgiełk. Kupcy na gwałt zwijali kramiki. Przed bramą ujrzałem zbiegowisko. Setki kobiet z tobołkami na plecach walczyły o przejście. Dzięki wysiłkom wigilów zapanował po chwili jaki taki porządek.

Przecisnąwszy się przez bramę ruszyliśmy lekkim trucheikiem w kierunku warsztatów okrętowych, gdzie stała na wodzie nasza żagłówka.

Raz jeszcze coś huknęło pod ziemią.

– Ostatecznie nie ma się czym przejmować – rzekł pułkownik, przystając dla odpoczynku. – Na morzu trzęsienie ziemi nie grozi. Gdy przeminie panika, będziemy mogli wrócić do miasta. Chodzi tylko o to, kiedy się to skończy.

– Oj – zawołał Ruben – a czy czasem nie zapomnieliście zamknąć waszej skrzyni? Widziałem jeszcze dwa woreczki.

– Woreczki ze srebrem – uspokoił go pułkownik. – Zamknąłem skrzynię własnoręcznie. Ale, ale, zapomnieliśmy o dziecku Tulii! Słyszycie? Zostawiliśmy dziecko w walącym się domu! Moi drodzy, podzielcie się ciężarem. Wracam do miasta. Czekać na mnie w żagłowce.

– Pan nie może odejść! – krzyknął Ruben. – Pilnuj pan złota. Do miasta ja pójdę i przyniosę dziecko. Mnie łatwiej przejść przez bramę, bo znam się z wigilami. Gdzie stoi wasza łódź?

– Tam, koło starego doku. Widzisz zwinięty żagiel z chorągiewką?

– Widzę. Nie odpływajcie beze mnie.

I Ruben zawrócił. Podzieliwszy się woreczkami, wolnym krokiem zesłiśmy z pagórka.

Morze falowało spokojne, aż dziw w porównaniu z tym, co działo się na ziemi.

– Słaby wiatr w kierunku południowo zachodnim – zauważył pułkownik.

Traktem wiodącym do Stabii ciągnęły tłumy uchodźców. Pędzono bydło, na wozach dały się dzieci.

– Jeżeli w Herkulanum również odczuto wstrząsy – rzekł pułkownik – to wyobrażam sobie, co się dzieje z Heleną i Tulią. Moglibyśmy po nie wstąpić, ale wątpię, czy zastaniemy je w mieście. Prawdopodobnie też uciekły. Być może są już w drodze do Pompei.

– Mam nadzieję – rzekłem – iż do wieczora wszystko się uspokoi. Jeżeli

wrócimy, trzeba będzie wyjść na ich spotkanie. Wozu w takim popłochu już oczywiście nie znajda. Kto pierwszy złapie, ten pojedzie. Pójdą pieszo.

– Byłe był spokój – dodał pułkownik.

Tymczasem nie zanosilo się wcale na uspokojenie żywołów. Siedząc na słupku, do którego przywiązaliśmy żaglówkę odczuwałem coraz częstsze drgawki skorupy ziemskiej. Ruben nie wracał. Zaczynało nas to niepokoić. Pułkownikowi znów wyskoczyła na policzku ruchoma kulka.

– Co pan tam widzi na horyzoncie? – spytałem.

– Niebo jest jasne – odparł – a chmura nadciąga.

I wskazał ręką na północ, na Wezuwiusza, nad którym unosiły się ciemne opary.

– Tak – powiedziałem – niewątpliwie chmura, ale nie zdaje mi się, aby szła w naszą stronę. Pułkowniku, oto syn Tulii!

Po stromym wzgórzu opuszczał się ku nam Ruben, trzymając pod pachą poduszkę. Rzecz dziwna, nie wybierał najkrótszej drogi, lecz opisywał zygzaki.

– Pijany, zupełnie pijany! – bąknął pułkownik. – Pierwszy raz widzę go w takim stanie. No, trzeba być amatorem, żeby upijać się podczas trzęsienia ziemi.

Podbiegłszy do łodzi, Ruben rzucił poduszkę na pokład.

– Trzymajcie dziecko – rzekł – i pomóżcie mi wsiąść.

– Co ci się stało? Upiłeś się?

– Uderzono mnie obuchem.

– Kto cię uderzył?

– Monotropos.

– W bramie?

– Nie, w waszym mieszkaniu. Rozbijał toporem skrzynię. Na mój widok zaklął i uderzył mnie w tył głowy. Upadłem. A kiedy podniosłem się, skrzynia już była pusta. Zabrałem dziecko. Jestem.

Przenieśliśmy Rubena na materac. Leżeć nie chciał. Mówił, że go zamracza. Siedział wsparty plecami o maszt.

– Tu cię uderzył? – wypytywał pułkownik.

– W kark.

– Aha, więc tu... wyczuwam obrzęk. Pozwolisz, że ci zrobię okład z zimnej wody.

Podczas gdy pułkownik zajmował się Rubenem, odwiązałem łódź i podniosłem główny żagiel, przesuując bom pod prostym kątem na prawo. Popłynęliśmy z wolna w kierunku zachodnim. Z brzegu dolatywał gwar pomieszanych głosów, nawoływania, turkot kół po bruku.

To, co opowiedział Ruben, nie zdziwiło mnie wcale. Wszak każdemu

wiadomo, że Monotropos zszedł na psy. Ostatni właściciel, połakomiwszy się na niską cenę, kupił go za śmieszłą sumę trzystu sestercji (około piętnastu franków szwajcarskich). Nie mogąc z nicponiem dać sobie rady mimo że codziennie łoil go bykowcem, a nie chcąc go darmo żywić, wyzwolił i wyrzucił z domu.

Odtąd wypędek grasował pod bramą stabiańską, ogrywając naiwnych wieśniaków w kości.

– Bardzo źle jest w Pompei – mówił Ruben – motłoch rabuje sklepy. Podobno zasztyletowano Cezjusza Blandusa. Sukiennice rozbite. Na forum pospadały posągi.

Chmura nad Wezuwiuszem stawała się coraz ciemniejsza. Wbrew początkowym przewidywaniom popłynęła z wiatrem wprost ku Pompei. Podniosłem drugi żagiel i wzięłem kurs bardziej zachodni, myśląc o Aenarii. Jeżeli zerwie się burza, to niechże przynajmniej mam jakiś port pod ręką. Zapomniałem tylko, że przed nocą do wyspy nie dotrę, a bez kompasu nie dam sobie rady w ciemności. Zresztą, co po kompasie, skoro brak mapy. Najlepiej zdać się na los Opatrzności.

Ruben zasnął pod masztem w pozycji siedzącej. Obłożyliśmy go poduszkami.

– Nie wiem, co robić – odezwał się pułkownik – należałoby kłaść kompresy, a żal mi go budzić. Nieborak wcale nieźle dostał po karku. Spójrz no, co dzieje się z naszym miastem.

Nad Pompeją wisiała czarna chmura. Zresztą nie tylko nad Pompeją. Całe wybrzeże przygniatały kłęby dymu, który posuwał się z wiatrem w kierunku morza.

Przyszło mi na myśl, że być może nadchodzą ostatnie dni Pompei, nie zwierzałem się jednak z podobnym przypuszczeniem. Na razie wydawało to się nieprawdopodobne. Do licha, dlaczego właśnie my mielibyśmy trafić na taką katastrofę? Komu to potrzebne? Czyż zawsze musimy mieć pecha? Czyż zawsze musimy uciekać?

– Tak – mruknął pułkownik, jak gdyby zgadując moje myśli – to już koniec.

– Koniec Pompei?

– Koniec, mój przyjacielu. Trzymaj się kierunku bardziej zachodniego. Zyskamy nieco na szybkości i jednocześnie oddalimy się od Wezuwiusza.

– A więc radzi pan uciekać na pełne morze?

– To się zdaje najlogiczniejsze, choć trudno przewidzieć... Przepraszam cię, dziecko płacze.

Zapomnieliśmy po raz drugi o synu Tulii. Była już, sądząc ze słońca, godzina piąta wieczór. Malec upominał się o kolację.

– Co ja mam dać takiemu pasażerowi? – zastanawiał się pułkownik. – Są marynaty, owoce, wino, wódka, sery, chleb razowy, oliwa, grzyby w occie, ogórki, wędliny, marmolada, miód, sól i tarta gorczyca. Jak z takich produktów sporządzić pokarm dla niemowlęcia?

– Ręczę panu, panie pułkowniku, że tak czy owak malec porządnie odchoruje pańską opiekę. Na razie, dla zaspokojenia głodu, radziłbym dać mu nieco chleba rozmoczonego w wodzie osłodzonej miodem. A nuż nie pozna się i zje.

Zjadł, nawet z apetytem. Położyliśmy go na posłaniu w kajucie.

Koło godziny szóstej* pół widnokregu zasnuła nieprzenikniona czerń. Nad naszymi głowami przepłynęła pierwsza fala dymu. Zrobił się mrok jak podczas zaćmienia słońca. Druga fala była jeszcze ciemniejsza.

– Tak, katastrofa na wielką skalę – sam do siebie mówił pułkownik.

– Czy pan wierzy, że wyjdziemy z niej cało?

– Ależ oczywiście.

Ta pewność, choć niezbyt uzasadniona, dodała mi otuchy. Ponieważ w chwilach niebezpieczeństwa bywam zwykle nie tyle flegmatyczny, co ospały, tremy więc i teraz nie miałem.

Stopniowo stawało się coraz ciemniej. Zacząłem odczuwać coś, jakby swąd spalonego grzebienia.

– Przecież te dymy nie będą wisiały wiecznie nad morzem – odezwał się pułkownik – wiatr je rozpędzi. Czujesz silniejszy powiew?

– Owszem, płyniemy szybciej. Czuję poza tym spaleniznę.

– Ha, na to nie ma rady. Co to, Ruben już nie śpi?

Pułkownik podszedł do stosu poduszek. Z powodu ciemności nie widziałem dobrze, co robi. Wiem, że coś Rubenowi tłumaczył, wypytywał go, poprawiał mu posłanie.

– Ależ on ma gorączkę – zawołał wreszcie. – Nazywa mnie aniołem!

Ruben majaczył. Widocznie uderzenie w podstawę czaszki nie było tak błahe, jak nam się początkowo wydawało. Zmienialiśmy kompresy, cóż, kiedy woda w morzu robiła wrażenie letniej. Pułkownik zwilżał ręczniki i rozciągał je na pokładzie, aby obniżyć ciepłość przez parowanie.

– Która też może być godzina? – spytałem.

– Przypuszczam, że koło ósmej. Płyniemy co najmniej sześć godzin.

– W takim razie minęliśmy Aenarię.

– Bardzo możliwe. Zdaje mi się, że dalej uciekać nie warto. Zwiń żagiel i kładź się spać. Ja będę czuwał. Obudzę cię koło północy.

Zszedłem do kajuty i położyłem się obok dziecka. Jednakże z powodu braku powietrza nie mogłem zasnąć. Wyciągnąłem więc materac na pokład i

wtedy dopiero sen mnie zmorzył. Obudziłem się z silnym bólem głowy.

– Hej, pułkowniku, co pan porabia?

– Nic, patrzę w niebo. Dymy już przechodzą. Ukazują się gwiazdy. Mam nadzieję, że to już koniec kataklizmu. Spałeś?

– Trochę. Niepokoi mnie myśl, co się stało z Heleną i wdową. Czy zdążyły uciec i dokąd.

– Może uciekły, a może nie uciekły.

– I ja tak myślę. Położy się pan spać, panie pułkowniku?

– Nie, nie zasnę. Spójrz, z tej strony przejaśniło się już prawie zupełnie.

– Zdaje się, nawet świta.

– Masz rację, to wschód. W takim razie Wezuwiusz przestał już dymić.

Po wschodzie słońca niebo od strony lądu zajaśniało zwykłym spokojnym błękitem. W jednym tylko miejscu wznosił się olbrzymi pióropusz popielatego dymu, przypominający kształtem maczugę. Szczyt pióropusza nikł w niedosiężnej dla wzroku dali. Zachodnia część nieba tonęła w mroku ciemnych chmur, pędzonych wiatrem ku Sardynii. A więc cała ta zawierucha przesunęła się na drugą stronę widnokregu.

– Widzisz, mówiłem ci, że wyjdziemy cało – powtarzał pułkownik. Stracił jednak fantazję, gdy na pokład zaczęły spadać drobne kamyki lekko porowatego pumeksu. Po kilku minutach zebrałem sporą garstkę i przesypując z ręki do ręki jak ziarna pszenicy, podałem pułkownikowi.

– Wszystko bardzo piękne – rzekł – byle nie posypały się na nas większe kamienie.

– Jeżeli będą z tak lekkiego materiału, nie zrobią nam krzywdy – odpowiedziałem.

Chwilami grad pumeksu szeleścił po pokładzie, ścichał i znów powracał. Bawiło mnie to nawet. Z nerwami czułem się dobrze. Zakrzątnęliśmy się koło śniadania. Pierwszy dostał jeść syn Tulii. Rubenowi, który wciąż gorączkował, wleliśmy do gardła nieco wina. Przełknął, otworzył oczy i usiadł. Próbowaliśmy zmusić go do leżenia. Nie chciał. Spoglądał na tępym wzrokiem pytając:

– Wy, coście za jedni? No, mówcie. Ja was znam...

A potem zaczął nas liczyć, wodząc palcem we wszystkich kierunkach. Naliczył siedemdziesięciu.

– Znam was – powtarzał – znam was. Czego chcecie ode mnie? Dlaczego tak stoicie i żaden nic nie pyta? No, czego chcecie?

Okryłem go peleryną i podniosłem kaptur, aby zabezpieczyć mu twarz przed padającymi kamykami. Złapał mnie za dłoń, przycisnął do piersi i wyszeptał:

– A ty, kto jesteś? Powiedz tamtym, żeby odeszli.

* Wymieniając godziny, autor ma na myśli nowoczesny rozkład czasu.

W oddali zagrzmiało. Popielaty pióropusz zniżył się nad wybrzeżem, przybrał kształt grzyba.

– Co za żagle tam majączą? – spytał pułkownik, wskazując na horyzont.

Stwierdziliśmy po kwadransie, że to flota cesarska. Sześć wielkich okrętów wojennych, z wyhaftowanymi na żaglach wizerunkami wilczycy karmiącej bliźnięta, przemknęło obok nas w kierunku Capri.

Jeden z okrętów zaczął dawać sygnały, abyśmy się zatrzymali. Opuszczono szalupę i po chwili wskoczył na nasz pokład oficer marynarki. Był nieogolony, twarz miał zmęczoną, oczy podkrążone.

– Skąd płyniecie?

– Z Pompei.

– Kiedy opuściliście port?

– Wczoraj po południu – objaśnił pułkownik.

Dokąd zmierzacie?

– Sami nie wiemy.

Oficer kazał otworzyć luk i zajrzał do kajuty.

– Czyje to dziecko?

– Naszej gospodyni. Zabraliśmy je ponieważ była nieobecna.

– Dobrze. Widzę, że nie jesteście rabusiami. Ten człowiek na co jest chory?

– Uderzono go w głowę obuchem podczas napadu na mieszkanie.

Dowiedzieliśmy się od oficera, że na okrętach znajduje się piechota z Herkulanum. Poza tym są kobiety i dzieci. Na jedno z przedmieść popłynęła z Wezuwiusza rzeka gorącego mułu. Los pozostałych mieszkańców budzi poważne obawy. Większość uciekła w ciągu nocy do Neapolu, pytanie jednak, czy potoki błota nie przecięły im drogi. Oprócz okrętów, które mieliśmy przed sobą, ratowaniem ofiar kataklizmu zajmowała się eskadra admirałska. Lecz co się z nią stało, nie wiadano.

Wiadomości brzmiały na ogół pesymistycznie. Istniała obawa, że Herkulanum może być opanowane przez motłoch. W samym Neapolu również odczuto trzęsienie ziemi, były też usiłowania zakłócenia spokoju Banda łotrzyków portowych rozgromiła dzielnicę żydowską, następnie rozruchy przeniosły się do śródmieścia. Porządek przywrócili marynarze, przysłani z Misenum przez komendanta bazy morskiej. Na południowy wschód od Neapolu utworzyła się w ziemi szczelina, z której wytrysły gorące źródła.

Opuszczając pokład żaglówek nasz rozmówca przyznał otwarcie, że chciał tylko sprawdzić, kim jesteśmy. Wzdłuż wybrzeża grasują łodzie, których załogi zasłużyły na stryczek. W Puteoli powieszono kilku rzezimieszków.

Wizyta oficera trwała krótko. Odpłynął, życząc nam dobrej drogi. Na

oddalających się okrętach widziałem marynarzy, którzy szuflami zgarniali pumeks z pomostów.

Niezdolne kamyki zaczęły ponownie chłostać. Przy każdym stąpieniu żwir trzeszczał pod sandałami. Nie mając nic lepszego do roboty, zabrałem się za przykładem marynarzy do zmiatania pokładu. Wtedy, stojąc przy postaniu Rubena, usłyszałem cichą rozmowę w języku greckim.

Chory sprzeczał się z kimś. Oczy miał otwarte, nie reagował jednak, gdy zbliżyłem rękę do jego twarzy. Z dziwnym uporem powtarzał te same zdania:

– To nie może być. Jesteście w błędzie. Ja wam powiadam. Uderzyłem matkę. Grzech największy. Ale ona mi przebaczyła, bo później byłem dobry. Największy grzech, największy grzech, o innych nie chcę słyszeć. Jeżeli ona przebaczyła, jeżeli sam ją pochowałem, jeżeli co piątek mówiłem „kadysz” na jej grobie, to czego chcecie ode mnie? Inne grzechy to nie są grzechy. Powiadam wam, że to nie są grzechy...

Ruben bredził. Przesuwaliśmy go wraz z postaniem z miejsca na miejsce, zależnie od cienia rzucanego przez żagiel. Bredził bez przerwy, chwilami cicho, szeptem, to znów siadał na materacu i wszczynał głośną rozmowę. Koło południa zapadł w sen, lecz na krótko. Obudziwszy się zażądał wody. Odniosłem wrażenie, że widzi i zaczyna rozumieć, co doń mówimy.

Tymczasem nad zatoką ukazał się nowy słup czarnego dymu. Wystrzelił jak rakietę i z wolna popłynął na wschód.

– Całe szczęście, że nie zmierza ku nam – zauważył pułkownik – mielibyśmy drugą noc zamiast jasnego dnia.

Jakiś szalony wir powietrzny panował widać nad wulkanem, gdyż prostopadła smuga dymu załamała się nagle, zniżyła do ziemi i podniosła, tworząc dziwny zygzak.

Coś jęknęło za moimi plecami. Obejrzałem się. Ruben siedział, wsparty na jednej ręce. Drugą wyciągnął w kierunku wulkanu.

– Grozisz mi – mówił – grozisz? Za co grozisz, Wiekuisty? Nie zdradziłem Cię, przed Zeusem nie schyliłem głowy, pozostałem wierny przykazaniom.

Wpatrywał się chwilę w pasmo skłębionej czerni nad Kampanią. Potarł dłonią czoło, jak gdyby chciał sobie coś przypomnieć, i znów zaczął bredzić.

– Dlaczego bogi greckie swoim ludom nie grożą? Dlaczego dają im szczęście i radość? Jahwe, dlaczego opuściłeś swój lud, dlaczego świątynia zburzona? Gdzie twoja moc, Jahwe, gdzie twoja moc?

Ominęliśmy Aenarię od zachodu, w odległości co najmniej trzydziestu kilometrów. Zarówno pułkownik jak i ja nie myśleliśmy o lądowaniu. Obu nas nurtowała chęć jak najszybszego dotarcia do Neapolu. Wszak Jeffowi i

tak nie stanie się nic złego.

Mniej więcej o godzinie trzeciej po południu skręciłem pod prostym kątem ku wschodowi. Mieliśmy wiatr sprzyjający, co dawało szansę na dotarcie do brzegu przed zmrokiem.

O szóstej (czas określałem według słońca) łódź nasza przemknęła obok wielkich doków w Misenum, następnie obok Bajów. Wtedy pułkownik, obudzony się z drzemki, oznajmił:

– Łądujemy. Nie mam ochoty zapuszczać się do zatoki.

Ponieważ wiatr zelżał, zwinąłem żagiel. Z pomocą wiosł wpłynęliśmy do maleńkiego portu zapchanego łodziami rybackimi.

– Idę wystarać się o mleko dla dziecka – rzekłem wyskakując – sprowadzę też lekarza, jeżeli uda mi się znaleźć.

Na wybrzeżu panował spokój. Nawet więcej niż spokój, zupełna cisza. Obszedłem port nie spotkawszy nikogo. Na drodze, wiodącej do Neapolu, natknąłem się na patrol piechoty w pełnym uzbrojeniu. Spytałem żołnierzy, co to za miejscowość. Odpowiedzieli, że znajdują się w Puteoli. Dowodzący oddziałem podoficer wy badał mnie starannie, a upewniwszy się, że ma do czynienia ze spokojnym przechodniem objaśnił:

– Wszyscy lekarze z okolicy są w Neapolu, gdzie urządzono bezpłatne stacje pomocy dla zbiegów z Herkulanum. Jest wielu rannych, panuje też złośliwa gorączka. Mleko dostaniesz, być może, w tej oto zagrodzie.

Wieśniak, do którego się zwróciłem z prośbą o kwaterkę mleka, wyraził gotowość zaopatrzenia mnie nie tylko w nabiał, ale i w ćwiartkę świeżo upieczonej baraniny. Skorzystałem z oferty tym chętniej, że mięso było jeszcze na rożnie, a więc ciepłe.

Z pieczenią na kijku, z mlekiem w garnuszku maszerowałem do przystani ciesząc się na samą myśl powitania, jakie mi sprawi pułkownik. Zostałem go pochylonego nad Rubenem. Na mój wesoły okrzyk „Me voilà” skinął tylko głową.

– Co się stało, pułkowniku?

– Ruben nie żyje. Myślałem, że śpi, a był w agonii. Monotropos strzaskał mu podstawę czaszki. Znalazłeś mleko? Zajmij się dzieckiem.

xxx

Zwłoki Rubena umieściliśmy w kajucie, przeniósłszy postania na pokład. Znużenie nasze było tak wielkie, że nawet płacz malca snu nam nie przerywał. Obudziło nas dopiero słońce.

Na wschodzie wciąż jeszcze snuły się dymy, znać jednak było, że wulkan przycichał. Dla orzeźwienia się skoczyłem z pokładu do wody, co również

uczynił pułkownik. Woda była ciepła.

– Płyniemy dalej? – spytałem.

– Tak, płyniemy bez straty czasu. Trzeba zająć się pogrzebem Rubena.

Piętnaście kilometrów dzielące Puteoli od miasta przebyliśmy w godzinę. Nie zwracałem uwagi na zachwycające widoki, opiewane przez poetów rzymskich i greckich. Cóż mnie one obchodziły w tej chwili?

Dotarliśmy szczęśliwie do Neapolu. Pułkownik pozostał na jachcie jako jedyny stróż dziecka, nieboszczyka i złota.

Po wyjściu na brzeg stwierdziłem, że dachy domów pokrywa gruba warstwa żwiru pumeksowego. Brnąłem w nim jak w śniegu, zapadając się miejscami po kolana. Zasypało wszystkie ulice i place. Na forum pracowali kopacze z łopatami, ładując pumeks na dwukołowe wózki.

Miasto robiło wrażenie obozu wojskowego. Między portem a forum parokrotnie zatrzymały mnie patrole. Dowiedziałem się przy sposobności, że uciekinierzy z Herkulanum zostali rozmieszczeni w kilku punktach poza murami Neapolu, przeważnie pod gołym niebem. Obawiano się wciąż jeszcze trzęsienia ziemi.

W dzielnicy żydowskiej, dokąd mnie zaprowadził uprzejmy żołnierz, zastałem pustki. Ludność uciekła po pogromie podobno do Atelli. Rozbite i zdemolowane sklepiki, winiarnie i zakłady fryzjerskie świadczyły, że oficer marynarki bynajmniej nie przesadzał.

Kto więc zajmie się pogrzebem Rubena? Panuje upał, zwłoki nie mogą leżeć na żagłowie. Gdy tak strapiony przechodziłem po raz drugi przez forum, zawołano mnie po imieniu. Obejrzałem się. Kochany kapłan Seutes stał pod filarami. Odzierała nas sterta żwiru wulkanicznego.

Trudno opisać radość, z jaką rzuciliśmy się sobie w ramiona. Dowiedziawszy się o śmierci Rubena, Seutes wyraził gotowość wzięcia udziału w pogrzebie. Zaprowadziłem go do portu.

– Miasto już nie istnieje – mówił. – Nie ma już mojej świątyni. Jestem wygnańcem, szukać muszę przytułku.

Opowiedział, że na razie mieszka u swego przyjaciela, kapłana Junony. Ponieważ jednak kult tego bóstwa nie jest w Neapolu kwitnący, czuje więc, że będzie musiał wywędrować dalej, aby nie być ciężarem koledze. Co do pogrzebu Rubena, to przede wszystkim radził przenieść złoto w bezpieczne miejsce, umieścić dziecko pod opieką jakiejś poczciwej kobiety i wtedy dopiero zająć się smutnymi obrzędami.

– Jeżeli chcecie – dodał – przedstawię was kapłanowi, który podejmie się przechowania złota. Co do dziecka, niech gospodyni ma z nim kłopot.

Świątynia Junony w Neapolu mieściła się w bocznej uliczce przy forum. Była jeszcze skromniejsza od pompejańskiej. Kapłan imieniem Menedemos

przyjął nas gościnnie, woreczki ze złotem schował w skrytce pod kamienną taflą podłogi, a malca polecił względem swej kucharki.

Pokrzepieni gorącym śniadaniem, wróciliśmy do portu.

– Wiecie zapewne, że Żydzi nie palą zwłok – rzekł Seutes. – Zawijają zmarłych w tkaniny i zakopują w ziemi.

– I my tak zrobimy – zgodził się pułkownik.

Pocięliśmy zapasowy żagiel na pasma i po umyciu zwłok Rubena w wodzie morskiej, obandażowaliśmy je na wzór mumii egipskiej. Sprowadziłem tragarzy z noszami. Kondukt żałobny ruszył boczną drogą nie przechodząc przez miasto.

Tragarze zaprowadzili nas do gaju pełnego świeżych popielisk i mogił. Pochowaliśmy Rubena głową na południowy wschód, jak tego wymagały przepisy. W tym samym kierunku zwrócił się Seutes i rzucając do grobu grudkę ziemi, przemówił:

– Boże żydowski, Jehowo, przyjmij służbę twego do grona duchów szczęśliwych.

– Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie – wyszeptał pułkownik.

XXII. ODWRÓT

Spieszno nam było zobaczyć się z Kubusiem. Co do Heleny i wdowy, to na podstawie oficjalnych danych o przebiegu kataklizmu doszliśmy do przekonania, że zginęły podczas ucieczki z Herkulanum.

Dom ojca Teofila znajdował się poza bramami miejskimi. Trafiliśmy tam bez trudności. Zastałem Kubusia w opłakanym stanie. Uważając nas za zgubionych, desperował okrutnie. Z rozpaczy, jak sam powiada, chciał wyrzec się świata i zostać misjonarzem. Przypomniawszy sobie jednak, że należy do Kościoła ewangelicko-reformowanego, powziął wątpliwości i zwrócił się o radę do pana domu.

– Mój synu – odpowiedział ojciec Teofil – widzę, że ostatnie wypadki odbiły się ujemnie na twoim zdrowiu. Zajmij się pracą w ogrodzie, a kiedy odpoczniesz, porozmawiamy obszerniej na ten temat.

Zaprowadziliśmy Kubusia do najlepszej gospody, by przy kieliszku wina podzielić się wiadomościami. Nieborak chudy był i mizerny. Twarz mu szerniała, oczy zapadły. Opowiedział o strasznej panice w Neapolu, nieprzespanych nocach i długich godzinach, które spędzał przed bramami miejskimi wypatrując, czy czasem nie ujrzy nas w ciżbie napływającego ludu.

– Wiedziałem dobrze, że was tam nie znajdę – mówił – a jednak łudziłem się nadzieją.

Nie chcąc go martwić, zataiłem moje przypuszczenia co do losu Heleny. Po tygodniu sam doszedł do wniosku, że jest wdowcem.

– Kochani przyjaciele – odezwał się pewnego razu pułkownik do mnie i Kubusia – pobyt w tym mieście zaczyna być przykry. Na każdym kroku spotykam ludzi w żałobie. Ilekroć wyjdę na przechadzkę, drogę przecina mi pogrzeb. Wiedźcie, że sroży się tu dyzenteria, którą przypisują wyziewom błot wulkanicznych. Czy nie odczuwacie chętki powrotu do wieku dwudziestego? Ja, osobiście, stęskniłem się za ojczyzną. Chciałbym osiąść we Franchimont i stać się zacnym, ogólnie szanowanym obywatelem.

– I ja potrzebuję jakiejś odmiany – rzekł Kuba – cóż, kiedy nie mam pewności, czy wolno mi będzie zamieszkać w Warszawie. Ostatecznie zdecydowałbym się na dłuższy pobyt za granicą, póki nie wygaśnie nasza sprawa o popieranie przemysłu krajowego.

– Zamieszkajcie w moim miasteczku – proponował pułkownik. – Jesteśmy wszak dość bogaci, by pędzić spokojny żywot.

– Zgoda – zawołałem – ale czy złoto z nami wróci? Czy pan o tym pomyślał, panie pułkowniku?

– Owszem, bądź spokojny. Złoto zamienimy u jubilerów na drogie kamienie, pozaszywamy je w ubrania. Jeżeli plecaki przetrwały, to i takie drobiazgi nie zginą.

– Żal będzie zostawiać Seutesa – rzekł Kuba.

– Można go zabrać, jeżeli tylko zechce.

Na tym stanęło.

Seutes nie bardzo rozumiał, o co chodzi.

– Ufasz nam? – spytał go pułkownik.

– Ufam.

– Zabierzemy cię więc do nowej ojczyzny. Przedtem jednak złożysz hołd naszemu Bogu oraz oczyścisz się z grzechów przez zanurzenie w wodzie.

Zaprowadziliśmy Seutesa do ojca Teofila, który go ochrzcił i nadał mu imię Wiktor.

Tegoż dnia rozpoczęliśmy wymianę złota. Drogocenne kamienie i perły były tu wielokrotnie tańsze niż w Europie XX wieku. Pułkownik wybierał najkosztowniejsze okazy. Ogołociliśmy z towarów kilka poważnych pracowni jubilerskich.

xxx

Na nasz wspólny list, wzywający Jeffa do powrotu, nadeszła odpowiedź odmowna.

„Dobrze mi tu – pisał eks-trener pompejański – zaczynamy z Ireną

wyrabiać sobie klientelę. W ciągu kilku lat dojdę do majątku. W Belgii nawet bym marzyć nie mógł o podobnych zarobkach. Ostatnie trzęsienie ziemi żadnej nie zrobiło nam szkody. Przeciwnie, wyspa zyskała, gdyż sporo zamożnych rodzin przeniosło się tu z Pompei, ze Stabii i z innych miejscowości. Jeszcze jeden ważny powód zmusza mnie do pozostania. Irena jest przy nadziei. Nie ruszę się więc, kochany pułkowniku, bo nigdzie nie byłoby mi tak wygodnie”.

– Ha, może ten chłopak ma słuszość – zdecydował pułkownik – trudno go zmuszać, skoro się czuje zupełnie szczęśliwy.

Zredagowaliśmy więc jeszcze jeden list, pożegnalny, zaopatrzone w podpisy pułkownika, Kubusia, Seutesa i mój. Do listu dołączyliśmy akt urzędowy, na podstawie którego Jeff Van Campen z Aenarii stał się właścicielem łodzi żaglowej.

W przeddzień naszego rozstania się z państwem cesarów kapłan Menedemos zawiadomił Seutesa, że musi wyjechać na parę dni z Neapolu.

– Żegnaj więc – rzekł mu Seutes – nie zastaniesz mnie po powrocie. Przenoszę się na dłuższy pobyt do Galii z tymi oto cudzoziemcami.

Pułkownik zaprosił obu kapłanów do tawerny. Była to nasza ostatnia uczta pod panowaniem rzymskim.

Po wyjeździe Menedemosa spędziliśmy jeszcze cały dzień w domostwie przylegającym do świątyni Junony. Odebrałem od krawca cztery pary spodni i cztery bluzy, uszyte według mego projektu, przypominające nieco płaszcze kąpielowe. Chodziło o to, aby nie wywoływać zbiegowiska nagłym pojawieniem się w strojach rzymskich.

Przygotowania były na ukończeniu. Gdy z garderobą pod pachą wracałem od krawca, przyplątał się jakiś szczeniak. Pstrokaty, pysk miał ostry, a na końcach uszu pędzelki. Odpędzałem go, nie chciał odejść. Wcisnął się do domu Menedemosa i ujadając wesoło, zaczął obwąchiwać mych kompanów. Dałem mu spokój. Drobiazg.

Nie chcąc nas karmić pigułkami, trudnymi do przełknięcia, pułkownik przygotował roztwór peyotlu. Najwyższa dawka miała wynosić trzydzieści pięć kropli.

Podczas gdy Seutes w zastępstwie Menedemosa odprawiał wieczorne modły przed posągami Junony, pułkownik wziął mnie na krótką rozmowę.

– Słuchaj, czy my to dziecko podrzucimy kucharce?

– O, do licha, znów zapomnieliśmy o dziecku!

– Może by tak je zabrać do Belgii? Ostatecznie, co nam to szkodzi.

– Zgoda. W takim razie weźmy i psa.

– Bierz go sobie, jeżeli tylko podda się narkozie.

Po ulokowaniu drogocennych kamieni za podszewkami oraz w

kieszeniach ubrań, pułkownik odebrał malca od kucharki pod jakimś dość niewyraźnym pozorem, dał jej suty napiwek i oznajmił, że wobec upału będziemy spali w perystylu. Pościągaliśmy materace z łóżek, a kiedy łatwowierna baba zasnęła, przenieśliśmy je do świątyni.

– Tu pograżymy się w trans – rzekł pułkownik – niechże łaskawa Juno czuwa nad nami.

Seutes pozapalał lampy. Wtedy dopiero zauważyłem, że bogini ma twarz uśmiechniętą, a ręce wyciągnięte, jak gdyby wołała: „Chodź do mnie”. Oczarowani jej wdziękiem, długo staliśmy bez ruchu, wpatrując się w to cudo marmurowe.

– Zaczynamy – oznajmił pułkownik – czy nikt nie złamał postu?

Okazało się, że jesteśmy bez kolacji, nie wyłączając dziecka i szczeniaka. Spoczęliśmy wygodnie na materacach ułożonych dokoła posągu. Syn Tulii dostał pięć kropli narkotyku, psu wlałem do pyska nieco więcej. Aby utrzymać z nim kontakt, wsunąłem go sobie za bluzę. Wreszcie i na nas przyszła kolej. Ostatni wypił pułkownik, wziął dziecko na kolana i polecił utworzyć łańcuch dokoła posągu.

W ten sposób Junona znalazła się między nami.

xxx

Obudziłem się pod gołym niebem, na pustym, zaśmieconym placu. Wprost przed sobą miałem parkan z furtką, a z trzech stron ściany domów. Z dała dolatywał odgłos trąbek samochodowych, dzwonienie tramwajów i gwar wielkiego miasta.

Wszyscy jeszcze spali prócz pułkownika. Siedział na ziemi tuląc dziecko. Sięgnąłem za bluzę. Szczeniak był skulony się, zupełnie nieprzytomny, ale oddychał równomiernie.

– Obejrzyj się – rzekł pułkownik.

Za moimi plecami stała uśmiechnięta Junona.

– Gdzie jesteśmy, pułkowniku?

– Nie mam pojęcia. Na jakiejś parceli budowlanej. Nawet nie wiem, czy furtka jest zamknięta.

– Która też może być godzina?

– Koło szóstej wieczór.

– Zaczekamy chyba do nocy?

– Rozumie się. Bardzo jesteś zmęczony?

– Spróbuję powstać.

Podniosłem się i nieco chwiejnym krokiem podszedłem do furtki. Była zamknięta. Światło kłuło mnie w oczy boleśnie, choć plac tonął w cieniu.

Przez szparę w parkanie ujrzałem świeżo wybrukowaną ulicę i kilku przechodniów. Zabawnie wyglądali w marynarkowych ubraniach. Zadałem sobie pytanie, po co ci ludzie noszą tak niewygodne stroje. Jakiś grubas zapalił papierosa zasłaniając się czapką przed wiatrem. Jednocześnie spod pachy wyleciała mu gazeta.

Ostrożnie, przy pomocy znalezionej kija, przyciągnąłem gazetę do szpary w parkanie, wysunąłem rękę, złapałem i zaniósłem pułkownikowi. Nazywała się „Mezzogiorno”. Wielka płachta z czarnymi tytułami. Zaczęliśmy przeglądać depesze. „Manifestazione dei disoccupati nel Amburgo”, „Il deputato croato assalito nelle strade di Belgrado”, „La dimissione del gabinetto tedesco” itp.

– Dość – zachnął się pułkownik – nie psujmy sobie humoru.

Kubuś otworzył oczy o zachodzie słońca. Następnie dziecko. Seutes spał jak zabity, co zaczynało nas niepokoić.

– Czy pan czasem nie ma – spytałem pułkownika – jakiejś złotej monety? Sprzedałbym ją antykwariuszowi i w ten sposób opędzilibyśmy pierwsze wydatki. Przyniósłbym też lekarstwa.

– Owszem, mam kilka aureusów.

– W takim razie wymknę się na miasto.

W chwilę potem, pobrękując szlachetnym metalem, przesadziłem parkan. Nikt na mnie nie zwrócił uwagi, ulica była pusta. Bardzo szybko, bo po kwadransie, doszedłem do Corso Vittorio Emanuele, zanotowawszy przedtem adres placu, na którym oczekiwali przyjaciele. Na via di Roma zadzwoniłem do mieszkania pierwszego z brzegu jubilera i z pewną miną zaproponowałem mu kupno złotych monet.

– Pan nietutejszy? – spytał.

– Tak – odpowiedziałem – mieszkam w Castellamare. Przyjechaliśmy do Neapolu żaglówką, zapomniawszy wziąć ze sobą pieniądze.

– A skąd pan ma te okazy?

– Jestem zbieraczem.

– Mogę panu dać osiemset lirów za sztukę.

– Będę stratny.

– Trudno. Muszę zarobić.

W ten sposób, potargowawszy się nieco dla przyzwoitości, doszedłem do posiadania sporej paczki banknotów. Przed wszystkim kupiłem pudełko papierosów. Dalej zaopatrzyłem się u ulicznego sprzedawcy w patentowaną latarkę elektryczną, odwiedziłem aptekę i wpadłem do winiarni. Pić mi się chciało diabelnie. Wino nie było ani gorsze, ani lepsze od pompejańskiego. Ot, zwyczajne wino stołowe. Z przyjemnością zauważyłem, że przechodnie nie zwracają na mnie zbytnej uwagi. Szczegół ten dodał mi zuchwałości.

Postanowiłem wystarać się o nocleg dla kompanów. Wybrałem skromny hotelik i po dłuższej rozmowie z właścicielką zdołałem ją przekonać, że będzie gościła zabłąkanych żeglarzy.

Należność za trzy pokoje, dana z góry, oraz suty napiwek dla służącej zapewniły nam życzliwe przyjęcie. Powiedziałem, że nie przyjedziemy wcześniej niż za godzinę. Kazałem przygotować wino, zimne zakąski i owoce, a dla syna Tulii kaszkę na mleku.

Załatwiwszy najważniejsze sprawy pobiegłem co tchu do przyjaciół. Dzięki latarce elektrycznej odnalazłem łatwo parkan i furtkę. Przy sposobności przeczytałem afisz, że plac jest do sprzedania. Należało zwracać się do notariusza na strada del Duomo.

– Pułkowniku, idziemy do hotelu. Czy wszyscy zdrowi?

– Mniej więcej. Masz lekarstwa?

– Mam.

– I zastrzyki?

– Owszem.

Przy świetle latarki ujrzałem bladego Kubusia, z bardzo niezadowoloną miną. Seutes leżał bez ruchu. Szczeniak igrał z dzieckiem.

Dwie ampułki kofeiny przywróciły Seutesowi przytomność. Osłabiony, nie mógł jednak stać o własnych siłach.

Udało mi się oderwać skobel bez zbyteń hałasu. Po wypuszczeniu towarzystwa na ulicę, przybiłem drzwiczki gwoździem wyjętym ze skobla. Byłe się trzymały.

– Pan wie, panie pułkowniku, że ten plac jest do sprzedania?

– Cieszy mnie ta wiadomość. Kto ci powiedział?

– Na ogrodzeniu wisi afisz.

– W takim razie kupimy plac i zabierzemy Junonę.

– Oczywiście. Wszak przywędrowała z nami.

Zaprowadziłem przyjaciół do postojów samochodowych. W hotelu spożyliśmy znośną kolację. Ze snem było gorzej. Noc spędziliśmy na rozmowach.

Nazajutrz, o godzinie ósmej rano, wybiegłem na miasto, kupiłem cztery miękkie koszule i tyleż innych części bielizny, poszedłem do sklepu z gotową garderobą i poleciłem przysłać do hotelu tłumok garniturów sportowych. Wybór był duży. Dzięki zręczności krawca, który umiał na poczekaniu skracać, zwężać, podcinać i dopasowywać, koło południa zostaliśmy wszyscy poubierani.

Teraz można już było pomyśleć się o przeniesieniu się do hotelu „Bertolini Palace”, gdzie nas znano, ceniono i mile witano.

Ze wszystkich zakupów, jakie poczyniłem w ciągu dni następnych,

największą uciechę sprawił mi zegarek. Złościłem się na buty. Jeżeli chodzi o wygodę, wolę sandały rzymskie. Upajałem się kawą z maszynek „expresso”, paliłem długie Wirginie, wpadłem do fotografa, kazałem sobie zrobić masaż elektryczny i przy sposobności nabyłem „punkt roller”. Kubusiowi podarowałem wieczne pióro, pułkownikowi lornetkę, a Seutesa zaprowadziłem do kinematografu.

Biedny Seutes. Chodził po mieście jak pijany. Lękał się wszystkiego. Przed tramwajami uciekał, na widok samochodu chował się za latarnię, a po wypiciu pierwszej filiżanki prawdziwej kawy dostał palpitanie serca.

– Przeniesiemy się wkrótce do spokojnego kraju – pocieszałem go – do kraju, w którym panuje cisza.

Transakcja z rejentem wypadła szczęśliwie. Dostaliśmy do ręki akt kupna oraz klucz od wyłamanej przez nas kłódki.

Ponieważ rząd robił trudności przy wywożeniu dzieł sztuki, poradziliśmy sobie w prosty sposób.

Umówiwszy się z przedsiębiorcą transportowym, pułkownik kupił za bezcen jakąś bezwartościową rzeźbę gipsową, wyrobił pozwolenie na jej wywóz i sprawa załatwiona.

Przedsiębiorca zdjął z cokołu Junonę, owinał wiórami, rogożą, włożył do skrzyni i na podstawie glejtu wyekspediował morzem do Antwerpii. Umówiliśmy się, że jeżeli Junona szczęśliwie wypłynie poza wody terytorialne Italii, w nagrodę damy mu placyk na własność. Tak też się stało.

Przed wyjazdem z Neapolu pułkownik urządził posiedzenie, podczas którego posortowaliśmy drogocенności i sporządziliśmy spis. Według prowizorycznych obliczeń kamienie przedstawiały wartość siedmiu do ośmiu milionów franków szwajcarskich.

– Jesteśmy rentierami – rzekłem.

– Tak. Czas już rozpocząć nowe życie – zgodził się pułkownik.

Pomyślawszy chwilę, dodał:

– Pozwolę sobie raz jeszcze na małeńki wybryk. Pomówimy o tym przy sposobności. Będzie to mój ostatni zatarg z kodeksem karnym, gdyż postanowiłem zyskać ogólny szacunek.

– Ja też zrywam z przeszłością – oświadczył Kubuś. – Nie będę szukał dorywczych zysków ani z socjalizmu, ani z patriotyzmu. Napiszę wielkie dzieło o pędzeniu wódek gatunkowych.

Pewnego wieczoru zajęliśmy miejsca w wagonie sypialnym. Rzym, Mediolan, Szwajcaria, Alzacja, Luksemburg szybko mignęły przed oknami. Wjechaliśmy do Belgii. Na ukwieconej stacji granicznej pułkownik zbliżył się do klombu, podniósł grudkę ziemi i przyłożył do ust.

– Ojczyzno moja – rzekł – zawsze mi byłaś najmiłsza.

– En voiture! – zawołał konduktor.

Mknęliśmy przez Ardeny. Nazwy przystanków, wykrzykiwane przez obsługę pociągu, dźwięczały jak srebro. Trois Ponts! Trois Vierges! Baraque Saint-Michel! Spa!

Tor kolejowy przebiegał nad rzeczułką. Z obu stron piętrzyły się zalesione góry. Bez zatrzymania minęliśmy rodzinne gniazdo naszego mistrza, by stanąć w Theux, odległym o dwa kilometry.

– Hej, jest tam kto? – wołał wzruszony pułkownik.

– Jestem – odpowiedział jedyny tragarz.

– Macie tu jaki samochód?

– Mamy bryczki. W przeszłym roku było auto z licznikiem, ale ludzie bali się jeździć.

„Szczęśliwy kraj” – pomyślałem.

Woźnica odkręcił hamulec, zdjął z łba końskiego torbę z obrokiem i wskoczył na kozioł, cmokając.

Potoczyliśmy się z wolna ku Franchimont.

XXIII. WAŻNE UCHWAŁY

Na miniaturowym rynku, u stóp góry z ruinami zamczyska, kupiliśmy stare domostwo z ogrodem. Dziwny ten dom ma w oknach małe szybki tkwiące w ołowiu, przez które pada rozproszone światło. Dębowe schody skrzypią, a w meblach coś skrobie i trzaska. Jest tylko parter, pierwsze piętro i dwa pokoiki na poddaszu. Strych zawalony gratami. Pułkownik twierdzi, że znajdują się tam cenne okazy, które można będzie naprawić i wstawić do mieszkania.

Mamy ogółem czternaście pokojów. Część świeci na razie pustkami. Wielki przedsionek pełen sztychów i rogów jelenich służy za jadalnię. Tam spędzamy czas na pogawędce, na grze w brydża i na lekturze.

Posąg Junony dojechał szczęśliwie do Franchimont. Ustawiliśmy go w ogrodzie tuż przed bramą wjazdową, stale otwartą. Pułkownik polecił ogrodnikowi pousuwać zbyteczne krzewy, by przechodnie mogli oglądać dobre oblicze bóstwa.

Seutes, zawsze wiemy Junonie, spędzał przy posągu szare godziny odmawiając modlitwy. Z nową sytuacją oswajał się stopniowo i pilnie studiował język francuski.

– Słuchajcie, moi mili – rzekł pewnego razu pułkownik do mnie i Kubusia
– Z Seutesem trzeba coś zrobić. Wprawdzie krzywda mu się nie dzieje, ale może mu być przykro, że nie jest panem swego losu. Taki pobyt w domu przyjaciół, bez nadziei na wyjazd, zaczyna w końcu ciążyć. Obiecywałem Seutesowi w Neapolu, że po przyjeździe do Belgii wyrobię mu posadę. Teraz sam nie wiem, jak z tego wybrnąć. Wprawdzie mógłby zostać lektorem języka greckiego przy którymkolwiek z uniwersytetów, ale wtedy stracilibyśmy partnera do brydża. Przyznam się, że polubiłem go ogromnie i przykro byłoby mi rozstawać się z nim na dłużej.

– Tak – zgodził się Kuba – to wszystko prawda. I ja go polubiłem. Nie wyobrażam sobie wieczornej fajki bez pogawędki z Seutesem. Jego opowiadania o Platonie, o Arystotelesie i innych filozofach greckich porywają mnie coraz bardziej. Pod wpływem tych nauk poczułem, że jestem daleko porządniejszy niż za dawnych czasów, a nawet wzięła mnie chętka zrobienia czegoś szlachetnego, na przykład wybudowania własnym kosztem kawałka szosy...

– Otóż to – przerwał pułkownik – do tego właśnie zmierzam, mój przyjacielu. Lecz nie o szosę mi chodzi. Mam na myśli zupełnie co innego. Zauważyliście zapewne pośrodku rynku resztki murów. Przed wojną był tam kościółek. Nasza Madonna, zwana Najświętszą Panną z Franchimont, słynęła w kantonie jako pocieszycielka strapionych. W połowie sierpnia tysiąc dziewięćset cztertnastego roku do kościółka wpadł pocisk armatni i oto, co pozostało...

– Oj! – krzyknął Kuba. – Świetna myśl. Już wiem, o co chodzi.

– Nie, jeszcze nie wiesz wszystkiego. Nie poprzestaniemy chyba na odbudowaniu kościółka. Lewe skrzydło parteru oddamy na probostwo, a proboszczem zostanie... no, zgadnijcie...

– Dawny proboszcz! – zawołał Kubuś.

– Dawny proboszcz nie żyje.

– W takim razie nowy.

– Zgadłeś, ale kto?

– Na razie wszystko mi jedno.

– Proboszczem powinien zostać Seutes!

Zapanowała cisza. Pułkownik uśmiechał się, spoglądając to na mnie, to na Kubusia. Zadowolony był z wrażenia, jakie wywarły jego słowa.

– Nad tym myślę – dodał – rozumiecie? Nad tym właśnie myślę.

– Ale jak? Jak pan to robi, panie pułkowniku? – spytałem.

– Bądźcie pewni, że zgodnie z prawem. Oddam Seutesa do seminarium duchownego.

Kuba kręcił głową.

– Co, pogańskiego kapłana? Nie. To zakrawa na zbyt grubą hecę.

– Nie zapominajcie – mówił pułkownik – że Seutesa ochrzczylimy w Neapolu. Jest chrześcijaninem, choć może nie zdaje sobie z tego sprawy. Wszak i niemowlę nie wie, co się dzieje, gdy kapłan zwilża mu główkę wodą święconą. Powtarzam, Seutes, jako chrześcijanin, ma prawo uczęszczać do seminarium. Nie dość na tym. Ma prawo przyjąć święcenia kapłańskie i ubiegać się o nasze probostwo. Bądźcie spokojni, zagadnienie rozważyłem wszechstronnie. Jeżeli coś przedsięwzięmę, to zgodnie z sumieniem. Wiecie chyba, jak jestem drażliwy na tym punkcie.

Trudno było nie zgodzić się z tak jasnym rozumowaniem. Skoro projekt dojrzał dostatecznie, pułkownik sprowadził architekta i polecił sporządzić kosztorys. Uradzili, że na dawnym miejscu stanie kościółek identyczny z poprzednim, przy czym sterczące ściany posłużą całości jako szkielet. W ten sposób będzie utrzymana ciągłość historyczna zabytku, wzniesionego w roku 1422 przez Raula Ślepca, markiza na Franchimont.

Po załatwieniu tych spraw pułkownik oznajmił przy obiedzie, że zamyka się na pewien czas w swym pokoju i nikogo nie przyjmie. Wchodzić może tylko służąca z posiłkami i czarną kawą.

Całą noc nie spał, łąził i łąził, przemyślał. Rano zasiadł do biurka. Widziałem go z ogrodu przez okno. Ślęczał nad papierami, kaligrafując mozolnie. Dobierał stalówki, szperał w słownikach, skrobał coś scyzorykiem.

Minęły dwie doby. Pułkownik wreszcie wyszedł z rozpromienioną twarzą, wezwał Seutesa i długo z nim konferował.

Ponieważ zdaję sobie sprawę, że książka ta nie będzie tłumaczona na obce języki, mogę pisać śmiało. Podczas owych czterdziestu ośmiu godzin spędzonych samotnie, pułkownik przygotował zaświadczenie, że Seutes jest greckim duchownym. Było to zgodne z prawdą, jeżeli nie brać pod uwagę pewnych nieścisłości, na przykład daty i miejsca urodzenia. Czytający mógł odnieść wrażenie, iż Seutes jest po prostu popem prawosławnym, Grekiem, w dodatku zbiegłym z Anatolii.

Dokument ten i kilka mniej ważnych świadectw pułkownik zaopatrzył w pieczęcie własnej roboty, starannie wyrzeźbione w tafelkach łupkowych. Pieczęć patriarchy konstantynopolitańskiego musiał nadto odlać z kauczuku, co sporo zajęło mu czasu.

– Dumny jestem – rzekł – z własnej wytrwałości. Dzięki tym papierom Seutes ukończy seminarium i zostanie, co bardzo ważne, nadal kapłanem. Wprawdzie tego rodzaju świadectwa bywają ściągane przez prawo, każdy jednak przyzna, że postąpiłem rzetelnie. Przyczepić mógłby się tylko biurokrata najpodlejszego gatunku.

– Zaczny, kochany mistrzu – zawołałem – któż nie pogardza biurokratami! Twoja wielka mądrość sprawiła, że starożytny kapłan Seutes stał się podobny do ludzi dwudziestego wieku. Gdyby nie te świadectwa, musiałby wstąpić do szkółki początkowej, przejść wszystkie klasy i zdawać egzaminy. Ty, mistrzu, wypełniłeś beznadziejną lukę, otworzyłeś mu wrota do przyszłości!

Tylko w wyjątkowo uroczystych chwilach zwracamy się do pułkownika w pierwszej osobie liczby pojedynczej, choć on zawsze traktuje nas na ty. Miłe to jest i utrzymane w stylu ze względu na różnicę lat, jaka na dzieli. Kochamy go jak ojca, a w parze z miłością kroczy bezgraniczny szacunek oraz uwielbienie dla zalet jego serca. Uczucia te nie są bez wzajemności.

xxx

Na rynek Franchimont zwieziono stopy cegieł, gładów ciosanych, góry wapna, cementu i gliny. Murarze przystąpili do robót.

– Wyjeżdżam do Kortrajku – zawiadomił nas pewnego dnia pułkownik.

Pojechał, ozdobiwszy pierś orderami, i zjawił się z należytą godnością u przełożonego seminarium.

– Wasza wielebność raczy wziąć pod uwagę – mówił – że wypadki spontanicznego olśnienia wiarą, zwłaszcza wśród kleru greckiego, bywają dość rzadkie. Mój przyjaciel, którego przywiozłem z podróży po Wschodzie, pragnie wstąpić do seminarium, by zgłębić tajniki prawdziwej wiary. To człowiek wszechstronnie wykształcony, szlachetny, skromny i grzeczny w obejściu. Jestem pewny, że wasza wielebność powita go życzliwie.

Nie tyle przemowa pułkownika, co list patriarchy konstantynopolitańskiego wywarł na przełożonym głębokie wrażenie. Sługa Boży ucieka od Turków, w dodatku wyrzeka się schizmy i miałoby się go nie przyjąć z otwartymi rękami? Ależ tu wahań być nie może.

– Szanowny panie – rzekł przełożony do pułkownika – za sześć tygodni rozpoczynamy wykłady. Niechże pański Grek zgłosi się do nas, na razie jako ekstern, a przyrzekam panu, że co będę mógł, to zrobię.

Wracając do Franchimont pułkownik zatrzymał się w Brukseli, odwiedził księgarnię kościelną i wybrał kilkanaście podręczników teologii. Między innymi zwykły katechizm dla szkół początkowych, modlitwinki i, nie wiadomo z jakiej racji, żywot świętej Genowefy.

– Masz – rzekł do Seutesa – naucz się wszystkiego, abyś mógł godnie odpowiadać na pytania.

Poza tym pułkownik przywiózł z podróży inteligentną niańkę, bo nie chciał, by dziecko przyswajało sobie gwarę walońską. Stopniowo

przestaliśmy nazywać malca synem Tulii. Wołaliśmy Lutek. Wyloniła się nowa trudność. Co będzie, jeżeli garde champêtre, reprezentujący we Franchimont władze państwowe, zainteresuje się pochodzeniem chłopca? Czy wystarczy wtedy oświadczenie, że przywieźliśmy go z zagranicy? Na pewno nie. Trzeba wystarać się o jakiś akt urodzenia lub coś podobnego.

– Dom mamy wspólny – zabrał głos pułkownik – wspólnymi siłami budujemy kościółek. Przyjaźń związała nas na całe życie, więc i dziecko moglibyśmy wychowywać wspólnie. Nie wypada jednak, by Lutek miał trzech ojców, choć było ich dwunastu. Uważam, iż jeden z nas powinien obdarzyć go nazwiskiem.

– Proszę bardzo – zawołałem – niech się nazywa Schroetter!

– Jeżeli nic nie macie przeciw – ciągnął pułkownik – właśnie ja pragnąłbym go uczynić swym spadkobiercą. Jestem wszak najstarszy, żenić się nie zamierzam, rodziny też nie mam, niechże więc ten chłopaczek zostanie moim synem. Wy jeszcze doczekacie się potomstwa. W dolinie rzeki, jak powiadają znawcy, zbyt wiele jest komarów i dlatego przyrost ludności bywa nadprogramowo szybki. Fakt ten znajduje potwierdzenie w danych statystycznych.

– Przez komary? – z niedowierzaniem bąknął Kuba.

– Tak, przez komary. Rozumiecie, skoro dziewczęta nie mogą zasnąć... Mniejsza zresztą. Jeżeli zostawicie mi Lutka, oddam go do szkół i wychowam na porządnego człowieka.

– Oczywiście – zgodził się Kubuś – niechże go pan wychowuje, panie pułkowniku.

Chodziło jeszcze o załatwienie drobnych formalności. Nasz mistrz uporał się z nimi szybko. Z właściwym sobie talentem sporządził akt urodzin oraz świadectwo ojcostwa, zaopatrzywszy je w podpisy i pieczęcie władz salonickich. Dokumenty zawiózł do Verviers, dał rejentowi do przetłumaczenia i złożył w merostwie Franchimont. W ten sposób stał się legalnym ojcem syna Tulii.

O ile pułkownik wprawiał się z zapałem w rolę papy, o tyle ja cieszyłem się innym wychowankiem, szczeniakiem z Neapolu. Ponieważ przypominał mi pobyt w Pompei, nazwałem go Pompkiem.

– Bardzo głupie imię – zauważył Kubuś.

Głupie, ale się przyjęło. Pompek wyrósł na silnego psa o doskonale rozwiniętej muskulaturze. Pędzelki na uszach nadawały mu wygląd srogi, nawet nieco dziki. Biegał całymi dniami po ogrodzie, bawiąc się z małym Lutkiem.

Pułkownik zawiózł Seutesa do Kortrajku i siedział tam do końca egzaminów, spędzając czas na łowieniu ryb na wędkę. Pełen, jak zwykle

różowych nadziei, nie zdziwił się wcale, usłyszawszy od przełożonego następującą ocenę:

– Pański protegowany okazał się wyjątkowo inteligentnym kapłanem, pełnym cnót prawdziwie chrześcijańskich. Nie przypuszczałem nawet, iż wśród kleru prawosławnego może się znaleźć jednostka o tak wysokim poziomie umysłowym. Jesteśmy zachwyceni jego znajomością filozofii, teologii oraz niezwykle trafnym ujęciem etyki chrześcijańskiej. Wykazał prócz tego gruntowną znajomość łaciny. Wprawdzie o historii nie ma wielkiego pojęcia, ale to można szybko uzupełnić. Reasumując wyżej powiedziane, przyjmujemy pańskiego przyjaciela na ostatni kurs seminarium z prawem zdawania egzaminów, kiedy tylko zechce.

Stało się więc, że Seutes przywdział habit kleryka, obłożył się książkami i osiem miesięcy pracował bez wytchnienia.

xxx

Zmierzając prostą drogą, pułkownik zredagował memoriał do kurii biskupiej. Donosił w nim:

1^o O nawróceniu schizmatyka na katolicyzm.

2^o O odbudowie kościółka.

3^o O remoncie czterech pokojów na probostwo.

4^o O gotowości finansowego popierania parafii Franchimont do czasu zrównoważenia jej budżetu.

Przy końcu memoriału wyraził nadzieję, że władze kościelne zechcą się liczyć z życzeniem parafian, skoro sprawa mianowania nowego proboszcza stanie się aktualna.

NASZA PANI RADOSNA

Murarze i cieśle wykańczali kościółek. Niecierpliwy pułkownik wybiegał co chwila z domu, opukiwał ściany, badał wapno, przeglądał dachówki.

Ogromnie zaaferowany, o niczym innym nie mógł myśleć. Po fajrancie uspokajał się nieco i zasiadał do brydża lub rozwiązywał zadania krzyżówkowe.

Utkwił mi w pamięci pewien wieczór majowy. Nad Franchimont przeciągnęła burza z piorunami. Po burzy nastąpiła cisza. Siedzieliśmy we trójkę na werandzie zalanej purpurą zachodzącego słońca. Pompek leżał u mych nóg, w sąsiednim pokoju skrzypiała kołyska.

– Co to za śpiewy? – odezwał się pułkownik. – Słyszę je od paru dni i zawsze o tej samej porze. Można by pomyśleć, że dobiegają z naszego ogrodu. Hej, Anetko, nie wiesz, kto śpiewa?

– Sia, moncheu, je l'sas bin – odpowiedziała Walonka, ukazując się we drzwiach – śpiewają kobiety przed Madonną.

– Gdzie śpiewają?

– W ogrodzie.

Pułkownik zerwał się od stołu. Ja i Kubuś za nim. Znalazszy się w alei wiodącej ku bramie, ujrzałem chwiejne płomyki świeczek. Przed Junoną śpiewano pieśń do Najświętszej Panny. Dokoła posągu klęczały kobiety. Nie spłoszył ich nasz widok. Dopiero po skończonej zwrotce podniosły się z klęczek i otoczyły pułkownika.

– Bardzo to grzecznie – rzekła najstarsza – żeś pan nie zapomniał o Matce Boskiej.

– Byłyśmy u mera – dodała druga. – Obiecał, że w dniu poświęcenia kościoła urządzi iluminację doliny, aby w całych Ardenach o naszym święcie mówiono.

Słów tych wysłuchał pułkownik w milczeniu. Nic nie odpowiedział, nie wszczynał też z nami gawędy na ten temat.

Aż do pierwszego czerwca, przed ukwieconym pomnikiem Junony rozbrzmiewały pieśni walońskie, wieczorami paliły się świeczki. Ponieważ w okolicy zaczęto nazywać posąg Notre Dame de Liesse, stopniowo więc otrzaskaliśmy się z tą nazwą.

Pewnego ranka zgłosił się kamieniarz. Pułkownik zaprowadził go do ogrodu i kazał wyryć na cokole następujący napis:

NASZA PANI RADOSNA
UŚMIECHEM WITA DOBRYCH LUDZI

Od tej chwili mieszkańcy Franchimont mieli własną Madonnę, do której mogli zwracać się w każdym strapieniu.

xxx

Raz zaszedł dziwny wypadek. Z Forges Thiry do Spa włókł się szosą inwalida o kulach, nazwiskiem Andrzej Piedboeuf, ogólnie znany awanturnik, kontuzjowany w roku 1918 nad Izerą. Nogi miał prawie bezwładne i bez pomocy kul nie mógł postąpić kroku. Mówiono, że przed opuszczeniem szpitala wojskowego wyłamał z łóżka pręt żelazny i zdemolował jakieś arcykosztowne aparaty elektryzacyjne. Za to, że go nie wyleczyły.

Otóż ten hardy inwalida, przechodząc obok naszego ogrodu, ujrzał Matkę Boską Radosną. Oczarowany Jej wdziękiem, wyciągnął ku Niej ramiona. Kule upadły na murawę, a on, zapomniawszy o wszystkim, szedł naprzód, szedł bez niczyjej pomocy, szedł i uśmiechał się tylko.

A kiedy stanął przed posągiem, oprzytomniał. Widziano, chwilę potem, jak biegł przez rynek wołając:

– Ludzie, ludzie, zdrow jestem! Madonna przywróciła mi zdrowie!

Przed naszymi oknami zebrał się tłum mieszkańców Franchimont. Dyskutowano długo. Na wieść o cudownym wyleczeniu kaleki zaczęli napływać chłopi z okolicznych wiosek. Przed wieczorem miasteczko wyglądało, jak gdyby odbywał się w nim jarmark. Zajeżdżały stare wozy malowane w kwiaty, bryczki bez resorów i inne dziwaczne wehikuły. Nazajutrz zjawił się proboszcz z Forges Thiry, by zbadać świadków cudu. Spisał skrupulatnie zeznania, między innymi i nasze, po czym przesłał je do kancelarii biskupstwa.

Pocziwego kapłana, ogromnie przejętego wypadkiem, zaprosiliśmy na obiad. Dziękował serdecznie za odbudowę kościółka i zapewniał, że tak szlachetnych ludzi jak my – mało jest na świecie.

Wieczorem gościł u nas mer miasteczka, imię pan Peutat. Również nie szczędził komplementów. Mówił nawet, że zasłużyliśmy, ja i Kubuś, na miano honorowych obywateli Franchimont.

Podczas gawędy z proboszczem Kuba przypomniał sobie z nagłą, że jest kalwińskiej wiary. Zmieszał się i jął zapewniać, iż duszą należy do katolicyzmu.

– Jakże to może być – powtarzał ksiądz proboszcz również porządnie zbity z tropu – jakże to być może? Protestant stawia kościół ku czci Przenajświętszej Panny... Coś nie tak, jak powinno...

Uważałem za stosowne wtrącić się do rozmowy.

– Jeżeli czujesz – rzekłem – przywiązanie do naszego Kościoła, to nawróć się i koniec. Co tu dużo gadać. Poproś księdza proboszcza, żeby cię ochrzcił.

– Ależ panowie – zaprotestował proboszcz – chrzest wcale nie jest potrzebny. Starczy wyznanie wiary i drobna formalność kancelaryjna.

Umówiliśmy się co do szczegółów. Następnej niedzieli stremowany Kubuś pojechał do Forges Thiry, w poniedziałek do Liège, skąd wrócił już jako katolik.

Z tej racji urządziliśmy raut w ścisłym gronie. Na raucie pojawił się nasz nowy przyjaciel, Andrzej Piedboeuf.

xxx

W mieście Theux, opodal Franchimont, mieszkał paskudny typ, niejaki Walery Brulot. Zawodowy wolnomyśliciel, redaktor i wydawca dwutygodnika „Sans Dieu”. Na miejscu nikt prawie tego pisma nie czytał, byli jednak liczni prenumeratory.

Walery Brulot przesiadywał całymi dniami w knajpie „Pod Muszkietierem Brabanckim”, mówił głośno, gniewał się, gdy go nie słuchano. Kiwając na kelnerkę wołał: „Mon bock, mon porto, ma grenadine”. Wszystko było jego, zarówno piwo, jak i drukarnia, w której tłoczył swe niecne piśmidło. Takiego typu chciałoby się walić nie wiadomo za co, choćby nic nie zawinił. Choćby za ten „mon bock” albo za tytuł pisma, za każdy gest, każde spojrzenie. Ilekroć widziałem tego hultaja, zawsze świerzbiły mnie dłonie*.

Mniej więcej w tydzień po przejściu Kubusia na katolicyzm, w czasopiśmie „Sans Dieu” ukazał się artykuł pod tytułem „Les deux imbéciles”, poświęcony memu przyjacielowi oraz uleczonemu inwalidzie. Brulot, nie krępując się w wyrażeniach, nazywał ich głuptakami i w niesłychanie brutalny sposób zarzucił im komedianstwo.

Obserwowałem twarz Kubusia, czytającego te wypociny. Obserwowałem i doszedłem do wniosku, że stanie się coś złego. Kuba-siłacz, który nigdy nie korzystał z zalet swych mięśni (przywołuję zajście z Pitosem), Kuba, który słabszemu zawsze ustępował z drogi dla uniknięcia zatargu, Kuba, dziwak dobronny, przyjął wyzwanie. Przyjął po raz pierwszy w życiu.

Przeczytawszy, złożył starannie świstek, schował do kieszeni, szarpnął szufladę, wyjął zepsuty nóż sprężynowy, otworzył go zębami i wyszedł do ogrodu.

Mrowie mnie przeszło. Pomyślałem, że poleje się krew. Tymczasem Kuba, chodząc między drzewami, nie śpieszył się wcale. Przesłaniając

* Nie dziwi mnie niechęć moich przyjaciół do Walerego Brulota, drogo ich bowiem kosztował. Liberal ten, jak wszyscy tzw. lewicowcy, jest człowiekiem niedorozwiniętym intelektualnie, a wybujałym emocjonalnie. Konserwatyści są również ludźmi rozwiniętymi jednostronnie, lecz w przeciwnym kierunku. Wykształcenie i większa inteligencja łączy się z zanikiem zdolności do uczuciowego ujmowania przejawów życia. Fanatyzm Walerego Brulota wynika z jego psychiki. Poczuję się do obowiązku skonstatowania, iż człowiek ten, jakkolwiek obdarzony odpychającą powierzchownością, działał jednak zgodnie z przekonaniami.

dłonią oczy przed słońcem, zadzierał głowę, spoglądał ku górze, czegoś szukał.

– Kubusiu, co ci to? – spytałem.

– Podsadź no mnie trochę na tego dębczaka.

– Włazisz?

– Włazę. Cóż dziwnego?

Włazł. Nawet dość zrecznie. Po minucie zrzucił na ziemię uciętą gałąź. Do rozmowy nie miał ochoty. Siadł pod murem, zapalił papierosa i zaczął obrabiać pałkę. Pracował z właściwą sobie starannością. Zdjął korę, pousuwał boczne pędy, zaokrąglił końce. Następnie poszedł do kuchni, rozgrzał nad blachą gwóźdź do czerwoności i przepalił w kiju dziurę na wylot. Do dziurki wetknął kawałek rzemyka i związał, jak to robią nasi wieśniacy, aby im laska nie wypadła z ręki.

Wiedziałem, że będzie pranie. Upewniłem się jeszcze lepiej, kiedy Kubuś zwrócił się do mnie ze słowami:

– Nie wiesz czasem, o której Brulot chodzi do knajpy?

– Zdaje się, że o szóstej.

– No, to nie ma gwałtu. Mam pięć godzin. Kładę się spać.

I jak zwykle w chwilach troski czy też innego podniecenia, legł w łóżku z butelką.

Rozmyślania przerwała mu Anetka, anonsując przybycie inwalidy.

Zupełnie niechętny podслуchałem ich rozmowę.

– Rozumiesz chyba – dowodził Piedboeuf – że trzeba narobić trzasku.

Brulot nazwał mnie półgłówkiem.

– Mnie też.

– Wiem, ale ty, to co innego. Ja zaczynam żyć po raz drugi. Mam dziewczynę. Dziesięć lat nie miałem dziewczyny. Muszę baczyć, by mnie szanowała. Dlatego musimy narobić trzasku.

– Niech będzie – zgodził się Kubuś. – Na którą godzinę zwołasz „kopenów”?

– O siódmej wszyscy będą w Theux u ciotki Cramer. Jadę jeszcze do Pepinsteru, by ściągnąć dwu wesółych chłopców. Jeden, co prawda, trochę niedowidzi, drugiemu brak prawej ręki, ale przydadzą się obaj...

W owym dniu wypadki potoczyły się szybko. Na zew Piedboeufa, w gospodzie ciotki Cramer „Pod Królem Gambriusem”, zgromadzili się inwalidzi. Było ich około dwudziestu, a niemal każdy trzymał kij. Między nimi siedział Kuba Schroetter z marszem na czole. Pił stare piwo dziadowskie z Gandawy¹, które niegdyś hrabiowie Egmont i Hoorn popijali pospołu z

¹ O tradycji belgijskiego „piwa dziadowskiego” czytelnik może dowiedzieć się z innej książki Władysława Zambrzyckiego – Kaskady Franchimont.

patriotyczną hałastrą. Taki już w Belgii obyczaj, że wielkie dzieła załatwia się przy kuflu.

– Idziemy, przyjaciele – odezwał się Piedboeuf.

Inwalidzi pobrnęli w kierunku kawiarni, w której przesiadywał wolnomyśliciel. Szli wolno, stosując się do szybkości marszu kompana o drewnianej nodze. A kiedy doszli, Piedboeuf rzekł do Kubusia:

– Może masz ochotę pogadać z nim sam na sam?

– Dobrze – zgodził się Kuba i wszedł do kawiarni. Po upływie kilku sekund wrócił.

– Co się stało? – pytali zaniepokojeni inwalidzi.

– Źle jest. Brulot siedzi z żoną. Przecież w obecności kobiety bić go nie będziemy.

Na to odezwał się Piedboeuf:

– Znam stary sposób. Zrobmy przygrywkę. Żona ucieknie, a Brulotowi damy lanie.

I poddał takt kompanom. Ci w mgnieniu oka podchwycili świetnie wyskandowane hasło:

– M...de, m...de, à bas Brulot! M...de, m...de, à bas Brulot!

Krzyczeli rytmicznie, przestępując z nogi na nogę, jak się zwykle czyni w podobnych wypadkach. Do chóru przyłączyła się wkrótce gromadka dzieciaków, przyłączył się też jakiś cyklista, choć nie miał pojęcia, o co chodzi.

Chóralny wrzask trwał około minuty. Inwalidzi wpadli do knajpy jak burza. Wywrócili stolik, parę krzeseł i na tym koniec. Okazało się, że Brulot uciekł tylnym wyjściem, pozostawiwszy żonę.

– Naprzód! – skomenderował Piedboeuf. – Idziemy do drukarni.

Przebiegli kłusem rynek, skręcili w boczną uliczkę. Drzwi lokalu zastali zabarykadowane. Brulot stał w otwartym oknie pierwszego piętra z rewolwerem w dłoni.

Widok ten wprawił inwalidów w wyborny humor. Posypały się drwiny.

– Ej, ty kapuściana głowo, a masz pozwolenie na broń?

– Nie omył się aby i nie strzel z drugiego końca!

– Brulot, zrób zaporowy ogień!

Jeden z inwalidów, wykręciwszy się tyłem, podniósł marynarkę. Spoglądając skośnie, zaczął wołać:

– Brulot, Brulot, krop prosto do tarczy! Jeżeli trafisz, darujemy ci winę.

Tymczasem inni zdążyli przyciągnąć jakąś belkę. Rozbujali ją i uderzyli we drzwi drukarni. Rozbujali powtórnie i znów grzmotnęli z całej siły. Po kilku ciosach drzwi stanęły otworem. Biurko, które je przytrzymało, wywlekli na chodnik.

– A bas Brulot! – krzyczano ze wszech stron.

Na schodach zadudniły kroki. Inwalidzi wdarli się do lokalu.

Zaskoczony atakiem paszkwilant usiłował zatarasować drzwi. Nie zdążył. Do pokoju wpadł Piedboeuf z podniesionym kijem.

– Na kolana – wrzasnął – na kolana!

– Bić! – krzyczeli inni.

– Walić drania, zabić! Do rzeki, z mostu na łeb!

Brulot stał jak mumia. Przerazenie sparaliżowało mu ruchy, z rąk wypadł rewolwer.

Ale Piedboeuf miał własne plany. Nie chciał dopuścić do rozprawy w mieszkaniu.

– Zostawcie go dla mnie – zawołał.

I ująwszy wolnomyśliciela za kołnierz, ściągnął go na parter.

W korytarzu Brulot odzyskał możność wydawania głosu. Chwytając się poręczy schodów, zaczął wzywać pomocy.

– Milczeć! – krzyknęli inwalidzi.

– Hej, niech no tam który przyniesie jaką ławę!

– Brawo! Sto kijów mu wsypać!

– Nie wytrzyma. Gotów zemdleć pod kijem.

– Takiemu wystarczy dwadzieścia pięć. Do pluskwy nie strzela się z armaty.

– Wystarczy – potwierdził Piedboeuf. – Przynieść ławę, bliżej.

Z otwartego okna zecerni dolatywał hałas przesuwanych sprzętów.

Potrącona kaszta runęła na podłogę. Dał się słyszeć ochryply głos:

– Puszcząć! Nom d'un chien, puszcząć!

– Ferme ton bec! – odpowiedziały inne głosy.

Przez chwilę panowała cisza, wreszcie padło pytanie:

– Który z was ma bambus? Ty, Jules? Wal, ręki nie żałuj. Od trzciny nie zdechnie.

I znów ten sam wrzask chrapliwy rozległ się za oknem:

– Nom de diousse! Sacrées crapules! Puszcząć, puszcząć!

Rykom katowanego Brulota wtórowały nerwowe krzyki inwalidów. Wypominali mu pobyt w gwardii cywilnej, współpracę w „Gazette des Ardennes”, kumanie się z diabłem, traktując go per ścierka od podłogi i połamane lawabo.

– Dwadzieścia dwa – liczył Piedboeuf – dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery. Halt!

Spoza zakrętu ulicy wybiegła młoda kobieta. Roztrąciwszy tłum gapiów, usiłowała wejść do drukarni. Jednonogi inwalida zagroził jej drogę.

– Excusez, madame, on n'entre pas.

Kobieta oczy miała błędne. Szarpiąc za klamkę, piszczała:

– Gdzie mój mąż? Coście z nim zrobili? Lâches que vous êtes, saligauds!

– Wszystko będzie dobrze, madame, wszystko będzie dobrze.

A gawiedź, rozbawiona tym widokiem, drzeć się zaczęła:

– Tapez dessus, tapez dessus! Przyłożyć i jej, przyłożyć.

– Hej, wy, stulic pyski! – ostrzegł inwalida.

Samosąd był skończony. Eks-kombatanci opuścili drukarnię. Obstąpiwszy madame Brulot, starali się ją uspokoić, jak mogli. Wyszedł też Piedboeuf.

– Powiedźcie jej – szepnął do jednego z kompanów – że może iść do męża na pierwsze piętro.

Cóż robił Kubuś przez cały ten czas? W miarę jak zbliżała się chwila triumfu nad przeciwnikiem, coraz bardziej ostygł. W knajpie gotów był bić Brulota. Teraz, widząc go w pohańbieniu, odrzucił pałkę. Nie zapomniał jednak o najważniejszym. Skinąwszy na Piedboeufa zamienił z nim kilka słów, następnie wraz z inwalidami wszedł do drukarni.

Puszczono w ruch płaską maszynę, na której co dwa tygodnie rodził się numer czasopisma „Sans Dieu”. Między nieproszonymi gośćmi znalazł się mechanik. Z jego pomocą załatwiono szybko, co było przewidziano w programie. Ciężki szteg żelazny, rzucony na karetkę w ruchu, wystarczył do zdemolowania maszyny. Tryby przysły. Stara prasa zgrzytnęła po raz ostatni i zamarła.

– Wystarczy – zawołał Piedboeuf – wracamy do ciotki Cramer.

– Ja funduję – pośpieszył oznajmić Kubuś.

Uszykowali się dwójkami. Przed odejściem Piedboeuf przypomniał sobie, że ma jeszcze coś do powiedzenia. Pobiegł na górę do Brulota, spojrzął mu w zaczerwienione oczy i krzyknął:

– Słuchaj no, Madonny z Franchimont nie wolno zaczepiać. Zrozumiałaś?

xxx

Napad na drukarnię kosztował Kubusia trzydzieści tysięcy franków. Tyle zażądał Brulot za polubowne załatwienie sprawy. W wydawaniu dwutygodnika „Sans Dieu” nastąpiła dłuższa przerwa. Pismo zaczęło potem znów wychodzić, ale już nie w Theux, lecz w innym mieście.

Brulot sprzedał dom wraz z uszkodzoną drukarnią. Nie wypadało mu pozostawać, gdyż wytykano go palcami. Założył w Leodium drukarnię z nowoczesną prasą pośpieszną. Przekonań nie zmienił. Walczy w dalszym ciągu z religią, nigdy jednak nie wspomina o Franchimont. I nie wspomni.

Rozmyślając nad tym wszystkim, Kuba mruknął pewnego razu:

– Psiakrew, on się jeszcze dorobi za moje katolickie pieniądze.

xxx

Na znak, że budowa skończona, murarze wywiesili na wieżycze wiechę z gałęzi. Pozostawało do urządzenia wnętrza. Gorączka budowlana minęła.

Pan pułkownik zabrał się do pisania dzieła pod tytułem „Souvenirs de ma campagne mexicaine”. Kubuś też coś tam pisał, ja ślęczałem nad niniejszymi wspomnieniami, radząc się od czasu do czasu pułkownika.

Rękopis zamierzam wysłać do Warszawy. Po otrzymaniu korekty poproszę pułkownika o zrobienie przypisków, dzięki czemu książka zyska na wartości. Szkoda, że pułkownik nie rozumie po polsku. Trzeba mu będzie tłumaczyć.

Mam nadzieję, że pan prokurator, który bardzo się gniewał, zmieni o nas zdanie po przeczytaniu tych wspomnień. Jeżeli tak, to niechże przyspieszy formalności z umorzeniem skargi. Urząd Akcyz oblicza straty, jakie mógł ponieść Skarb Państwa. Panie prokuratorze, zapłacimy wszystko co do grosza. Polecam się pamięci i z góry dziękuję.

xxx

Kuba przechodził raz w Theux koło piekarni. Z otwartego okna wionęło nań ciepło. I poczuł zapach polskiego chleba.

Może tylko zdawało mu się. Mówi, że poczuł. A potem przyszedł do domu, rzucił się na posłanie i długo leżał twarzą do poduszki.

Czy pan prokurator zauważył, jak pachnie polski chleb?

xxx

Szóstego grudnia, kiedy w Ardenach nic się nie zieleni prócz jemioly, Matka Boska Radosna opuściła nasz ogród, by stanąć w kościele. Następnie odbył się akt poświęcenia. Ksiądz biskup odprawił mszę świętą, do której służył nowy proboszcz parafii Franchimont, Wiktor Seutes.

Nigdy chyba oczy ludzkie nie spoglądały na Madonnę z taką miłością i wiarą jak wtedy, nigdy chyba Madonna nie uśmiechała się tak pięknie do swego sługi.

xxx

Nadeszły mrozy, w górach wiatr szalał, zapędzając ludzi do chat. Jednak nie brakło kwiecica na ołtarzyku Naszej Pani. Przynoszono najcenniejsze

kwiaty, po które wdzierać się trzeba na konary dębowe. Przynoszono święte kwiaty Gallów, gałązki jemioli.

xxx

Kończę pamiętnik. Namęczyłem się dość. Wspomnę tylko o pewnej przechadzce. Maszerowaliśmy, pułkownik i ja, szosą nad brzegiem rzeki. Pompek biegł przed nami.

Rzecz szczególna, że kundle nie mogą ścierpieć Pompka. Wyczuwają go na duże odległości.

I tym razem wyskoczył zza płotu jakiś kosmaty potwór, naujadał i schował się lekliwie.

Rzeka szemrała, był właśnie przybór wody. Przystanęliśmy, by spojrzeć na wędrówkę pstrągów, których tu jest obfitość.

– Ciekawe – odezwałem się do pułkownika – z jakim przyjęciem spotka się mój pamiętnik.

– Z jakim przyjęciem? Sądzę...

W tej chwili z przejeżdżającego samochodu dało się słyszeć wołanie:

– Przepraszam panów, czy mogę o coś spytać?

Wysiadł młody mężczyzna w sportowym ubraniu, zbliżył się do nas, uchylił kapelusza i rzekł:

– Powiedzcie mi, panowie, co to za pies?

– Pochodzi znad Zatoki Neapolitańskiej – odparłem.

– A w jakim jest wieku?

– O, to się nie da obliczyć bez ołówka. W każdym razie ma około tysiąca dziewięciuset lat.

Miłośnik psów obrzucił nas nieufnym spojrzeniem, cofnął się do samochodu, zatrąbił i pomknął na pełnym gazie.

KONIEC

SPIS RZECZY

W sprawie przypisków	2
I. Mistrz	3
II. Zegnaj, Macedonio!	7
III. Dokąd uciekać?	13
IV. Wielki skok	18
V. Pierwsze kroki	24
VI. Aklimatyzujemy się z wolna	30
VII. Nic nas nie zraża	38
VIII. Dialogi mędrców	45
IX. Ryba z piorunami	53
X. Przygoda Tulii z Apulii	58
XI. Ruch w interesie	63
XII. Subtelności teologiczne	69
XIII. Jeff zakochany	75
XIV. Umarli i żywi	81
XV. „Oi Barbaroi”	88
XVI. Post factum	93
XVII. Pełnia księżyca	99

XVIII. Na Aenarii	106
XIX. Kto da więcej?	110
XX. Listy Kubusia	116
XXI. Niespodzianka	123
XXII. Odwrót	132
XXIII. Ważne uchwały	137
XXIV. Nasza Pani Radosna	141
Większa z kropelkami	
Recenzje	
Od redakcji	